ROK XXV. WARSZAWA. Og. zb. Tom C.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

1900.



Druk. i Litogr. JANA COTTY w Warszawie.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13½.

Druk ukończono d. 15 października 1900 r.



Czytelnicy i polityka.

Czy zajmowanie się wiadomościami z polityki zagranicznej, rozczytywanie się w rozprawach nad nią jest rzeczą potrzebną i pożyteczną w naszem społeczeństwie, czy jest tylko nieszkodliwem zabiciem czasu? Czy może nawet szkodę przynosi? Z tem zapytaniem łączy się koniecznie drugie: czy dziennik krajowy, chcący dobrze i roztropnie spełniać swoje zadanie, pragnący być rzeczywiście pożytecznym, powinien systematycznie rozstrząsać na swoich szpaltach sprawy polityki zagranicznej w określonym celu, kierunku i w stosownym rozmiarze?

Ażeby uprzedzić z góry wszelkie nieporozumienia, zastrzedz należy, iż podniesione powyżej pytania mają na względzie wyłącznie czytelników i dziennikarstwo t u t e j s z e. Że pytania, powyżej postawione, mają praktyczną doniosłość, to pokazuje się z codziennej obserwacyi. Ogromna większość czytelników prawie nie zwraca uwagi na wiadomości o polityce zagranicznej, nawet na telegramy, jeżeli tylko w danym czasie nic nie budzi wyjątkowej ciekawości. Panie, panny, gdy przyniosą wieczorem gazety, rzucają się na wiadomości, kto umarł, na dalszy ciąg powieści w felietonie, a potem na potoczne wiadomości bieżące z miasta, nawet na ogłoszenia. Do polityki zagranicznej zwykle nie zajrzą. Ojcowie rodzin bywają,

naturalnie, bardzo różnego usposobienia. Jedni, nie pogardzając materyałem dziennikarskim, przez żonę i córki szczególnie protegowanym, przejrzą jednak i telegramy, jeżeli zwłaszcza toczy się gdzieś jakaś wojna, jeżeli był dokonany jaki zamach skrytobójczy na ministra lub panującego, lub jeżeli anarchiści podrzucili bombę, która wiele hałasu narobiła. Inni szukają najprzód wiadomości o kursach listów zastawnych, inni przedewszystkiem czytają dalszy ciąg jadowitej polemiki między panem X a panem Y lub szukają rozrywki w pismach, specyalnie uprawiających oskarżenia i obrzucanie krzywdzącemi insynuacyami bardziej znane osobistości.

Ta kategorya czytelników nie interesuje się sprawami ogólniejszemi we współczesnej historyi świata.

Niema w Warszawie takich, jak w Paryżu, Brukselli i innych miastach, specyalnych *cabinets de lecture*, do których przychodzą za opłatą kilku centymów ludzie, pragnący przejrzeć dzienniki całego świata w celu, z góry określonym. U nas spełniają tę funkcyę przedewszystkiem cukiernie, w których w pewnych zwłaszcza godzinach widzi się w tłoku, ciasnocie, dymie mnóstwo osób, zaczytanych całemi godzinami przy filiżance czarnej kawy lub szklance herbaty w pismach krajowych i kilku zagranicznych. O czytelniach (a właściwie wypożyczalniach książek), głównie romansów i powieści, niema co mówić. Między niemi jest kilka zaledwo w mieście, które trzymają także kilkanaście pism peryodycznych w polskim i innych językach i w których można je czytać na miejscu. Czytelnie te, źle zaopatrzone, bez żadnego komfortu urządzone, małą też liczbę czytelników ściągają. Kilku studentów, kilka starszych panien, paru emerytów — to zwykła a szczupła klientela. Właściwe, wielkie *gros* publiki, czytającej gazety w Warszawie, roi się w cukierniach. Cóż oni najwięcej czytają? Kuryery, tygodniki, illustracye francuskie i angielskie, a niektórzy *Neue Freie Presse*, *Berliner Tageblatt*, *Figaro*, *Breslauer Zeitung*, *Fliegende Blätter*. Ta kategorya czytelników tych kilku pism cudzoziemskich w cukierniach, nieliczna zresztą, stanowi może jedyny kontyngens ludzi, o których wolno mniemać, że pragną wyjrzeć trochę dalej na świat, niż Krakowskie Przedmieście i ogród Saski.

Wśród nich jest pewien procent, ale mały, który z namiętnością śledzi drobiazgi wielkich i małych zagadnień (rozprawy w parlamentach, w dyplomacyi, w rządach i t. p.). W kółku niewielu amatorów kolegów-specyalistów toczą oni zagorzałe dyskusye o tem, czy np. Luegger w Wiedniu da sobie radę z partyą przeciwników

antysemityzmu w municypalności miejskiej, czy kwestya rewizyi przywożonego mięsa zagranicznego do Niemiec lub powiększenia wydatków na flotę przejdzie w parlamencie berlińskim, czy intrygi francuskiego gabinetu socyalistycznego Waldeck-Rousseau wykryje i obali gruntownie p. Ribot, kandydat na prezesa ministeryalnego, chcący się dostać do władzy, czy w Anglii zwyciężą przy wyborach konserwatyści, czyli też stronnictwo liberalne i t. d.

Przy takich dyskusyach i uniesieniach spierających się amatorów dyletantów polityki wielkoświatowej, na arenie cukierniczej toczonych, zauważyć można jeden wspólny symptom: brak kierowniczej myśli, powtarzanie utartych frazesów, nieznajomość historyi pewnej kwestyi, o którą im chodzi.

Gdy się znowu znajdziemy na inteligentniejszem zebraniu towarzyskiem w mieście, gdy zejdzie tam rozmowa na publiczne ogólniejsze sprawy, to spotkać się także można nieraz z dziwną nieznajomością faktów i sprężyn politycznych, poruszających współczesną działalność społeczeństw europejskich. Wiadomości w tym przedmiocie bywają nieraz luźne i niedokładne albo poprostu mylne. Naturalnie, mówimy tutaj o przeciętnej, o większej masie ludzi, nie przecząc, iż są jednostki, domy i rodziny całe, w których rozleglejsze wykształcenie, oczytanie lub osobiste zetknięcia ze sferami politycznemi zakrajowemi pozwoliły wyrobić sobie gruntowniejsze wiadomości i szersze poglądy. Są to jednak rzadkie wyjątki.

Tak jest w mieście. Udajmy się na wieś. Zajrzyjmy do poczciwych, kochanych naszych dworów i dworków przeciętnych; kiedy po wysłuchaniu narzekań na upadek ceny zboża, zły urodzaj, brak robotnika, na kłopoty z powodu serwitutów i nadużyć włościan przy zbiórce drzewa w lasach zejdziemy na temat polityki europejskiej, zobaczymy przedewszystkiem wielką gotowość do dyskusyi, zapalanie się w niej ogniste i nawet pewne, odrazu sformułowane opinie.

Jeżeli się jednak uważniej w te rozprawy wsłuchamy, uderzy nas niezwykła ich powierzchowność. Przypomina się natychmiast, że impetycznie wypowiadane aforyzmy czy twierdzenia powtarzane bywają na wiarę tego lub owego, jedynego najczęściej pisma codziennego, prenumerowanego w tym dworze. Prócz jednej zazwyczaj, tak zwanej politycznej, trzyma się zwykle który z tygodników illustrowanych, pismo z rycinami mód dla pani i panien, niekiedy jeden z tak zwanych tygodników postępowych lub jakie wydawnictwo, dające „za darmo” książkowe dodatki. Naturalnie, że i na wsi trafiają się salony i biblioteki, obficie zaopatrzone w krajowe i zagraniczne wydawnictwa. Ale to znowu wyjątki — a nie o nie

nam chodzi. W przeciętnym wiejskim czytelniku jest zapewne chęć poznania szerszych spraw świata, choćby dla tego, żeby sobie urozmaicić jednostajność życia i zajęć gospodarskich—ale brak do zaspokojenia tych poczuć dwu rzeczy: przygotowania poprzedniego i stosownego materyału czytelniczego.

Ze spostrzeżeń ogólnych, powyżej naszkicowanych, jaki można wyprowadzić wniosek? Zdaje się, że następny: zainteresowanie się kwestyami politycznemi, t. j. sprawami ruchu cywilizacyjnego na szerszym świecie, jest albo bardzo małe, bez zmysłu dla jego znaczenia, albo niezmiernie powierzchowne, dyletanckie.

Czy to źle, czy dobrze? Skąd to pochodzi?

Spotkać się można najczęściej z takiemi zdaniami: kraj i naród, który nie ma swego własnego życia politycznego, nie potrzebuje się zajmować ogólną polityką i interesami innych narodów. To go bowiem odwodzi od najbliższych jego spraw żywotnych. To prowadzi jego myśl na drogi nieprodukcyjne, wyradza płonną politykomanię, stanowi próżne i bezcelowe zajęcie umysłów. Niech się zajmuje wyłącznie swojemi sprawami domowemi, najbliższemi, niechaj im tylko swą poświęca uwagę. Jeżeli na takich zapatrywaniach i redakcye pism codziennych opierają swój pogląd na własne zadanie dziennikarskie, to wynikać musi z tego, że też odpowiednio traktowana jest w nich rubryka, tycząca sprawozdań i rozpraw z zakresu polityki zagranicznej.

Skutkiem podobnego zapatrywania (o ile ono przeważa) musi ta rubryka być bardzo pobieżna, a zazwyczaj mało systematyczna, mało staranna. Suchy przegląd polityczny, notujący luźnie bieżące fakta bez ich objaśnienia, telegramy, spisywane rapsodycznie, tak, jak przybywają od korespondentów lub agencyi, artykuły wstępne bez planu, nakoniec korespondencye (w większych dziennikach) ze stolic europejskich, zawierające *quodlibet* wiadomostek w osobach, faktach, wypadkach, zajściach parlamentarnych, teatrze, koncertach, wystawach lub nawet nowych powieściach i romansach — oto i wszystko, o czem zazwyczaj może się poinformować czytelnik.

Ten stan rzeczy wypływa z jednostronnego zapatrywania, że u nas niema racyi ani powodu zajmować się sprawami, nie obchodzącemi nas bezpośrednio i najbliżej. Zobaczymy, czy taki pogląd jest słuszny.

W szkołach, w uniwersytetach uczymy się historyi starożytnej, średniowiecznej i nowszej po to, żebyśmy byli przygotowani do rozumienia przeszłości, pod której wpływem toczy się teraźniejszość. Jeżeli te wiadomości uznane są, jako potrzebne koniecznie do ogól-

nego ukształcenia człowieka, to nieuzasadnionem musi być mniemanie, że polityka bieżąca, czyli historya życia i współczesnych stosunków międzynarodowych, może być dla kształcenia się człowieka zbyteczną.

Przeciwnie, sądzimy, że jest konieczną i pożyteczną, ale pod warunkiem, żeby była we właściwej mierze i we właściwym sposobie podawana. Na czemże polega owa miara i owa właściwość? Oto na tem, żeby wiadomości z polityki bieżącej były wolne od namiętności, której uniknąć wcale nie łatwo. Jest to zupełnie zrozumiałe. Zdarzenia, przed tysiącem lub setkami lat zaszłe, łatwo jest opisywać spokojnie, bez uprzedzeń i stronniczości.

Inaczej rzecz się ma z historykiem zdarzeń współczesnych lub z dziennikarzem, zdającym sprawę z polityki bieżącej. Nawet najsumienniejszy i pragnący stać na zupełnie bezstronnem stanowisku dziennikarz może nieświadomie być porwany prądem otaczających go wyobrażeń lub upodobań. Pod tym mimowiednym często wpływem praca sumiennego nawet dziennikarza może wystawiać nieraz współczesną historyę w świetle jednostronnem. A cóż dopiero, jeżeli ta jednostronność jest świadomą, umyślną i z góry powziętą, jeżeli partyjna zawziętość, a nawet pobudki, z interesów specyalnych wynikające, rządzą piórem referenta w sprawach bieżących. Dziennik przestaje być wtedy zwykłem zwierciadłem, odbijającem życie prawdziwe, lecz wypukłem czy wklęsłem szkłem, przez które i w którem czytelnik ogląda fakty wykrzywione, spaczone, a zatem urabia sobie o nich mylne pojęcie. Przykładów tego sposobu traktowania kwestyi polityki zagranicznej dostarcza nam każdy prawie numer gazet francuskich, niemieckich, angielskich. Niepokój i namiętność rządzi niemi: prawda i bezstronność są rzadkiem i wyjątkowem ich hasłem.

U nas, w naszem dziennikarstwie miejscowem, tego naturalnie niema, bo niema żywotnych kwestyi, z polityką zagraniczną związanych, niema interesów sprzecznych lub zawistnych w tej sferze.

U nas — otwarcie śmiejmy to wyznać — jest co innego. Czytelnik polityki zagranicznej (o ile ma ochotę ją poznawać) nie jest wciągany w mętny wir namiętności stronniczych, bo tutaj niema dla nich gruntu, więc one ludzi ze sobą nie porywają. Ale najczęściej za to czytelnik nasz pozostaje bez kierownika, bez przewodnika — to znaczy, że w opowiadaniu i przedstawianiu wydarzeń politycznych bieżących, jakie czerpie z pism miejscowych, pozostawiony jest zupełnie sobie samemu. Czyta codzień — jeżeli czyta— szereg luźnych wiadomości i faktów; miewa w niektórych pismach

tak zwany przegląd polityczny, t. j. zestawienie z paru ostatnich dni tygodnia wybitniejszych obok siebie zdarzeń; znajduje artykuł wstępny, rezonowany o kwestyi tej lub owej. Ale jeżeliby chciał zadać sobie pytanie: czy redakcya dziennika ma w tej rubryce swój własny obmyślany i świadomy program, czy w tym programie postawiona jest, jako myśl przewodnia, intencya systematycznego uczenia czytelników współczesnej historyi świata, wyświetlania bezstronnego idei, wpływów, pobudek, oddziaływających na bieżące wypadki i wywołujących je, a tem samem, czy jest staranie umiejętne około kształcenia umysłów w tak bardzo ważnym przedmiocie, jak współczesna, życiem bieżącem drgająca historya świata, gdyby — powiadamy — nasz czytelnik sobie postawił to pytanie, gdyby je skrupulatnie rozważył, to nie otrzymałby twierdzącej odpowiedzi.

Skąd to pochodzi? Właśnie stąd, że panuje u nas mylne uprzedzenie, iż polityką zagraniczną nie mamy się po co zajmować. Stąd też ogromna masa niby inteligentnej naszej społeczności nie zna, nie rozumie i nie zastanawia się trzeźwo nad współczesnym biegiem stosunków europejskich, nad znaczeniem najważniejszych wypadków u innych narodów; stąd też większość naszych dzienników zbyt pobieżnie, a w każdym razie bez obmyślanego programu, załatwia się na swych szpaltach z kwestyami polityki zagranicznej. Uważa je za coś, co dla formy, dla przyzwoitości zewnętrznej, dla zwyczaju powinno znaleźć miejsce w kolumnach dziennika, ale miejsce bardzo podrzędne. Wartości kształcącej, poważniejszej, którejby godziło się staranniejszą poświęcić uwagę i opiekę, nie przyznaje się. Mniemamy, że to nie jest dobrze.

Chociaż polski nasz czytelnik nie zasiada w parlamencie, nie ma głosu w sprawach międzynarodowych, nie może swem zdaniem i swą opinią wpływać na bieg większych spraw publicznych, jednak powinien dbać o swe wszechstronne ukształcenie. Nic on nie pomoże ani Anglikom, ani Boerom w Afryce południowej w ich walce zaciętej o zagarnięcie kopalni złota i dyamentów z jednej strony, czy o obronę idei niezawisłości Transwaalu i Oranje z drugiej. To pewna. Ale powinien mieć możność zrozumienia kierowniczych idei cywilizacyjnych i ogólno-ludzkich w tej walce, bo to go kształci, oświeca, jako człowieka. Tak samo i w mnóstwie innych bieżących kwestyi. Jeden przykład wystarczy za wiele innych. To jest pożyteczne i do tego trzeba mu dać sposobność i dostarczyć możność. Niema tych warunków kształcenia szerszego myśli czytelników u nas. Na to chcieliśmy zwrócić uwagę.

Nie piszemy reklamy, ani oskarżenia dla tych lubowych, nie mamy najmniejszego zamiaru wywoływania polemiki; wydawało się nam tylko pożytecznem zaznaczyć to spostrzeżenie: że nieuzasadnionem jest spotykane nieraz mniemanie, jakoby nie było rzeczą pożyteczną, kształcącą i nawet koniecznie potrzebną systematyczne obznajmianie się z historyą bieżącą współczesnych wypadków politycznych. Obstając przy twierdzeniu przeciwnem i nie mając zamiaru zachęcania do pustej politykomanii, sądzimy, że jest dobrem, pożytecznem i nawet koniecznem dokładne informowanie się o tem, co na współczesnej arenie życia ludów europejskich zachodzi. Jest to historya faktów i wypadków, koło nas się toczących. Nie można i nie należy być dla nich obojętnym, jeżeli się nie chce zostać ciemnym. Dziennikarstwo ma więc tutaj poważną misyę do spełnienia, której nie może lekko traktować. Powinno do rubryki polityki zagranicznej przywiązać wiele roztropnej uwagi; nie przeciążać nią swoich szpalt, ale nie lekceważyć; nie zaciekać się w kombinacyach, domysłach, naukach i radach, udzielanych napróżno tym, którzy ich nigdy nie będą czytali, ale poprzestać na starannem i uporządkowanem według jakiegoś planu referowaniu swoim czytelnikom biegu najważniejszych faktów, najbardziej górujących myśli przewodnich z dziedziny historyi narodów współczesnych. Mniej dorywczości, ubiegania się o sensacyjne nowiny, a więcej poświęcenia systematycznego i w wytkniętym zakresie obmyślanej pracy wydawałoby się pożyteczną reformą. Skorzystałby na tem niezawodnie ogólny poziom ukształcenia naszego społeczeństwa.

O nic innego też nie chodzi.

A. Białecki.



PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

Weszła cicho księżna, Marynia powoli odjęła ręce z ramion Tadeusza.

— Wracam od ministra, miał tylko pięć minut czasu przed posiedzeniem i te mnie ofiarował.

— Pięć minut wystarczyło księżnie do zjednania go sobie, rzekła Marynia.

— Powiedziałam mu, że byłoby to fatalne, aby karta dziejów jego panowania w Austryi naznaczyła się zabójstwem przemysłu naftowego w kraju.

— Co odpowiedział? pochwycił Tadeusz.

— Że większą byłoby klęską, gdyby była naznaczona zabójstwem państwa.

— Sądzę, że zdrowiu państwa nic nie będzie szkodzić, gdy siedmiu milionerów przestanie przemytnictwem okradać toż państwo.

— Doskonale, świetnie, zawołał Tadeusz.

— Minister popatrzał na mnie tak, że, gdybym nie była księżną, kazałby mnie wyprowadzić. Zapanowała cisza, minister pierwszy przemówił:

*) Ob. „Ateneum", styczeń — wrzesień, 1900 r.

— Pozwól mi, księżno, wedle moich pojęć kochać państwo i dbać o jego pieczę.

— Lecz proszę, dokończyłam, o te same uczucia i dla macierzystego kraju pana ministra, skłoniłam się i wyszłam.

— Cóż za dzielność wstępuje w naszą kochaną panią!

— Byłam rozdrażniona, mówiła żywo księżna, — i, wracając do karety, dziwiłam się memu zuchwalstwu, lecz teraz jestem z niego rada. Na pięć minut przed posiedzeniem mowa moja niezawodnie dobry wpływ wywrze na ministra, bo mu przypomni, że nie wolno bezkarnie własnego kraju maltretować.

— Teraz jest nadzieja, pochwycił Tadeusz, że książę Grzegorz przeprowadzi zniżenie taryfy i znów dalej będzie można żyć.

Wzruszony pocałował rękę księżny.

— A wy, dzieci moje, spytała księżna Maryni, nagadaliście się, nikt wam nie przeszkadzał?

— Cicho było, jak w maju przed burzą, rzekł Tadeusz.

— Lecz co do nagadania się byliśmy zaledwo na początku...

— Dałam wam czasu całą godzinę, lecz jestem pewna, że i po tygodniu rozmowy zawsze bylibyście na jej początku, to już taki zwyczaj zakochanych.

Pocichu wsunął się pan Edward, stanął, zbladł. Dławiło go w gardle, choć chciał się do księżny, uśmiechać.

Pierwsza Marynia go spostrzegła.

— Ojczulek wchodzi, jak duch, i staje wśród nas wystraszony, podała mu na przywitanie czoło do pocałowania.

— Rozpogodź pan lica, rzekła księżna. Bohater nasz stanął u bram, miasto się poddało.

Wskazała na Tadeusza.

Księżna, córka, Tadeusz,—spisek przeciwko niemu. Księżna go zdradza, Marynia go zdradza, Tadeusz, koledzy, minister i ekscelencya, wszyscy go zdradzają. Był pewny, że zastanie z Marynią Podiebrada i powie im, że sytuacya uratowana, że wprawdzie mniej, niż dawniej, ale można zbierać i składać... Zamiast Podiebrada stoi on, zwycięzca, nie śmiał pomyśleć, „w sercu Maryni”... Głupie dziewczyny lgną do dzisiejszych zwycięzców, choćby im jutro głód miał zaglądać w oczy.

W tej chwili znienawidził Tadeusza, oburzony był na córkę, nie lubił jej w tej chwili. Żal miał do księżny, głęboki żal i zawiść, że się jego dzieckiem bez jego wiedzy rozporządza.

— Teraz on tu, mówił do siebie w duchu, zamiast w kraju pracować będzie siedział z nami, czas tracił i romansował... My sobie

bez niego damy radę! Sprawa z naftą skończona, i czegóż tu ma siedzieć?

— Patrzysz kochany pan i słuchasz, jak gdybyś oczekiwał na objawienie. To napróżno, za mało jesteśmy uduchowieni, aby duchy, wśród nas goszczące, pokazywały się nam, kończyła księżna ze szczerym uśmiechem. Edwardowi się zdawało, że z piekielnym.

— Ten uśmiech księżny pani, rzekł Edward...

— Jest szczery, dokończyła. Kocham Marynię, jak młodszą siostrę, i radabym jej nieba przychylić.

— A jednak to niebo... dodał Edward cicho i spojrzał na córkę i Tadeusza.

— Mamy różne pojęcia o niebie.

— Niebo pań zbyt romansowe.

— Pańskie zbyt utylitarne. Niebo jest duchem ludzkości, jej pragnieniem...

— I na pragnieniach się kończy...

— Czasem pragnienia się urzeczywistniają...

— Lecz nie w tym wypadku, chciał powiedzieć, a powiedział, nie zawsze.

— I dlatego jest ono upragnionym ideałem, że rzadko przychodzi i specyalnie dla wybranych dusz.

— Księżna pani, rzekł, hamując swą wściekłość, Edward, jesteś wybornym adwokatem każdej sprawy.

— Mówią, odrzekła swobodnie, że nieźle prowadzę swe interesa. Pan również, z tą tylko różnicą, że mniej się znasz na sprawach serca...

Zaczęła w niej rozpalać się krew buty magnackiej. Jeszcze jedno słowo z ust małego szlachcica, a byłoby z nim źle. Lecz mała szlachta ma wiekami wyrobiony węch na humory pańskie. Węch posiadał i pan Edward, a pomógł mu blask oczu księżny i nieznaczne rozszerzenie nozdrzy. Uśmiechnął się, jakby wypił kieliszek octu, i słodko powiedział:

— Na sprawach serca mniej się znam od kobiet i dlatego może trzeźwiej patrzę.

— Na wszystko, przerwała księżna, prócz na sprawy serca, na których powiedziałeś pan, że się nie znasz.

Nie znalazł odrazu odpowiedzi. Skorzystała z tego księżna, wsunęła mu rękę pod ramię i odprowadziła.

— Nie mówmy więc o tem, co jest nam obce, a raczej, jako dobrzy adwokaci, rozumiejący sprawy, mówmy o swych sprawach.

Powiedz mi pan, co myślisz o ustępstwach ministra i skarbu dla naszej nafty?

Wsunięcie ręki przez księżnę pod ramię Edwarda rozbroiło go.

— Jeszcze nie obliczyłem, odpowiedział cicho, lecz on obliczał, wskazał na Tadeusza, i mimo swej niepraktyczności świetnie rachuje. Będzie można żyć, gdy on mówi, że można.

— Dzielna głowa, rzekła księżna. Wejście Tadeusza do Koła polskiego może oddać wielkie przysługi krajowi.

— Niech księżna w to nie wierzy. Koło nie potrzebuje głów, tylko gąb do głosowania za rządem. Nie potrzebuje większych rozumów nad rozum żądania zniżki cen soli bydlęcej lub uregulowania sprawy szupaśnictwa. Nawet od prezesa Koła nikt nie wymaga na seryo głowy, bo ją za niego ma minister, a prezes jest od tego, aby kazał Kołu głosować podług żądań ministra. Szkoda jego zdolności, tutaj się zmarnują, zdrętwieją... Niech ucieka jak najprędzej.

W tej samej chwili Marynia szeptała do Tadeusza:

— Mam wielką ochotę wziąć cię za rękę, zaprowadzić do ojca i powiedzieć: oto mój narzeczony, i nikt moim mężem nie będzie, tylko on, jedyny — mój!... Lecz boję się — wiesz czego? Mogę stracić swobodę! Może ojciec, zakochany w Podiebradzie, uprowadzić mnie na wieś i tam go zaprosić. Wtedy musiałabym coprędzej uciekać do ciebie.

— A więc zaczekajmy jeszcze chwilę, odparł Tadeusz, muszę się rozejrzeć w dziś stworzonej sytuacyi naszego nafciarstwa, uregulować do tego sprawy, obliczyć się, wzmocnić na siłach, rozwinąć i ciężary z siebie zrzucić. Gdy się to stanie, z jakiem upojeniem, z jakąż miłością wdzięczności wyciągnę do ciebie ramiona...

— Śpiesz się, aby ci ręce nie zwisnęły...

Zaśmiała się wesoło i czarownie. Ten czar udzielił się księżnie i panu Edwardowi. Księżna zwróciła się do nich.

— Moja pieszczoto, mówiła, śmiejesz się tak ciepło i serdecznie, że aż serce się moje rwie do ciebie — do was...

Zwróciła się do Edwarda.

— Bo może pan nie przeczuwasz, jaką masz córkę. O jej urokach może mało wiesz, w jej rozum wątpisz, w jej wdzięk i siłę nie wierzysz? No, odpowiadaj!

Wzięła głowę Maryni, przytuliła do swych piersi. Kochała ją podwójnie: za jej dobroć, rozum, wdzięk i za oddanie Podiebrada.

— Gdyby nie ty, myślała, Podiebrad zaledwo rzucałby mi swe karty. On do mego domu za tobą przyszedł — a że zostanie, to

twoja dzielność temu będzie winna, mój spryt i piękność mojej córki i jej czary. Ona musi być do ciebie podobną...

Pan Edward milczał.

— Cóż ojczulek myśli o uniesieniach księżny, czyż nie prawda, że są wyidealizowane sympatyą do mnie?...

— Ojca cieszy, jeżeli kochają jego dziecko, chciał powiedzieć: ludzie, lecz powiedział: księżny. Ojcowie najlepiej znają swe dzieci...

Spojrzał na Tadeusza, Marynię i księżnę tak jakoś komicznie, że aż księżna, dziś w doskonałym humorze, rozśmiała się serdecznie.

— Patrzysz pan, jakbyś miał ochotę objąć nas w ramiona życzliwości.

Księżna domyślała się gniewu Edwarda. Podiebrad wysuwał mu się z rąk... On, teść Podiebrada, prezentowany na dworze! Rozkosz ta, a nawet sama myśl o tej rozkoszy, leci w przepaść!

— Oto najprzód, pomyślała, tego młodzieńca pochwyć w ramiona i podziękuj mu, że dalej będziesz mógł robić miliony, a głośno dodała:

— Panie Tadeuszu, przysięgam ci wdzięczność. Ratujesz moje dzieci, córkom dajesz posag, a tysiącom życie... Dajesz tysiącom pracę, chronisz ich od przestępstw i zbrodni!... „Czynisz" i za ten czyn kochamy cię, ja i pan Edward.

— Tak, tak, potakiwał Edward, lecz w tej chwili błysnęła mu myśl, że księżna może oświadczy Tadeusza i prosić będzie o rękę Maryni dla niego. Spojrzał na zegarek, przeraził się, pożegnał i wybiegł.

Księżna się śmiała, mówiąc:

— Uciekł z obawy przed oświadczynami! A teraz, zakochane dzieci, chodźcie do jadalnego pokoju, bo, niestety, nie samem tylko słowem człowiek żyje! Ach! ten chleb, ten chleb, gdyby się można bez niego obyć, jakażby zapanowała wśród nas kultura, jakże bylibyśmy uduchowieni, jak serdeczni i miłujący się! Panie Tadeuszu, powiedz pan, czy ludzkość zawsze będzie potrzebować chleba?

— Zawsze, odparł, tylko, że chleb ten będzie miała niezależnie od grymasów przyrody, znajdzie go siłą swego geniuszu.

— Jakim sposobem? spytały razem obie kobiety.

— Z powietrza, odpowiedział. Niech się tylko uda chemikom podpatrzeć prawa tworzenia komórki — kwestya rozwiązana.

— Tylko jedno natchnienie — i wszystko skończone?

— Wszystko, i wtedy niebo ściągamy na ziemię.

— A namiętności? rzuciła pytanie księżna.

— Pójdą szlakami ideałów...

— Słyszałam, że jesteś pan chemikiem?

— Najlepiej znam tę gałąź tajemnic przyrody.

— I wierzysz w możność?...

— Najzupełniej!... Może w tej chwili w pracowni chemicznej dokonywa się wielkie dzieło odrodzenia ludzkości.

Stanęły obie.

— Światby się zmienił?...

— Tymczasem może jeszcze dziesięć wieków upłynie, zanim to jedno natchnienie spłynie na ludzkość.

— A zatem, nim nam powietrze dostarczy pokarmów, chodźmy spożyć to, co Walenty przygotował, rzekła księżna wesoło, ujmując ramię Maryni. Panie Tadeuszu, za nami! Tyle przejść w paru godzinach wyczerpuje. Mamy prawo do kieliszka francuskiego wina! Gdyby cię nie obrali, gdybyś nie przyjechał, padlibyśmy zabici przez swoich, którzy nawet o popełnionem przez siebie morderstwie nie mieliby jasnego pojęcia.

Księżna była wymowna, serdeczna, urocza. Czar radości szedł od niej.

— Córki moje, powtarzała w duchu, będą najlepszemi partyami w kraju, dobremi w Austryi...

Rozmowa potoczyła się szybko. Narzeczeni, nie tylko sobą wyłącznie zajęci, należeli do świata, społeczeństwa, nauki i sztuki.

Po obiedzie wszedł Podiebrad. Spalone wargi, oczy, świecące gorączką, mówiły, że wzburzone nerwy w nim grały. Księżna, dobra obserwatorka, odrazu spostrzegła namiętności, wydobywające z otchłani jego serca. Przywitał się ceremonialnie z księżną, poufale z Marynią, zimno z Tadeuszem.

— Widziałem się z ojcem pani, rzekł do Maryni, prosił mnie o opiekę nad panią.

— A więc? odrzekła, podnosząc ździwione oczy na Podiebrada.

— Opiekę tę będę wykonywał.

— W jaki sposób?

— Jak mi każą okoliczności.

Dziewczę roześmiało się srebrnym głosem tak szczerze i serdecznie, lecz i tak wesoło, że aż serce księżny ze strachu zadrżało.

Podiebrad miał błyskawice w oczach.

— Z czego się pani śmiejesz? Czy z mego prawa, czy z tego, że potrzebujesz opieki?

Nastała raptowna cisza. Marynia spojrzała na księżnę — lecz ta milczała. Tadeusz, zaskoczony niespodzianie, zbierał myśli, aby

odpowiedzieć. Dziewczę wstało wyniosłe, jak królowa, dumne nieskazitelnością, pogardliwe, pańskie...

Pożegnała księżnę, nie spojrzała na Podiebrada, zwróciła się do Tadeusza.

— Odprowadź mnie pan, jeśli łaska, do powozu. Tadeusz się zerwał, skłonił — wyszli.

Na schodach mówiła gorączkowo:

— Ojciec wezwał na pomoc Podiebrada, a że Czesi mimo poloru nie mają głębi uczuć w swych sercach, zaczął opiekę nademną rozciągać, jak policyant i prokurator — po czesku. Tego już dosyć, daję ci sześć tygodni czasu do załatwienia twych spraw i przyjęcia mnie w swym domu. Od dziś za sześć tygodni wyjeżdżam z Wiednia z Koczalską. Księżna mnie nie broniła, nie chciała, nie umiała, nie śmiała, wobec przed - tysiącletniego króla. Zuchwałość policyjno-prokuratorska Czecha poszarpała mi nerwy. Milczenie księżny poszarpało mi nerwy. Wizyta ojca u księżny poszarpała mi nerwy...

Odetchnęła ciężko. Tadeusz milczał.

— Żądam, abyś przychodził do mnie codzień między czwartą a piątą — jeśli ci tylko pozwolą posiedzenia parlamentu. Należy kwestyę raz jasno, na ostrzu miecza postawić. W domu u mnie jesteś moim narzeczonym.

Tadeusz rękę jej podniósł do ust — wsiadła do powozu.

— Pragnę być sama z sobą, z myślami memi. Pragnę absolutnej samotności. Kocham cię, jestem twoją, lecz przychodź dopiero jutro. U księżny już się spotykać nie będziemy.

Podała mu rękę — odjechała.

W jadalnym salonie została księżna i Podiebrad. Cisza trwała długo, nareszcie z dekadenckich królewskich oczu spłynęły dwie strugi łez, rozdrażnienia nerwowego, żalu, tęsknoty i gniewu.

— Płaczesz, hrabio, nad pogrzebem swych uczuć.

— Nie, rzekł, te potęgują się z każdą chwilą. Płaczę nad samym sobą.

Księżna położyła swą dłoń na ręku Podiebrada.

— Powinnam się była ująć za Marynią, nie uczyniłam tego i obraziłam ją, nie przebaczy mi. Lecz czyż mogłam to zrobić z samego współczucia dla cierpienia? Co się panu stało? Pan, najwykwintniejszy z dekadentów dziewiętnastego wieku?

— Stara dzikość zawrzała we mnie. Zdawało mi się, że tę dumną Polkę mam prawo związać, rzucić na konia i zawieźć na podiebradzki zamek.

Zerwał się, oczy mu świeciły utajoną wściekłością.

— Dlaczego tego dziś nie mogę zrobić? Zacisnął pięści. Dlaczego nie chce być moją, kiedy mnie się ona podoba, kiedy ja chcę tego!... Czem ten nędzny szlachetka jest lepszy ode mnie? czem ma większe ode mnie prawa, kiedy moja chęć powinna być jego prawem!

— Kochany hrabio, spóźniłeś się o całe dwieście lat. Przed dwustu laty przodkowie twoi mieli jeszcze prawo miecza w Podiebradzie. Mogłeś wtedy szlachetkę kazać złapać i ściąć. Wtedy dziewczyna samaby przyszła na zamek.

— Nie przyjdzie!...

— Nie!... Straciłeś ją na zawsze. U was, dekadentów, wyrafinowane uczucia łączą się dziwnie z okrucieństwem, cywilizacya z atawizmem, męczeństwo ze zbrodnią.

— Szeroką dźwigamy w sobie skalę, całą gamę uczuć człowieczych. Wszystkie namiętności, wytworzone wiekami w sercach ludzkich, dźwigamy — i to nasze nieszczęście. Jesteśmy jednak zdolni do wyrafinowanych czynów głębokiej szlachetności, jak i do okrucieństw człowieka przedchrześcijańskiego. I to powinno być powabem i siłą, przyciągającą kobiety.

Chciał uderzyć pięścią w stół.

— A ona wybrała sobie manekina społecznego, oddającego wszystkie swe namiętności tej nieujętej kochance. Jak gdyby społeczeństwo wymagało od niego i tych trudów, i tych poświęceń. Społeczeństwo samo idzie swemi własnemi drogami do swego celu, głupcy tylko myślą, że je mogą zawrócić na swoje ścieżki. To głupiec!...

— Nie głupiec, rzekła księżna poważnie, to twórca! On laską uderza w skały, i źródła tryskają, on na puszczach gromadzi rzesze i głodnych karmi, stawia świątynie i daje możność biedakom wznoszenia oczu na błękit i Boga.

— Niech daje, co chce, i niech zostaje z tłumem, ale nie wchodzi do sanktuaryum, niech nie porywa dziewic naszych, przeznaczonych nam do naszego życia i zaspakajania rozkoszy, o jakich marzymy...

— Jeśli one nie chcą tych rozkoszy i wolą stać obok twórców i być ich wyroczniami?...

— Ale my chcemy, zawołał. Odkądże to zaczyna się dziać to, czego my nie chcemy? — my, panowie świata — dziś nadludzie!...

— Odkąd ogłoszono prawa człowieka, skończył się wiek.

— Cóż mogą nas obchodzić ogłaszane prawa! Prawa miłości ogłoszono dwa tysiące lat temu, a ludzkość kroczy swojemi własnemi drogami po morzu krwi. Głoszone prawa nie zmieniają praw przyrody, która idzie swemi drogami, bo musi iść. Dąb dusi konwalie...

— Nie tylko pod cieniem dębu rosną konwalie.

Zerwał się z dzikim blaskiem w oczach.

— I ta konwalia, rosnąca pod moim cieniem, jego jest — dlaczego?...

— A jeśli on jest cedrem na Libanie, i ta konwalia urosła pod jego cieniem?

— Ale ja tego nie chcę—i to powinno być prawem dla niego — jeśli nie usłucha, mogę przyłożyć siekierę do jego pnia.

— Chcesz go pan zabić lub nasłać morderców. To przecież jest poza twoją kulturą?...

— Ale nie jest poza moim charakterem, poza moim atawizmem, poza memi spiekłemi wargami i poza nerwami.

— Celu nie osiągniesz, dziewczyna nie będzie twoją.

Padł na krzesło wyczerpany.

— Czuję, pomyślała księżna, że to jego ostatnia walka, ostatnie rozdrażnienie, ostatnia presya... Co potem?... zadawała sobie pytanie, lecz nie mogła na nie odpowiedzieć.

Tadeusz, odprowadziwszy wzrokiem Marynię, póki nie zniknęła, szedł szybko w wir miasta. „Ring” stał przed nim prawie pusty. Wielkie gmachy, białe od słońca, zadumane drzemały.

— Pójdę i wypoliczkuję Czecha! Oto pierwsza myśl, która mu wpadła błyskawicą do głowy. Tak powinienem postąpić, to mój obowiązek, konieczność... stanął.

— Pojedynek — jeśli go zabiję, muszę uciec lub rok więzienia. Jeśli on mnie zabije, a na tamtym świecie matka Maryni zapyta: gdzie ludzie moi? —rzuciłeś ich i tu uciekłeś, chociaż się jeszcze nie wypełniła miara... Marynia daje mi czasu sześć tygodni! Poszedł nerwowo naprzód.

Sześć tygodni to chwilka, parę błyskawic myśli!... Sześć tygodni—i będzie moją, będę ją miał przy sobie zawsze, wszędzie, w dobrych i złych losach. Będę z nią — tęsknota moja inaczej zacznie się krystalizować, zabierając szerokie widnokręgi, lecąc w przyszłość. Ona będzie wyrazem moich wielkich pragnień...

Podiebrad ze swą butą zmalał w jego oczoch.

Marynia go przecież ukarała, zawołał. Życie oddawać pierwszej awanturze, gdy ono ma jeszcze niezrealizowane wartości?...

Wzruszył ramionami, spojrzał na zegarek, skoczył do przejeżdżającej dorożki, każąc się wieźć do mieszkania księcia.

Na pierścieniu przy operze ruch się wzmagał, powozy się krzyżowały. Tadeusz, pochłonięty biegiem własnych myśli, nikogo nie widział. Dopiero, gdy z powozu, który go umyślnie mijał, wychyliła się postać i zawołała po niemiecku.

— Panie pośle, przyjm życzenia wyboru — ocucił się i spojrzał.

Kamienna twarz bankiera mijała go.

— Wsiądź pan do mnie, zawołał.

Tadeusz zawołał na dorożkarza, aby zatrzymał konie, wyskoczył.

— Gdzie go mam odwieźć, zapytał bankier, podając mu rękę, pogawędzimy w drodze.

— Do Metropol!

— Z radością. Do kogo, jeśli nie tajemnica?

— Do księcia Grzegorza.

Pojechali.

— Z samemi umitrowanemi głowami, rzekł bankier i zaśmiał się. Czy mam winszować zwycięstwa z nowego obrotu sprawy galicyjskiej nafty w parlamencie?...

— W połowie, jeśli rząd zmniejszy najmniej o czterdzieści procentów taryfę przewozu naszego surowca... Właśnie jadę do księcia po szczegóły.

— Ustępstwo taryfowe nie będzie ogłoszone w dziennikach?

— Stanie się to pewno głośną tajemnicą.

— A więc, jeżeli do dwu guldenów w złocie cła przyjdzie taryfa mniejsza o czterdzieści procentów, dacie sobie radę?...

— Z wielką biedą.

— Będzie można jechać, to już wiele... Księżna pani, wspólniczka pańska, musiała odzyskać dobry humor. Widziałem ją dwa dni temu w operze bardzo zasępioną.

— Już go odzyskała. Nic nie ryzykuje. Po przejściu wniosku rządowego w izbie była obawa, aby kopalnie jej nie były zamknięte.

— Obawa zniknęła?

— Zniknie, jeśli taryfy pozmniejszają.

— Jeśli książę Grzegorz sprawę tę ma w swych rękach, to jej nie puści, póki nie przeprowadzi.

— Podzielam zdanie pańskie...

— Cóż mówi na to wszystko przyszły teść pański?

Tadeusz zrobił wielkie oczy.

— Dziwisz się pan, że wiem jego tajemnicę. Należy ona również do głośnych. Nie wiedzą o niej ci, którzy nie chcą wiedzieć. Teść będzie dalej ciułał miliony w nadziei, że je składa dla Podiebrada.

— Skąd pan masz takie informacye?

— Dokładne, bo bankierskie, odpowiedział, ożywiając się, Otto Bayer. Zresztą co do tej sprawy, to także głośna tajemnica. Podiebrad włóczył się za narzeczoną pańską po wszystkich koncertach, był zawsze z nią na operze w loży księżny, towarzyszył im na spacerach. Wiedeń miasto plotkarskie, Podiebrad postać znana. Że teść chce Podiebrada, nie dziw się pan temu. I ja, gdybyście się obydwa o moją córkę starali, wybrałbym Podiebrada. Ta jest różnica między wami, że pan możesz mieć miliony, a Podiebrad je ma i jeszcze jest na „dworze”, jak u siebie! I to coś znaczy.

— Rozstrzygnęłaby wybór córka pańska, rzekł wesoło Tadeusz.

— O moją córkę byłbym spokojny, rozumie znaczenie czasowników: ma, będzie miał. Na pańskiej głowie korona szlachecka, a na Podiebradów królewska. Moja córka i teść pański rozumieją tę różnicę!

Zaśmiał się, a wtedy kamienna jego twarz wyglądała piekielnie.

Tadeusz spojrzał, i mimowolny dreszcz nim wstrząsnął.

— Z tym śmiechem, pomyślał, zdzierałby skórę z żywego ciała ludzkiego...

— Cóż się dzieje ze złotą walutą? rzucił pytanie bankier.

Tadeusz się ożywił.

— Nie cofam słowa, rzekł. Wracam za dwa tygodnie z gotowym memoryałem.

— Dobrze, a my tymczasem będziemy prostować ci ścieżki, żebyś nie spadł, jak z księżyca.

— Bardzo dobrze, połowa parlamentu nie rozumie żywotności waluty złotej.

— Większa połowa — trzeba ją dopiero uczyć. My to potrafimy. Gdy przyjedziesz, ścieżki będą wyprostowane, droga oświecona...

Zatrzymał się przed hotelem Metropol — bankier skinął na portyera.

— Jest książę?

— Tylko co przyjechał, odpowiedział, salutując.

— A więc po konferencyi u ministra.

— Niezawodnie.

— I czterdzieści procentów zniżki uchwalone!...

— Prawdopodobnie.

— Książę wasz twardy, energiczny, wytrwały.

— To też liczę na niego, odrzekł Tadeusz, wyskakując z powozu.

Bankier wyciągnął do niego rękę i zatrzymał ją w swej dłoni Twarz jego skamieniała, poruszały się tylko wargi.

— Czy pan pozwolisz, abym cię prosił o małą grzeczność?

— Słucham, odparł Tadeusz.

— Ponieważ zniżenie taryfy nie będzie ogłoszone, zatelefonuj do mnie o rezultacie. Nie będzie to zdrada tajemnicy, gdyż jutro dowiedziałbym się w ministerstwie skarbu. Oto mój bilet, a na nim liczba mego telefonu. Od jutra złota waluta nie schodzi ze szpalt dzienników. Wszystkie będą za... Do widzenia, wracaj, nasz młody obrońco, nasz młody wodzu, nasza gwiazdo!..

— Świecąca złotem, powiedział Tadeusz.

— Złota gwiazdo, dokończył, gasząca blask srebra!...

Kamienna twarz uśmiechnęła się, Tadeuszowi się zdawało, że piekielnie. Wrażenie to przeleciało błyskawicą i zniknęło.

Książę Grzegorz, zobaczywszy wchodzącego Tadeusza, zerwał się.

— Jesteś, kolego, uprzedziłeś mnie, miałem jechać szukać cię. Wygraliśmy, możemy żyć i czekać lepszych czasów. Całe czterdzieści procentów upustu od Wyżnicy do Wiednia, a nawet do brzegów Adryatyku. To znaczy tyle, co razem cztery guldeny cła w złocie.

Uściskali się za ręce.

— Powiedzmy sobie, żeśmy dziś uratowali przemysł, sto milionów dochodu daliśmy biednemu krajowi na rok i tysiącom możność pracy. Zasłużyliśmy się społeczeństwu, jako dobrzy synowie ojczyzny...

— Chociaż nikt o tem nie będzie wiedział, dodał Tadeusz.

— A co nas to obchodzi? Gdy dożyjesz moich lat, przekonasz się, że świadomość, uznanie tłumu, jego oklaski lub śmiech są to rzeczy tak małe, że się o nie troszczyć nie warto. Świadomość tyl-

ko tu, wskazał na serce, i radość tylko stąd — ono, to biedne serce, które odczuwa każde drgnienie naszej myśli, naszych pragnień, ono jedno nas wynagradza, ono jedno daje nam zadośćuczynienie. Poza niem nic, nic i nic. Nawet kobieta, nawet ukochana jest tylko wyrazem uczuć naszego serca, jest sercem naszem, jego radością... Poza naszą indywidualnością, poza naszą radością, smutkiem, tęsknotą—niema nic. Cieszymy się drżeniem naszego serca na myśl, że w tej chwili wita nas sto tysięcy uśmiechów, drugie sto tysięcy nowych form życia! Czy myśl, że im będzie ciepło, swobodnie, że zmora głodu nie będzie pukać do ich drzwi, nie wystarcza ci?...

— Najzupełniej, pochwycił Tadeusz, tem więcej, że radość tysięcy łączę z radością mego serca..

— To podnosi uczucie do kwadratu. I jeżeli ci pomogłem, to i moja radość podwójna, a miałem pracę. Dawid, nieobeznany z wielką produkcyą czy też zjedzony przez reakcyę, mówił niedorzeczności, naftę łączył z pszenicą. Szczęściem, że minister nasz rozumie ekonomię, zaczął się irytować i, bojąc się, aby Dawid nie stawiał pszenicznych postulatów w Kole, szybko się zgodził na ulgi taryfowe.

— I Dawid pomógł.

— Niechcący, dokończył książę. O pomyślnym rezultacie przyrzekłem księżnie zatelefonować.

— Jeśli książę pozwolisz, wyręczę go.

— Dziękuję ci — nienawidzę mówić do tuby, potem przykładać uszu do mosiężnej siatki, mam wrażenie, że dochodzi mnie głos z pod ziemi lub grobu.

— Jutro mam się stawić u Puchera.

— Czekaj na mnie, przyjadę po ciebie i zawiozę na posiedzenie Koła. Wejdziesz do parlamentu, jako jego członek. „Koło" ma w sobie śmiertelną chorobę, lecz dziś jeszcze ono oddaje usługi, choćby tylko istnieniem swem i swą zwartością. Z czasem rozpadnie się, duch wolności rozsadzi je. Lecz póki ono trwa, miejsce nasze w niem. Skupienie zawsze jest siłą — na zewnątrz — potęgą!...

Tadeusz zatrzymał się na dole, w księdze znalazł numer telefonu księżny. Zbliżył się do aparatu, zadzwonił.

— Kto? spytała księżna sama.

— Tadeusz — wracam od księcia — zniżka o czterdzieści procentów zdecydowana.

— A więc zwycięstwo?

— W tak ciężkich warunkach.

— Przychodź pan, gdy tylko znajdziesz czas.

— Dziękuję!

Po małej przerwie znowu zadzwonił, prosząc w biurze centralnem o połączenie z telefonem bankiera Ottona Bayera.

— Halo!

— Halo.

— Czterdzieści!

— Niech żyje wasz książę — dziękuję!

Tadeusz, oszołomiony wrażeniami dnia, upojony, zmęczony, pocieszony, lecz nie zadowolony, szedł przez Graben na Kärtnerstrasse do siebie. Potrącali go przechodnie, nie czuł tego, pogrążony w myślach. Nie był zdolny do żadnej pracy, nie mógł i nie chciał kojarzyć myśli, chciał wrócić do siebie i napisać do ciotki Urszuli, lecz sama myśl pisania przerażała go. Wstąpił do Puchera przejrzeć dzienniki i nie był w stanie. Zaledwo zatelegrafował do ciotki... „Zwycięstwo w połowie, lecz żyć i pracować można".

Dziwna go opanowała apatya — wyszedł, dotarł do placu Opery. Na afiszu „Lohengrün" Wagnera.

— Ukoję nerwy w potopie harmonii i dam odpoczynek umysłowi. Muzyka leczy, dobre myśli sprowadza...

Kamienna twarz po słowach Tadeusza odskoczyła od telefonu, podniosła w górę ręce i zaśmiała się głośno — serdecznie...

— Zrobiłeś swoje, murzynie, i możesz pójść, teraz na nas kolej. Wiedeń, Lwów, księżna, dyrektor, tajny kredyt... Głupcy, niewolno cudzymi kapitałami obracać, to tyle, co kradzież. „Tajny kredyt". Co to znaczy tajny kredyt, to znaczy tajnie dawać i brać. A tego niewolno, kochankowie idei dźwigania krajowego przemysłu. Wy, Polacy, jak tylko sobie stworzycie podług was szlachetną ideę, to wam się zdaje, że wszyscy wszystko oddać wam powinni i jeszcze muszą padać przed wami na kolana!... Kochankowie galicyjskiego przemysłu, omyliliście się, nie jesteście sami, nie jesteście u siebie. Metropolia czuwa nad waszemi sprawkami i wyższa silniejsza, rozumniejsza rasa od waszej rycerskości i waszego bohaterskiego barbarzyństwa. Narody bohaterskie są barbarzyńskie, bo i bohaterstwo jest barbaryą. Odskoczyliśmy od czasów Iliady!... Dziś ludzie nie chcą słuchać eposu, mają do niego wstręt.

Stanął i znowu dramatycznie wyciągnął przed siebie ręce. Było to u niego oznaką wybornego humoru.

— Egoizmie, panuj! Tyś stworzył rozum i cywilizacyę, ty, krocząc naprzód, zdobywasz świat, podbijasz ludzkość. Bóg jest nieubłaganym tyranem! Niewolno przekroczyć najmniejszego

z jego praw. Bóg największy egoista, najsilniejszy indywidualizm i dlatego najwspanialszy rozum.

Zaczął chodzić miarowo po miękkim dywanie, założywszy ręce poza siebie.

— Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby się od ideału nie oddalać, nie staczać w noc. Wszystkie nici w naszych rękach!... Dwa dni temu myślałem, że Rotszyldy rozbili w puch naszą pracę. Uratował nas młody, bohaterski Polaczek!...

Rozśmiał się.

— To dobrze — z bohaterami najłatwiejsza sprawa. Trudniej będzie ze starym wilkiem w kasie, ale i na niego muszę znaleźć sposób!

Zaśmiał się powtórnie.

— Dość, że bohaterzy-barbarzyńcy znaleźli miejsce, przygotowali teren, wypracowali prawa, zrobili wszystko, co do nich należy, a teraz my zbierzemy plon. Taki porządek rzeczy — najrozumniejszy zwycięża!

Zatarł ręce.

— Albo ich Koło czy nie barbarya? Czyż my dla urojonej konieczności państwowej, dla jakiejś problematycznej ugody z dzikimi Węgrami, którzy łupią nas i ich na wszystkie strony, oddalibyśmy nasze skarby, bogactwo narodowe z idyotycznym spokojem sumienia?

Oddawać sto milionów rocznego dochodu dla tak biednego kraju dlatego, że Węgrzy i Rotszyldy chcą być przemytnikami, chcą okradać państwo?! Czyż to nie jest jeszcze prymitywna kultura, czyż to nie jest jeszcze wielkie barbarzyństwo? I jakże nie ma wyższa kultura zabrać to wszystko w swoje ręce, zorganizować i prowadzić? Polacy są tylko zdolni do wysileń w pojedynkę. O organizacyi i prawidłowym rozwoju nie mają pojęcia. Oni wszyscy jedni i ci sami od księcia do mieszczanina.

— Muszę mieć parę milionów gotówki w kasie na bieżące wydatki.

Zaczął liczyć, pisał szybko cyfry, dodawał, odejmował...

— Za dwa miliony zdobywamy na bohaterskich barbarzyńcach dziesięć!... Takie kultura robi interesa i tak je prowadzi!...

Przycisnął guzik, umieszczony w ścianie, wpadł służący milczący, wyprostowany, trenowany, jak pies, na skinienie.

— Konie?

— Czekają.

— Loża do opery?

— Sygnalizowana o jedenastej rano.

— Pani?

— Już pojechała.

Jadąc do opery, filozoficzny bankier rozważał.

— Trzeba będzie zaprzyjaźnić się ze szlachcicem ze wschodu— może wziąć razem z nim w opiekę Podiebrada!... Lecz to wszystko wtedy, gdy się okaże konieczna potrzeba. Dziś nasza akcya Lwów!...

Kamienna twarz była w tej chwili dziwnie ożywiona.

Marynia zmęczona i wyczerpana siedziała na fotelu, oparła głowę na ręku, oczy utkwiła w błękit. Wzrok jej uderzał o strzałę wieży tumu Szczepana. Strzała w modrym błękicie tonęła. I zdawało się, że oderwana od ziemi mknie w przestrzenie... Myśli przelatywały po głowie dziewczęcia, jak poszarpane chmury na tem czystem niebie, zatrzymując się w pędzie na strzale tumu wiedeńskiego.

— I poco się szarpać, poco się męczyć, poco żyć, jeśliby mi przyszło całe życie przebyć w tej złoconej klatce, w tych murach, w tem otoczeniu. Poco żyć?...

— Ależ ja pragnę żyć, muszę i będę żyć inaczej. Sześć tygodni przetrwam — i odrodzenie — odrodzenie! Nie odczuwamy nawet tej rozkoszy, jakie nas czekają, gdy mówimy odrodzenie!... Każde odrodzenie ducha w czynie jakże jest wspaniałe!... Geniusze renesansu sprowadziły odrodzenie sztuki, a z nią i świata. My, maluczcy, przyniesiemy w darze biednemu krajowi własne nasze, duchowe odrodzenie.

Dalej, prędko naprzód — zawołała.

Z salonu wydobywał się delikatny chrzęst jedwabiu, na progu ukazała się księżna, za nią Podiebrad milczący, zapatrzony w Marynię, wystraszony i onieśmielony.

— Prowadzę ci przestępcę niewolnika, który wie, że odda głowę, lecz nie może żyć bez widoku swej pani — chce ją raz jeszcze zobaczyć, a potem umrzeć.

Marynia już była przy księżnie, ujęła ją za ręce i całowała. Do Podiebrada wyciągnęła ręce:

— Panu przebaczam, a raczej przebaczam pańskim wysubtelnionym nerwom, dodała z odcieniem sarkazmu.

— Moja święta, moja Arya! szeptał Podiebrad.

— I proszę go, kończyła Marynia, a raczej ostrzegam, że wszelkie spiski przeciwko mej wolności sprawiają mi ból, lecz nic więcej, w każdym wypadku jestem sama sobą, można mnie zabić, lecz zmienić nie można.

— Maryniu, przerwała księżna, bierzesz za dramatycznie dzisiejsze przejście.

— Dramat tkwi w źródle. Jestem sama na świecie, sierota, i nikogo nie mam, któryby ciepłą dłoń przyjaźni położył na mem czole.

— Boli mnie, coś powiedziała.

— Księżna jesteś wielką damą — panią i ze swego stanowiska patrzysz na świat i na mnie i kochasz mnie.

— Byłabym szczęśliwa, gdybyś była moją córką!

— Dziękuję serdecznie, lecz muszę być sobą. Wtedy byłabym księżniczką i już nie tą Marynią, którą jestem. Nie miałabym swojej indywidualności, nie byłabym sobą.

— Nie, nie, zawołał Podiebrad, kochamy w tobie przedewszystkiem twoją indywidualność — kochamy polską Marynię, zmieniającą niedościgłe marzenia — w idee. Wy to potraficie — Polki. Nie możesz być moją, bądź dla mnie natchnieniem. Nie odpędzaj mnie od siebie, tego tylko pragnę.

— Jak dawniej, powtórzyła Marynia i podała mu rękę.

— Jak dawniej, powtórzyła księżna, objęła ją i poprowadziła do kozetki, szepcząc. Czy nie czułaś, że moja interwencya sprowadziłaby pojedynek między nimi, a tego obie sobie nie życzymy. Pojedynek tych dwu ludzi skończyłby się śmiercią jednego z nich.

— Myśl ta nie wytworzyła się w mej głowie.

— Mnie się zdawało, że czuję zapach krwi, pochwyciła księżna.

— Jestem mało doświadczona.

— W sprawach tego rodzaju należy być bardzo ostrożną. Rozumiesz teraz mój udany spokój i wstrzemięźliwość?

— I dziękuję za niego — dodała.

Pocałowały się.

— Wracasz mi dawną przyjaźń.

— Nie straciłam jej, chociaż było mi bardzo przykro i bardzo smutno. Lecz teraz zapomnijmy o tem, zawołała Marynia. Panie hrabio, zapomnijmy o tem. Proszę pana, bądź moim przyjacielem, nawet domownikiem, towarzyszem, lecz nie spiskuj przeciwko mnie. Pomyśl, że wtedy spiskujesz przeciwko memu życiu.

— Życie twoje jest mi droższe od własnego. Chociaż nieraz mi się zdaje, że własnego nie cierpię.

— A ja wolę śmierć, aniżeli myśl nawet, że mogłabym przestać być Polką i żyć nie w Polsce, nie módz wsłuchiwać się w bicia jej serca. Bądźmy dobrymi przyjaciółmi — artyzm twój ma tyle w sobie uroków i tyle głębokości — tyleś mnie nauczył, mój mistrzu!...

— Nie nauczyłem się jednak kochać.

— Nauczyłeś mnie kochać sztukę, jej twórczość i jej wielki wpływ na kształcenie serca ludzkości. Nauczyłeś dużo, odrodziłeś mnie w sztuce. Rozumiem ją i kocham dziś więcej, niż kiedykolwiek.

— A więc zgoda! przyjaźń —lepsze to, niż nienawiść, niż obojętność. Nie mogę już żyć bez ciebie. Twój widok, twój głos, twych oczu promienie są mi potrzebne, jak kwiatom rosa niebieska.

— Zgoda, rzekła Marynia, lecz błagam pana, powtórz wyraz „zgoda" memu ojcu. Pragnę ciszy, odpoczynku i swobody myśli.

— Powiem, lecz mi powtórz, że mam twoją przyjaźń.

— Zupełną.

Księżna wstała.

— Przyjedziesz dziś wieczór do mnie?

— Przyjadę, szepnęło dziewczę. Potrzebuję ciepła serca kobiecego. Tadeusz już dziś odjeżdża, nie zobaczę go rychło.

— Czy i mnie wolno być dziś wieczór u księżny? zwrócił się nieśmiało Podiebrad do Maryni.

— Ależ zawsze, przyjacielu! Twoje towarzystwo sprawia mi wielką przyjemność, twoja przyjaźń jest dobra, łagodna i bezinteresowna, jakże nie być wdzięczną za nią?

— Byłem przed paru godzinami inny...

— Nie byłeś przyjacielem, a tylko mścicielem obrażonej ambicyi twej. Byłeś starym Podiebradem z przed kilkuset lat.

Księżna i Podiebrad spojrzeli na siebie.

— Lecz ponieważ burze minęły, nastała pogoda, słońce świeci, przyjaźń zakwita, Podiebrad średniowieczny wchodzi w skórę nowożytnego, zmienia się w wytwornego dekadenta, dla którego sztuka jest wszystkiem, najwyższym wyrazem cywilizacyi, mistrzynią świata, prawdą, dobrem i pięknem. Jakże odrzucać przyjaźń takiego człowieka? Może średniowieczny Podiebrad nie wróci już do nas.

Podiebrad, naśladując rycerzy, ukląkł na jedno kolano i, ująwszy rękę dziewczęcia, cisnął ją do ust.

W tej chwili pan Edward, zapierając oddech, szedł po miękkim dywanie salonu, zbliżył się do drzwi, zobaczył i cofnął się.

Wkrótce wychodziła księżna z Podiebradem, pan Edward zastąpił im drogę.

— I cóż? pytał z uśmiechem.

— Zgoda, szepnęła księżna.

Ucałował jej ręce, chciał się rzucić na szyję Podiebrada, lecz nie śmiał królewskiej mości zbyt poufale dotykać.

Księżna uspokojona wróciła do siebie.

Podiebrad uszczęśliwiony kazał się wieźć w boczną ulicę Ringu do swej niewolnicy. Zdenerwowany zapragnął jej uścisków.

Powóz raptownie zatrzymał się przed bramą. Podiebrad wyskoczył, służąca pobiegła do okna.

— Graf! szepnęła.

Leitnant od dragonów w dwu susach był w kuchni. Wystraszona dziewczyna rzuciła za nim rękawiczki i weszła do swego pokoju — duenna otworzyła drzwi, robiąc wielki dyg przed hrabiowską mością.

— Cóż to za radość dla mej młodej pani, mówiła. Myśli, że ją jej hrabiowska mość porzuciłeś na zawsze—i płacze, ciągle płacze...

Hrabia dotknął się palcami twarzy wiernej sługi na znak łaski, duenna pochwycila rękę hrabiowską i całowała.

— Jak się ma nasze dziecko?

— Smutna, młodość jej więdnie, jak jesienny liść. Tęskni, — tęsknota zjada!...

Hrabia był w salonie, przeszedł go i pocichu otworzył drzwi. Dziewczę pisało przy biurku. Pióro wypadło jej z rąk, twarz zasłoniła dłońmi i cicho zapłakała.

Wzruszony dekadent tulił ją do siebie i łzy swą chustką ocierał.

— I czego? pytał się cicho.

— Nie wierzyłam, że pamiętasz o mnie, że wrócisz. Zdawało mi się, że jem twój chleb z litości twej! Litość jest ciężką. Za tę litość, gdybym nie kochała, mogłabym cię znienawidzieć. Cóż, kiedy biedna dziewczyna, jak ja, tylko kochać potrafi.

O godzinie dziesiątej rano przed frontowe podwoje parlamentu zajechał skromny ekwipaż. Wysiadł z niego Tadeusz, podał rękę księciu, i zwrócili się do wielkiego przedsionka, kierując się do jednej z bocznych sal, w której Koło odbywało posiedzenia.

Weszli cicho. W tej chwili jeden z członków lewicy, mówiąc

po galicyjsku, „trzymał mowę”. Książę podprowadził Tadeusza do prezesa. Ekscelencya, nie ruszając się z miejsca, podał obydwom ręce — do Tadeusza odezwał się.

— Pozbawiłeś mnie pan opieki lekarskiej w parlamencie, lecz się o to nie gniewam. Sprawa nafty załatwiona. Odebraliśmy opozycyi możność krzyków i bezkarność ujadania na nas.

— A krajowi możność połowicznego ratunku, dodał Tadeusz.

— Tak, rzekł prezes, nafciarze mogą żyć, a przy szczęściu i wielkich wybuchach mogą robić majątki.

Nie było czasu na odpowiedź; trzymający mowę członek lewicy Koła podnosił głos. Książę siadł na szarym końcu prawicy, Tadeusz wśród kolegów nafciarzy z lewicy. Głos mówcy brzmiał silnie, rozbijając się o nagie ściany. Koło słuchało obojętnie — prezes miał minę, jakby mówił: „Po cóż się wysilasz i nudzisz nas, czy nie wiesz, że wszelka kwestya, z góry postanowiona, czeka tylko na formę głosowania?... Chociażbyś miał wymowę Demostenesa, a rozum Arystotelesa (prezes był humanistą), zrobi się to, co chce minister i ja... My tu rządzimy, a wy jesteście na to, aby być siłą naszą siedemdziesięciu głosów wobec Niemców”. Mówca skończył, koledzy lewicy winszowali mu, prezes poddał wniosek, ułożony poprzedniego dnia z rządem i zaufanymi, pod głosowanie — przeszedł wszystkimi głosami prawicy Koła. Wniosek lewicy, jako wniosek mniejszości, upadł. Ekscelencya spojrzał na zegarek, posiedzenie zamknął i w tej chwili przeszedł do salonów ministrów.

— Jest nas więcej, nowa siła, będziemy się bronić, zwracali się do Tadeusza koledzy z lewicy.

— Zuchwale patrzy młodzieniec, rewolucya idzie od niego! Niema rady, tylko zacieśnić solidarność Koła, myśleli mamelucy prawicy Koła.

Dano znać o otwarciu rannego posiedzenia parlamentu. Tadeusz wszedł do sali w otoczeniu lewicy. Pierwszy przywitał go Suess.

— Walczyłem w obronie waszej nafty, lecz napróżno, barbarya twoich kolegów zwyciężyła dwoma głosami. A teraz po podniesieniu cła i zniżeniu taryf przewozu surowca będziecie mogli żyć?...

— Musimy, odparł Tadeusz.

— Sądziłem, że wyjdziesz z Koła i staniesz sam.

— Nie czas jeszcze na rolę Koklesa na rzymskim moście.

— A więc co myślisz? spytał ciekawie profesor.

— Pełna głowa projektów.

— A najpilniejszy?...

— Wejść w bezpośredni kapitalistyczny stosunek z Europą.

— Środki?

— Waluta złota!...

— Niech żyje! ja z tobą, razem będziemy pracować. Austrya swoją papierową monetą jeszcze jedną nogą w Azyi.

— Referat przedyskutujemy wspólnie.

— Od dziś, odparł Suess, zabieram się do tego przedmiotu. Kolega mój w uniwersytecie, wykładający ekonomię, wskaże mi źródła i podręczniki.

— Bierzmy go do wspólnej pracy, jeśli jest za walutą złotą.

-- Wyprzedza postęp.

— Nowe widnokręgi! Czyż warto poświęcać je dla odegrania roli Koklesa na moście?...

— Partyjność jeszcze nad tobą nie zapanowała, rzekł profesor serdecznie. Czy będą za nami kapitaliści? Oni dotąd trzymają ster i rozstrzygają sprawy kraju.

— Jestem pewny, że wszyscy prócz pospolitych ażyoterów...

— Ci w grę nie wchodzą.

— Kapitały w rok po walucie złotej spłyną do Austryi i utoną w jej przemyśle!...

Franciszek Smolka, starzec o sumiastych białych wąsach, srebrnych włosach i obfitej brodzie, zajął miejsce prezydującego — zadzwonił.

Po skończeniu pierwszych formalności parlamentarnych Tadeusz złożył w ręce prezydenta ślubowanie poselskie, przyjęty z życzliwością przez lewicę, której przewodził Suess, i lewicę Koła.

Pierwszy go po przysiędze przywitał książę Grzegorz.

— Ceremonia skończona, i w imieniu całego parlamentu witam cię!...

— Dziękuję — książę byłeś moim zbawcą. Gdyby nie ty, mógłbym odegrać rolę, któraby zabiła przemysł w kraju i mnie odosobniła, że nie mógłbym nic korzystnego i rzetelnego zrobić. Uratowałeś książę przemysł i mnie. Dziś wyjeżdżam — przystosować sprawy naftowe do nowych ceł. Jeśli będę potrzebny, proszę zatelegrafować. To samo pewno zrobią i koledzy moi z lewicy.

— Śpiesz się, nie damy ci długo gospodarować w nafcie.

— Proszę o dwa tygodnie czasu.

— A potem rękawy zawijać i dalej.

Wszedł pan Edward, zobaczywszy Tadeusza, rozmawiającego z księciem, siadł na swem miejscu i zaczął szybko pisać.

Tadeusz, nie widząc, go wyszedł.

— A jeśli umyślnie udał, że mnie nie widzi, i pojechał do Maryni? Lecieć za nim?... Pójdę, zrobię awanturę i całą misterną przędzę z Podiebradem popsuję! Spojrzał po zgromadzeniu zły, że mało się nim zajmowało — przyszłym teściem Podiebrada.

— A bodajeś przepadł, myślał o Tadeuszu, ze swem wspólnictwem, z naftą, z wejściem do parlamentu, ze wszystkiem. Za drogo każesz mi płacić za trochę zysku, jaki miałem z ciebie! Niech cię piorun trzaśnie!

Rzucił pióro i poszedł na kurytarz do bufetu pokrzepić siły i rozweselić serce wśród wielkiego gwaru i jakiejś dziwnej, ogólnej wesołości.

Na kurytarzach odbywał się prawdziwy targ parlamentarny. Gromady się skupiały i rozdzielały i znowu łączyły w grupy. Wybiegały z nich, jak iskry, odosobnione pary i znowu wracały lub łączyły się w inne grupy. Chaos, wrzawa, zamieszanie, lecz w tym chaosie filtrowały się myśli, projekta, zasadnicze punkta mów, obliczały się głosy, zjednywało się ludzi... Zamęt, w tym zamęcie praca żywiołów do krystalizacyi myśli w nowych projektach do uchwał. Na salę parlamentu wchodzi się do odegrania roli przed publicznością, złożoną z ludności miasta, krajów i Europy! Mówca w parlamencie nie zdobywa ani jednego głosu, lecz za to zdobywa serca całego państwa, a nieraz i całej Europy.

Tadeusz przesuwał się przez tłum, nie zaczepiany przez nikogo. Nie wchodził jeszcze w grę, nie należał do kombinacyi, zresztą, jako członek Koła polskiego, za mało miał niezawisłości osobistej, a siły wymowy jego, wykształcenia i energii nie znano.

Stanął w perystylu tego wielkiego greckiego domu i patrzał. Na lewo dźwigał się Burg i jego ogrody, na prawo pałace i monumenta Ringu. U stóp na dole ruch uliczny pełen wrzawy i zakłopotania.

— Zdawałoby się, rzekł, że tu nad modrym Dunajem, w tym klasycznym budynku załatwiają się losy naszego kraju. Jakże się mylą ci, którzy w to wierzą! Losy kraju wytwarzają się tylko w jego łonie. On sam je tworzy i niesie przez dzieje, on sam jedyny. Potrzebuje praw i sprawiedliwości, lecz w ostateczności jest sam dla siebie prawem i sprawiedliwością...

Gdyby nie energia kraju, wniosek rządowy co do naszej nafty aniby drgnął. Nie ja, lecz kraj go zmienił. Do kraju zatem, do kraju, zawołał, zbiegł na dół, siadł do dorożki i, jak to przeczuł pan Edward, kazał się wieźć do Maryni.

— Sześć tygodni, powtarzał, co tu zabiegów, co przejść, co

pracy. Uregulować sprawy w Wyżnicy, porobić kantrakta dostawy surowca do rafineryi i uregulować spłatę tajnego kredytu.

Tajny kredyt, gdy raz nareszcie zacznie się go spłacać, obejdzie swoje koło i zniknie. Odetchnę całą piersią, i młodość we mnie znowu zacznie grać. Będziemy tworzyć wielkie idee w kraju, a szukać dla nich poparcia i siły w Radzie państwa. Walutą złotą ściągnę tanie kapitały do Galicyi... Dalej do pracy!...

Konie zatrzymał, wysiadł, przebiegł bramę, przeskakiwał co trzy schody na raz; drzwi otworzyła Koczalska, ujęła go za rękę i, dając mu znak, aby był cicho, zaprowadziła do Maryni.

Dziewczę siedziało na kozetce, pochłonięte smutkiem i utajoną w głębiach serca boleścią.

— Czekam, a bałam się, czy przyjdziesz?...

— Przyszedłem pożegnać cię, dziś pędzę na Lwów do Wyżnicy. Sześć tygodni brzęczy mi w uszach, straszy mnie i jakąś błogością wypełnia mi serce, że rady sobie dać nie mogę... A więc sześć tygodni!...

— Tylko pięć, przerwała, i cztery dni. Nie odstąpię ani jednej godziny. Ciężko mi, bardzo ciężko. Nikt mnie tu nie rozumie — nikt...

Tadeusz ukląkł przy otomanie, na której siedziała. Dziewczę wyciągnęło rękę, bawiąc się jego zmiętymi w karby włosami...

— Ojciec spiskuje z Podiebradem, księżna nie chce stracić wpływu nad nim, a ma go przeze mnie. Podiebrad, zakochany w nastrojach, symbolach i sztuce, zaczyna mnie męczyć... Kryje w sobie okrucieństwo Nerona z ekstazą świętego Augustyna, tkliwość z wyrafinowanem znęcaniem się nad ofiarą, piękność widzi tylko w formie, niezdolny odczuć piękności w pracy, w czynie, w twórczości. Nie rozumie tego, że tworzyć to działać...

Zerwała się, Tadeusz powstał.

— I ja pragnę tworzyć i żyć. Tu mi jest duszno. Powietrza mi dajcie!... Świat nie mój, i myśli, które wytwarza ten tu milion ludzi, są mi obce. Tu przeżywam przeszłość, a pragnę w kraju, u ciebie, w domu pracować dla przyszłości.

— Będziemy, będziemy, szeptał uszczęśliwiony Tadeusz, jeszcze parę chwil, jeszcze parę długich dni. Zaczął po niemiecku deklamować:

Podaj mi rękę,
Choćby tylko paluszek,
A spojrzę na krąg ziemski,
Jak na moją własność!

Rozjaśni mi się świat,
Gdy spojrzysz tylko na mnie,
Przez chmury
Polecę z tobą do słońca!...

Dziewczę słuchało zdziwione.

— Ależ to ciepłe, silne i nowe...

— Nowe, ciągnie szczerością, zapachem świeżości i nierobionym zapałem. Książkę ci przyszlę.

— Umiesz szukać. Masz przeczucia i jasnowidzenia.

— Słyszałem coś o autorze.

— W przyszłości moim będzie obowiązkiem wyszukiwać ci na kartkach zadrukowanego papieru najsubtelniejsze natchnienia myśli ludzkiej i zakreślać, abyś czytał.

— Tak, twoim!... wszystko, co piękne i dobre, będzie twojem dziełem, a moją radością życia!

— Od dziś za pięć tygodni i cztery dni — podniosła rękę do góry, aby złożyć przysięgę. Tadeusz pochwycił jej palec i tulił do ust.

— Moje wahanie wygląda, jak zbrodnia lub głupota wobec ciebie i mej miłości. Niedługo wszystko się wyjaśni, i rozgrzeszysz mnie.

— Już cię rozgrzeszyłam, mój biedaku... Pięć tygodni i niecałe cztery dni...

Tadeusz uśmiechnął się serdecznie. Dziewczę się zarumieniło, naiwność jej teraz się dopiero opamiętała, a dziewiczość słała rumieńce na białą matową jej twarz.

— Kiedy wracasz?

— Za dwa tygodnie, i znowu wyjadę i znowu wrócę.

— Z Koczalską pojadę do Otwocka — i wtedy!

— I wtedy, szeptał — i wtedy jesteś moją na wieczność całą...

Ukląkł, całował jej kolana. Ona zadumana, zasłuchana, położyła rękę na jego głowie, jakby go błogosławić chciała... A może błogosławiła!...

ROZDZIAŁ VII.

Działo się w gabinecie dygnitarza.

Dyrektor kasy, uroczysty, z świecącemi oczyma, oparty o fotel, robił wrażenie posągu. Ogień oczu mówił, że żyje, że nerwy w nim naprężone, mózg pracuje...

— Po ścisłem obliczeniu, mówił spokojnie dygnitarz, raport komisarza, przeprowadzającego skontro kasy, wykazuje, że kredyt, na który niema pokrycia, przechodzi dwa miliony. Nie wchodzę, na co został użyty.

— Na kopalnie w Wyżnicy, zawołał gorączkowo dyrektor.

— Czy wystarczą, czy pokryją dwa miliony — nie należy to dziś do rzeczy. Każdy „tajny" kredyt w kasie jest zbrodnią.

— Wiem o tem.

— I musi tak być traktowany.

— Jeżeli niema innego wyjścia?! rzekł spokojnie dyrektor.

— Co pana spowodowało do tego szalonego kroku? zapytał groźnie dygnitarz.

— Sprzykrzyła mi się rola psa na łańcuchu pilnującego śpiących, jak zaklęte, milionów. Zmusiłem je do życia i pracy.

— Czy to pańska służba? czy to pańskie zadanie?

— Nie — to zadanie rady nadzorczej. Lecz ponieważ rada nadzorcza o swem zadaniu nie ma pojęcia, musiałem tę rolę sam podjąć!... A że bałem się, że nie będę zrozumiany, stworzyłem tajny kredyt. Ekscelencya rób, co uważasz za zgodne z prawem, korzystne dla kraju — i dla kasy...

— Żądasz pan rzeczy niezgodnych z sobą. Za tajny kredyt powinienem pana kazać aresztować, kasę zlikwidować, kopalnię sprzedać. To byłoby zgodne z prawem, lecz ruiną kasy i zgubą dla przemysłu.

Dyrektor z wyczerpania usiadł.

— Jesteśmy w błędnem kole, ciągnął dalej dygnitarz. Sprawiedliwość wymaga od nas...

— Natychmiastowa, bezwzględna sprawiedliwość, przerwał dyrektor, często przemienia się w zbrodnię.

— Pojmuję to, mówił poważnie dygnitarz. Sądzisz pan, że jestem tylko jej wymiarem, a nie kulturalną jednostką i obywatelem.

— Ekscelencyo — nic nie sądzę, czekając na wyrok.

— Znasz go pan.

Dyrektor powstał.

— Czy mam się oddać w ręce sprawiedliwości?

— Przyznaj pan, że wydać z kasy tajnie dwa miliony...

— Kredytu, dodał dyrektor wyniośle.

— To szaleństwo, jeżeli w tem niema złej woli, której nie przypuszczam.

— Myślę, że i sąd nie miałby podstawy do przypuszczenia złej woli lub własnej mojej korzyści.

— Gdyby było inaczej, gdyby było możliwem przypuszczenie własnej korzyści, to w tej chwili nie rozmawiałbyś pan ze mną, lecz z sędzią śledczym. Zła wola i interes osobisty są wykluczone. Można tylko mówić o ambicyi, zaślepieniu lub zahypnotyzowaniu...

— Można wszystko mówić, lecz wierzyć tylko w jedno, ekscelencyo: w chęć przysłużenia się krajowi i dźwignięcia go... to wszystko razem nazywa się — miłością do niego.

— Miłość często bywa ślepa.

— Oślepłem na starość z miłości, i to moja zbrodnia. Lecz gdyby się wydarzyła druga podobna sposobność, oślepłbym poraz drugi. Zmieniać duszy mej nie umiem. Powinni wiedzieć o tem ci, którzy mi stanowisko dyrektora dawali.

— Pan wszystko przyjmujesz na siebie?

— A na czyjeż mam kłaść barki?... W kasie jestem wszystkiem. Komitet wykonawczy i rada nadzorcza powinni to zrobić, co ja zrobiłem, a wtedy kredyt mój nie byłby tajnym, byłby to kredyt inwestycyjny, rozwijałby się prawidłowo na pociechę społeczeństwa. Każdy wydatek byłby rozważony i zdecydowany.

Dyrektor powstał, mówił głośno. Każdy wyraz padał, jak strzał.

— Cóż, kiedy ja mam ponad sobą niedołęgów, tchórzów lub kretynów, mających takie pojęcie o przemyśle i inwestycyi w kraju, jak ja o hiszpańskim języku. Oni umieją się bać, aby nie stracić swych posad. Nie mam nikogo obok siebie i, aby się wywiązać korzystnie z dyrektorstwa najpierwszej kredytowej instytucyi w kraju, muszę chwilowo kraść, aby coś robić, aby nie być głupim wartownikiem na milionach. Do tego doszło, zawołał podniesionym głosem, że, aby coś zrobić, potrzeba kraść — niema innej rady!...

— Cicho, cicho, przerwał dygnitarz i, ująwszy starca za ramiona, posadził go w fotelu. W przyległym pokoju kamerdyner wprawdzie Francuz, lecz któż wie, czy się nie nauczył tego strasznego wyrazu.

Starzec blady ocierał chustką czoło i ciężko oddychał.

— Znamy się nie od dziś, czy sądzisz pan, że nie wierzę w twoją uczciwość, w twoją nieskazitelność?... Lecz widzę, niestety, że na dyrektora jesteś nadto indywidualistą, nadto absolutnym panem, arbitralnym żołnierzem, wodzem...

— Bo nie miałem komendy nad sobą! A żołnierz, gdy nie ma komendy, sam musi komenderować choćby sobie...

— Czemuś się pan mnie nie radził?...

— Rozdziela nas morze pojęć, morze zasad, morze przykazań. Każdy z nas innemu Bogu służy. Moim Bogiem—kraj i jego przyszłość, a radością — przysługa jaką mu daję.

— A moim?

— Bogiem ekscelencyi—państwo, władza, posiadanie, obrona swoich.

— Władza?! przerwał dygnitarz. Gdybyś nie miał władzy jaką masz w kasie, nie byłoby Swobody i Wyżnicy. Nie dziw się, że i ja dążę do władzy, i gdy najwyższą pochwycę — przekonasz się pan, że ostatecznym moim celem jest kraj — i tylko kraj. Lecz, żeby coś dla kraju zrobić, trzeba mieć władzę. Sądzę, że łatwe do zrozumienia.

Starzec milczał smutny i zgnębiony.

—I jako dwaj ludzie idących do jednego celu, chociaż odmiennemi drogami, powinniśmy sobie podać ręce, mówił szeptem dygnitarz, wyciągając swoją.

Starzec zdziwiony podał mu swoją.

— Miłość do kraju jest motorem mych działań, mówił dalej ekscelencya. Obaj pragniemy go widzieć zamożnym i silnym. A jaką on drogę obierze, czy się będzie rozwijał w moich konserwatywnych zasadach, czy poleci szalonym pędem postępu za tobą—sam wybierze!...

Dyrektor pochylił głowę.

— My mu dajmy to, co możemy. Pan mu dałeś dwumilionowy kredyt, a ja chcę mu dać instytucye, jako punkt wyjściajego rozwoju. Pański dwumilionowy tajny kredyt jest bezprawiem, jest zbrodnią. Komisarz, który go wykrył, posiada moje zaufanie, potrafi milczeć. Nareszcie przeniosę go na wyższą posadę, a będę zwlekał z nominacyą jego następcy. Tym sposobem dam panu czas wycofać się z kłopotu. Daj mi pan słowo, że zmusisz dłużnika tajnego kredytu do sprzedania kopalni i spłacenia długu.

Starzec się zawahał.

— Kopalnia ledwo w rozwoju — możemy wielką krzywdą wyrządzić memu dłużnikowi i przemysłowi.

— Ale powinniśmy obaj przedewszystkiem ratować instytucyę, to mój obowiązek, jako władcy, i twój, jako jej dyrektora i ojca. Dłużnik, oswobodzony z tajnego kredytu, znajdzie sobie inne, lepsze źródła... Czyż tylko jedna nafta jest w Galicyi? Niech znajdzie węgiel, a wtedy nasz wschód galicyjski zmieni, jak różdżką czarodziejską, w Szląsk pruski. Gdy go uwolnisz z tajnego kredytu siłą twego rozkazu, odetchniecie obydwa, kamień wam spadnie z serc, z sumień waszych.

— Szkoda rozpoczętego dzieła, powiedział cicho starzec.

— Ale nierównie więcej szkoda wielkiej instytucyi i pana, jako jej przewodnika. Instytucya jest bogata, nie padnie, lecz ty, ty, co z tobą?!... Czeka cię kryminalny proces.

Zniżył głos.

— Obydwa jesteśmy na łasce komisarza. Dziś ręczę za tajemnicę, zatrzyma ją, lecz co może wypaść jutro?...

— A ja ręczę za niedołęstwo rady nadzorczej i komisyi sprawdzającej.

— Mimo to nie masz spokojnej nocy i dnia, nie możesz się ruszyć z miasta, nie możesz kluczy od depozytów wypuścić na jeden dzień z rąk. A gdy zachorujesz?

— Trudno mnie pałką dobić.

— Mam prawo rozkazać, mogę użyć siły i surowości prawa, lecz, kochany kolego, proszę cię i zaklinam na czterdziesty ósmy rok, na siwe twoje włosy, na nieskazitelność twoją, na miłość do kraju, daj mi słowo żołnierza, że zmusisz dłużnika do spłacenia tajnego kredytu. Może dostanie pieniądze od wiedeńskich bankierów, jak je dostał na zbudowanie rafineryi.

— Nie dostanie ich, musi sprzedać kopalnię, a to cios!

— A więc niech sprzedaje! Dla ratowania wielkiej instytucyi, twego stanowiska, spokoju dłużnika, kopalnia musi być sprzedana, bo niema innego punktu wyjścia.

— A jeżeli kopalnia da miliony?...

— Może da kiedyś, a tu dziś dwu potrzeba, choćby połowę jutro, za tydzień.

Starzec chwilę nie odpowiadał, nareszcie rzekł:

— Można utrzymać tajemnicę rok, a nawet parę lat, jeśli jej komisarz nie zdradzi.

— Za komisarza ręczę, lecz czy ręczysz za innych? Ludzie mają węch, przeczuwają — ludzie patrzą na zażyłość twoją z Tadeuszem, patrzą na wkłady, na rozwój jego kopalni, rurociągi, magazyny żelazne, maszyny... resztę łatwo sobie dośpiewać. Z początku będą szeptać, potem mówić coraz głośniej, aż szept zmieni się w krzyk. Co poradzisz na wrzask tłumu?

Starzec milczał...

— Żądam słowa żołnierza.

Nachylił się i mówił szeptem.

— Skądże wiesz, że ja nie zapotrzebuję od ciebie również kredytu na cele potężniejsze, niż utrzymanie jednej kopalni nafty? Gdy ci wyjawię cel, nie zawahasz się. Tylko skąd weźmiesz wte-

dy gotówkę? Więcej z kasy czerpać niepodobna. Zaklinam cię na ten cel, który obydwa kochamy, niechaj spłacony będzie tajny kredyt. Wtedy łatwiej ci będzie poforsować gotówką. Pomyśl, tylko jedna kopalnia nie jest wszystkiem dla kraju, nie jest jego celem!...

— Muszę się porozumieć z dłużnikiem, muszę się z nim ułożyć.

— Nie, nie — on cię hypnotyzuje, wyrzuci gorącą lawinę słów, a ty choćbyś jutro miał iść pod pręgierz, zrobisz, co on ci każe. Znam siłę hypnozy, jest straszna, niezwyciężona. Ty mu tylko możesz rozkazać i trwać niezachwianie przy rozkazie, unikać jego wzroku, nie słuchać jego dowodzeń zaklęć, próśb. Rozkaz wodza do żołnierzy — naprzód, marsz! bez zastrzeżeń, bez odpowiedzi.

Starzec siedział nieruchomo, stał przed nim mąż w sile wieku. W oczach jego paliły się namiętności, energia wrzała w nerwach, wargi drgały ledwo dostrzegalnie pożądliwością władzy i panowania, chociaż układały się do wesołego uśmiechu.

— Ojcze, podajmy sobie ręce i razem do dzieła. Odkryję przed tobą dno mej duszy, siłę mych pragnień, lecz pierwej słowo, że chociaż połowę tajnego kredytu usuniesz.

Wyciągnął rękę.

— Słowo!! Błagam cię, a wiesz, że mogę rozkazać, proszę cię, daj słowo, a przekonasz się, że jestem pokrewną ci duszą. No, ojcze, kolego w służeniu sprawie — bracie, dokończył miękko i tak serdecznie, że aż starzec ciemne swe oczy utkwił w niego.

— Raz tylko daję słowo żołnierskie, lecz ono jest niecofnięte, gdy je wymówię, szepnął.

— Wymów.

— A jeśli popełnię zbrodnię?

— To je cofniesz!

— Cofnąć nie mogę.

— Zaufaj mi tyle, ile ja tobie, i wierz we mnie choćby połowę ile ja wierzę w ciebie.

Starzec wzruszony, blady wstał i uroczystym głosem wyszeptał:

— Daję.

Dygnitarz pochwycił go w ramiona i przycisnął do serca, potem mu wsunął rękę pod ramię, podprowadził go do okna i cicho, żywo, namiętnie mówił:

— Niemców obezwładnić, Austryę zrobić słowiańską to znaczy zbawić ją. Zesłowiańszczona Austrya to nowa siła, a my w niej panujący! Czujesz to, rozumiesz, oceniasz. Pomagaj mi! Cóż znaczy jedna kopalnia wobec tego celu, do którego idę i dojdę, bo dojść chcę i muszę!

— To idea starca, co sypie kopiec na wysokim zamku, zawołał dyrektor, mego opiekuna, mego wodza, mego kochanego Franciszka....

— A ja w pięćdziesiąt lat podnoszę ją nanowo. O pięćdziesiąt lat jesteśmy starsi, silniejsi, rozumniejsi i bliżsi celu. Jeżeli się nie udało dojść drogami pana Franciszka, to się powinno udać mojemi drogami. Pół wieku doświadczenia dużo znaczy.

— Widzisz, że stoimy blizko siebie, chociaż pozornie rozdzielają nas przepaście.

— Czyny nas złączyć mogą, szepnął dyrektor.

— Ludom słowiańskim daję konserwatyzm, bo tę tylko formę dać im mogę, i to jest forma, w której dziś są ludy te najsilniejsze. Jutro mogą ją rozbić. I zrobią to najpierwsi Czesi, urodzeni wywrotowcy, przepojeni husytyzmem. A teraz się dziw mojej arbitralności, mojemu zuchwalstwu, łamaniu praw, urąganiu konstytucyi, gdy wszystkiem tem zyskuję sobie zaufanie, uznanie, wpływy, potęgę. Lecz gdy raz pochwycę władzę, z tą samą siłą i zuchwalstwem uderzę na Niemców — dziś jedynych wrogów państwa, i unicestwię ich. Czujesz tę rozkosz?!...

— Czuję, szepnął, głęboko wciągnął w płuca powietrze i, wyrzucając je, rozwarł nozdrza... I ciebie rozpala sama ta idea! A teraz pomyśl, co się we mnie dzieje, głównym aktorze tej sprawy i młodszym o lat dwadzieścia. A mam zdrowie, siły i gorącą krew... Jakie ja przechodzę katusze, jakie męczarnie niecierpliwości, jakie przesilenia własnych nadziei, zawodów i gorączki czynów. Ci, co są dziś u władzy, to karły! Całą ich ambicyą to służyć! Jeżeli sami są władzą, to nie wiedzą, komu służyć, a chcą, i basta. Służą więc Węgrom i milionerom, familii, rodzinie, komu mogą, sami pozbawieni własnej myśli, uciekają od niej, straszy ich w snach. Drżą, aby ich ktoś nie posądził o nią. I czyż oni nie są rozkładowym czynnikiem państwa? Państwo bez idei — z dnia na dzień to śmierć. Naród może przeżyć tę klęskę, lecz państwo bez idei schnie i umiera.

Zniżył głos.

— My będziemy wiedzieć. Zdusić wpływ Niemców, wytrącić wpływ Prusaków na rządy Austryi — to przecież więcej warto, niż jedna kopalnia. Czyż nie jesteś mój?!...

— Jestem, szepnął starzec.

— Podaj mi rękę i powiedz, czy wierzysz w to, co mówię, czy chcę to zrobić, co mówię, i czy mogę to zrobić przy mej energii i wytrwałości.

— Wierzę!...

— Jestem przyjacielem cesarza, starca w twoim wieku, i kocham go za to, że nie ma innych ambicyi, jak państwo swe widzieć w rozkwicie, a mieszkańców jego w starym stylu poddanych szczęśliwymi! Razem z tym starcem pracować, pod ciepłem jego miłości to sprawia pewną radość.

Bardziej jeszcze zniżył głos.

— Rządzący pruski wpływ Niemców na państwo unicestwić!! Wierzysz mi, że chcę tego dokonać?

— Wierzę.

— Chociaż nieraz będę wyglądał, jak kat, pies, tyran, krzywoprzysięzca!?!...

— Jeżeli to są drogi do tego wielkiego celu, będę ci błogosławił i zrobię wszystko, co w mej mocy, aby cię upadającego dźwigać i wspierać.

— Tak mi Boże dopomóż, rzekł wzruszony dygnitarz. A gdybym zdradził ideę, pal mi w łeb, bo ty jeden to możesz i miałbyś prawo!

— Mogę, poświadczył starzec. A teraz każdy do swego szeregu — rozpoczynamy kampanię.

— Ja już ją rozpocząłem oddawna.

— Dziś stoję przy tobie, rzekł starzec uroczyście.

— Wygrałem wielką batalię, bo w niej zdobyłem przyjaciela, odparł dygnitarz.

— A ja człowieka, w którego wierzę, dokończył starzec.

— Do dzieła!

— Do dzieła!

Uściskali się.

Dyrektor z wypieczonymi policzkami wzruszeniem wyszedł. Dygnitarz zadzwonił.

Do gabinetu wpadł kamerdyner cicho, jak duch. Z oczu wyglądał mu spryt, z uśmiechu przebiegłość.

— Pawle!

— Ekscelencyo!

— Zawieziesz list do Wiednia.

— Dziś?

— Kuryerem. O dziesiątej będzie gotowy.

Kamerdyner skłonił głowę i odszedł, dygnitarz pisał:

„Drogi, kochany!...

„Zdobyłem milion szczerością i nią tylko mogłem go zdobyć.

Rozumiesz, co za przyjemność módz być szczerym i jak wielkim jestem panem, że na szczerość mogłem sobie pozwolić.

„Starzec słuchał mych wyznań, zapierając oddech w piersiach, rumieńce zakwitły mu na bladej twarzy, z oczu rzucał pioruny, kładł rękę przyjaciela na mojem ramieniu i mówił mi „ty". To dowód, że mnie ceni. Tajemnica moja jest jego tajemnicą!... To wielki starzec.

„Zdobyłem milion i przyjaciela, to dosyć na jeden dzień.

„A teraz do dzieła! Na prasę nie żałuj i rzuć garściami w jedną i drugą stronę. Czechów trzymaj, zaciętość w nich podnoś. Żyżka ich zaciętością zwyciężał — to wielki przymiot społeczny. Odpoczęli trzysta lat, mają nerwy silne, mają drobne mieszczaństwo, lud, organizacyę. Zjadają Niemców w walce o życie, łatwo więc im przyjdzie trwać. Gdy pochwycę władzę, pierwszem mem wielkiem dziełem będzie dać im prawa językowe, i odrazu uderzę taranem w fortecę niemiecką, a Czechom dam broń w rękę, której nikt im nie odbierze. Mogę paść, odbiorą im prawa, przeze mnie dane, ale te będą dla nich utraconym rajem, celem, o który będą walczyć, aż zwyciężą. Paść nie mogą, bo w walce będą rość w siłę i energię. Jeśli mnie przewrócą, to taką po sobie zostawię im spuściznę, temu słowiańskiemi Feniksowi, odradzającemu się z popiołów.

„Za często marzę o tem, co będę robił, gdy schwycę władzę. Nie dobrze, bo to osłabia energię w walce chwili obecnej. Lecz cóż robić, są to słabości i jedyne rozkosze biedaków, którzy własną krwawicą zdobywają szczeble krok za krokiem... Jedyna rozrywka Napoleona na ławach szkolnych i w mundurze porucznika: to marzyć, co będzie robił, gdy zostanie cesarzem, a miał większą i trudniejszą do przebycia drogę.

„Mnie oddziela od schwycenia władzy jeden śmiały, dobrze obliczony skok, jeden uśmiech losu, jedna szczęśliwa kombinacya, i dlatego powinienem mieć przygotowane plany kampanii, gdy wodzem zostanę. Walka wre ciągle, zmieniają się tylko dowódcy. Każdy wódz musi mieć nowy plan walki — inaczej pada. Mój jest silny, nieprawdaż? Można kark skręcić, lecz i walkę zakończyć. Austryę wyratować z chaosu i odrodzić ją. Tylko jedną przerwać tamę i nią unicestwić Prusaków w naszem państwie... I chociaż Prusacy w Austyi są zdecydowanymi nieprzyjaciółmi państwa, zrobić to nadzwyczaj jest trudno... Tyle nici, tyle nawiązanych węzłów na tradycyi dziesięciu wieków!... Dzicz węgierska, ten największy wróg Słowiańszczyzny, patrzy, słucha, węszy, jak przed tysiącem lat, co razem z Niemcami rozbił państwo Wielko-morawskie.

Gdy oczy zmrużę, widzę piętrzące się pod nieboskłon zawady. Przeciąć je tylko można, tamę przerwać, a potem walczyć do upadłego, aby znowu grobli nie usypano...

„Zobaczymy!... Z marzeń wracam do pracy...

„W Kole naszem i w prasie pokazuj mnie zdaleka, jako człowieka opatrznościowego. Cudowność i w tej cudowności ratunek daje wielki urok. Ludzie, wyczerpani walką, i tłumy lubią cudowność. Cudowność opatrznościowego człowieka i z niej płynąca konieczność — nikt, tylko oni ułatwiają bohaterowi zadanie. Tłum wierzy w niego, a wiara rodzi cuda... Stara historya, jak świat, lecz powtarzająca się niezmiennie w dziejach. Zmieniają się ludzie, zmienia się panorama, lecz dziejowe przyczyny rodzą te same objawy. W tem tylko tkwi fatalizm, że opatrznościowi ludzie nie dorośli do zadania. Musimy więc już dziś nad tem pracować, aby silnie stanąć, gdy dolecimy do mety... Prostuj ścieżki — ja zaczynam gromadzić materyał na obarykadowanie pozycyi, którą mamy nadzieję zdobyć.

„Naszych epigonów głaszcz, schlebiaj im i opatrzność moją w ich sercach rozdmuchuj. Tym tylko sposobem możesz uciszyć zazdrość i ugruntować w ich tchórzliwych umysłach, że zdobyte przez nich stanowiska zatrzymują nadal — na długo, na zawsze.

„Posiadamy dziś środki, dające możność śmiałej i szybkiej roboty — idźmy naprzód.

„Jesteśmy z czasów renesansu, z czasów wielkich ludzi, wielkich kondotyerów, z których wyszedł i Napoleon, a przytem mamy krew polską i z nią jej gorące ambicye, jej dzielność, upór i dumę. Dobre to przymioty do walki, dobre do zwycięstwa. Odrodzenie — to nasze hasło — może się nam uda odrodzić Austryę. Wtedy nie zapomnimy i o sobie. Austrya silna i my silni, inaczej nic nie zrobimy! Naprzód! środki to klawisze, na których my z renesansu powinniśmy odegrać symfonię — odrodzenia. Widzisz, że i ja jestem literatem i artystą.

„Wracając do powszedniej pracy dnia, pamiętaj, co powiedział Napoleon do zjednanego dziennikarza, wyjeżdżając do Egiptu: „Tylko ja, wszędzie ja — wszystko ja, za mną nic — pustka!"... On czuł siłę głupiej reklamy i wiedział, że ona dla tłumu jest wszystkiem, wielkością, rodzącą sławę.

„Należy jak najśpieszniej wziąć w posiadanie „Fremdenblatt", wiesz dlaczego? Jest to dziennik, czytany przez cesarza. „Neue freie Presse" zostawić. Dziś weźmie sumy, jutro zdradzi. Pismo to kokietujących z Prusakami Rotszyldów i Węgrów. Jest to nie-

bezpieczny wróg, lecz jawny, i można go ukrócić po wzięciu władzy lub wejść z nim w pakta...

„Dosyć na dziś, i tak list za długi na człowieka czynu. Pragnąłem się jednak ugadać i ulżyć sercu w dniu radości. Nie mam czasu pisać kluczem, nie lubię i dlatego posyłam mego wiernego Pawła.

„Odpisz szczegółowo i pamiętaj, że od dziś zaczynamy działać.

„Ściskam cię serdecznie

twój X."

Jaśnie Wielmożny Panie Baronie!

Dziś dyrektor przesiedział u Ekscelencyi dwie godziny minut dziesięć. Wyszedł z wypiekami na bladej twarzy, błąkał się po wałach hetmańskich, wrócił do kasy i siedział w niej godzinę. Stamtąd poszedł wprost na pocztę, zawezwał telegramem Tadeusza i smutny, zgnębiony wrócił wprost do domu, a nie „pod gruszkę", co u niego oznacza zły stan zdrowia lub nieszczęście.

Oto dokładny raport. Osobiście odprowadziłem dyrektora do pałacu ekscelencyi, włóczyłem się za nim po wałach, czekałem na niego przed kasą, na poczcie, odczytałem telegram, wysłany do Wyżnicy. Dokładniejszych informacyi dać nie można. Jutro dalszy ciąg. Gnę się do stóp pana barona, zapewniając go o mej niestrudzonej pieczy co do powierzonej mi misyi.

Sto guldenów odebrałem. Wdzięcznem sercem najniższy

Izaak Goldwasser.

Kamienna twarz otworzyła paszczę, z jej wnętrza wyszedł głos radości, cichy, przydechowy, lecz wesoły.

— Izaaku Goldwasserze, zawołał, ani się domyślasz, że za odebrane sto guldenów oddasz mi z procentem dziesięć milionów. Listem twym zasłużyłeś na tysiąc guldenów. Tylko, gdybyś je dostał, ożeniłbyś się, otworzył handel i przepadłbyś dla mnie. Tylko łaknący są najwierniejszymi ze sług... Izaaku, łaknij!

Głupiec pochlebia mi tak ordynarnie, tytułując mnie baronem.

Zamyślił się, patrząc przez okno w błękit.

— „Ha, może i trzeba postarać się o tytuł. Bez tytułu jakoś dziko na świecie. „Von" za krótkie, „graf" na początek za silne — „baron" ausgezeichnet, w samo prawie. Córce mojej, jako baronównie, będzie bardzo do twarzy, syn wtedy mnie naprawdę zacznie kochać i być mi wdzięcznym. Głupi Izaaku, najmarniejszem pochlebstwem nasunąłeś mi myśl dobrą, którą dotąd nie miałem czasu się zająć. Trzeba tę myśl oddać w ręce specyaliście i przeznaczyć na jej wykonanie pewną sumę. No, no, i Izaak Goldwasser ze Lwo-

wa gotów jest zrobić mnie baronem! Panie baronie, kochany baronie, to dobrze brzmi. Gdzie pani baronowa, panna baronówna, młody pan baron?... To wcale dobrze brzmi... Izaaku, dasz mi dziesięć milionów i baronostwo.

Siadł przy biurku, pochwycił pióro, zaczął pisać. Za chwilę pióro rzucił, papier z niechęcią odsunął, wziął ołówek, liczył:

Tadeuszowi milion. Księżnie cały, okrągły milion. Koszta i „inne" dwakroć, razem dwa miliony dwakroć. Kopalnia warta pięć do ośmiu milionów, a gdy drugi pokład nie zawiedzie, wartość podniesie się od dziesięciu do dwudziestu milionów.

Rzucił ołówek, nerwy nie pozwoliły mu siedzieć, powstał.

— Dlaczego to który z galicyjskich panów nie bierze w ręce tego interesu? To złoto, gotowe złoto! A przecie są oni tak samo chciwi, jak i my, może więcej. Czemże to wytłómaczyć?... Mniejszą kulturą nie, bo czuć nieraz, że są kulturalniejsi od nas. A więc czem?... Rasą — jej nieudolnością do objęcia wielkich spraw, do zrozumienia wielkich interesów, do szerokich poglądów. To rasa temu winna, niższa od naszej, podlejsza od naszej. I jakże my nie mamy panować nad Słowianami, którzy jeszcze do połowy siedzą w Azyi rasą, chociaż mają wszystkie pozory i aspiracye do cywilizacyi. Niższa rasa — prawda nieugięta, niezaprzeczona, stojąca, jak przeznaczenie.

Głęboko odetchnął.

Co ci się napracowali, nacierpieli nędzy, biedy najedli, może głodu! Wiele wyrzucili biedacy z siebie wysiłków, energii, sprytu przytomności, szczęśliwych pomysłów... I za to wszystko ja, tu siedzący przy biurku, będę zgarniał do mej kasy miliony, a oni pójdą precz lub może, jak tresowana trzoda, będą znowu pod ziemią szukać dalej dla nas trufli!... No, i powiedzcie sami, czy nie jesteście niższą od nas rasą? Bo co wam przeszkadza zgarniać przez was wyszukane i zapracowane miliony dla siebie? co? Niższość rasy — bo nawet nie głupota .. Macie wy spryt dzikich i rozum i uczucie, macie wielkich poetów, pisarzy nawet, ale fatalizm niższości oddaje was w naszą niewolę—idziecie, jak baran, pod nasze nożyce z fatalizmem, na którego czole napisane jest — niewola. Miejcie wy i ministrów rodaków, i statystów, i dygnitarzy—wszystko, lecz nie zmażecie jednego, niższości waszej rasy, i w imię jej my zawsze waszymi panami. W imię jej jesteście tyle jeszcze dzicy, że, chociaż wam będą pokazywać miliony i mówić — bierzcie, wy po nie ręki nie wyciągnięcie. Czaszki wasze za grube, mózgi dla tego zbyt małe i ich zwoje inaczej pokręcone... O wszystko mogę się bać, mogą mi na-

wet Żydzi stanąć w drodze, wy nigdy, biedna, niższa raso, biedna niewolnico, stworzona na użytek, oddająca nam krwawą pracę swoją za nic, za fatum niższości...

Ha, niech się spełniają losy przeznaczenia. Zatarł ręce z uczuciem smakosza i przejechał językiem po wargach.

ROZDZIAŁ VII.

W kopalniach Wyżnicy wrzało. Odprawieni robotnicy wracali hurmem, porzucone dla braku gotówki roboty podejmowano z podwójną energią... Tadeusz przywiózł nowy zapas otwartego kredytu z kasy dla Władysława, Wita i dla siebie. Nadzieje odżyły, maszyny przybywały, a z niemi nowe szyby, nowe się wieże dźwigały. W pośrodku miasto wyrastało, jak gdyby z pod ziemi Koła maszyn warczały, świdry, walące ziemię, głucho jęczały. Wśród tych maszyn, tych jęków i buchającej pary Mazury w osmalonych bluzach i grubych butach uwijali się, jak dyabli, weseli i dziarscy. Ponad nimi lasy szumiały, niebieskie mgły otulały góry. Na jednej z nich postawiony przez robotników krzyż przedłużał niewidzialne ramiona daleko, daleko — poza Dniestr i Wisłę.

Władysław zakładał nowy szyb. Ustawiono maszyny, obijano wieżę gontem, świder mocowano łańcuchami, Kasper przy nim pracował z zapamiętałością, pot mu spływał po spalonej twarzy, nie miał czasu go otrzeć. Szkoda było dnia, godziny, minuty. Ośmiu robotników sprytnych, zwinnych, przytomnych, rozumiejących skinienia Władysława, spełniało krótkie, urywane rozkazy cicho i szybko.

Na granicy kopalni młodych ludzi a kopalni Tadeusza stał przy szybie, trzymając sztangę w ręku, Wit. Tu się odbywało głębokie wiercenie, szukano przeczuwanej drugiej warstwy ropy, bogatszej od pierwszej. Nadzieje milionów pokładano w tej pracy. Gazy, silnie bijące, i twardy łupek uzasadniały je. Wit, jako ukończony technik wiedeński, sam prowadził tę ważną robotę. Pierwszy raz zapuszczali się na pięćset do sześciuset metrów w głąb ziemi. Wywiercić szyb tak głęboki uważano za szczyt zręczności i wprawy. Wit prawie nie odstępował od niego, drżał z obawy, drżał na samą myśl, że w drugim pokładzie znajdzie się ropa obfitsza i lepsza...

Tem żyli.

Świstawka maszyny parowej dała znać, że południe, a zatem

o przerwaniu robót, odpoczynku, obiedzie. Zrobiło się w kopalni cicho i głucho, tylko kotły, buchające parą i dymem, wrzały. Władysław i Wit pobiegli do Tadeusza. Siedział na kłodzie drzewa. rysował i liczył.

— I cóż? spytał go Władek.

— Marynia powinna mieć wygodny domek.

— „Z pałaców, sterczących dumnie", zadeklamował Wit.

— Zejdź do mej chatki, dokończył Tadeusz. Patrzcie, werenda, pokój do pracy, jadalny, jej pokój, sypialny, sień, kuchnia, śpiżarnia. Dwa pokoje gościnne na górze. Myślę o tem, aby pani moja po zejściu z pałaców, sterczących dumnie, znalazła tu możliwą wygodę i myśl moją o niej.

— Rozkoszujesz się! rzekł Władysław.

— Całą siłą mej duszy. Wierzę w drugą warstwę ropy na sześciuset metrach, wierzę, że w przeciągu dwu lat spłacę kredyt z procentami, wierzę w Marynię, w pracę, w inwestycyę, wierzę w „Podkarpacie", w kilka lat spokoju, w kilka lat względnego szczęścia... Przecież jestem zdrów, silny, młody. Uczucie i fantazya we mnie grają, a nowe pomysły mało co nie rozsadzą czaszki.

— Obręczy, zawołali wesoło Wit i Władysław, a teraz na obiad.

Tadeusz zwinął swoje plany — poszli.

— Władek — rzekł Tadeusz, należy nam się choćby parę miesięcy odpoczynku, wytchnienia.

— Dla nas odpoczynek to śmierć! Niewolno nam za życia umierać.

— Pozwól mi najprzód uspokoić sumienie, a potem ożenić się.

— Twoje sumienie jest zawsze czyste, a więc musi być i spokojne. Nigdy się nie obejdziesz bez kredytu, a więc i „tajnego", bo innego w Galicyi nie dostaniesz. Marynia, gdyby nazajutrz po przyjeździe do Wyżnicy nie dzieliła z mężem pracy nad wielkiemi dziełami, zaczęłaby się nudzić, zmalałbyś w jej oczach, a może zatęskniłaby za pałacem. Kobiety z wielkiemi pragnieniami nie mogą się nudzić.

— Marynia nie ma pojęcia o nudach.

— Bo czeka, tęskni, pragnie, myśli, plany układa i bawi się. Gdy przestanie tęsknić, czekać i bawić się — co będzie? Wzamian wielkich nadziei, wielkich prac, szerokich horyzontów dajesz jej odpoczynek, a w każdym odpoczynku, jak w wacie, siedzi nuda.

— Dosyć! wołał Wit. Dowodzisz, jak gdybyś nie znał Tadeu-

sza. U niego odpoczynek dwa dni, trzeciego już gotów, czwartego w jarzmie pracy.

— To do roboty dziś!

— Władeczku, pozwól mi fundamenty pod dom założyć i doczekać się drugiego pokładu snrowca.

— Ropa w drugim pokładzie jest, i wielka, przygotować się na jej przyjęcie to nasz obowiązek.

— Jest z pewnością, wierzę w to, mówił Wit, lecz któż zaręczy, czy nie w głębokości siedmiuset lub ośmiuset metrów, gdy my dziś możemy sforsować najwyżej sześćset dwadzieścia.

— Forsujmy na siedemset pięćdziesiąt...

— Nie umiemy jeszcze, Amerykanie swoje sposoby chowają w tajemnicy.

— Może być na sześciuset.

— I w to wierzę, rzekł Wit, lecz jeszcze mamy pięćdziesiąt cztery do wywiercenia.

— Mamy miejsce na pięćdziesiąt cystern [1]).

— Co zrobimy z wybuchającą ropą?

— Mało! będziemy potrzebować miejsca na pięćset wagonów.

Weszli do budynku, w którym jeden pokój przeznaczony był na kancelaryę, drugi na jadalnię. Na biurkach dla każdego leżała korespondencya, telegramy i listy. Tadeusz otworzył pierwszy i czytał:

„Dając ci mandat, żądaliśmy, abyś nie wchodził do Koła. Tyś wstąpił, przekupiony podwyższeniem o nędzny gulden cła. Nie śmiejąc walczyć w izbie, szachrowałeś pokątnie i wyszachrowałeś guldena. A że gulden to wstyd, dorzucili ci, jak psu, kość, zniżkę transportu naszego produktu. Przeklinamy cię i znać nie chcemy. Jeżeli sam nie złożysz mandatu, odbierzemy go".

„Sygurd".

Tadeusz oddał kolegom telegram, Wit przeczytał go głośno.

— Macie głos opinii, rzekł Tadeusz.

Spiorunowany telegramem, a zapalny, jak siarka, Władek zawołał.

— W zasadzie Sygurd ma racyę...

— Łatwo było w tym wypadku, przerwał Wit, odegrać rolę bohatera, paść i upadkiem swym pociągnąć nas do ruiny! Lecz nieraz dla sprawy należy na kołku zawiesić koturny bohaterstwa i spełnić rolę kunktatora, bez ogni bengalskich i wrzawy... Tadziu! uratowałeś przyszłość naszego przemysłu. Sygurd nie rozumie tego,

---

[1]) Wagonów.

to marzyciel o stępionym wyłącznością wzroku. Tyś umiał spojrzeć głębiej, szerzej i wzrok twój, ta zdolność obejmowania szerokich horyzontów uratowały nas.

— Czy to do mnie odezwał się Władek.

— Do Sygurda i Tadeusza, odparł Wit.

— Władek, a wolność opinii, a indywidualizm, czyż się obrażasz za sąd Wita? zaczął Tadeusz.

— Nie, nie, biorąc oportunistycznie, macie racyę.

— W sprawie oportunistycznej oportunizm rozstrzyga. Nie zawsze można sztandary idei rozwijać.

— Niech i tak będzie! Siadajmy do stołu.

— Zabolał mnie list Sygurda, rzekł spokojnie Tadeusz, lecz wobec uratowonia pozycyi zniosę go mężnie.

Wesołość młodości wróciła na oblicza trzech przyjaciół.

— Referat waluty złotej mam na ukończeniu. Wiedeńska prasa, kierowana zręcznie ręką Ottona Bayera i jego przyjaciół, dzielnie mi pomaga. Gdy skończę, a dadzą mi znać, że można już wystąpić z tym wnioskiem przed izbą — pojadę.

— Jedź i broń, rzekł Władek, bo wtedy i my zaczniemy korzystać z zagranicznego kredytu. Przysuń nas do Europy, będzie to drugi ratunek naszego przemysłu.

Po obiedzie wyszli do pracy.

Przed nimi leżała biała droga, z boków ścieżyny, jak wstążki, wiły się w górę po zielonym kobiercu. Zwrócili się naprawo — stanęli na wyniosłości. Krajobraz białych wież obsiany na całym obszarze. W środku przytulone do świerkowego lasku świeciły białe kamienie na podwalinę na dom dla Maryni.

— Niech tylko wśród nas zagości kobieta, rzekł Wit, zmieni się świat, jak od skinienia czarodziejskiej różdżki.

— Pomyślcie, w tym zakątku, wśród gór, malutki raj!... Będziemy z niego wychylać się, obładowani milionami...

— Aby takie same raje pracy i zadowolenia wytwarzać na całem Podkarpaciu, dorzucił Władek.

Doszli do białych kamieni.

— Z morgi świerkowego lasku zrobimy park. Z rogu domu wyciągnę wieżycę. Tam będę panował. Przy szerokim widnokręgu wielkie myśli nawiedzają umysł. Pozwólcie mi jeden miesiąc przeżyć w upojeniu zapomnienia i czarów nadziei.

Stanęli na gruncie budującego się domu.

— Gdy sprowadzę tu Marynię i pokażę jej dookoła mrowisko ludzi, wieże, maszyny, kominy, życie, płynące wezbraną falą, i po-

wiem: To nasze!... Niedawno niedźwiedzie tu żyły, za nimi przyszli ludzie, nędza i głód! Dziś praca i energia tworzą dobrobyt, wesołość i miliony.

— I to będzie naszym dla niej ślubnym podarunkiem, dokończył Wit.

— Najdroższym dla niej...

Patrzeli w przestrzeń z dumą zadowolenia. Piersi ich, budowane na miarę Fidyasza, wznosiły się, opadając rytmicznie. Ciepła krew krążyła w żyłach, usta układały się do uśmiechu ze spełnionego dzieła.

— To my, to my, powtarzał cicho Władek, my, biedacy, przy odrobinie szczęścia zrobiliśmy tyle.

— A co jeszcze zrobimy! dodał Tadeusz. Jesteśmy młodzi, silni, praca to nasza konieczność, to objaw naszego życia, bez niej nie istniejemy.

Piszczałki maszyn zagrały, na ścieżkach ukazali się ludzie, biegnąc sznurkiem, podobni mrówkom, zdążającym do mrowiska.

— Nasza konieczność, powtórzył Wit. Czy jest siła, któraby mnie odciągnęła od mego szybu, od świdra, którym kieruję? A jakie boskie myśli przychodzą wśród tej pracy! Jakże mi się wydaje powolne działanie świdra.

— Wit, przerwał Tadeusz, zdziwiony nową myślą, przeczuwam, że nowy sposób świdrowania odkryjesz.

— Cicho, cicho, zawołał Wit. Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie! Jeszcze śniegi, jeszcze lody... Ukłonił się i pobiegł, Władek zwrócił się do Tadeusza.

— Odgadłeś. Wit pracuje nad zmianą świdra. Nieraz zrywa się z łóżka w nocy, rysuje, liczy, chodzi godzinami po pokoju i znowu rysuje!

Spojrzał na południe i wskazał ręką.

— Patrz, moi czekają na mnie, przyzywają rękami, boją się beze mnie zaczynać. Bądź zdrów, Tadku, o szóstej na zmianie lub gdy będziesz miał czas, przyjdź do nas.

„Do roboty czas,
Słonko wzywa nas".

Zaśpiewał, uściskał Tadeusza i pomknął, jak wiatr.

— Jakże nam tu będzie dobrze! myślał Tadeusz. Tylko pięć tygodni. Trzydzieści pięć dni zlecą, jak mgnienie oczu. Dom jeszcze nie będzie dociągnięty do stropu. Skorzystamy z gościnności księżnej, i Marynia sama będzie go stroić i upiększać. Artystyczny jej smak znajdzie ujście. Wszystko zrobi podług swego gustu.

Robotnicy nadchodzili, i dlatego śpieszył się z błyskawicami swych myśli.

-- Z ustronia tego będę wylatywał, jak orzeł, i wracał do gniazda. Waluta złota, węgiel —Podkarpacie! Ach, to Podkarpacie to szczyt moich marzeń, moich pragnień. Jedno takie zbiorowisko, jak Wyżnica, wzbogaca okolicę w promieniu pięciu mil. Dziesięć takich gniazd to dobrobyt na stu milach. Podkarpacie od Borystawia pod Babią górę!... Za nami przyjdą inni. Za tymi znowu inni!...

— Panie pośle!

Tadeusz drgnął, obejrzał się, stał przed nim majster ciesielski.

— Drzewo okantowane i wyschnięte czeka na zwózkę z tartaku.

— Jutro zwozić.

— Trzeba. Ruśniaki chcą po pół guldena od sztuki, nasi Mazurzy po dwadzieścia pięć. Daję im po piętnaście, a zwiozą za dwadzieścia.

— Niech zwożą. Odrazu na furę wezmą pięć sztuk, co uczyni guldena. Trzy razy obrócą—trzy guldeny, dobry zarobek.... Czy ich zgodzić?

— Natychmiast. Tak mało mamy czasu. Skąd pan wiesz, że jestem posłem?...

— Skąd? Bośmy to nie Mazury, nie mamy swoich gazetek? Przecie to my niesiemy tu światło ciemnemu narodowi!...

Tadeusz popatrzał w twarz Mazura. Chłop się wyprostował i wąsa podkręcił. Tadeusz wyciągnął do niego rękę — uściskali się.

Podwaliny budowano na cemencie, aby ochronić drzewo od wilgoci i grzyba. Dwudziestu murarzy z Drohobycza stanęło. Chłopcy i dziewczęta podawali kamienie, donosili cement. Budowy sklepień nad piwnicami pilnował Tadeusz, rysując na deskach łuki o obliczonych przez siebie rozpięciach.

— Mam pewną rozkosz, myślał, w budowie tego domu. To siedziba mojej żony, Maryni, mego dziecka, mojej ukochanej. Pierwsze moje gniazdko, z którego już mnie nikt nie wyrzuci, nikt, nikt! Co to za rozkosz pomyśleć, nikt — to moje!... Tak zżyliśmy się z własnością, że człowiek dopiero wtedy czuje się silnym, gdy się ma pod nogami własny kawałek ziemi. Własność osobista—co ona dobrego na świecie zrobiła! Rozwinęła cywilizacyę i kulturę.

Praca szła raźno, energicznie. Łuki, wycięte z desek, ustawiono i na nich budowano sklepienia. Słońce przechylało się na drugą

stronę horyzontu, mknąc coraz szybciej za niebieskie góry i ciemną ścianę świerkowych lasów.

Chłopiec z poczty przypadł do Tadeusza i oddał mu telegram.

„Przyjeżdżaj — sprawa nie cierpiąca zwłoki”.

Dyrektor.

Wpatrywał się długo w papier, jak gdyby chciał z oddrukowanych liter odgadnąć tajemnicę. Ból przeczucia ścisnął mu serce, troska siadła na czoło, oczy zaszły mgłą udręczenia, nogi mu ociężały. Wolno, trzymając w ręku telegram, jak wyrok śmierci, poszedł do szybów — wezwał Władysława.

Wit spojrzał na papier, a potem długo patrzał na Tadeusza.

— Boję się, czy nie skontro kasy.

— O wszystko bać się można. Stary żołnierz nie cierpi alarmować i ludzi od pracy odrywać.

— Tak jest — nie cierpi.

— Cokolwiekbądź, rzekł Władek — nic nam nie zrobią. Kopalnie są — twoja ma trzydzieści szybów, każdy szyb powinien dać wszystkiej ropy za sto tysięcy guldenów, to stanowi trzy miliony. A inwentarz, maszyny, kotły, narzędzia choćby pół miliona — to trzy i pół! A ty masz tajnego kredytu dwa! Wystarczy przecie na pokrycie pretensyi kasy.

— Oszacują mniej.

— Choćby o połowę, to półtora miliona. Na brakujące pół miliona ewikcya naszej kopalni wystarczy...

— Dziękuję wam, wzruszacie mnie swoją dobrocią.

— Tyś nas stworzył, to odkupić cię jest naszym obowiązkiem, a będzie radością serca...

— Nie mogę was ciągnąć za sobą w przepaść.

— To żadna przepaść — nie wyrzucą nas przecie z kopalni, bo coby im z tego przyszło? A tymczasem Wit wynajdzie świder, którym w dwa tygodnie wryjemy się w ziemię na pięćset metrów głęboko.

— A tymczasem?

— Tymczasem, przerwał entuzyasta, walczmy, trzymajmy się, brońmy...

— Jest coś, rzekł Wit spokojnie, stary nie alarmuje napróżno.

— Odprowadźcie mnie do bryczki. Nogi mi ociężały, szepnął Tadeusz. Wszystkiego się boję. Rozdrażnienie nerwów zwycięża mnie.

Wit podał mu ramię, Władek pobiegł naprzód kazać przygotować wieczerzę i konie.

— Czego się spodziewasz najgorszego? zagadnął Tadeusz przyjaciela.

— Zwrotu długu lub odkrycia przez radę tajnego fnnduszu.

— Co w takim razie zrobić?

— Nie mam pojęcia.

— Zbrodnią byłoby sprzedawać kopalnię!

— Mianowicie w chwili, gdy jutro może znajdziemy w głębokościach drugie pokłady nafty.

— Obfitsze!

— Zwykle są o wiele obfitsze.

— Fatalizm! — szeptał Tadeusz.

— We wszystkich innych społeczeństwach byłby łatwy ratunek, założyłoby się spółkę, towarzystwo akcyjne, wszystko, co chcesz.

— A tu nic, nic — myśl ustaje lub oślizguje się, jak po skale, o zbitą masę obojętności ludzkiej.

— Źle powiedziałeś, Tadziu, obojętności. Oni są chciwi na zysk, na łatwy i duży zarobek, lecz są za głupi na tego rodzaju interesa. Sprawy te są ponad nimi, nie mogą ich dosięgnąć. Jedni Żydzi, lecz tych chciwość i tchórzostwo zaślepia...

Tadeusz milczał zgnębiony. Myśli jego rozleciały się, jak stado gołębi, w które wpadł strzał. Gonił za niemi, usiłował je skupić — napróżno!...

Odjechał — Władysław i Wit wracali wolno do kopalni w milczeniu. I im na piersiach siadła troska, żal Tadeusza i obawa o przyszłość kopalni.

— Los go prześladuje, szepnął Wit, i nie daje mu wytchnienia.

— Za dużo zrobił, i dlatego fatalizm społeczny naszej Galicyi zaczyna go dusić. Już go bierze za gardło.

— Czuję rękę tego pana na jego szyi. Ale niech co chce będzie, nie damy mu paść. Weźmiemy go do siebie. Cóż ty na to, Wit?

— Ależ nie ulega wątpliwości, on w spółce—to bogactwo. Weźmiemy go z Marynią, ze wszystkiem, z długami...

— Tych nie uradzimy. Możemy się sami przewrócić i jego nie uratujemy.

— Jeszcze nie dziś — szepnął Władysław.

— Czekajmy na wiadomości ze Lwowa. Nie mogę pomyśleć o utracie kopalni! Precz, czarne myśli! Do roboty.

Podali sobie ręce i rozeszli się.

Po szerokich marmurowych schodach, wysłanych dywanem, szedł wolno Tadeusz. Co chwila odpoczywał, nabierał w płuca powietrza, chustką czoło ocierał. Z oczu jego patrzała na świat troska, smutek, żal. Zęby zaciskał, ręce prężył. Nie mógł dłużej znieść tego stanu. Zbudził się raptownie i, po trzy schody naraz przeskakując, wpadł na pierwsze piętro, posłał kartę przez służącego i wezwany wszedł do kancelaryi dyrektora.

Długo patrzeli sobie w oczy — długo, długo. Pierwszy starzec pochylił głowę. Odwrócił się, dwie łzy spłynęły mu z oczu — milczał.

Tadeusz przechodził męczarnie, nie miał sił pierwszy przemówić.

Starzec, nie odwracając się, zaczął.

— Tajny kredyt złapany. Odkryła go administracya państwa, jako opiekunka kasy. Mógłbym być dziś w więzieniu.

— Ja z tobą! zawołał Tadeusz.

Dyrektor się odwrócił.

— A to po co? ty od tego jesteś, aby brać, kiedy ci dają. Brałeś nie dla siebie. Jeszczeby czego brakowało? Chcesz wszystko odrazu zaprzepaścić. Jestem wolny, a więc o kryminale niema jeszcze mowy, dokończył po angielsku.

Tadeusz milczał, starzec również nie mówił. Trwało to dość długo — zniecierpliwiony Tadeusz ooezwał się:

— Co rozkażesz? czego żądasz?...

— Żądam miliona guldenów z tajnego kredytu.

— A zatem żądasz sprzedania kopalni wyżnickiej.

— Niczego prócz miliona guldenów.

— A ponieważ wiesz, że milion mogę dostarczyć sprzedażą Wyżnicy...

— W takim razie sprzedaj!

— I nie żal ci? Kopalnia ta twoje dzieło!

— Żal, odpowiedział, rozumiem, co robię, czuję wszystko, lecz muszę. Są wypadki, w których człowiek poświęca własne dziecko.

— Dzieckiem twojem kasa!

— Nie, krzyknął, nie o kasę mi idzie. Jej nic nie zrobi milion. Ani ją zbawi, ani ją zabije. Tu wchodzą w grę większe potęgi i większe namiętności, w imię których należy poświęcić wszystkie kopalnie, jeśli tego będzie potrzeba. Dziś potrzebny milion—i musi być milion. A że nie mogę go wziąć z kasy, żądam od ciebie. Mam prawo żądać, i nic mnie nie odstraszy, bo sprawa, dla której żądam,

przewyższa wszystkie inne, zaćmiewa, panuje nad wszystkiemi innemi.

Tadeusz blady, smutny, zasłuchany czy we własne myśli, czy w słowa starca, milczał uroczyście. Dyrektor długo patrzał na niego rzewnie, nareszcie szepnął:

— Odpowiedz! milczysz tak strasznie, jak Chrystus przed swymi sędziami.

— Wsłuchuję się w nieszczęście moje, odrzekł spokojnie.

— Na wiele szacujesz kopalnię w Wyżnicy?

— Towarzysze moi dziś cenią ją skromnie na trzy miliony lecz za parę miesięcy może być wartą pięć, za rok dziesięć, a może i więcej.

— A mimo to musisz ją sprzedać, rzekł uroczyście. Musisz, dodał z nerwowem wysileniem. Możesz dostać dwa miliony, milion oddasz mnie, drugi rzucisz w węgiel. On ciebie i mnie wyratuje odrazu. Węgiel jest złotem, nie nafta, której cenę można zabić. Węgiel to niezachwiane bogactwo, cywilizacya, potęga. Co znaczy jedna głupia kopalnia wobec węgla i jego wpływu na ludność Podkarpacia?!!

— Nie dostanę dwu milionów.

— Ile przypuszczasz?

— Najwyżej półtora.

— To masz na węgiel pół miliona!

— Gdym mógł jeszcze rok posiadać w swych rękach kopalnię, spłaciłbym cały tajny kredyt z procentami — i wtedy z dochodem z kopalni rzuciłbym się na węgiel.

— Nie można, nie można, szeptał starzec wzruszony. Przekleństwo wisi nad nami — nieubłagane fatum; wielkie wypadki, wielkie potrzeby zrywają się, rozwijają skrzydła i zasłaniają nam świat. I już nic nie widzimy, tylko te ponure wielkości, stojące przed nami, jak olbrzymie ściany, które łakną, żądają i biorą wszystkie nasze zasoby, nic nie zostawiając na dalszą pracę, na dalszy żywot.. Oto jest nasze przekleństwo! Dziś ten wielki potwór wielkiej idei żąda ode mnie miliona i muszę mu dać — przysięgłem. A choćbym nie przysiągł, dałbym, bo nie dać— nie mogę! Nie wymagaj ode mnie spowiedzi, więcej powiedzieć mi nie wolno. Żądam z tajnego kredytu miliona. Musisz go dać i dasz, bo wierzę w twoją uczciwość. Nie wątpię, że pojedziesz sprzedać kopalnię — i to ci tylko na drogę powiedzieć mogę: Nie wracaj bez miliona.

— To ostatnie twoje słowo?

— Ostatnie!

— I nieodwołalne, chociażby jutro kopalnia w mojem przekonaniu warta była dziesięć milionów — i te dziesięć można było dostać w rok?

— Chociażby dwadzieścia!...

— Musisz mieć wielkie powody.

— Powody konieczności, które, jak sępy, wiszą nade mną. Tadziu, kocham cię, jak syna, i kocham wszystko, co twoje!... Przemysł naftowy, wielkie zamiary, wielkie nadzieje.

— Możemy paść, szepnął Tadeusz.

— Możemy, lecz musi się spełnić zobowiązanie.

— Przekleństwo, szepnął Tadeusz.

— Nie przeczę. Jeśli i tych ofiar potrzeba, dam siebie i ciebie. Mam prawo do tego.

— Masz, jestem twoim niewolnikiem, związany łańcuchem dwu przeszło milionów tajnego kredytu.

— Nie mów tak, jesteś związany ideą.

— Nie znam jej!...

— A ja nie mogę spowiadać się.

— Musi być wielka, jeśli tak strasznych ofiar wymaga.

— Trwa tysiąc lat i trwać będzie jeszcze wieki, wielka, jak moc dwu narodów. Tu kończę.

— Czuję, że nie wyjednam żadnej u ciebie zwłoki.

— Żadnej! Nie wracaj bez miliona, to moja ostatnia prośba, to moje żądanie, mój rozkaz, dodał z siłą.

— Wyjeżdżam dziś wieczór, odparł sucho Tadeusz.

— Nie zobaczymy się?...

— Powiedzieliśmy sobie już wszystko. Nie należy jątrzyć ran, a milczeć, gdy jesteśmy razem — niepodobna.

— Prawda — żegnaj. Gdy się później dowiesz o powodach — przebaczysz.

Pocałował Tadeusza w czoło, schwycił go w pół i uścisnął.

— Przebaczyć? Cóż ja tobie mam do przebaczenia?...

— No, no, przerwał starzec. Mówisz gorzko, że aż serce cierpnie. Ale niech tam! — i ten ból jeszcze zniosę. Bądź zdrów, telegrafuj lub lepiej pisz.

Tadeusz opuszczał kasę w lunatycznym śnie, nie widział nikogo, nie słyszał, można go było obedrzeć. Patrzał przed siebie, nogi suwał wolno i miarowo, nie myślał, nie czuł prawie, troska go unicestwiła...

Izaak Goldwasser krążył koło niego, jak wesoła jaskółka, zaglądając mu w oczy. Odprowadził go na plac Maryacki i ulicę Koper-

nika, popędził na pocztę, zatelegrafował: „Przyjechał rano, u niego bawił całą godzinę, wyszedł pijany nieszczęściem".

Izaak.

Tadeusz zadzwonił do ciotki, otworzyła mu sama, spojrzała w oczy, podała rękę, zaprowadziła go do saloniku, posadziła w fotelu.

Chciała zawołać: „Gdy nieszczęście, wtedy przychodzisz", lecz słowa zamarły na jej ustach. Z oczu Tadeusza płynęły cicho łzy. O mało co sama nie załkała. Chwyciła chustkę i, przyciskając nią jego oczy, szeptała:

— Nie wiem, co cię spotkało, lecz jesteś mężczyzną, masz młodość — przetrwasz...

Myślała, że go Marynia dla Podiebrada zdradziła.

— A nie mówiłam ci, z sercem kobiety nie igra się. To wszystko zrobił „starzec", on was rozdzielił, i nie możecie się połączyć. Ostatnie zdanie ciotki oprzytomniło biedaka — zerwał się.

— Za pięć tygodni Marynia zjeżdża do Wyżnicy, stawiam z gwałtownością dom. Tymczasem „on" każe mi sprzedawać kopalnię, żąda zwrotu miliona z tajnego kredytu. I gdzie się teraz podzieję, co zrobię, gdzie przyjmę Marynię... Sprzedam Wyżnicę— nie zostanie mi nic, nic, drugi milion tajny i trochę długów własnych.

Ciotka zrozumiała ogrom nieszczęścia.

— Oszalał, zawołała, jak śmie ten „stary" zabijać cię?

— Gdzie ja Marynię podzieję?...

— Gdzie? wynajmę wam mieszkanie z meblami.

— I dalej będziemy żyć na łasce cioci. A kto za mnie zapłaci drugi milion z tajnego? wiszący nade mną, jak miecz?!.. Sprowadzać Marynię do mego domu, do mego sumienia, obciążonego długami, bez nadziei oddania, to przecie straszne, o tem nawet myśleć mi nie wolno.

— Straszne, powtarzała ciotka, straszne. Lecę do „starca", nauczę go rozumu. Powiem mu: głupcze, głupcze, jak śmiesz zabijać mi dzieci?!...

— Napróżno! Nie chodź! przeląkłby się, gdyby się dowiedział, że wiesz o tajemnicy tajnego kredytu. I nicby nie pomogło. Sam czuje, jaką mi wyrządza krzywdę, lecz cofnąć się nie może. Czytam z jego twarzy, że radby czekać i czekałby, gdyby mógł, gdyby mu wolno było, gdyby śmiał...

— Ależ on w kasie wszechmocny.

— Musi to być sprawa poza kasą.

— Cóż, biedaku, poczniesz teraz?

— Jadę do Wiednia sprzedawać kopalnię i rozmówić się z Marynią.

— Cóż jej powiesz?

— Wszystko... już czas, zasłużyła na moje zaufanie.

— Piękna mi zasługa!...

— Cóż jej powiem — nie chcę cię!... To już powiedziałem dwa razy. Nazywa mnie swoim mężem. Nędznie postępują mężowie, którzy kryją tajemnicę swego losu wobec żon.

— Ha! niech się dowie, będzie wam lżej obojgu. Będziecie się razem bronić, razem szukać ratunku, razem pracować i jeszcze się więcej kochać. Nic tak nie tuli do siebie, jak nieszczęście. Pod tym względem wygrałeś. Gdy cię wyspowiadasz Maryni, będzie cię więcej kochać, jeśli to możebne.

— Będzie mnie kochać litością.

— Dawniej kochała się dumą. Współczucie serdeczniejsze i cieplejsze. Niedola ludzi skuwa ..

Urwali oboje. Tadeusz myślał o Maryni, Urszula o obojgu. Patrzała na niego z uczuciem matki. Serce jej krajało się z bólu, chciała wybuchnąć łkaniem, krzyczeć... Żelazną wolą ściśnięte serce milczało.

— Na co on może chcieć tego miliona, poco?...

— Jest przekonany, że stokroć większe przyniesie korzyści krajowi, niż cały przemysł naftowy.

— Osidlony! lecz przez kogo?...

— Wzięty, zahypnotyzowany wielką jakąś myślą, wielką ideą, wielkością sprawy. I musi być wielka! Człowiek ten zrodzony do czynów, nimi tylko można go brać.

— Co to może być?...

— Niewolno się domyślać, boby to znaczyło, że go podsłuchuję. Milczy przede mną, widocznie musi.

— Musi, choć nie chce, powtórzyła ciotka. Przed tobą onby chciał mówić, byłby szczęśliwy, gdyby mógł mówić. Czekaj jeszcze ze sprzedażą Wyżnicy...

— Nie wolno mi czekać godziny, żąda pośpiechu. Czuję, że mu się pali pod stopami. Nie dla kaprysu rzuca w przepaść przemysł naftowy i moją kopalnię. On go jeszcze wczoraj kochał i wierzył w jego przyszłość...

— Gdy staniesz przed Marynią, co jej powiesz?

— Wszystko, ona teraz obejmuje władzę, jest wodzem, co postanowi, co rozkaże, spełnię. Wczoraj o te czasy z cyrklem i sznu-

rem pracowałem z murarzami nad dokończeniem fundamentów domu naszego. Marzyłem — zamilkł, nie mógł ze wzruszenia mówić.

— Biedaku, tyle nadziei! „On" cię wydobył—i „on" cię rzuca w przepaść, za co, za co?...

Tadeusz powstał.

— Nie rzuca. Nadto tragicznie bierzemy sprawę. Przyszłość w rękach naszych.

— Co myślisz?

— Dotąd nic. Przed godziną zaledwie piorun uderzył. Jeszcze jestem oszołomiony. Powoli przychodzę do siebie, i pierwszy refleks— nie rozpaczać, nie tracić nadziei. Sprzedać kopalnię i jednocześnie szukać nowych dróg.

Urszula wzruszona pocałowała go w czoło.

— Za to jedno kocham cię.

— Życie krótkie, na rozpacz powinniśmy jaknajmniej czasu tracić.

— Pojechałabym z tobą do Wiednia, gdybym odrobinę czasu miała, lecz, Bóg mi świadkiem, nie mogę!...

— Może my przyjedziemy do cioci!

— Nie mów, boję się, żeby mi serce nie pękło z radości. Gdzie idziesz?

— Telegrafować do Wyżnicy. Przyjaciele moi niecierpliwią się.

— Telegrafuj, to jutro cały Lwów się dowie.

— Mamy własny klucz. Wynalazł go, jak zawsze i wszystko, Wit. Niema czasu na listy.

— Nie przyjdziesz już do mnie?

— Za godzinę odjeżdżam!

— Gdybyś był szczęśliwy, nie wstąpiłbyś do ciotki.

— To znaczy, że ją kocham i wierzę w nią. O radościach moich dowiaduje się ciocia z dzienników, z listów Maryni, w nieszczęściach przychodzę sam skarżyć się na los i szukać w jej sercu ulgi.

Zbliżyła się do ucha Tadeusza i szeptała mu:

— Jeżelibyś przyjechał z Marynią, zajeżdżajcie do mnie, odstąpię wam całe mieszkanie, sama wyprowadzę się na ten czas. Pamiętaj, w moim domu Marynia będzie, jak w fortecy. No, nie trać fantazyi, Bóg dał, Bóg bierze... „jeszcze nie zginęła!..."

Pocałował go.

— I Bóg da, że jeszcze nie zginie—dokończył, wychodząc, Tadeusz.

Na poczcie telegrafował:

„Kopalnię sprzedaję, muszę, rozkaz!... Budowę domu wstrzymać. Intensywne wydatki ograniczyć do *minimum*. Wyjeżdżam za godzinę. Z Wiednia napiszę. Gdybyście w tym czasie dokopali się drugiego pokładu surowca i ten okazał się obfitszym od pierwszego, może byłbym uratowany. *Tadeusz.*"

Po drodze na kolej spotkał dyrektora. Starzec stanął, przeciął w powietrzu krzyż i patrzał.

— Niech się spełni — rzekł cicho. Dla wielkiej idei padają małe sprawy. Wielki dąb głuszy obok siebie wszystkie inne. Taki los i takie przeznaczenie.

Żal mi młodego przyjaciela, żal kopalni i przemysłu w Galicyi, wszystkiego żal, lecz cóż to znaczy wobec tak wielkiego dzieła! — pyłek. Nikt nie będzie wiedział, że to dzieło jest moje. Ale będą krzyczeć na mnie, żem wielkiemi ofiarami dźwignął przemysł, a potem go lekkomyślnie zabił... Żem barbarzyniec, głupiec, waryat, żem tyran, zabójca. Ale niech się spełni! Kielichy wypijają się do dna, do ostatniej kropli; po nich idzie śmierć, a po śmierci odrodzenie, zmartwychwstanie!

— Do dna, powtórzył cicho, do dna, taki los waryatów i proroków. Idąc, zataczał się, nogi pod nim drżały, serce ściskała nieznana mu dotąd tęsknota za nieznanem, którego nie umiał nawet oblec w ciało myśli. Tęsknił, szedł, zataczał się, patrzał w głąb swej duszy i przyszłości.

ROŹDZIAŁ VIII.

— Książę, do ciebie pierwszego przychodzę — przemówił od drzwi Tadeusz. Uratowałeś nasz przemysł, teraz staję przed tobą sam we własnej sprawie — ratuj mnie! Muszę, każą mi sprzedać kopalnię w Wyżnicy. Dziś ona jest warta trzy miliony, za tydzień lub miesiąc wartość jej może się podnieść do dziesięciu milionów.

Książę Grzegorz patrzał ze współczuciem na bladą twarz i gorączkowo świecące oczy młodzieńca. Wyciągnął rękę.

— To cięższa sprawa, niż pierwsza. W pierwszej zwyciężyła sprawiedliwość, bijąca w oczy, strach przed opinią, krzywdy, wołające o pomstę do Boga... Tu tylko interes osobisty, ocenienie wartości interesu, dobra wola i pewne ryzyko. Przynajmniej tak się będzie zdawać tym, którzy będą chcieli przystąpić do interesu. Ja jestem najbiedniejszy z rodziny. Ród nasz dźwigał się fartuszkami czyli wielkiemi wianami. Ożeniłem się bez wiana. Mój brat nad-

zwyczaj ściśliwy i, ażeby wziął w rękę najkorzystniejszy interes, ten musi mu być podany przez jednego z jego obozu. Wszyscy, których znam, traktują tego rodzaju sprawy, jak loteryę. Za guldena chcą wygrać tysiąc!—i nie ryzykować więcej nad guldena.

— Mogą — zawołał Tadeusz.

— Mogą, lecz tu trzeba dać więcej, niż guldena.

— Trzeba milion długu zapłacić i nic więcej — dorzucił Tadeusz.

Książę się uśmiechnął.

— W Galicyi nie znajdziesz nikogo, nawet nie złożysz towarzystwa, któreby mogło sprzedać akcyi za milion dla zdobycia dziesięciu milionów. Ludziom w Galicyi zdobycie stu milionów za milion wkładu zdawałoby się zamało. Społeczeństwo to w tym kierunku jeszcze tak mało jest rozwinięte, jeszcze tak dziecinne, takie tchórzliwe, tak ograniczone, że stajesz, jak pies do kuropatwy, ze zdziwienia nad odpowiedziami członków tego społeczeństwa. Zdaje ci się, że ci wszyscy ludzie są zdeprawowani loteryą liczbową... A tu nic innego, tylko kultura jeszcze nie dorosła do tej wysokości, lecz sięga zaledwo do hazardowej gry, do Monaco i giełdy.

— Niema nadziei złożenia towarzystwa, które mogłoby rozsprzedać akcyi za milion na interes wartości dziś trzech, jutro dziesięciu?

— Niema! jednak, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia, poruszę tę sprawę w Kole i poza Kołem. Napiszę do Paryża, do brata. Zostaw mi notatki i cyfry, przejrzę je, sprawę poznam i zacznę za nią gardłować. Licz na mnie do dziesięciu tysięcy. Stu takich, jak ja, masz milion. Czy ich znajdziesz? Sądzę, że jeszcze nie przeszedł czas. Wszystkie nasze nędze, biedy, niedołęstwo — to brak światła, nic więcej. Dźwignij rozwój, a znajdzie się wszystko. Lecz cóż, postęp idzie wolno, wolniutko! Oto moje zasady, nie jestem ani arystokratą, ani demagogiem, lecz trochę socyologiem—to wszystko.

— Ja zaś wierzę w twórczość—rzekł Tadeusz — jako konieczność życia.

— Tworzyć wiecznie, zawsze to zbliżać się do Boga. Kiedyś, za tysiąc lat twórczość będzie koniecznością życia jednostki. Dziś twórczość plącze się ciągle wśród ludzi, upada i dźwiga się, lecz trwa, żyje i rośnie wśród nas, jako najpiękniejszy kwiat ludzkości.

Spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się.

— Oto i ulubione nasze gadulstwo polskie wydobyło się na wierzch. Zamiast mówić o interesie my bujamy w tysiącletniej przyszłości — powiedział książę.

— Ostatnia księcia rada? — spytał Tadeusz.

— Puścić myśl konsorcyum lub spółki akcyjnej, lecz na nic nie liczyć.

— A dalej?...

— Dalej szukać kapitałów u obcych. Niemcy w tym kierunku stoją znacznie wyżej od nas. Gdybyśmy zaprowadzili w Austryi złotą walutę!...

— Przyjechałem z wypracowanym w tej sprawie referatem.

— Czy masz szanse?

— Bankierzy wiedeńscy i Rotszyldy są za złotem.

— W takim razie i Niemcy w Radzie państwa i rząd, a za rządem Koło polskie pójdzie za złotem. Wniosek twój zmieni się w prawo.

— I sądzę — dokończył Tadeusz — że, gdy tylko banki i kapitały zagraniczne będą miały pewność przeprowadzenia w Austryi waluty złotej — przyjdą do nas.

— Niezawodnie! co postanawiasz robić w tej chwili?

— Szukać ludzi do konsorcyum lub spółki.

— To najmniej prawdopodobny środek.

— Szukać kapitałów w Wiedniu.

— Pewniejsze.

— Przeprowadzać gwałtownie walutę złotą.

— Najpewniejsze. A milion to gruby grosz nawet w Wiedniu. U nas to niebotyczna góra złota. Jadę z tobą, a raczej za tobą wszędzie. Ty idziesz pierwszy, a więc rozkazuj...

Tadeusz się zawahał.

— Tak być musi, jeśli ma się coś robić. Jutro w izbie powiemy sobie, cośmy zrobili. Zdam ci raport.

Rozstali się. Tadeusz na „Pierścieniu opery" układał plany, co dalej robić. Spojrzał na grecki gmach, stojący na wzgórzu, zawrócił się ku niemu.

— To przecie mój dom w Wiedniu. Jestem prawodawcą państwa austryackiego, tu się zbierają, jak do matecznika, sprawy całej monarchii. Tu serce Austryi. Do serca, ogrzać się w jego cieple i słuchać tętna jego życia!

Wpadł do westibulu, na kurytarze.

— Kolego, witaj! — usłyszał za sobą głos.

Obejrzał się, szedł do niego uśmiechnięty Suess.

— Skąd? dlaczego tak późno? uciekasz, gdy wre tu walka? Miałem mowę, nie słyszałeś jej, jestem głodny, jak wilk teutoński, chodźmy, pogadamy.

Zasiedli przy małym stoliku, Suess ciężko oddychał.

— Z czem przyjeżdżasz? — rzucił pytanie.

— Z walutą złotą.

— Spodziewałem się tego. Tymczasem wtajemniczeni dzielnie w prasie pomagają ci.

— Muszę sprzedać kopalnię w Wyżnicy — mówił Tadeusz.

— Co? ależ to szaleństwo!

— Konieczność!...

— Zlituj się nad samym sobą.

— Muszę sprzedać lub pożyczyć milion.

— Taniej nie dostaniesz, jak na osiemnaście procentów. Płacić rocznie dwakroć sto tysięcy guldenów samego procentu bez upłaty kapitału — ciężko!

— Gdy zdobędziemy walutę złotą, procent na przedsiębiorstwa spadnie na dziesięć...

— Nie jestem finansistą, lecz wątpię, czy to tak rychło się stanie.

— Cóż mam robić?

— Nie sprzedawaj! Trzymaj się wszelkiemi siłami, wytrwaj, a zwyciężysz.

— Muszę!...

— Rodacy twoi mogliby cię uratować, lecz tego nie zrobią.

— Halb Asien — dodał z uśmiechem Tadeusz.

— Tak, halb Asien, radziby, lecz tego nie potrafią. Mają środki, mają możność, lecz czyn ten jest ponad nimi... Siedziałeś długo za granicą, mało ich znasz.

— Nigdy ich nie poznam. Umiem walczyć z ideami, z ludźmi nie potrafię.

— Biedaku, dlaczego raczej nie zostałeś tak, jak ja, profesorem, mógłbyś wiedzę zbogacać...

Zamilkł.

— Będę oszukiwanym — dokończył Tadeusz. Na to jedyna rada—stworzyć szkołę naszych własnych ludzi, którzyby byli z nami nie dla geszeftu, lecz dla idei. Idea ludzi oczyszcza...

— Kultura ludzka jeszcze na to nie pozwala, u was więcej, niż gdzieindziej — odrzekł profesor.

— U nas łatwiej, niż gdzieindziej, znaleźć ludzi idei.

Suess się uśmiechnął.

— Czy w Kole polskiem? — zapytał. Przecież to reprezentacya narodu.

— Nie, to reprezentacya partyi i rządu. Naród co innego. My mamy wobec siebie wartość tylko o tyle, o ile jesteśmy ludźmi idei. Bez idei jesteśmy zręcznemi zwierzętami, handlarzami trzodą, lecz

nie ludźmi. Ludzkość żyje w idei. U nas człowiek bez idei wstydzi się tego i udaje, że posiada ją i kocha. Ten wstyd i to udawanie mówi o jej sile i poszanowaniu, jakie ma w społeczeństwie. Idea tkwi w Polakach i Słowiańszczyźnie. My ją wam niesiemy i przyniesiemy i nią odmłodzimy was, jak wy odmłodziliście Rzym i jego państwo.

Profesor się zamyślił.

— To jeszcze bardzo dalekie — szepnął.

— Ale konieczne, jak fatum...

— Jestem geologiem i mało się na tych kwestyach rozumiem.

— Ale rozumiesz profesor wybornie prawa i porządek natury. W imię tych praw i tego porządku my się zbliżamy, i nic nas nie zatrzyma.

— Ha, być może, jutro, lecz cóż dziś będziesz robił?

— Szukał pieniędzy i wprowadzał do Austryi złoto.

— Możeby Niemcy zrobili konsorcyum lub towarzystwo akcyjne dla ciebie?

— Zrobią, lecz pierwej kupią kopalnię i, jako swoją, puszczą na akcye.

— Mądry to naród nasi bankierzy.

— Oni jedni w Austryi rozumieją interes — odparł Tadeusz. W końcu będę musiał zwrócić się do nich, ale to w ostatnim razie. Gdy poczują, a węch mają delikatny, potrzebę z mej strony, obedrą, jak nikt.

— Hyeny naftowe — jak ich nazywa mój kolega.

Przewodniczący przerwał posiedzenie na godzinę, cała masa posłów wytoczyła się na kurytarze, obstąpiła bufety. Gwar, hałas, głośne rozmowy, koncepta, wybuchy gniewu i wesołości wrzały. Ojcowie narodu, tak zawzięci w izbie, nieugięci, namiętni, tu na korytarzach wyzuwali się ze swoich koturn, zmieniając się w rubasznych szlachciców, potulnych bürgerów, wesołych profesorów, wykwintnych panów... Tworzyły się grupy i znikały. Panował jeden wielki chaos i zgiełk, z którego odrywały się rozprawiające pary i znowu wracały do odmętu...

Telegramy, dzienniki, korespondencye, ogłoszenia, wrzawa i zgiełk, obóz bez wodza, armia w rozsypce na biwaku...

Wszyscy witali Tadeusza serdecznie: Niemcy, jako młodzieńca o szerokich poglądach i szerszych aspiracyach, większość Koła, jako człowieka, który ją uratował przed kompromitacyą wobec całego kraju...

Raptownie stanął przed nim prezes poważny, łaskawie uśmiechnięty.

— Czekamy — mówił, witając się. Już trzy razy byłeś kolega niezbędny. Raz poleciłem telegrafować po pana. Dobrze, żeś się zjawił! Cóż nafta?

— Nie umiera, więc żyje i gramoli się...

— I na nią kolej przyjdzie, wypłynie, byle cierpliwości. Cóż Wyżnica?..

— Rozwija się gorączkowo — szyby i domy z pod ziemi wyrastają.

— A pańska kopalnia?

— Trzydzieści szybów pompują.

— Niezła fortunka, jak na początek.

— A jednak — rzekł Tadeusz, oblewając się ponsem — muszę sprzedać moją kopalnię.

— A to dlaczego? — prezes zrobił wielkie oczy.

— Wierzyciele zażądali ode mnie zwrotu miliona długu. Muszę oddać.

— A co, nie mówiłem? że to całe nafciarstwo to przelewanie z próżnego w puste.

— Przeciwnie z próżnego w pełne.

— Więc cóż myślisz?

— Założyć konsorcyum, spółkę, towarzystwo akcyjne, spłacić milion, a zarobić dziesięć.

— Szczęśliwej drogi, lecz ja do tego nie przykładam ręki. Jestem rolnik, w naftę nie wierzyłem i nie wierzę, a powiem ci prawdę, to hazard, gra, a każdy hazard i gra to demoralizacya; bo nie wiesz, co jest w ziemi.

— Wiem! — zawołał Tadeusz.

— Ryzykujesz milion w nadziei, że wygrasz trzy lub pięć.

— Nic nie ryzykuję!

— Jakto nic, pożyczyłeś milion.

— Gdy byłem pewny, że nie ryzykuję. Zaryzykowałem dwadzieścia tysięcy na ustawienie i wykopanie jednego szybu.

— Choćby i to grosz. Ubogi szlachcic wziąłby za nie dobrą dzierżawę i ożenił się!...

— Dotąd wydobyłem z nafty trzy miliony.

— I gdzież je masz?

— Wspólnik mój pan Edward wziął półtora, księżna do dziś dnia pół miliona.

— A milion?

— Rzuciłem w przedsiębiorstwo.

— Czy nie w błoto? Tak się kończą wszystkie spekulacye

naftowe. Tak i pan skończysz, mój drogi, to nie dla szlachcica polskiego zabawa, choćby praca i stanowisko. Dla nas pług i miecz. Szlachcic, gdy ma ziemię, orze ją, a gdy jej niema, przypasuje szablę i idzie do wojska. Nowe akcyjne towarzystwo, to nowe bankructwo — przepowiadam ci! Teraz rozumiesz, dlaczego byłem przeciwnikiem nafty i jestem, chociaż milczę. My na te wszystkie awantury nie mamy pieniędzy. Chcesz próbować, idź do spekulantów, bankierów, giełdziarzy, oni lubią ryzyko, namiętności, hazard.

— Ależ na Boga, ekscelencyo, to nie hazard.

— Nie? stawiasz na loteryi nafty milion, a chcesz wygrać trzy, pięć, dziesięć. Przegrasz—i milion dyabli wezmą, zubożysz biedny kraj na milion.

— Nie przegram!

— Wszyscy gracze tak mówią! Nie głupim, padam do nóg.

Majestatyczny prezes, oróżowiony wymową i słusznem oburzeniem, odszedł wolno ze względu na stan swego zdrowia, w duchu rad, że zgnębił Tadeusza, że się na nim zemścił za oclenie nafty i za to, że mu odebrał lekarza, przywiązanego do jego osoby, w Kole, w izbie i na wszystkich posiedzeniach.

Widział żywość rozmowy Suess. Z brzmienia głosu domyślił się starć, przeczuł, że o naftę chodziło.

— Cóż, kolego—odezwał się wesoło profesor. Pańskie projekta padają, jak budki z kart. Może się „zbliżacie", lecz sam przyznaj, że jeszcze jesteście daleko.

Zaśmiał się.

— Przyznaję — rzekł smutno Tadeusz.

— Ty ich jeszcze nie znasz. Miałem czas przypatrzyć się im bliżej przez całe sześć lat. Idź do klubu i zobacz, jak niektórzy z nich grają!... Jeden wasz panicz wygrał dwa miliony franków w Monaco, a tydzień temu przegrał milion w klubie. Gdybyś mu przed przegraniem powiedział: rzuć wygrany milion na moje przedsiębiorstwo, a zdobędziesz pięć...

— Onby mi powiedział, — dokończył Tadeusz — że w *trente quarante* są równe szanse, a w pańskiej grze nie widzę stawki, która siedzi pod ziemią.

— A gdybyś go chciał zawieźć do kopalni i pokazać mu swoje stawki, nie pojedzie, nie będzie miał nawet ochoty. U ludów pół barbarzyńskich gra jest namiętnością, zmieniającą się w miarę rozwoju w namiętność do wielkich przedsiębiorstw, choćby najryzykowniejszych.

— U nas, widocznie, jeszcze zawcześnie — szepnął Tadeusz — u nas dotąd jeszcze idyotyczna gra.

— Lecz ktoś musi zacząć, dodał Suess. Pionierom nie jest dobrze na świecie, ale pionierzy zdobywają świat, on do nich należy — dodał z mocą. Pomyśl, że w dziewiczych lasach drogę wyrębujesz, kradniesz ogień bogom—i to już do rozkoszy należy.

Tadeusz wyciągnął rękę.

-- Proszę o koleżeńską pomoc w walucie.

— Zawsze! jeśli chcesz, wniosek twój wszyscy poprzemy. Oczekuję pańskiej wielkiej mowy. Współpracowników w prasie masz świetnych. Ze sprzedażą kopalni zatrzymaj się, póki nie będzie pewności, że złoto przejdzie. Czy możesz powiedzieć jeszcze coś nowego w swej mowie?

-- Wszystko nowe od treści do zwrotów! —rzekł wesoło Tadeusz.

—· Ho, ho! staniesz odrazu na wysokościach. Do widzenia.

Rozumny Niemiec, śmiejąc się w duchu z tych bohaterskich narodów, które, padając, śpiewają na cześć zwycięstwa i wołają: „nie zginęła", poszedł do uniwersytetu wykładać swój przedmiot. Tadeusz, przywitawszy się z nafciarzami i lewicą w Kole, wyszedł zgnębiony na „Ring wiedeński". W parlamencie nie widział pana Edwarda, nie chciał go zastać w domu, nie, żeby się go bał, lecz, że mógłby mu przeszkadzać i dręczyć go banalnością rozmowy.

Po drugiej stronie ulicy przechodził bankier Otton. Kamienna jego twarz dziwnie promieniała. Na widok Tadeusza rozwarł ręce i szedł do niego.

— Czekamy, — mówił — niecierpliwimy się, w kotłach naszych zaczyna już pary brakować, a pan się nie zjawiasz?...

— Sądzę, żem się nie spóźnił.

— Jeszcze nie, lecz jutro byłoby zapóźno. Kiedy pan stawiasz walutowy wniosek?...

— Dziś wieczorem w Kole polskiem.

— Będzie przyjęty!... Szefowie sekcyi w ministeryum skarbu są za złotem, rozumie się, i minister. Dalej Rotszyldy i dwór.

— Lewica — dokończył Tadeusz za mną, jak jeden mąż.

— Jeśli dwór, to i katolicy. Zostają chłopi niemieccy i paru bimetalistów, lecz ci nie wchodzą w rachubę.

— A zatem złoto pójdzie?!...

— Nie wątpię, że pan mową swoją olśnisz izbę, Wiedeń i Austryę, i to nawet wtedy, gdybyś tylko wybrał ustępy z artykułów naszej prasy. No cóż, dobrze atakujemy?...

— Zajęty pracą w kopalni nie czytywałem wiedeńskich dzienników.

— Nawet *N. F. Pressy?*

— Nawet!...

— Co za szkoda, jakże sobie dasz pan radę?

— Potrzeba nowych poglądów i nowych dowodów.

Bankier wiedeński rozwarł szeroko oczy. Dla niego Wiedeń, a w nim Nowa Pressa były wyrocznią. Cały swój rozum czerpał z tego dziennika, myślał jego etyką, był mądry jego rozumem, dumny jego moralnością... Uczył się estetyki, historyi i filozofii ze szpalt tego pisma. Zdumienie jego było wielkie, że jakiś na pół z Azyi młody szlachcic śmie mówić, że poza Nową Pressą jest jeszcze jakiś inny rozum, głębszy, subtelniejszy.

— Ha — rzekł — jeśli możesz pan mieć nowe, i te będą lepsze, to—to i owszem!

— Będą głębsze, jaśniejsze i szczersze — rzekł łagodnie Tadeusz.

— O, szanowny pośle, niedługo będziesz uczył rozumu Austryę!

— Gdyby się ona mogła tylko czegoś nauczyć. Wasza prasa uczy ją już nieco spleśniałego rozumu, zjedzonego przez czas i postęp. „Nowa Pressa" jest to stara ladacznica, udająca pobożną dewotkę, stara dyplomatka, stara komedyantka, stara osiemnastego wieku polityczka, stara moralistka, w której można wszystko za gotówkę kupić, siostrę własną — Austryę...

— Cóż za gorycz opanowała pana po przyjeździe do naszego miasteczka! — mówił bankier spokojnie, chociaż sucho.

Tadeusz spostrzegł, że idzie z nim entuzyasta „Nowej Pressy", i odparł:

— Istotnie, jestem skłopotany, a zły, że w pierwszym moim publicznym występie będę popierany przez to pismo.

— Skłopotany, cóż takiego?...

— Nie cierpię kupować, sprzedawać, handlować. Moją namiętnością—praca, rozkoszą—twórczość, a zamiarem—siedzenie w kopalni, w naszych lasach. Przyjeżdżać do Wiednia pragnę tylko wtedy, gdy będę mógł i umiał coś tak ważnego przeprowadzić, jak dziś złoto.

— A ponieważ mojem zajęciem i upodobaniem jest kupować i sprzedawać, może mogę panu posłowi pomódz. Za wprowadzenie złota do Austryi należy się panu ze strony całego naszego świata wdzięczność. Jeśli nie jest to pańska osobista tajemnica, powiedz, będziemy radzić, jak dwaj przyjaciele. Może sam kupię, a jeśli nie

kupię, poradzę. Znam tutejsze rynki pieniężne i przemysłowe. Zamilkł, wpatrując się w Tadeusza, który chciał jak najprędzej zrzucić z siebie ciężar.

— Fatalizm — rzekł cicho i przestał.

— Fatalizm rządzi światem i ludźmi — szepnęła kamienna twarz i również zamilkła.

— I on-to każe mi sprzedawać kopalnię moją w najwyższym rozkwicie, gdy czuję, że będę mógł z niej miliony wydobyć.

— Co pan będziesz mógł, to już nie należy do rzeczy, lecz o tem mówić, co jest. Wykaz z ksiąg przywiozłeś pan?

— Mam je.

— Przyślij mi pan wyciągi z ksiąg, mapę, oznaczenie w przedłużeniu linii naftowej i wszystko, co masz, abym się mógł zoryentować w sytuacyi, a sam bierz się ostro do sprowadzenia obcego złota do Austryi, zwycięż] i wracaj do mnie. Tu wszystko można sprzedać. Austrya nie jest tak biedna, za jaką się przedstawia ze strachu przed fiskalizmem. Bądź pan dobrej myśli. Na mowie pańskiej w izbie wyszukam sobie miejsce w loży, będę bił brawo i entuzyazmował tłumy. Oczekuję pana co dzień w swojem biurze lub w domu. Przyjęcia u mnie w poniedziałki, zobaczysz i Katti... Ochłonęła z miłości, bo zdaje się, przestała wierzyć w twe miliony, wyrosła na damę, podobno ma konkurenta. A wiele pan płacisz procentów księżnie z jej gruntu? — zapytał znienacka.

— Dwadzieścia pięć.

— Suma wcale okazała, lecz można ją bez uszczerbku znieść. To nie pięćdziesiąt procentów przyszłego teścia. Teściulo skorzystał z miłości panicza do jego córeczki i poderżnął go niemiłosiernie.

Tadeusz wystraszony patrzał na kamienną, w tej chwili piekielnie uśmiechającą się twarz.

— Nie obawiaj się pan, nie będę o tem opowiadał w kurytarzach parlamentu. Tylko, że wiedzieć wszystko to w handlu pierwsza zasada. Jak najmniej zakrytych kart! No, do widzenia, bohaterze galicyjskiego przemysłu ze strachem do interesów i geszeftów!... Gdyby to twój teść miał twój rozum, jakże byłbyś bogaty. On umie handlować! Dlaczego wy razem nie idziecie? Onby mógł kupić pańską kopalnię, onby umiał za pana handlować.

— Znasz go pan? — zapytał Tadeusz, roztargniony nowemi myślami, rozsadzającemi mu mózg.

— Mało osobiście, lecz z opinii, jako człowieka, widzącego, jak trawa rośnie.

— A więc rozdzielamy pracę — ja nad walutą, pan nad kopalnią moją, papiery dziś wyślę do biura.

— Oto adres — rzekł bankier, podając mu kartę wizytową.

Tadeusz wskoczył do przejeżdżającej dorożki, kamienna twarz weszła do Sachera, rozsiadła się wygodnie w fotelu, zapaliła guldenowe cygaro, popijała po odrobinie wybornego szampana.

— A więc największa kopalnia, krwawym potem biednych idealistów wybudowana, stacza się do nas za głupi milion, za jeden głupi milion!... Gdy my ją weźmiemy w nasze ręce, wartość jej odrazu dźwigniemy do dwudziestu milionów. Za jeden milion zdobyć dwadzieścia, siedząc spokojnie u Sachera przy szampanie—na to trzeba mieć nasz rozum! Nie boję się konkurencyi w Wiedniu. W Kole polskiem, mimo że zasiadają w niem profesorowie ekonomii politycznej, niema ani jednego, któryby sprawę zrozumiał i chciał się nią zająć... Wolą oni polować na urzędy, na ministerya, dyrektorstwa, niż zająć się rozwojem bogactwa swego narodu. Co ich to obchodzi?...

— Nie boję się konkurencyi i w kraju, bo gdyby mogła być, toby ją odszukali stary dyrektor i młody entuzyasta.

Do szampana kazał podać kawioru i dalej snuł myśli wesoło.

— Zagrałem świetnie! Władza, kasa, kontrola, dygnitarze, namiętności, ambicye, walka, polityka, wszystko... a ja na tem zarabiam dwadzieścia milionów i zdobywam je tylko tem, że rozumiem interes. Gdyby w Galicyi lub Kole rozumieli interes, to sama chciwość kazałaby im chwycić się go rękami i nogami. Niema ani jednego, i dlatego, kochane dzikusy, pracujecie dla nas, ładujecie nasze kieszenie, a sami zginacie karki, uganiając się za synekurami, orderami i tytułami, gdy, mając pieniądze, moglibyście, jako panowie, żądać lub kupować... Wełny na waszych grzbietach nie umiecie nawet ostrzydz i do ostrzyżenia przywozicie ją tu. Wobec tego faktu któż śmie zaprzeczyć, że niema ras wyższych i że niższe wiecznie zostaną na usługach wyższych? Murzyni—białych, Słowianie—Germanów. Któż śmie o tem wątpić? Jeden ideolog o altruistycznych mrzonkach...

— Teść mógłby kupić kopalnię. Ale na drodze do tego rozumnego kroku stoi Podiebrad i śmieszne a niezwyciężone ambicye szlachcica... One to sprowadzają mu złote sny, one mu pozwalają marzyć, że, trzymając się poły czeskiego pana, może się dostać na dwór, tem więcej, gdy wielki ten pan może być jego zięciem. Podiebrad stoi na straży i nie pozwoli prostej logice i sprytowi szlachcica wydobyć się. Podiebrad i próżność oślepiły go. Poza nimi nic

nie widzi, nic nie rozumie, a nienawidzi Tadeusza, zazdrości mu i przeklina go. Podiebrad dobry wynalazek na szlachciców polskich. Chociaż to nie mój wynalazek, potrafię z niego skorzystać. Z szyderstwa poradziłem Tadeuszowi, czyby przyszły teść nie kupił jego kopalni. Projekt ten więcej ich jeszcze rozdzieli i poróżni...

Zaśmiał się wesoło, szampana skończył, nowe cygaro zapalił — wstał.

— Czy to ja jestem taki zręczny i taki dowcipny, że nie boję się rozumów wszystkich mieszkańców Galicyi?... Gdzietam, to tylko idealna głupota tych, którzy wełnę na swych grzbietach sami przywożą tutaj do nas do strzyży...

— Strzydz! strzydz! to nasza działalność i nasz jedyny rozum stanu!... Nie jestem ani filozofem, ani profesorem, ani statystą— mogę być głupim, lecz rozumiem interes i umiem tak nim pokierować, aby sam wpadł w moje ręce. Izaaku Goldwasserze, wart jesteś milion za twe wiadomości, a dostaniesz jeszcze raz stówkę, abym cię miał na zawołanie, zawsze łaknącego, zawsze gotowego, wiernego i czujnego.

Tadeusz, podniecony i rozgorączkowany, pędził do mieszkania pana Edwarda. W salonie zastał go samego.

— A... a... kochany kolega już w Wiedniu?

— Dziś w Kole polskiem stawiam wniosek przeprowadzenia w Austryi „waluty złotej”.

— I chcesz poparcia? Bardzo dobrze, będziesz je miał, jeżeli prezes Koła również cię poprze. Zabezpieczyłeś sobie większość w Kole dla swego wniosku?

— Nie.

— A to źle, to niedobrze...

— Mam całą prasę za sobą.

— To nic nie znaczy.

— Mam dwór...

— To tak gadaj! Może byłeś u cesarza?

— Nie, lecz niezawodnie sam mnie wezwie...

— Wezwie cię sam?!... Z naszych tylko prezesa i ministra sam wzywa. Skądże wiesz o tem, kto ci mówił?...

— Wiem, że cesarz chce waluty złotej i pragnie się rozmówić z wnioskodawcą.

— To co innego... Musisz mieć dobre wiadomości?

— Najpewniejsze.

— Kiedyż wystąpisz w izbie?

— Dziś Koło postanowi, pragnę jak najprędzej.

— Jesteś przygotowany?

— Postaram się.

— Pamiętaj, że pierwszy występ decyduje o twej politycznej karyerze — ostrzegam!... Cóż dalej myślisz?

— Sprzedać kopalnię w Wyżnicy i poświęcić się życiu politycznemu.

Pan Edward osłupiał.

— Co? kopalnię—wyzbywasz się jej? A twoje idee, a twoje marzenia, a twoje zasady, a twoje wszystko, a twoje Podkarpacie, zasiane fabrykami, a wielki przemysł, a odrodzenie Galicyi?...

— Dawać dobre prawa to także odradzać.

Przerażony, zrozpaczony Edward wyciągnął ręce.

— Ty, taki wielki przemysłowiec, miałbyś marnieć na bruku wiedeńskim, aby raz na kwartał mówkę wygłosić w parlamencie—ty?...

— Mógłbym zostać w Galicyi, utrzymać się w posiadaniu kopalni w Wyżnicy, lecz potrzebuję za parę dni miliona.

Pan Edward stanął osłupiały.

— Miliona za parę dni? żartujesz sobie lub spadłeś z księżyca?

— Spadłem wprost via Lwów z Wyżnicy. Interes, jaki przedstawiam, jest świetny, o czem pan wiesz, a zarobiwszy ze mną najmniej dwa miliony, wierzysz, że nie żartuję.

Edward zaczął się śmiać nerwowo.

— A zatem powinieneś pan wierzyć, że proponowane przeze mnie interesy mogą być świetne.

— Dlatego, że jesteś rozumny, ale nie dlatego, żebym miał zarobić na tobie miliony. Mój drogi, pomyśl tylko!...

— Myślę i sądzę, że, gdybyśmy znowu zrobili spółkę, byłaby ona dla pana wielką korzyścią, a dla mnie ratunkiem.

— Mów, dziecko, spokojnie i szczegółowo.

— Kopalnia moja w Wyżnicy dziś warta trzy miliony. Za przystąpienie do spółki z milionem będziesz pan brał dwadzieścia pięć procentów, księżna za grunt bierze tyleż, mnie za moje trzy miliony zastałoby pięćdziesiąt procentów...

Edwardek frasobliwie przeczył głową.

— Nie chcesz pan? to pożycz na trzy lata milion na dziesięć procentów, a nareszcie na dwadzieścia. Zahipotekuj go na całej kopalni. Po trzech latach odbierzesz milion, lub zlicytujesz kokopalnię.

— Ja miałbym cię licytować—ja? Tadeuszu, pomyśl!

— Jestem pewny, że nie będziesz pan potrzebował robić sobie tej przykrości, bo go spłacę.

— A gdybym musiał, chcąc co nieco ratować, jeśli naftula się wyczerpie?

— A jak przyjdzie ropa z drugiego pokładu? a przyjdzie, jesteśmy już dziś na pięciuset metrach.

— A jak nie przyjdzie i w sześciuset metrach?

— Mamy jej dosyć w pierwszym pokładzie, wystarczy na wypłacenie takiej drobnej kwoty, jak pański milion.

— Mój czy nie mój, milion jest milionem. Panie Tadeuszu, szastasz milionami, jak ja szóstakami. Tego niewolno w naszym biednym kraju...

Tadeusz się rozśmiał.

— A wolno zaprzepaścić interes, który jest wart kilka milionów, a jutro będzie wart od dziesięciu do dwudziestu?! I dlatego w tej chwili nie chcę już spółki, lecz żądam pożyczki miliona guldenów na lat trzy.

— Ja nie mam, Tadeuszu drogi, gotówki—kupiłem dwa prześliczne majątki, jeden leśny, drugi pszenny...

— To tem łatwiej panu dostać milion.

— Czy myślisz, że nie są obciążone, to się grubo mylisz.

— Będziesz pan odbierał — mówił dalej żywo Tadeusz — zamiast czterdzieści tysięcy procentów, sto dwadzieścia tysięcy rocznie, trzy razy tyle, a po trzech latach odbierzesz milion.

— Nie mam, Tadziuniu, przysięgam ci, nie mam!... Ale mi w tej chwili błysnęła szczęśliwa myśl—świetna myśl!...

— Słucham!

— Ja nie mam, ale Podiebrad ma w banku wiedeńskim podobno sześć czy dziesięć milionów, złożone na cztery procent. Powiesz mu, pożyczy ci...

Tadeusz zbladł, zaciął usta, poczerwieniał, pochwycił kapelusz.

— Gdzie? — zapytał pan Edward.

— Jeżeli pan nie wierzysz mi — zaczął wolno Tadeusz — pan, któremu złożyłem wielkie dowody mej prawdomówności i znajomości rzeczy, to Podiebrad, znając mnie tak mało, weźmie za łotra, chcącego korzystać z chwilowej z nim znajomości. Dziękuję panu za projekt postawienia mnie w tak miłej kolizyi.

— Tadziu, nie to myślałem, chciałem mu sam zaproponować spółkę z tobą.

— Dziękuję...

— Co do mnie, gdybym miał milionik, leżący w banku, dałbym ci dziś, zamknąwszy oczy.

— Nie zgodziłbym się na to, musiałbyś pan sam jechać do Wyżnicy zobaczyć i przekonać się, za co dajesz.

— Kiedy ja ci wierzę.

— Dziękuję za wiarę i nie chcę jej.

— Ale ja ci wierzę, i cóż mi zrobisz? Nie mam gotówki—może ją później będę miał.

— To ostatnie słowo pańskie?...

— Ostatnie, Tadziuniu! Kocham cię i dlatego nie chcę cię bałamucić...

— Żegnam pana — rzekł Tadeusz. W spółce ze mną zarobiłbyś pan pięć milionów. Lecz cóż, jesteście niepoprawni egoiści... Gdyby zamiast mnie stanął przed panem pański propinator i ofiarował ci stokroć razy gorszy interes, zamknąłbyś się pan z nim na pół dnia w swej kancelaryi, liczył, myślał, kłócił się z Żydem i dałbyś się wziąć. Gdyby ci zaproponował bankier wiedeński, byłbyś bardzo dumny z propozycyi. Ale że ci proponuje uczciwy człowiek, na którego bezinteresowności zrobiłeś miliony, uciekasz od niego. Boisz się, sam nie wiedząc czego?... Żal mi pana, lecz i na was za grzechy waszego egoizmu ciąży przekleństwo. Bądź pan zdrów, odwrócił się i wyszedł.

Pan Edward z wyciągniętemi rękoma stał, patrzał, słowa zamierały mu na ustach, myśl pracowała błyskawicami.

— Zerwał się, poszedł i pewno nie wróci. Dom mój zamknął sobie sam, ja mu go nie zamykałem, broń Boże!

Zmęczony usiadł.

— A nuż w tej chwili straciłem pięć milionów?... Gdyby to była prawda, możnaby było z samej wściekłości powiesić się, lecz jakże mu wierzyć, kiedy to marzyciel, fantasta, a nie wierzyć Żydowi, kiedy Żyd—chodząca praktyka?! Rzucić milion, cóż mnie się zostanie?! Dlaczego go u innych nie szuka, tylko u mnie? Czyż to ja jeden na świecie mam pieniądze? Mało ich u bankierów, znających się na interesach? myślał, że starego wróbla weźmie?...

Wstał, wdziewał wolno rękawiczki.

— Jeżelibym w tej chwili stracił pięć milionów, tobym się kazał wybatożyć. Stanąć wobec Podiebrada, mając więcej o pięć milionów, to coś znaczy! Dziewięciomilionowy pan to potęga, która może śmiało w oczy patrzeć Podiebradom i książętom udzielnym...

Mimowoli wyjrzał oknem.

— Gdzie on poszedł i co robi?... Może się poradzić starej księ-

żny Pawłowej? Szkoda, że tu mego Żyda niema?! Może po niego zatelegrofować? I zaraz Żyd kazałby sobie zapłacić dwieście papierków kosztów — to przecie szkoda...

Pojechał, przekładając radę starej księżny Pawłowej, jako nic niekosztującą. Miliona żałował, łaknął pięciu, bał się, szukał wymówki przed własnem sumieniem i w takiem usposobieniu stanął przed starą księżną, która dla podtrzymania stosunków i przyjemności zjeżdżała do Wiednia.

Pan Edward zapomniał matronie, a jak ją nazywał, i weredycz-ce zmaltretowania go w pamiętnym dniu przejażdżki Maryni z Tadeuszem po ulicach Lwowa. Księżna przebaczyła mu złe wychowanie córki z tego tylko względu, że córka była sierotą i nie miał kto, na żywy Bóg, zająć się nią. Musiała więc nabrać manier huzarskich. Gdyby ją oddał do „Sacré coeur”, choćby lwowskiego? Lecz w czasach dzieciństwa Maryni pan Edward był jeszcze mało znanym szlachetką. Z powodu tak nieszczęśliwego zbiegu niemożności wychowania Maryni w „Sacré coeur” musiała księżna przebaczyć biednemu ojcu. A że na innych punktach wybornie się rozumieli, musieli się zbliżyć do siebie. Księżna potrzebowała na wysługi szlachcica, który znał Wiedeń i wiedział, jak w nim trawa rośnie, a szlachcic za to, że księżna raczy się nim przyjacielsko wysługiwać, czuł dla niej nieograniczoną wdzięczność.

Wartość szlachcica w oczach starej księżny wzrastała w miarę wzrostu majątku. A pan Edward, aby się zrównać z arystokracyą, kupował majątki, ile mu jego spryt i gotówka pozwalały...

— A! to kochany pan? — rzekła księżna, udając, że chce powstać na przywitanie.

— Księżno pani! — zawołał — zasłużyłem sobie na tyle, aby mnie witać, jak pierwszego sługę i domownika.

— Jak starego, wypróbowanego przyjaciela — poprawiła go księżna. Siadaj pan przy mnie, gdy się przywitasz z Anulką.

Edward zwrócił się do damy, siedzącej przy księżnie i rzekł:

— Hrabianka dziś wygląda, jak wiosenny kwiat.

— Pochlebco! — odparła księżna. Gdy wszedłeś, zarumieniła się, i dlatego ta żywość barw na jej buzi. Hrabianka Anna uśmiechnęła się łaskawie.

— Siadaj tu, będziesz mógł patrzeć na Anulkę swobodnie i porównywać ją do wszystkich kwiatów, lecz naprzód posil się.

— I znowu przykrości i zmartwienia — szepnął szlachcic żałośnie, siadając.

— Cóż nowego?... Czy nie ze strony córki?

— Nie, od czasu, jak się pogodziła z Podiebradem, a Tadeusz siedział w Galicyi, miałem spokój. Tadeusz wrócił...

— I dalej?

Obejrzał się niespokojnie.

— Mów, Anulka nasza, służba umie milczeć.

— Zażądał ode mnie miliona.

— Oszalał — rzekła księżna. Jakiem prawem, skąd, za co?

Anulka zrobiła surową minę.

— Właśnie nie wiem, jakiem prawem.

— Kto go upoważnia w naszym biednym kraju szastać milionami?...

— Właśnie to samo mu powiedziałem.

— A on?

— Że miliony tworzą miliony...

— Tam, gdzie są? Cóż ci za ten milion przyrzeka?

— Spółkę lub dwanaście procentów na trzy lata.

— Spółkę już z nim miałeś i wycofałeś się.

— Ta-ak — szepnął pan Edward.

— A u nas — dodała Anulka cicho, lecz wyraźnie — wysokie procenta są zasadzką na rabunek kapitałów.

— Co za powiedzenie — zawołał pan Edward — jak gdyby wyjęte z ekonomii politycznej.

Księżna się łaskawie uśmiechnęła.

— Kochana ciociu, to zdanie mego ojca.

— I bardzo sprawiedliwe — dokończyła księżna. Cóż pan powiedziałeś temu „comis" milionów?—zwróciła się do Edwarda.

— Żeby pożyczył od Podiebrada, ma ich w banku dosyć.

— Wybornie, wybornie. Cóż on na to?

— Obraził się, pochwycił kapelusz, wybiegł, stosunki zerwane.

— Nowa wygrana, byleby księżna Wyżnicka nie bruzdziła, ułatwiając Maryni schadzki z nim.

— Nie odważy się.

— Odwagi jej nie brak. Należy do rodu odważnych — odparł Edward poważnie.

— Dla interesu lub przyjemności na wszystko gotowa—dodała Anulka. Brawuje sobie z opinii, zdaje się jej, że to, co ona robi, jest opinią, przykazaniem, prawem, wolą pana Boga!...

Anulka była wzburzona, zdradzała w drżeniu głosu i wymowie niechęć do młodej księżny.

— Tak, tak, i to nie jest towarzystwo dla twej córki — poświadczyła księżna Pawłowa.

— Podiebrad tylko tam bywa — szepnął pan Edward, przerażony sądem swej protektorki.

— Mógłby bywać u ciebie w domu.

— Sam? przecie ja nie mam czasu po całych dniach szapronować przy córce. Służba dla kraju pochłania czas.

— Gdybyś był zręczny, uprosiłbyś Anulkę na szaprona. Ona, jak wiesz, żyje poświęceniem. W obecności Anulki Podiebrad byłby ostrożniejszy, więcej hamujący się.

— Ach! — zawołał Edward — nie mam słów wdzięczności dla hrabianki Anny, czuję wielkość jej poświęcenia, ale zrywać z księżną!... Podiebrad nie znosi kontroli — Marynia znaną jest z arbitralności.

— Z księżną nie zerwiesz, przenosząc schadzki do swego domu, Maryni rogów przytrzesz, a Podiebrada ukrócisz.

— Wybornie, mościa księżno, lecz ośmielę się powiedzieć, że niech Podiebrad przyciera rogów Maryni, a ona niech go ukróca.

— Oświadczył się panu?...

— Dziesięć razy — i zawsze się skarżył, że panna Marya okazuje mu mało sympatyi, że... że...

— Śmiało, kochany panie, jak przed przyjaciółkami.

— Że mu nie daje nadziei, bo jest zajęta... Tadeuszem — dokończył ciszej.

Księżna z hrabianką Anulką zamieniły przelotne spojrzenia.

— Lecz — ciągnął dalej — od ostatniego wyjazdu Tadeusza Podiebrad przestał się skarżyć. Marynia codzień odwiedza księżnę, Podiebrad tam przesiaduje. Wróciła harmonia, a ja, aby jej nie spłoszyć, boję się głośno westchnąć. Marynia coraz więcej zamyślona, Podiebrad poważniejszy, księżna w wybornym humorze. Gdy się ukażę na jej salonach, wita mnie, jak przyjaciela, Marynia, jak ojca, którego niedługo porzuci, a Podiebrad, jak teścia, raz nawet udawał, że całuje mnie w ramię...

— A gdzież ten szlachetka, gdy wybiegł od pana, pojechał? Czy nie do księżny?...

— Nie, bo w tej chwili stawia w Kole polskiem wielki wniosek. Daje walutę złotą Austryi.

— On? dlaczego on?

— On jeden z Polaków potrafi bronić swego wniosku.

— A nasi ministrowie, nasze ekscelencye, nasi profesorowie, nasi wypróbowani...

— Widocznie nie potrafią, kiedy czekali na niego. Prasa od paru tygodni wre walutą złotą, a jednak i Niemcy z wnioskiem czeka-

ją na niego. Ma mieć w izbie wielką mowę o walucie złotej—zrobi sobie sławę.

— Przedmiot tak nudny—odezwała się hrabianka Anulka—że nie zazdroszczę mu tej sławy, i tak egoistyczny...

— Anulko, cóż ma wspólnego waluta złota z egoizmem?— zrobiła uwagę księżna.

Pan Edward rad był potakiwać starej księżnie, lecz bał się Anulki.

— Egoizm łączy się ze złotem — rzekła Anulka z patosem i kwestyę przecięła.

— Przypuszczam — rzekła księżna Pawłowa — że nafciarz pański jest w Kole, ale gdy skończy swe wywody, pojedzie do księżny.

— Być może, nie przeczę—tłómaczył się pan Edward—to przecie jego spólniczka.

— W romansie z Marynią? — spytała, udając naiwność Anulka.

Na Edwarda buchnęły ognie.

— Księżna — szepnął — księżna, niepodobna...

— Gdybym była na jej miejscu — rzekła księżna Pawłowa swobodnie — wolałabym Podiebrada zachować dla córki, niż oddawać go Maryni.

— Przecież te córki to jeszcze dzieci — tłómaczy zrozpaczony Edward.

Na to odparła Anulka.

— Starsza już dawno skończyła dwanaście lat, a Podiebrad podobno nie skończył jeszcze trzydziestu. On skończy trzydzieści, a córka księżny szesnaście. Rok na konkury i ślub. Cóż pan na to?...

— Że — zaczął Edward — jeżelibyś księżna, jako wzór cnót...

— Nie wahałabym się — przerwała — Podiebrad za wielka partya, aby nad nią nie pracować,..

— Tem więcej — dodała Anulka—że księżna nie zdradza i nic nie dżentelmeńskiego nie robi. Pozwala tylko widywać się córce pańskiej ze swym spólnikiem. Przyjmuje córkę pańską, bo ją kocha, i wspólnika swego, bo musi. Oto wszystko...

— Rzecz sama się składa — rzekła księżna. Marynia w moim salonie nie widywałaby się z moimi urzędnikami lub wspólnikami. Nie idzie o nazwę.

Edward mimowoli w duchu dodał „oficyalistami" i patrzał wystraszony na kobiety, na majestat księżny i ujmującą słodycz Anulki.

— Co począć? — szepnął.

— Oto skutki niewłaściwego wyboru do rady państwa. A panowie nafciarze musieliście mu pomagać.

— Może mu pożyczyć milion i niech wraca — rzekł Edward tragicznie.

Nozdrza Anulki rozwarły się złowrogo.

— Tak — dodała księżna—wzbogacajcie demagogów, a świat do góry nogami przewrócą.

— A więc? — pochwycił nerwowo.

— Śledzić go! Wiedzieć — to rzecz najważniejsza.

Pan Edward się zerwał, ucałował ręce księżny, hrabianka odprowadziła go do salonu i przy pożegnaniu powiedziała z czarującym uśmiechem:

— Gdyby Marynia miała matkę!

Pan Edward całował paluszki hrabianki z rzewnością, jak gdyby przed nim już stała przybrana matka Maryni.

— Takiego marsa postawiłaś i rozwarłaś nozdrza, żem się przelękła, aby szlachcic nie spostrzegł tego, że żałujesz „swego" miliona.

— Moja ciociu — odparła Anulka — jest przecie czego.

— Oto bądź spokojna, szlachcic ten, gdy stówkę wyda, obejrzy ją trzy razy. Ten milion rzucony był, aby nas olśnić. Lecz w porę przyszłam ci z pomocą.

— I, jak zawsze, wyratowałaś mnie ciocia. A byłam taka zła na tych demagogów. co po cudze wyciągają ręce, że mogłabym głupstwo palnąć...

— Nie trzeba się galopować — mamy czas.

— Ja nie bardzo, cioteczko.

— Jemu również nie ubywają dni. Należy go powoli przyzwyczajać do przyszłego szczęścia. Gdyby się raptownie dowiedział, mógłby oszaleć.

— A jeśli on, jak to czuć, szpakami karmiony?

— Te właśnie w nim szpaki mogłyby sprowadzić katastrofę. Bo pomyśl sama, co mu przyjdzie z milionów bez nas?... Gdzie je podzieje? gdzie się obróci? jak je użyje? co za nie może mieć?

— Nic — absolutnie nic. My jesteśmy słońcem, co daje życie i rozkosz bytu.

— Anula dziś mówi, jak wyrocznia — rzekła księżna wesoło.

— Moja cioteczko, pragnę nareszcie być panią u siebie. Mieć swój pałac, swoją służbę, swoją liberyę, swoje herby, swoje powozy, swoje salony i swoje bale!...

— Jest w jednostce dążność do indywidualizmu — wygłosiła poważnie księżna.

— Filozofia w ustach cioteczki zawsze mnie porywa. Uwielbiam tę dyplomacyę mojej księżny, która kieruje nawą życia ze zręcznością admirała. Gdyby nie księżna pani, klepałabym biedę do śmierci. A tak uszczęśliwiam szlachcica aż do obawy o waryactwo, robię łaskę i jeszcze staję się milionerką.

— I zapał do księżny-nafciarki ostudziliśmy nieco. Jej bezinteresowność w miłości do Maryni, protekcyę Podiebrada wykazaliśmy szlachcicowi.

— Może to nieprawdziwe, lecz prawdopodobne. Biedaczek wił się, jak wąż.

— Prawdziwe — rzekła stara księżna stanowczo. Nigdy się nie mylę w swych sądach. Jest to dziewczyna zbyt zuchwała, aby chciała uledz, a nadto ordynarna, aby przełożyła Podiebrada i jego subtelność nad nafciarza. Ona jest z jego towarzystwa, na wysokości jego nałogów, jego manier, jego zuchwalstwa. Wykwintność Podiebrada i jego szyk męczy ją, nudzi i nuży. Nadto jesteś jeszcze młoda i nie znasz jej świata...

— Ciociu, co ja zrobię z trywialnością jej ojca?!...

— Można znieść za trzy miliony, które daje. Mając je, można się wygodnie urządzić i rzadko widywać trywializm pana męża.

— Lecz czy ta nafciarka pozwoli ojcu na... na..

— Na ożenienie się z tobą? Dziś już jest tak względem niej usposobiony, że się tego nie lękam. A ponieważ wierzę w postęp— jutro będzie lepiej, a pojutrze jeszcze lepiej...

— Księżna pani jest moją opatrznością — zawołała Anulka, uklękła, całując kolana swej opatrzności, a opatrzność gładziła ręką jej ciemne włosy.

Pan Edward zajechał przed pałac księżnej-nafciarki. Chciał wysiąść, lecz w tej chwili zawołał:

— Do parlamentu... Gdybym wpadł, cóżbym powiedział? szpieguję was, szukam Tadeusza. Cóż za niezręczność, cóż za głupota! Domyślam się, że stara księżna nie lubi młodej księżny za jej wolnomyślność, odwagę, umiejętność robienia kolosalnego majątku, za jej piękność, nieskazitelność, za wszystko. Ale żeby młoda robiła intrygi?!... To niepodobna! Przecie nie może z miłości do mnie nie przyjmować Tadeusza, spólnika swego! I nie może zakazać Maryni widywać się z nim! Bo i Podiebrada przyjmuje i ułatwia mu schadzki z Marynią. Poprostu kobiety moje zazdroszczą młodej księżnie — to cała historya.

Zaśmiał się, chciał na wesoło, lecz nieznany nerwowy ból ścisnął mu serce — ból przeczuć...

Koło polskie obradowało, przewodniczył prezes, był również na niem obecny minister skarbu. Pan Edward przeszedł salę na palcach, siadł cicho na swojem miejscu i słuchał. Tadeusz mówił, zaciekawienie było wielkie i cisza wielka.

— Jak długo mówi? — spytał Edward szeptem sąsiada.

— Blizko godzinę.

— Jakie płuca...

— Furda płuca, ale jaki łeb — odparł sąsiad.

Pierwszy raz panu Edwardowi błysnęła myśl, że może byłoby dobrze oddać mu Marynię. Jakby się wzięli razem za ręce... On administracyę, Tadeusz wielkie projekta. Mógłby łatwo zostać ministrem, ekscelencyą. Młoda siła, Polak, przyszłość! I on, Edward, nie stary — robiliby razem miliony!... Nowa arystokracya!...

Na wyraz „nowa" skrzywił się szlachcic z Galicyi wschodniej i odpowiedział sobie w duchu.

— Podiebrad nie potrzebuje robić milionów, bo je ma, nie potrzebuje być „nowym", bo jest „starym" panem. Nie potrzebuje być ministrem, bo sobie żartuje z ministrów, nie potrzebuje być ekscelencyą, bo będzie miał „złote runo", i cesarz będzie mu mówił kuzynie — jak pewno dziś już mu mówi.

Takiemi myślami bawił się szlachcic z Galicyi wschodniej, a Tadeusz zadziwiał wymową, logiką i oryginalnymi poglądami. Czuć było, że opanował przedmiot i panuje nad nim.

Skończył. Oklaski wypełniły salę. Najgłośniej bili minister i prezes. Koledzy z lewicy składali życzenia mówcy. Z prawicy, pierwszy minister podszedł do Tadeusza i wyciągnął do niego rękę.

— Serdecznie się cieszę, że za mego ministeryum przeprowadzisz pan złotą walutę i naprawdę złączysz Austryę z Europą.

— Panie ministrze, bez waszego współudziału, bez konieczności czasu, bez odpowiedniej pory, bez pomocy prasy — cóżbym zrobił?...

— To wszystko prawda — odparł minister — lecz jesteś inicyatorem, a to wiele znaczy... I jeżeli równie dobrze mówisz po niemiecku... — zwrócił się do Koła: Panowie, mamy następcę po Hauznerze co do obrony w parlamencie budżetu większości.

To powiedziawszy, raz jeszcze podał rękę Tadeuszowi, zapytując:

— Kiedy stawiasz wniosek w pełnej izbie?

— Jutro — odpowiedział.

— To i my musimy się śpieszyć, jeśli cię mamy poprzeć. Jadę do Burgu zdać raport cesarzowi.

Uścisnął za rękę prezesa i wyszedł.

Teraz cała prawica rzuciła się ku młodemu mówcy. Zaczęto go obsypywać komplementami, brać w pół, całować. Uznanie ministra było iskrą elektryczną, rodzącą światło i ciepło w mózgach prawicy Koła. Edward nie dał się wyprzedzić, całując Tadeusza, szeptał mu do ucha: „Teraz nie wątpię, że znajdziesz milion. Sam Rotszyld ci pożyczy, gdy go poprosisz.”

Księżna dziś przyjmowała swych arystokratycznych gości wszelkich narodowości. Podiebrada nie było. W ostatnim z czterech salonów stała oparta o framugę okna Marynia, przed nią Tadeusz blady, wzruszony, uroczysty, zmęczony.

— A zatem „tajny kredyt”...

— Przeszło dwa miliony! Od chwili, gdy moi przyjaciele rozwinęli roboty w Wyżnicy, spłaciłem do dziś dnia parę kroć sto tysięcy. Gdybym miał czasu lat trzy, spłaciłbym cały dług. Oto tajemnica, dlaczego obciążony kredytem, który jest „tajny”—a pojmujesz, co znaczy „tajny” wobec ksiąg, bilansu, rady nadzorczej...

— Pojmuję.

— A więc rozgrzeszasz mnie, że chciałem przed tobą stanąć czysty, nieobciążony żadnym nawet cieniem?

— Rozgrzeszam.

— Gdyś mi dała ostatni termin sześciu tygodni, upojony nadzieją spłaty długu, budowałem dom w Wyżnicy. Drugi pokład nafty w głębokościach pięciuset kilkudziesięciu metrów prawie że pewny, a więc i spłata tajnego kredytu skraca się o połowę. Serce mi pękało radością... — przestał.

— Zmiłuj, się dokończ — szepnęła Marynia.

— Trzy dni temu odbieram telegram od dyrektora, abym się stawił bezzwłocznie i z tajnego kredytu każe mi oddać milion guldenów w jak najkrótszym czasie.

— Cios — szepnęła. Żądałeś wyjaśnień?

— Nie chciał powiedzieć, a nie mam prawa ich wymagać.

— I...

— Przyjąłem rozkaz, przyjechałem tu pożyczyć lub sprzedać kopalnię.

— Widziałeś się z moim ojcem?

— Poradził mi, abym pożyczył milion od Podiebrada.

— Prowadź mnie, mój mężu — szepnęła. Jestem zmęczona, co chwila nowe niespodzianki.

Książę, zobaczywszy Tadeusza, zerwał się.

— Przysłany jestem przez ministra — mówił głośno do Tadeusza — w wielkiej misyi. Cesarz, zwolennik złotej waluty, prosi cię jutro do siebie punkt o dziesiątej przed otwarciem parlamentu. Będziesz na audyencyi pewno całą godzinę. Minister cię zawiezie i przedstawi. Przyszłość twoja polityczna zdecyduje się jutro.

— Nie pragnę przyszłości politycznej — odparł Tadeusz — cieszę się, że będę mógł osobiście poznać cesarza i wypowiedzieć mu wszystko o walucie, co będę wiedział.

— Urosłeś w Wiedniu. Dzienniki wieczorne zapowiedzą dziś twoją audyencyę, poranne powtórzą. Jutro na twą mowę panie rozbierają loże ambasadorów.

— Gdzież my będziemy? — odezwała się księżna prosząco.

— Zaprowadzę panie — odparł książę—do loży ministra spraw zagranicznych.

— Czy to loża naprzeciw mównicy? — spytała Marynia.

— Będziesz go mogła pani elektryzować wzrokiem, lecz mówca w natchnieniu widzi tylko głąb swej duszy.

— Będziemy razem w nią patrzeć — rzekła Marynia.

— A teraz, jeśli panie pozwolą, zabiorę młodzieńca do ministra, który pragnie powtórzyć jutrzejszemu mówcy dzisiejszą swą rozmowę z cesarzem w kwestyi złota...

ROŻDZIAŁ IX.

Do loży ministra spraw zagranicznych i ambasadorów książę Grzegorz wprowadził księżnę, Podiebrad Marynię. Kobiety wodziły wzrokiem ciekawie po zebranych gromadach ludzi, dających prawa państwu o tak skomplikowanych składnikach. Posiedzenie jeszcze nie było otwarte, miejsca prezydenta i dwu jego zastępców puste. Wesoły gwar panował w sali, gromady, przedstawiające stronnictwa, rozprawiały, każda w swem kole. Książę pokazywał paniom znakomitych mężów parlamentaryzmu austryackiego.

Profesor Suess zobaczył panie, przysunął się pod lożę, przywitał je, a Maryni powiedział, że ona będzie dziś natchnieniem młodego mówcy i jego czarem.

Marynia zwierzyła się przed profesorem z uczuć strachu, jakie w niej w tej chwili panowały.

— Co za przyjemna niespodzianka czeka panią. Po pół godziny mowy powiesz przed samą sobą, że mówca wart jest twej ręki.

— Sądzę, że zawsze wart — odpowiedziała.

Dzwonek prezydenta rozległ się po sali, gwar ustał, posłowie zajęli swoje miejsca, posiedzenie parlamentu otwarte, Tadeusz się nie pokazał, książę spojrzał na zegar.

— Rozmowa z cesarzem trwa już całą godzinę — rzekł — co podług zwyczajów dworskich znaczy bardzo dużo. Niema i ministra skarbu. Czeka na Tadeusza lub jest razem z nim u cesarza.

Już drugą petycyę odesłano do właściwej komisyi, gdy wszedł minister skarbu do swej loży, a za chwilkę w sali posiedzeń ukazał się rozpromieniony Tadeusz we fraku, białym krawacie i cylindrze w ręku.

— Nareszcie są — szepnął książę — Marynia pobladła, Podiebrad wpatrywał się uważnie w twarz swego zwycięzcy.

Przystąpiono odrazu do rzeczy:

„Wzywa się rząd, aby w możliwie najkrótszym czasie przeprowadził w państwie walutę złotą.” Króciutki wniosek, podpisany przez dostateczną ilość posłów stanął na porządku dziennym.

Wnioskodawca prosi o głos, prezydujący udziela, młody człowiek z powichrzoną fantastycznie czupryną, staje na mównicy, Maryni oddech zamarł w piersiach, Tadeusz spojrzał na nią, oblał się rumieńcem...

Wejście jego na mównicę przyjęto sympatycznym szmerem. Loże i galerye były natłoczone. Zdwojona liczba dziennikarzy za stołem. Kamienna twarz, nieruchomo zapatrzona w Tadeusza, siedziała głęboko w loży ministra skarbu.

Mówca, trzymając w ręku szapoklak, zaczął spokojnie i poważnie. W kilku znamiennych rysach przeszedł historyę pieniężną w Austryi, jej bankructwa i jej powolne dźwigania się. W miarę trwania mowy zapalał się, głos jego potężniał, dowody nabierały siły. Był oryginalny i pomysłowy, nikogo nie naśladował — był nowy.

„Obawy — mówił na zakończenie — aby nam brakło złota na potrzeby monetarne, są płonne. Jeżeli z trzystu milionów wyprodukowanego złota doszliśmy w paru latach do pięciuset milionów; jeżeli co siedem lat produkcya złota podwaja się i każe nam się spodziewać, że będziemy mieć niedługo tysiąc milionów, to już go nam nie zabraknie! Jeżeli braknie pieniędzy do czynu, na rynku pieniężnym, to nie będzie to wina złota, tylko nas samych. Wtedy złoto

nasze będzie schowane w bankach, a niedostatecznie rozwinięty kredyt każe nam leżeć na złocie i, pilnując go, z głodu umierać."

Burza oklasków, wstrząsająca całą salę, zbudziła Marynię, galerya wrzała. Klaskali wszyscy, prawica, lewica, ministrowie i dziennikarze.

„Bogatem tylko być może społeczeństwo przez pracę. Rynki pieniężne to miejsca zamiany jego pracy. Niechże płyną swobodnie szerokimi strumieniami, niezatrzymywane żadnemi granicami, na pożytek kultury, cywilizacyi i państwa..."

Skończył, powtórna burza oklasków płynęła.

Pierwszy do niego przyskoczył Suess i ściskał mu serdecznie ręce. Tadeusz patrzał na Marynię, podczas mowy bladą, w tej chwili różową. Za Suessem poszło Koło polskie z ekscelencyą. Minister skarbu wyszedł z loży i ostentacyjnie podał mu rękę, mówiąc:

— Cesarz, czytając dziś mowę pańską, będzie zadowolony. Mam gotową ustawę — szepnął ciszej — która, sądząc z obecnego entuzyazmu, przejdzie z pewnością. Wielkie dziś odnieśliśmy zwycięstwo. Teraz dopiero będziesz pan mógł zagraniczne kapitały ściągać do kraju na swe przedsiebiorstwa naftowe i inne. Czemuż nie szukacie węgla?

Pan Edward, schowany za barczyste plecy jednego z szlachciców z Koła, patrzał na księżnę, Podiebrada i Marynię. Widział uśmiech księżny, bladość i zadumę Podiebrada i promienie w oczach Maryni. Gryzł wargi ze złości na księżnę i księcia Grzegorza, nie słyszał mowy Tadeusza i nie patrzał na niego.

— Oficyalista, dzięki mojej protekcyi — mówił w duchu — wydrapał się aż na mównicę rady państwa, całą godzinę rozmawia z cesarzem, książęta go słuchają, ministrowie mu klaszczą, a on, bankrut, wyciąga łapę po głupi milion, durząc ludzi, że im odda dziesięć...

— A jak nie durzy?...

Dreszcze go przeszły z chciwości i strachu. Radby, a bał się. Czuł, że, gdy się zbliży do tego interesu i rozejrzy się w nim—pójdzie. Bał się więc zbliżać...

Książę Grzegorz przyzywał Tadeusza do siebie.

— Kolego—mówił, wyciągając rękę, — przerosłeś nas, starych, odrazu. Od dziś bogactwo Austryi podwojone, przemysł podniesiony do kwadratu. Od dziś powtarzam, bo od chwili twej mowy waluta złota jest faktem.

— Wychodzimy!

Dzwonek prezesa uspokoił izbę — przeciwnik Tadeusza, bime-

talista wstąpił na mównicę, lecz nikt go nie słuchał. Dziewięć dziesiątych izby wyszło na kurytarz, bimetalista mówił do stenografów i dziennikarzy.

Młody tryumfator ukazał się w loży ambasadorów.

— Dziś jestem z ciebie dumną — rzekła Marynia, podając mu rękę.

— Dopiero dziś zrozumiałam wartość złotej waluty — odezwała się księżna.

— A ja, jak zawsze, zazdroszczę — dodał Podiebrad.

— Wracam do izby — rzekł książę, żegnając panie.

— Siadaj pan z nami — zwróciła się księżna do Tadeusza — odpoczniesz wśród przyjaciół.

Gdy wyszli, kamienna twarz pociągnęła nieznacznie za połę Tadeusza.

— Złoto zdobyłeś, — szeptała — przychodź do mnie, czekam...

Skłonił się i odsunął, patrząc, jak księżna, Marynia, Podiebrad i Tadeusz wsiadali do powozu.

Zdaleka również patrzał ciekawie pan Edward. Gdy zobaczył, że Podiebrad siada naprzeciw księżny, odstępując miejsca przy Maryni Tadeuszowi, zaklął po polsku.

— Dlaczego ty mu odstępujesz swych praw? — chciał zawołać. Czy dlatego, że się nauczył mowy po niemiecku i wygłosił ją, jak na popisie? Czemże ty jesteś, potomku królów, przy nim? Nie wiesz, że to bankrut, który do swego ratunku potrzebuje miliona?...

— A gdyby mu go dać — szepnęła trzeźwość szlachecka — i wszystko w ręce pochwycić?...

Tupnął nogą wściekły na siebie za tę dobrą myśl swej trzeźwości.

— A potem zabierze mi córkę i odrazu pogrzebie wszystkie moje marzenia, wszystkie nadzieje, dobre moje stosunki, całą przyszłość. Nigdy, nigdy, nigdy, — szeptał, aby zagłuszyć budzącą go myśl trzeźwości, która z chaosu uprzedzeń, przesądów i ambicyi wydobywała się na wierzch z gwałtownością młodej siły i żądzy do życia.

Uciekał przed nią po schodach, wpadł na kurytarze izby do bufetu, natłoczonego posłami. Wszędzie mówiono o Tadeuszu i jego mowie, a walutę złotą uważano, jako przyjęte prawo.

Spotkał się z Suessem.

— Winszuję koledze zięcia — rzekł do niego poczciwy Niemiec.

— Kto panu powiedział, że to mój zięć?

— Kto? — profesor podniósł w górę głowę, szukając w pamięci.

Pan Edward pomknął dalej.

— Edziu — wołał za nim uśmiechnięty o szerokiej twarzy, czerwony szlachcic — czekaj. Mówią, że jesteś najsprytniejszym w Galicyi, a szczęścia masz tyle, co i rozumu.

— Co takiego?— zapytał z tajonym gniewem.

— Oddałeś na wychowanie księżnie z Wyżnicy córkę, a na jej męża wybrałeś Tadeusza.

Pan Edward wzruszył ramionami i poszedł.

— Czego ten stary dziad przywiózł te baby do parlamentu — powtarzał w duchu. Tak, to sprawka tej księżny-nafciarki. I księżna Pawłowa miała racyę, a z nią i Anulka. Teraz widzę, jak na dłoni. Podiebrad w loży musiał paść przy porównaniu z tym deklamatorem, sypiącym, jak z rękawa, cyfry po cyfrach. Kto je sprawdzi? Niech pioruny zatrzasną cały świat!... Podiebrad moim zięciem, lub nie chcę jej znać. Niech idzie, gdzie chce... Stary głupiec, jednej babie tak się dałem złapać, jak jaki żak.

Chciał ręce wpakować w szpakowatą czupryne, zatargać.

— Co teraz począć? Podiebrad abdykował!

Stanął i myślał.

— Być może, że tylko pozornie. Królowie są uparci i nie cofają się przed pierwszym lepszym głupcem. Rozmówię się z moim królem. A jeżeli się już rozmówiła Marynia?!...

— Milion — szepnęła trzeźwość szlachecka.

Na twarz buchnęły mu ognie.

— Milion! — zawołał do siebie samego — bo gotów jestem w łeb sobie palnąć. Lecę do Podiebrada i cały plan z nim ułożę. Pewnie teraz siedzi u księżny i, jako wytworny pan, wznosi zdrowie mówcy szampanem. Marynia wyciąga do Tadeusza rękę, a księżna tryumfuje.

Zgadł szlachcic. Podiebrad w tej chwili z wytwornością królewską dotknął swym kieliszkiem o kieliszek Tadeusza.

— Podwójnego zwycięzcy złota i miłości — szepnął.

— Co do złota zgoda — odrzekł wesoło Tadeusz — co do miłości, nie zwyciężałem. Miłość sama płynie na falach przeczuć, sympatyi dusz. Tych fal nie można odepchnąć, nie można uciec przed niemi, idą tajemnicze i nieświadomie obejmują nas, ruchu płynących fal nie widzimy, gdy przyjdą, odczuwamy je.

— Dlaczego do mnie przyszły, jeśli nie były kierowane ku mnie?

— Bo, bo — szepnęła zarumieniona Marynia — byłam z początku względem pana nieszczerą. Nie mówiłam mu, że fale mych uczuć płyną na wschód.

— Stanąłeś widocznie, hrabio, na przepływie — zrobiła uwagę księżna.

— Fale uczuć wdzięczności płynęły ku tobie — rzekła serdecznie Marynia.

— Wdzięczności? — powtórzył Podiebrad, zwracając zamyślone, niebieskie oczy na dziewczynę.

— Za to, żeś mnie wprowadził w zaczarowaną dziedzinę sztuki, ukazałeś siłę twórczości w wiecznej tęsknocie. Powiedziałeś mi, że, cokolwiek odczuję w mej duszy, jest wiecznem, co zaczerpnę z jej głębi, nie przeminie. Jeśli sztuka ma być prawdziwą, musi płynąć z duszy.

Zapanowała cisza, Marynia zwróciła się do Tadeusza:

— Lecz tęsknota, sztuka, dusza są oderwane, nieujęte. Mogą odżyć w czynie. Do tego czynu tyś mnie wezwał, i idę za tobą. Oto tajemnica mego serca.

— Nie jestem sama — mówiła do Podiebrada. On mi otwiera szerokie horyzonty — i idę za nim. Nie pójść znaczyłoby zdradzić siebie zapomnieć o sobie i o tem wszystkiem, w co się już wżyła dusza moja. Nie umiałabym spokojnie patrzeć na skon mej duszy i dlatego idę za nim i z nim.

Zamilkła, nikt nie śmiał się odezwać. W tem głębokiem milczeniu Podiebrad ujął ją za rękę i szepnął:

— Zrozumiałem cię.

Pochylił się i rękę trzymaną poniósł do ust. Nic mu nie odpowiedziała.

— Kiedyż to córka moja zacznie rozumieć rozkosz bytu w tęsknocie i zwierzać się z tych myśli przed narzeczonym? — myślała księżna wśród wielkiej ciszy i głębokiej zadumy...

(D. c. n.) *Sewer.*



WRAŻENIA

z kongresu Historyi Porównawczej

1900 roku w Paryżu.

Wśród ogromnej liczby rozmaitych kongresów, które miały wytwarzać na wystawie paryskiej ruch umysłowy, odpowiedni rozwojowi potężnych motorów fizycznych, nęcił mię najbardziej jeden, zapowiedziany na 23—29 lipca, tak tytułem ogólnym, jakoteż nazwami 6-u sekcyi. Domyślałem się, że z referatów i obrad uczonego zgromadzenia wyłoni się jakaś nowa umiejętność albo przynajmniej metoda — porównawcza w dziejoznawstwie („Histoire comparée); żałowałem tylko, że nie zdołam bywać na posiedzeniach wszystkich sekcyi z powodu niemożliwych do pogodzenia warunków czasu i miejsca. Sekcya I zajmować się miała historyą powszechną (générale) i dyplomatyczną, II historyą prawa, III ekonomią i socyologią, IV sprawami religii (affaires réligieuses), V historyą sztuk pięknych, VI historyą nauk (des sciences). Pocieszałem się nadzieją, że na ostatniem posiedzeniu ogólnem prezydujący lub sekretarz generalny, reasumując obrady poszczególnych sekcyi, dostarczy materyału do utworzenia syntezy. Zapisałem się do sekcyi pierwszej.

Nie łatwo mi szło z zapisem. Dopytywałem się bezskutecznie

w bibliotekach i pomiędzy znajomymi: do kogo i dokąd należy się zgłaszać? Musiałem doczekać się piątku, godzin 3 — 5, żeby zastać kogoś w redakcyi Revue Historique. Zastałem samego pana Monod i usłyszałem ze zdumieniem, że nie będzie uczestnikiem kongresu— dla braku czasu (?). Tyle tylko wiedział, że sekretaryat mieścić się będzie w Collège de France, a prezydować ma Gaston Paris, rektor tej instytucyi.

Rzeczywiście po konferencyi z odźwiernym, dość zawiłej, bo skomplikowanej zapytaniami przez telefon, zdążyłem złożyć swoje 20 franków jakiemuś panu prawie w ostatniej chwili przed dniem otwarcia, w sobotę 21 lipca. Kartę uczestnictwa jednakże otrzymałem dopiero po pierwszem posiedzeniu 23 lipca. Programy drukowane były sporządzone tylko dla dwu sekcyi; inne ukazały się w przedsionku w postaci rękopiśmiennych afiszów.

W sali nr. 8, niezupełnie właściwie zwanej „Wielkim Amfiteatrem Kollegium Francuskiego", o godzinie 10 zrana zebrało się mniej więcej z 50 osób na posiedzenie ogólne. Zagaił je wymownemi i serdecznemi słowy p. Gaston Boissier, wygłosił szlachetne hasła do prac kongresu i dobrodusznie przyjął wyrażoną oklaskami pochwałę słuchaczy. Ofiarował sale kollegium i sąsiadującej Sorbony sekcyom na posiedzenia, uznając je za dogodniejsze i zaciszniejsze od pałacu kongresów, zbudowanego wśród licznych i tłumnych gmachów wystawy. Przy zastosowaniu jednakże aparatu krytycznego do uprzejmych oświadczeń szanownego mówcy można było wynaleźć inny powód przeniesienia miejsca posiedzeń, mianowicie: w nieprzyjaznym stosunku organizatorów kongresu do rządu obecnego. Wniosek taki gruntuje się na następnych wskazówkach: 1) prezydent Rzeczypospolitej Loubet nie zaszczycił żadnego posiedzenia swoją wizytą i nie zaprosił członków do pałacu Elizejskiego, 2) naczelny komisarz wystawy p. Picard wystawił bilety bezpłatnego wejścia dla członków kongresu na dni sześć (23 — 28 lipca), ale tylko przez jedną z 43-ch bram, o którą niełatwo było dopytać się nawet u policyantów, a dopytawszy się, nie warto było do niej chodzić może o kilka kilometrów dla oszczędzenia 30 lub 60 centimów; 3) jedyne przyjęcie urzędowe zapowiedziała Rada Miejska Paryża w salonach ratuszowych, a ta składa się, jak wiadomo, przeważnie z nacyonalistów, zwalczających tak ministeryum Waldecka Rousseau, jak i samego Loubeta, 4) Prezes Izby Deputowanych, p. Deschanel, rozesłał dnia 28 lipca zaproszenia na wieczór, ale aż na piątek 3 sierpnia, t. j. na szósty dzień po zamknięciu kongresu. Członkowie przyjezdni musieliby czekać zbyt długo na ów wieczór; za-

pewne też nie skorzystaliby z zaproszenia, gdyby nawet nie nastąpiło odwołanie na skutek tragicznej śmierci króla włoskiego Humberta.

Żwawo odbyło się ukonstytuowanie sekcyi po rozejściu się do odpowiednich sal kollegium i Sorbony, ale sekcya Sztuk Pięknych wyniosła się aż do Luwru i gmachu Opery. W pierwszej (t. j. mojej) sekcyi odczytano projekt porządku dziennego, zawierający zarazem nazwiska prezesów i sekretarzy. Przyjęliśmy wszystkie przedłożone nam wnioski przez aklamacyę. Inaczej być nie mogło, gdyż kurya wyborcza składała się z osób, nie znających się wzajemnie i nie przygotowanych do żadnego porozumienia się; gdy obok europejskich twarzy rozmaitego typu reprezentowali rasę żółtą: Japończyk i czarną: obywatel Haiti (sprawujący urząd konsula w Nowym-Jorku). O południu wszystko było skończone, a nazajutrz otrzymaliśmy przedrukowany z niejakiemi zmianami porządek dzienny na wtorek, środę, czwartek i sobotę z opuszczeniem piątku, który był przeznaczony na wycieczkę do Chantilly. (Mieliśmy zamówiony extra-pociąg i powozy za 6½ franków od osoby).

Niezwykłą stronę tej uchwalonej przez nas ustawy organicznej stanowiła niestałość przewodnictwa, każdego dnia bowiem urzędować miało inne prezydyum. I tak, we wtorek p. Henryk Houssaye, członek Akademii Francuskiej w asystencyi pp. E. Simson, delegata rządu rosyjskiego (i prof. Uniw. Petersb.) oraz Whiteley, delegata rządu Stanów Zjednoczonych; we środę p. Longnon, prof. kolegium fran., w asystencyi hr. Greppi, delegata rządu włoskiego; we czwartek p. Lefêvre-Pontalis, członek Instytutu, w asystencyi pp. Xénopol'a, delegata rządu rumuńskiego, i Westrin, delegata rządu szwedzkiego; w sobotę p. Foncin, inspektor generalny oświecenia publicznego w asystencyi pp. markiza de Laborde, Ricardo Velasquez'a, delegata rządu hiszpańskiego, i P. Poullet'a, delegata rządu belgijskiego.

Jakoż wszystkie te grupy prezydyalne zasiadały z kolei w niszy, osłaniającej katedrę profesorską; oglądaliśmy coraz nowe oblicza; słuchaliśmy wymownych zagajań każdego posiedzenia: ale skupienie dyskusyi, a chociażby dążenie do ogólnych wniosków, stało się niemożliwem. Każde posiedzenie było odosobnioną seryą odczytów.

Sprawozdanie i tekst odczytów ukaże się w książce podobno około Nowego roku. Wtedy można będzie ocenić ich wartość dokładnie. Tymczasem sprobujmy scharakteryzować je na podstawie pobieżnych notatek.

P. Xénopol, rektor uniwersytetu w Jassach, znany od lat 30-tu badacz dziejów Mołdawii i Wołoszczyzny, autor dwutomowej „Histoire des Roumains de la Dacie trajane" (1896, Paryż) i teoretycznego dzieła p. t. „Principes fondamentaux de l'Histoire (1899, Paryż), wystąpił z tematem, któryby mógł być zakwalifikowanym do historyki: „L'hypothèse dans l'histoire". Podniósł też rozwiniętą w ostatniem ze wspomnianych dzieł swoich tezę o faktach stałych (fait consistant), które są przedmiotem badania w naukach przyrodniczych, oraz o faktach, wywiązujących się stopniowo w czasie (fait successif), a badanych przez historyę; zaznaczył wynikającą stąd dla historyków trudność rozumowania na podstawie praw niezachwianych, dowodził potrzeby posługiwania się hypotezami: ale następnie przystosował swoje wywody do kwestyi o pochodzeniu Rumunów. Ponieważ nie posiadają oni żadnych dokumentów przed wiekiem XII-m, więc dawniejsze ich dzieje mogą być odtwarzane jedynie za pomocą hypotez. Tu wszakże wstąpił na grunt sporny z Madyarami, Słowianami, Niemcami, Grekami, naród bowiem rumuński, jak wiadomo, składa się z mieszaniny różnoplemiennej. Dowodził, że ludność jego ojczyzny pochodzi w ciągłym, nieprzerwanym rodowodzie od Rzymian, albowiem posiadała ziemię i trudniła się rolnictwem przed osiedleniem się przybyszów późniejszych. Z opozycyą zaraz wystąpił Juliusz Lanczy, profesor uniwersytetu Budapeszteńskiego, zalecając metodę nowoczesną pozytywną i powołując się na przykład osiedleńców germańskich w Gallii, którzy ziemię uprawiali wprawdzie, lecz za czasów rzymskich, prawa własności do niej nie posiadali i do panowania żadnej pretensyi nie oświadczali. Drugi Madyar, p. Darvai zapowiedział swoją protestacyę na dzień następny. Jakoż w rozprawie, zatytułowanej: „Królestwo węgierskie i jego rumuńscy wassale" przytoczył mnóstwo tekstów z dyplomataryuszów średniowiecznych w oryginalnem brzmieniu po łacinie, żeby przekonać słuchaczy, że Wołosi (Vlaques) byli poddanymi królów węgierskich, że się buntowali, że nareszcie pod koniec XIII wieku lub na początku XIV-go — nie wcześniej — utworzyli własny kraj, Rumunię, lecz i tam nie stanowili ludności zwartej, jednolitej. Odpowiedział na to p. Xénopol oświadczeniem, że kwestya nie jest i nie może być jeszcze w chwili obecnej rozstrzygniętą inaczej, jak drogą wniosków pośrednich czyli hypotez.

Trudno było uczynić więcej dla chluby Rumunów, którzy pragną teraz uchodzić w oczach świata cywilizowanego za dziedziców imienia i sławy starożytnego Rzymu. P. Xénopol wywoływał pamięć Trajana nieustannie i w dziełach swoich, i w sprawozdaniach

o ruchu naukowym, pilnie sporządzanych dla Revue Historique, nawet w ostatnim, świeżo wydanym zeszycie (Juillet-août), i nareszcie żywem słowem przed zgromadzeniem, które wie coś zaledwo o istnieniu dzisiejszej Rumunii. Nie czując gorętszego tchnienia sympatyi lub zainteresowania, musiał zachować grzeczną wstrzemięźliwość względem oponentów, przemagających liczbą głosów. Podziwiać należy zapobiegliwość Madyarów na wszelkich wyścigach międzynarodowych. Słyszałem, że ich malarze na wystawie otrzymali względnie największą liczbę nagród nie dla wartości obrazów, lecz dzięki towarzyskim przymiotom komisarzy swoich (hr. Andrassy, ks. Esterházy). Tu widziałem, że uczeni madyarscy obsaczyli katedrę I sekcyi kongresu możliwie najliczniejszym kontyngensem. Oprócz przytoczonego wyżej referatu porządek dzienny zawierał jeszcze sześć prac obywateli „trójjedynego królestwa": Antoni Aldassy miał mówić o stosunkach pomiędzy Węgrami a Słowianami południowymi, Bojnitchitch o kancelaryi królewskiej w Kroacyi od IX do XI wieku, biskup Frahnoi o poselstwie Petrarki do Werony 1347, Lanczy o kanonizacyi Celestyna V i wielkim oporze Dantego (le grand refus du Dante), De Bertha o poecie Zrinyim, a właściwie odczytał dużą rozprawę o rodzie Zrinskich w XVI i XVII w., i Marki Sandor o Jakobinach węgierskich, o spisku Markovics'a pod wpływem idei wolności, krzewionej przez wielką rewolucyę francuską. Nie wszystkie te referaty mogły być przeczytane przed uderzeniem godziny 12-ej, którą szanowano skrupulatnie (zapewne jako porę śniadań w Paryżu): niemniej wszakże wyraźnem pozostało wrażenie, że najwydatniejszą na tym kongresie rolę mieli Madyarowie i że najgorliwiej dyskutowaną kwestyą były stosunki węgiersko-rumuńskie. Dla dokładności dodamy, że był jeszcze odczytany referat nieobecnego profesora z Bukaresztu, wice-prezesa tamecznej Akademii i byłego ministra Urecchia o dawnych herbach ludu rumuńskiego. Pokazywano przytem rysunki tych pieczęci z napisami .....słowiańskimi, lecz nikt nie zwrócił uwagi na tę okoliczność. Mógłbym oświadczyć, że w bibliotekach warszawskich (w jednej przynajmniej), a niewątpliwie i w krakowskiej książąt Czartoryskich, znajdują się listy hospodarów, podpisane przez nich po słowiańsku albo po polsku; mógłbym poruszyć zaniedbywaną przez p. Xénopola kwestyę udziału Słowian w dziejach Rumunii: ale, nie posiadając zabiegliwości Madyarów, przemilczałem.

Uczeni innych narodowości występowali nielicznym zastępem. Ze Szwecyi jeden p. Westrin udzielił swych spostrzeżeń, czynionych nad korespondencyą dyplomatyczną Szwecyi co do używania języ-

ka francuskiego w wiekach XVII i XVIII obok lub zamiast łaciny; Belgijczyk, p. Prosper Poullet, z archiwów wiedeńskich i paryskich powziął wiadomość o nacisku, wywieranym przez mocarstwa Świętego Przymierza na Holandyę w celu zniesienia tam konstytucyi, której bronił wytrwale król Wilhelm; z Francyi przemawiali osobiście tylko dwaj księża: l'abbé Dedouvres udzielał szczegółów z rękopisów oblężenia Roszeli i charakteryzował liczne pisma słynnego kapucyna, ojca Józefa, który był powiernikiem i sługą oddanym kardynała Richelieu; drugi ksiądz, nieznany mi z nazwiska, wygłosił rzecz, której nie umiem zatytułować, ponieważ treści jej zrozumieć nie byłem w stanie. Słyszałem coś o Dyodorze Sycylijskim, który nie dorównał w czemś Bossuetowi, o św. Hieronimie, o niebezpieczeństwie, zagrażającem Europie od Chińczyków, i o czasopiśmie do języków wschodnich, założonem z rozkazu Ojca Świętego. Był to referat dodatkowy, nie zamieszczony w drukowanym programie.

Kilka rozpraw odczytał sekretarz sekcyi, p. Albert Malet, profesor liceum Voltaire'a, znany z historyi dyplomatycznej XVII i XVIII w., ogłoszonej w 1897, a wyłożonej poprzednio królowi serbskiemu Aleksandrowi. Ponieważ rozprawy te były za obszerne, więc słyszeliśmy z nich pewne wybrane ustępy. W tak skróconej formie ukazały się nam: szkic obyczajów ludu Fryzów Batawskich przez p. de Laigues, konsula generalnego francuskiego w Rotterdamie; koronacya Henryka VII Luksemburczyka w kościele Św. Jana Laterańskiego przez p. Gerbaix de Sonnaz, ministra pełnomocnego włoskiego w Lizbonie; badania, dotyczące kilku spornych punktów co do bitew pod Courtrai i Rosebecque przez p. de Maere d'Aertrycke; autonomia Belgii pod arcyksięciem Albertem i żoną jego Izabellą 1598—1621 przez p. Brants'a; przyczynek do dziejów Dymitra I Samozwańca i Maryny Mniszchówny przez zasłużonego badacza stosunków kuryi Rzymskiej z Moskwą, księdza Pierlinga S. J.; wiadomość o próbach zbliżenia się do Pawła I i do Aleksandra I, czynionych przez Napoleona Bonaparte 1800—1805, przez p. Notowicza z Petersburga. Profesor prawa międzynarodowego na uniwersytecie petersburskim, p. Simson miał podać historyę extradycyi w Rosyi, a p. Cahn modyfikacye prawa międzynarodowego w XIX wieku, lecz oba te referaty podobno zostały zaniechane dla braku czasu.

Na ostatniem posiedzeniu sekcyi wywiązała się dyskusya pedagogiczna z powodu wniosku pana Darsy o wprowadzeniu tekstów historycznych do nauczania w szkołach średnich (De l'usage des textes historiques dans l'enseignement secondaire). Wnioskodawca

dowodził, że nauka z podręczników nie wystarcza dla uczniów klas wyższych i że należy ją ożywić odczytywaniem wyjątków z dzieł Micheleta, Quineta, Macaulay'a, tudzież z pisarzy dawniejszych np. Froissart'a. Wadliwem było określenie kwestyi, mianowicie, pomieszanie tekstów źródłowych z opracowaniami, wychodzącemi z pod pióra historyków nowoczesnych. Chociaż zabierali głos pp. Malet, Xénopol i jeden z nauczycieli języka francuskiego w szkołach amerykańskich, nie przyszło jednak do należytego wyjaśnienia kwestyi. Nikt nie wspomniał o istniejących już oddawna wypisach, czyli chrestomatyach historycznych, jak niemieckie Quellenbücher np. Maxa Schillinga (Q. zur Geschichte der Neuzeit für die oberen Klassen höherer Lehranstalten, Berlin 1884), jak rosyjskie Winogradowa (Kniga dla cztienija po istorii), jak u nas Wybór mów staropolskich ułożony przez Ant. Małeckiego, Wypisy do historyi starożytnej, przygotowane przez K. Kaszewskiego i t. p. Wyjątki z historyków nowoczesych, badaczy i konstruktorów znajdują właściwe miejsce w wypisach szkolnych, posługujących do wykładu języka, teoryi prozy i literatury.

Ale po co wprowadzoną została ta sprawa pedagogiczna na kongres Historyi Porównawczej?

Zdaje mi się, że na to pytanie odpowiedzieć można tylko zarzutem, że komitet organizacyjny nie dość przezornie obmyślał zadanie kongresu, nie określił wyraźnie programu, nie wskazał tematów pożądanych. Czyniły to nasze zjazdy historyków polskich, lwowski w 1890 i krakowski 1900 roku, a nadto gromadziły zawczasu rękopisy referatów, drukowały je i doręczały członkom swoim przed rozpoczęciem obrad, które tym sposobem odbywać się mogły żwawo i celowo, na podstawie znanego już tekstu referatów, z uwydatnieniem punktów spornych i z osiągnionem porozumieniem w konkluzyach. Kongres niniejszy paryski był dzieckiem kongresu międzynarodowego Historyi Dyplomatycznej, który się odbył w Hadze dnia 1 września 1899 r. Utworzony wówczas komitet „Centralny" z rezydencyą w Paryżu (boulevard Raspail, 10) składał się w rzeczywistości z dwudziestu osób, zamieszkałych po różnych miastach Europy i należących w znacznej większości do klasy dyplomatów [1]). Historya jest wprawdzie

---

[1]) Mianowicie: De Beaufort, minister spraw zagranicznych holenderski w Hadze, Beernaert, minister belgijski, baron Juliusz d'Anethan de Villa Urrutia i Carathéodory w Brukselli, Bilielas w Atenach, de Burenstam w Sztokholmie, Missah Effendi w Hadze, v. Sicherer w Monachium, Wenevitinoff w Moskwie,

potrzebną do dyplomacyi, ale tylko nowożytna od połowy XVII wieku i w ścieśnionym zakresie, o ile posługiwać może do celów praktycznych: więc też nie miała na kongresie reprezentantów całego swego obszaru, ani najwyższych swoich zagadnień. W takiej postaci nie posiadała siły przyciągającej dla słuchaczy, których liczba zwykła nie przekraczała kilkunastu osób. Najbardziej zawiodła sekcya pierwsza, bo z jej referatów, czyli raczej przypadkowo zebranych rozpraw i artykułów lub artykulików, nie wyłoniły się żadne dane do porównywania, ani do uogólniania, ani do zużytkowania dla Historyi Powszechnej (Histoire Générale).

O innych sekcyach nie mogłem wyrobić sobie własnego zdania. Żałowałem, że w sekcyi nauk nie słyszałem referatu panny Melanii Lipińskiej (doktora medycyny) o kobietach lekarkach; jej rozprawa doktoryzacyjna: Histoire des Femmes Médicins (str. 586 in 8⁰ cav. Paris. G. Jacques et C⁰) zyskała wielkie pochwały, jako praca samodzielna, osnuta na materyałach, dotychczas niezużytkowanych lub zgoła nieznanych.

Najczynniejszą podobno była sekcya Sztuk Pięknych (d'histoire de l'art), miewała bowiem posiedzenia codzienne, nie wyjmując piątku. Referaty sięgały do wieków XV, XIV, XIII, a jeden do czasów barbarzyńskich (p. Barrière Flavy: L'art industriel des Barbares). Kilku członków mówiło mi z wdzięcznością i uwielbieniem o przeglądzie nowych sal Luwru, odbytym pod przewodnictwem konserwatora, członka Instytutu i prezesa sekcyi, p. Lafenestre. Zjednoczenia zaś wszystkich sekcyi w zgodnym zachwycie dokonali członkowie sekcyi muzycznej dnia 26 lipca w pałacu państwa Senart, gdzie artyści opery i Towarzystwa Koncertowego pod dyrekcyą p. Lefort, profesora Konserwatoryum, odegrali 11 utworów nowoczesnych, i dnia 28 lipca w salonach księcia Rolanda Bonaparte na koncercie „Historycznym", ułożonym przez członków kongresu, p. Juliana Tiersot i Karola Bordes. Ogromny program, zaopatrzony w objaśnienia naukowe, obejmował działów 14. Zaczynał się od muzyki starożytnej z II-go wieku po Chr. (a. hymn do Muzy,

---

Whiteley w Baltimorze, Browning w Cambridge, Lanczy w Buda-Peszcie, Venitch w Belgradzie, de Crue w Genewie, Erdmannsdorfer w Heidelsbergu, v. Weech w Karlsruhe, a w Paryżu mieszkali tylko prezydujący p. Maulde, sekretarz p. Le Glay i jeden z członków p. Henryk Houssaye, historyk fachowy chlubnego imienia, autor znakomitego dzieła: „1815 Waterloo".

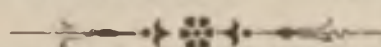
b. hymn delficki do Apollina c. Pieśń czyli Scholia). W dziale 2-gim słyszeliśmy śpiewy Gregoryańskie (a. Graduał: Constitues eos z VIII i b. Alleluya: Salve Virgo Florens z XI w.). Potem następowały w porządku chronologicznym urywki z Jeu de Robin et Marion XIII wieku, muzyka religijna polifoniczna z XV i XVI wieku, piosnki ludowe francuskie, muzyka świecka polifoniczna z XVI w. i t. d. aż do pieśni narodowej z dnia 14 lipca 1800 r. Wykonywały ten program znakomite siły wokalne z udziałem chóru żeńskiego z Saint-Gervais przy akompaniamencie arfy, fortepianu, skrzypiec. Było to świetne, dźwięczne i nader przyjemne zamknięcie kongresu.

Tadeusz Korzon.



Trzeci zjazd historyków polskich

w KRAKOWIE.



Wielkie święto jubileuszowe prastarej wszechnicy jagiellońskiej poprzedziła poważna uroczystość naukowa: zjazd historyków polskich, trzecim nazwany,—poprzednicy jego to zjazd Długoszowy z r. 1880 i lwowski z r. 1890, urządzony przez lwowskie Towarzystwo historyczne—był pięknie wyszukanym wstępem do uczczenia tej Szkoły, która wydała Długosza, w której działał Szujski. W programie zjazdu nakreślono szeroki zakres prac: miał on przynieść bilans naukowy z ubiegłego dziesięciolecia, to jest dać dokładny obrachunek, ile w obecnej chwili spełniono z tego, co na poprzednich zjazdach uchwalono lub zamierzono, miał poruszyć nietknięte prawie u nas kwestye metodyczne, miał wreszcie wskazać najważniejsze potrzeby naukowe i wytyczyć prac przyszłych kierunek. Zadaniom tym trudnym zjazd podołał prawie w zupełności, oczekiwań nie zawiódł, plonem poważnym się szczyci, a w tem wszystkiem zasługa wielka organizatorów jego niestrudzonych: prof. Tadeusza Wojciechowskiego i prof. Ludwika Finkla.

Przed zdaniem sprawy z obrad słów kilka o organizacyi zjazdu. Do prezydyum honorowego wybrano: Jarosława Golla, Tadeusza Korzona, Antoniego Małeckiego, Ludwika Szadeczkyego, Izydora

Szaraniewicza i Stanisława Tarnowskiego; przewodnictwo dzierżył w swych rękach Michał Bobrzyński, sekretarzami zaś byli: dr. Wiktor Czermak i Ludwik Finkel. Obrady odbywały się w czterech sekcyach; z tych pierwsza, poświęcona historyi politycznej i historyi prawa (przewodniczący: Aleksander Jabłonowski, Gustaw Manteuffel, Wincenty Zakrzewski; sekretarze: Adam Chmiel, Stanisław Estreicher, Jan Kochanowski i Aloizy Winiarz), druga—historyi literatury (przewodniczący: Piotr Chmielowski, Józef Kallenbach, Stanisław Ptaszycki; sekretarze: Bronisław Gubrynowicz i Antoni Mazanowski), trzecia—archeologii i historyi sztuki (przewodniczący: ks. Józef Bilczewski, Aleksander Jelski, Stanisław Przybysławski; sekretarze: Aleksander Czołowski, Feliks Kopera i Julian Pagaczewski), a czwarta—etnografii (przewodniczący: Jan Karłowicz, Alfons Parczewski, Jerzy Polivka; sekretarze: Franciszek Krczek i Ludwik Młynek). Piękną prelekcyę wstępną wygłosił prof. Oswald Balzer na temat: „Główne kierunki w rozwoju nauki porównawczej w historyi praw słowiańskich i jej istotne zadania". Myślą przewodnią odczytu było wezwanie do podjęcia na nowo pracy o zakresie porównawczych badań i w dziale historyi praw słowiańskich, tylko z ominięciem dawnych błędów (Maciejowski); do pracy zabrać powinniśmy się tem rychlej, iż historya prawa słowiańskiego czy praw słowiańskich jest tylko jednym członem obszerniejszego pojęcia: historyi prawa ludów aryjskich, a ta znowu jednym członem historyi prawa ludzkości całej, byłoby zaś niedobrze, gdyby rolę jaką w tych naukach zajmuje historya naszego prawa, wyjaśnili obcy za nas i bez nas.

Największą ilość referatów — liczba ich wynosiła dwadzieścia i dwa — zgłoszono w sekcyi pierwszej; obejmowały one kwestye metodyczne, przegląd dziejów Polski i luźne sprawy specyalne. Pierwszym kwestyom poświęcone były referaty następujące: Włodzimierza Czerkawskiego: „Metoda statystyki historycznej polskiej", Bronisława Dembińskiego: „Stan nauki historycznej pod względem metody", Bronisława Łozińskiego: „Historya współczesna w programie wykształcenia politycznego" i Juliana Makarewicza: „Metoda socyologiczna w historyi prawa". Nikt nie może odmówić ważności—i to wielkiej—kwestyom, poruszonym w powyższych referatach, doniosłość ich jednak się zwiększa, jeśli dyskusya, nad nimi przeprowadzona, oparta jest na gruncie realnym; na zjeździe obracała się ona po większej części, niestety, w sferze uwag ogólnikowych.

Referat prof. Dembińskiego miał, jako punkt wyjścia, rozgłośną dziś w historyografii niemieckiej t. zw. teoryę prof. Lamprechta w Lip-

sku, która dąży do wprowadzenia w wyższym, niż dotychczas, stopniu pierwiastku dziejowo-kulturalnego do dziejów czysto politycznych; słusznie i przekonywająco wykazywał referent błędy powyższej teoryi, nie pozwalającej uczonemu niemieckiemu na bezstronne opracowanie całego szeregu ważnych kwestyi historycznych. Nader żywotną sprawę poruszył w swym referacie dr. Bronisław Łoziński; rozszerzenie badań nad nowożytną historyą polską, zapełnienie rażących luk w naszej literaturze historycznej i politycznej, podniesienie wykształcenia politycznego — oto najważniejsze postulaty; w referacie miały one poparcie w pięknych słowach prof. Adolfa Exnera o znajomości nowożytnych dziejów ojczystych, w dyskusyi znalazły gorącego rzecznika w osobie d-ra Szymona Askenazego, jednomyślna nakoniec uchwała dała również świadectwo doniosłości tejże sprawy. Prof. Włodzimierz Czerkawski żądał w swym referacie: 1-o wydania lustracyi, wykazów poborowych inwentarzy dóbr duchownych i świeckich i skarbowych rachunków z XVI wieku; 2-o opracowania tego materyału. W dyskusyi zabierał głos Tadeusz Korzon, kwestyonując ścisłość absolutną danych statystycznych z tej odległej doby, w obronę je wziął prof. Bolesław Ulanowski. Referat d-ra J. Makarewicza przynosił, jako projekt uchwały: „uznać, jako postulat nowożytnej nauki, badanie instytucyi prawnych metodą socyologiczną (t. j. rozszerzoną metodą prawno-porównawczą w połączeniu z metodą etnologiczną) i opracowanie monograficzne pojedyńczych wytworów prawnych, prowadzące do ich syntetycznego ujęcia w powszechną historyę prawa;” tezę swą poparł referent nader wyczerpującym wywodem naukowym.

Praktyczniejsze znaczenie, aniżeli poruszenie kwestyi metodycznych, miał przegląd dziejów Polski w całym szeregu referatów; szkoda wielka, że nie wszystkie były opracowane z równą ścisłością i dokładnością. Przegląd rozpoczynał referat prof. L. Finkla o okresie piastowskim z żądaniami ułożenia regestów i dokumentów XIII i XIV wieku i uzupełnienia Monumentów Poloniae; również poruszył referent sprawę rewizyi i nowego wydania roczników i kronik, z ostatnich zaś zwłaszcza „Mistrza Wincentego” i „Janka z Czarnkowa”. Dezyderaty, odnoszące się do wieku XV-go, przedstawił wyczerpująco dr. Fryderyk Papée, wskazując na potrzebę zbadania dziejów wewnętrznych, a to w ten sposób, jak zrobił Pawiński dla wieku XVI-go, a Korzon dla XVIII; również, jako rzecz nader pożądaną, podniósł referent sprawę wydania poezyi i listów Kallimacha. Z kolei przyszedł pod obrady wiek XVI; dalsze wydawnictwo Tomicyanów i Hosianów, zebranie korespondencyi Zygmunta Augusta,

Jana Zamojskiego, Kromera, nuncyuszów, ogłoszenie *Corpus Reformatorum Poloniae* — oto kilka z kwestyi, poruszonych w pięknym referacie d-ra Józefa Korzeniowskiego. Słusznie zapytywał w nim referent, czy wiek Odrodzenia i Reformacyi, wiek egzekucyi praw i przywilejów, wiek głośnych sejmów, burz społecznych, wiek Unii Lubelskiej i Brzeskiej stracił już urok, kiedy w ostatniem dziesięcioleciu prace nad nim prawie w zupełności ustały? Słaby zasób źródeł i brak opracowań wykazywał dr. Eugeniusz Barwiński w referacie o Zygmuncie III-im; drugą połowę wieku XVIII-go wziął, jako temat swego referatu, dr. W. Czernak. Na wstępie przypomniał referat prof. L. Kubali, wygłoszony na zjeździe lwowskim: „O wydawnictwie źródeł historycznych XVII wieku", i przedstawił, że postulaty, w nim wskazane, w toku minionego dziesięciolecia w nader małej części zostały spełnione. Brak monografii B. Chmielnickiego, Jerzego Lubomirskiego, A. Olszeńskiego, Andrzeja Morsztyna, Stanisława Jabłonowskiego, przerwanie wydawnictwa „Sobiescianów", potrzeba publicznego wydania „Aktów publicznych państwa" — oto luki do wypełnienia. Słusznie podniósł referent zasługi T. Korzona, jako biografa Sobieskiego, a wytknął błędy, które zawiera osławiona francuska książka Waliszewskiego o Marysieńce. Epokę saską (1696—1763) opracował dr. Szymon Askenazy; obszerny, z wielką znajomością rzeczy napisany wstęp poprzedzał dezyderaty referenta, żądające wydania ogromnego zbioru korespondencyi politycznych, publikowania umów międzynarodowych obu Augustów i Stanisława, dotyczących bezpośrednio Rzeczypospolitej, wydrukowania systematycznego zbioru dyaryuszów wszystkich sejmów etc. Podobne żądania poddał pod uchwałę zjazdu prof. Br. Dembiński w swym referacie o epoce Stanisława Augusta; na czele ich podniósł potrzebę odwołania się do zarządów i właścicieli archiwów prywatnych, aby dla studyów uczynili je przystępnemi i sami o materyałach udzielali wiadomości. Nader ważnym był również postulat, by uznać potrzebę sporządzenia inwentarza materyałów do epoki Stanisława Augusta, dalej zaś wnioski zebrania i wydania pism politycznych i opracowania literatury politycznej. Ostatni referat w przeglądzie dziejów Polski wyszedł z pod pióra d-ra Szymona Askenazego i obejmował z epoki porozbiorowej lata 1795—1830; na tem polu pozostaje prawie wszystko do zrobienia; pocieszyć się tem możemy, że jest nieznużony pracownik w tym zakresie: sam referent.

W ścisłej łączności z powyżej streszczonym przeglądem pozostawał nader ważny referat prof. Ludwika Finkla o składanych dziejach Polski. Wszystkie już prawie narody zdobyły się na dzieła,

dokonane siłami zbiorowemi, przynoszące całokształt ich dziejów; wystarczy wspomnieć niemieckiego Onckena, Zwiedeneck-Südenhorsta, B. Gebhardta lub francuskiego E. Lavissa i A. Rambauda. Potrzeba takiej pracy historycznej jest u nas wielka, przeprowadzenie jej jednak — po wykazanych w przeglądzie dziejów Polski brakach historyografii naszej — przedstawia wiele trudności, można atoli nadzieję mieć niepłonną, iż referent, któremu zawdzięczamy tak cenną bibliografię historyi polskiej, przezwycięży wszelkie przeszkody, w czem: Szczęść Boże!

Nakoniec słów kilka poświęcić jeszcze musimy referatom z sekcyi historycznej, omawiającym luźne kwestye naukowe. Miejsce pierwsze bezsprzecznie przynależy się pracy p. Aleksandra Jabłonowskiego, przedstawiającej „atlas historyczny ziem ruskich Korony w epoce przełomu z wieku XVI-go na XVII-ty;" dziełe to niezwykłe uzyskało ogólny poklask. Nader interesującym był referat prof. Stanisława Krzyżanowskiego p. t. „Wielka własność gruntowa i jej wpływ na organizacyę społeczną i polityczną wieków średnich". Ważne sprawy poruszyli w swych referatach: dr. Aleksander Czołowski: „O potrzebie badania i gromadzenia zabytków municypalnych, cechowych, brackich i t. p." i dr. Aloizy Winiarz: „Co uczyniono dotąd w Galicyi dla ratowania archiwaliów gmin miejskich i wiejskich i co jeszcze do zrobienia pozostaje?"; dr. Winiarz przedstawił jeszcze w osobnym referacie sumienny przegląd literatury prawa polskiego w ostatniem dziesięcioleciu. Cennym również był referat d-ra M. Schorra o „historyi Żydów w Polsce."

Wyliczone są już prawie wszystkie referaty historyczne; do wyprowadzenia wniosków ogólnych brak sprawozdawcy kompetencyi. Zdaje mu się jednak, iż podniesiono za wiele żądań, by wydawać nowe materyały, a położono zamało nacisku, by opracować już wydane; żałować należy, że zapomniano o sprawie, poruszonej przed dziesięciu laty na zjeździe lwowskim przez ś. p. prof. Ks. Liskego: „W jaki sposób dałby się rozbudzić i rozwinąć ruch naukowy na prowincyi?" Szkoda również, że nie zgłoszono referatu o historyi kościoła w Polsce. Obfitość jednak podjętych kwestyi nowych, rozszerzony horyzont naukowy — to wielkie *plus* obecnego zjazdu w porównaniu z poprzednimi.

Obok sekcyi historycznej wybitne miejsce na zjeździe zajęła sekcya, poświęcona historyi literatury; referatów zgłoszono piętnaście. Obrady rozpoczęły się od referatu prof. J. Tretiaka o „Podziale historyi literatury polskiej na okresy". Zdaniem referenta podstawą podziału powinien być stosunek, zachodzący między dwoma

głównymi czynnikami literatury: rodzimością a wpływami obcymi; wynikiem tego byłby podział na trzy główne epoki czy okresy: 1) Od przyjęcia chrześcijaństwa, właściwie od pierwszych zabytków literatury łacińskiej w Polsce, do pierwszych utworów Reja, mianowicie do r. 1543, w którym się ukazuje pierwszy znany jego utwór poetycki: „Krótka rozprawa między trzema osobami: Panem, Wójtem i Plebanem". 2) Od r. 1543 do roku mniej więcej 1820, t. j. do czasu wydania „Wiesława" Brodzińskiego, pisania ballad i ody do młodości Mickiewicza. 3) Od r. 1820 do bieżącej chwili. Kryteryum to podziałowe, podniesione przez referenta, ma swą wagę i przy podziale na okresy musi być uwzględnione, opierać jednak nie można podziału na niem samem, za kruchą bowiem i jednostronną stanowi podstawę. Wywody prof. Tretiaka znalazły silną opozycyę u uczestników zjazdu, którzy za to gorącym i szczerym poklaskiem obdarzyli go za piękny referat o „Żywiole ruskim w literaturze polskiej". Poczynając od książeczki z XVI wieku teologa krakowskiego Jana Sacrana, p. t. „Elucidarius errorum ritus Ruthenici", zestawił referent w historycznym obrazie wszystkie enuncyacye poetów i pisarzy polskich o Rusi i Rusinach aż do czasów najnowszych, aż do powieści Sienkiewicza, „Ogniem i mieczem"; charakterystycznem jest znamieniem, że na przestrzeni czterech wieków stosunek literatury polskiej do ruskiego żywiołu cechuje jak największa życzliwość i współczucie, a w historycznych pracach np. Szajnochy lub Kubali wysoka bezstronność. Czy ta życzliwość i bezstronność znajdowały lub znajdują echo wzajemności w literaturze rusko-ukraińskiej?...

W sześciu referatach objęto całokształt historyi literatury polskiej aż po rok 1850. Średniowiecze opracował prof. Al. Brückner; punkt wyjścia stanowiło dla referenta znakomite dzieło prof. W. Nehringa: „Altpolnische Sprachdenkmäler", wymagające jednak dzisiaj pewnych uzupełnień, ostatnie bowiem piętnastolecie przyniosło rzeczy nowe. Jako program dalszej pracy, stawia referent najprzód porównanie tekstów, mylnie wydanych, z oryginałami, ogółem byłoby nader pożądanem wydanie całego zbioru p. t. „Drobne zabytki staropolskie". Dalej należałoby opracować wszystkie i znane już dawniej zabytki co do znaczenia ich treści, źródeł i wzorów, czyli zająć się krytyką literacką; zwrócenie szczególnej uwagi na ślady czy wpływy ruszczyzny jest również rzeczą nader ważną. Oprócz tych dezyderatów podał prof. Brückner dokładny przegląd prac już dokonanych. Inny charakter miał piękny referat prof. W. Nehringa p. t. „Rozkwit języka polskiego w wieku XVI. Zapomniany rożdział

z historyi literatury polskiej wieku XVI". Odpowiada w nim referent w obszernym wywodzie na trzy pytania: 1) Komu należy się zasługa wprowadzenia języka polskiego stale do piśmiennictwa? 2) Komu przypisać przedewszystkiem zasługę wprowadzenia języka polskiego w głównych zakresach życia w miejsce łaciny? 3) Komu przypisać zasługę wydoskonalenia języka polskiego, jako języka piśmiennego? Na pytanie pierwsze odpowiedź brzmi, iż zasługa ta należy się księgarzom krakowskim, którzy odważyli się drukować książki polskie w czasie jedynowładztwa łaciny; na pytanie drugie stawa odpowiedź, że zasługa rozszerzenia języka polskiego należy się Zygmuntowi Augustowi, który rozmiłował się w języku ojczystym i zamiłowanie przelewał wpływem swoim królewskim na innych; w odpowiedzi na pytanie trzecie wskazuje referent na trzech pisarzy, zzsługujących na miano twórców języka piśmiennego z epoki złotej, t. j. na Marcina Bielskiego, Jana Kochanowskiego i Piotra Skargę.

Cennem uzupełnieniem referatu prof. Nehringa był referat d-ra W. Hahna o „najważniejszych dezyderatach w sprawie badań nad literaturą humanistyczną w Polsce". Z wielką sumiennością zgromadzony materyał bibliograficzny posłużył referentowi do wysnucia następujących wniosków: 1-o aby założyć towarzystwo, poświęcone badaniom literatury humanistycznej w Polsce; 2-o aby publikować dokładną bibliografię literatury humanistycznej polskiej i podjąć się wydań krytycznych i biografii, pojętych w jak najszerszym tego słowa znaczeniu; 3-o aby popularyzować wyniki z zakresu badań humanistycznych. Wnioski te znalazły ogólne uznanie, a w dyskusyi wyłoniła się myśl, czyby nie dało się zorganizować stałych ekspedycyi naukowych literackich do rozmaitych bibliotek — na pierwszem miejscu Petersburg — na wzór stacyi naukowej w Rzymie. Jest nadzieja, że najwyższa nasza instytucya naukowa, Akademia Umiejętności w Krakowie, projekt ten urzeczywistni, w jej gronie bowiem zasiada gorący rzecznik tej sprawy prof. Kazimierz Morawski.

Jak wielkie luki pozostają do zapełnienia w historyi literatury naszej w wieku XVII-tym, wykazał dowodnie prof. A. Brückner w swym referacie. Znakomity znawca tych czasów słusznie podniósł, że nastąpiła już pewna rehabilitacya tego stulecia, że ustąpiło uprzedzenie do literatury panegirycznej, ale to, co zrobiono, w stosunku do tego, co zrobić należy, jest jeszcze drobiazgiem jedynie. Ocena krytyczna dorobku poetyckiego Karmanowskich, Naborowskich, Szlichtyngów, Morsztynów, Lubomirskich... nie dokonana,

cenne utwory, kryjące się w rękopisach po bibliotekach, nie wydane; a po dokonaniu tego pokaże się, iż „wiek XVII-ty nie był ubogi w talenty, że życie literackie wrzało na wsze strony, że nie darmo od Mołdawii do Moskwy język i książki polskie popłacały, że wpływy tej literatury przekraczały daleko etnograficzne i polityczne nawet granice.” Mniej żądań w porównaniu z wiekiem XVII-tym przynosił referat prof. P. Chmielowskiego o „literaturze polskiej wieku oświeconego”; wszyscy główniejsi pisarze doby stanisławowskiej mają już obecnie swoje monografie. Dezyderaty więc referenta w innym zakresie się obracały; domagał się na czele wyjaśnienia, jakiemi drogami przychodziły do nas idee t. zw. wieku oświeconego? podnosił następnie, że fazy i natężenie zmieniających się poglądów nie są oznaczone, że zmiana w poglądzie na przeszłość, a stąd nowe pojęcia historyograficzne nie są wyjaśnione. Dalsze pytania poruszały kwestye, jakim wpływom podlegała u nas estetyka i krytyka literacka? jak rozwijały się dramat, liryka, powieść, satyra, wymowa? jaki ich związek z literaturą francuską, a jaki z tradycyą? Z tem łączy się ściśle sprawa wykazania zmian, jakim uległ nasz język i styl w drugiej połowie XVIII stulecia. Nakoniec zaznaczył referent potrzebę dokładnego zbadania czasopism z tejże epoki, zwłaszcza zaś „Monitora” i „Zabaw przyjemnych i pożytecznych”.

Referat ostatni, należący do przeglądu literatury polskiej, z polotem i gorąco napisany, wyszedł z pod pióra prof. J. Kallenbacha; tytuł jego: „Kilka uwag o niezałatwionych kwestyach literatury polskiej z pierwszej połowy XIX wieku.” Myślą przewodnią referatu było wykazanie, iż pierwszym dzisiaj obowiązkiem naszym powinno być opracowanie historyi emigracyi polskiej, a więc i dziejów literatury emigracyjnej; w niej mieszczą się pierwszorzędne skarby polskiego ducha i poezyi polskiej. Zdaniem referenta — potrzebującem jednak jeszcze uzasadnienia — literatura emigracyjna różni się dyametralnie od literatury z przed r. 1830 i stanowi zamkniętą w sobie całość. Kilka kwestyi, poruszonych przez prof. Kallenbacha, domaga się rzeczywiście jak najszybszego załatwienia; wykazanie wpływu na poezyę naszą Szekspira i Chateaubrianda, opracowanie historyi krytyki literackiej w. XIX-tego, zbadanie naukowe odrodzenia religijnego i mesyanizmu—czekają niewątpliwie na pracownika, któremu trud opłaciłby się stokrotnie. Oprócz wniosku referenta uchwalono nadto potrzebę wydania bibliografii czasopism polskich z wieku XIX.

Szereg myśli pięknych, uwag trafnych i bystrych mieszczą te powyżej streszczone referaty, szkoda jednak wielka, iż zaledwie nad

kilkoma przeprowadzono dyskusyę—nie byli bowiem obecni na zjeździe ani prof. Brückner, ani prof. Nehring, ani dr. P. Chmielowski. Z powodu nieobecności ostatniego spadł również z porządku dziennego jego referat o „spółczuciu psychologicznem w badaniach historyczno-literackich"; z tego samego powodu nie przyszedł pod obrady referat d-ra Konstantego Wojciechowskiego p. t. „Potrzeba naukowych krytycznych wydań najznakomitszych poetów polskich dawniejszych i nowszych; jaki ma być program wydawnictwa i na jakich zasadach oparty?" Kwestye, tu poruszone, są nader żywotne, niezupełnie jednak jasno zdał sobie z nich sprawę referent i właściwie nie przyniósł nic nowego, czegoby już nie był poruszył na zjeździe im. Kochanowskiego prof. R. Pilat w referacie: „Jak należy wydawać dzieła polskich poetów XVI i XVII wieku".

Z luźnych referatów bezsprzecznie najbardziej interesującym był referat d-ra Antoniego Karbowiaka o „stanie badań na polu dziejów wychowania, szkół i nauk w Polsce"; pokrewny temat poruszył przed laty dziesięciu na zjeździe lwowskim dr. Stanisław Windakiewicz w referacie: „Znaczenie szkół i uniwersytetów dla oświaty i literatury łacińskiej w Polsce". Dr. Karbowiak postawił jednak sprawę o wiele praktyczniej, a z wymienionych przez niego postulatów kilka już spełniło się; uniwersytet jagielloński znalazł swego znakomitego historyka w osobie prof. K. Morawskiego, zakłady naukowe w Zamościu, Wilnie, Kijowie i Warszawie mają już swe monografie, o dawniejszych pracach — np. Finkla i Starzyńskiego o uniwersytecie lwowskim — nie wspominamy. Nie możemy jednak pominąć milczeniem nader cennej pracy ks. prof. J. Fijałka „*Polonia apud Italos scholastica*" — ukazał się jej zeszyt pierwszy — i nader ciekawej książki ks. Stanisława Załęskiego; „Jezuici w Polsce" [1]). Przytoczyliśmy tych kilka dzieł na dowód, że na tem polu ruch ożywiony panuje, i w krótkim czasie plonu bogatego spodziewać się można; a dodać jeszcze należy, że i sam referent zasłużonym jest w tej dziedzinie pracownikiem. Pozostaje teraz już kilka tylko referatów w sekcyi literackiej, a mianowicie d-ra J. Karłowicza: „Środkowość Polszczyzny" z tezą, iż ze wszystkich słowiańskich język polski skupia w sobie najwięcej cech wybitnie słowiańskich, dalej dwa referaty d-ra Kolessy z zakresu literatury ukraińsko-ruskiej i nakoniec referat podpisanego sprawozdawcy: „W sprawie poetyki polskiej".

---

[1]) Pierwszy tom dzieła tego ukazał się przed kilku dniami, obejmuje czasy od r. 1555—1608, a więc okres walki z różnowiarstwem.

Przegląd referatów z sekcyi literackiej ukończony; dają one w całości obraz barwny, świadczący dowodnie o postępie na tem polu. Kwestye, nad któremi na zjeździe Kochanowskiego w r. 1884 dyskutowano teoretycznie lub uchwalono je w życie wprowadzić, teraz rozstrząsane były krytycznie z oceną, czy dobrze zostały wprowadzone. Zapytania z dziedziny teoryi literackiej, poruszane podówczas jedynie mimochodem, teraz wypowiadane były śmiało. Horyzont naukowy rozszerzył się—a zasługa to niepoślednia właśnie tych, którzy przed laty szesnastu brali w zjeździe udział; uczniowie ich wstąpili teraz w szranki dysputujących, rozprowadzając dalej to, co ich profesorowie podjęli pierwsi. W tej nici tradycyjnej jest rękojmia, iż prace zamierzone doprowadzone będą do skutku, iż braki wskazane będą wypełnione, iż obrady zjazdu dla nauki naszej przyniosą plony piękne.

W sekcyi trzeciej, poświęconej archeologii i historyi sztuki, zgłosiło referatów czternaście referentów jedenastu: w ich gronie kilka nazwisk nowych i wiele zapowiadających. W dziedzinie więc tej postęp i ożywienie widoczne — wszak na zjeździe Długoszowym trzech referentów (Maryan Sokołowski, Władysław Łuszczkiewicz i Jan N. Sadowski) miało referatów sześć. O ściśle naukowym charakterze były na ostatnim zjeździe referaty prof. Jana Bołoza-Antoniewicza, ks. prof. Józefa Bilczewskiego i prof. Piotra Bieńkowskiego. Pierwszy z nich w referacie p. t. „Portret Cecylii Gallerani przez Lionarda da Vinci w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie" omawia obraz, przedstawiający młodą kobietę z gronostajem, i jako twórcę jego podaje Leonarda da Vinci; czas namalowania jego przypada—według referenta—na lata 1483—1485. Nader ciekawe wywody naukowe prof. Antoniewicza wówczas nabrałyby jeszcze większego znaczenia, gdybyśmy znali drogę wędrówki tego obrazu; dziś pozostać muszą one jedynie hypotezą, wspaniale przez referenta bronioną. Na tem miejscu podnieść należy ostateczny wniosek ogólny referatu, zasługujący na jak najgorętsze poparcie; brzmi on: „Kongres jubileuszowy historyków polskich uznaje badania nad ważnemi dziełami obcej sztuki, będącemi stale w polskiem posiadaniu, za ważne i pilne zadanie nauki polskiej i wyraża życzenie, by wszystkie ważniejsze dzieła te zostały objęte jedną wielką wspólną publikacyą, mającą wyjść pod egidą Akademii Umiejętności w Krakowie w języku polskim, a następnie w tłómaczeniu na język francuski lub niemiecki." Ks. Józef Bilczewski w referacie o „znaczeniu archeologii chrześcijańskiej" przedstawił wielką doniosłość materyału monumentalnego, wydobytego prze-

ważnie z ziemi, dla historyi pierwszych chrześcijan i dla teologii, tworzą one bowiem nowe jej źródło, pozwalające stwierdzić tożsamość naszych dogmatów z dogmatami czasów apostolskich. Prof. Piotr Bieńkowski w referacie p. t. „Sarmaci i Roksolanie w sztuce rzymskiej" zbijał zapatrywania Petersena i Domaszewskiego, którzy w przedstawieniu sarmackich Jacygów na kolumnie Marka Aurelego dopatrywali się Słowian, dalej zaś podał w wątpliwość, czy przedstawieni na kolumnie Trajana Roxolanowie są słowiańskiego pochodzenia; zdaniem referenta figury typu drugiego na płaskorzeźbach trofeum Trajanowskiego we wsi Adam-Klissi w Dobruczy przedstawiają Słowian.

Kilka referatów poświęcono luźnym kwestyom naukowym; do tego rodzaju zaliczyć należy dwa referaty Karola Bodsunowskiego: 1) „Najdawniejsze pomniki chrześcijaństwa na Rusi", 2) „Wiadomości o domniemanym kalendarzu litewskim „Berło Gedymina" zwanym", dalej Ksawerego Chamca: „Przeddziejowe stosunki zewnętrzne ziemi kijowskiej", Leonarda Lepszego: „Produkty cechowe w stosunku do kultury średniowiecza i renesansu" i Grzegorza Worobjewa: „Miasto Tykocin". Przynosiły te prace cenne uwagi i spostrzeżenia, choć niektóre stawiały zbyt śmiałe hypotezy; do takich zaliczyłbym przypuszczenie K. Bodsunowskiego o istnieniu kolonii chrześcijańskich wśród gościnnych Słowian, począwszy od II-go wieku po Chrystusie, które miały zwolna przysposabiać całe społeczeństwo na Rusi do przyjęcia nowej wiary.

Pozostają jeszcze referaty, zajmujące się sprawami praktycznemi. Najciekawszym z tych był d-ra Stanisława Tomkowicza: „O potrzebie zdejmowania planów przy sposobności przebudowy starych typowych domów w miastach i miasteczkach naszych"; ostatni dziś czas zająć się gorliwie ocaleniem tych rzeczy i w myśl wniosku referenta robić zdjęcia architektoniczne, zbierać fotografie i składać do zbiorów komisyi historyi sztuki w Akademii Umiejętności w Krakowie. Również praktyczne myśli poruszyli dr. F. Kopera i L. Lepszy; pierwszy z nich domagał się zbiorowego wydania piśmiennych źródeł, odnoszących się do sztuki, archeologii i kultury XI—XIII wieku, i krytycznego wydania średniowiecznych monet polskich z uwzględnieniem historyi sztuki i kultury, drugi zaś żądał uporządkowania i uprzystępnienia zbiorów rycin. Muzea nasze posiadają nader cenne ryciny, zwykle jednak niedostępne i nie uporządkowane naukowo; wezwanie referenta, ażeby zająć się wydaniem publikacyi, którąby objęła dzieje drzeworytu polskiego, jest nader

ważnem nietylko dla historyka sztuki, ale również i literatury, przyczyni się bowiem do bliższego oznaczenia wielu druków naszych z wieku XVI-tego. Referat p. Juliana Pagaczewskiego: „W sprawie inwentaryzacyi zabytków sztuki w Polsce, a zwłaszcza w Galicyi" wywołać może nader ożywioną dyskusyę, do przeprowadzenia jednak jest nader trudnym; podobny charakter ma nader zajmujący referat p. Włodzimierza Demetrykiewicza o „warunkach pracy naukowej na polu archeologii przedhistorycznej w Polsce i kwestya ich zasadnicznej poprawy". Oba te referaty ostatnie świadczyć będą kiedyś o stanie kulturalnym całego naszego ogółu, drogą jednak, w nich wskazaną, nie dojdzie się do celu.

Na końcu tego suchego zestawienia mieścić się musi jeszcze uwaga jedna, żal wypowiadająca, że nie zgłosili referatów tak znakomici uczeni, jak prof. Sokołowski, Wł. Łoziński, J. Mycielski—lub nieobecni z Warszawy; dalej zaś, że zapomniano o sprawie, poruszonej na zjeździe lwowskim tak wymownie przez ś. p. ks. Eustachego Skrochowskiego: a mianowicie o potrzebie zakładania muzeów dyecezyalnych dla zabytków artystycznego przemysłu, archeologii i sztuki kościelnej. Dał się również uczuć na zjeździe brak ś. p. Władysława Łuszczkiewicza.

Żywe i gorące debaty toczyły się jeszcze w jednej sekcyi, w czwartej mianowicie, poświęconej etnografii; młoda nauka wywalczyła dla siebie już tak poważne stanowisko, iż, jako odrębny dział, na zjeździe wystąpiła. Zasługa to prof. A. Kaliny, prezesa „Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie", który umiał rozbudzić ruch taki i ożywienie niezwykłe. Wśród jedenastu zgłoszonych na zjazd referatów, jako etnograficzny, dzierżył prym Alfonsa Parczewskiego: „O zbadaniu granic i liczby ludności polskiej na kresach obszaru etnograficznego polskiego", jako etnologiczny, prof. Jerzego Polivki z Pragi: „O znaczeniu badań powiastek ludowych". Plan robót, nakreślony przez pierwszego referenta, wielki i ciężki, inne ma jeszcze oprócz naukowego znaczenie dla nas — o czem przy badaniu pogranicza językowego zapomnieć nie wolno; ściśle umiejętny referat prof. Polivki miał na celu udowodnienie, jakie ma znaczenie geograficzne gromadzenie powieści bajecznych, na tej bowiem drodze najprędzej możemy się dowiedzieć o ich pochodzeniu i ojczyźnie. Tezę swą popierał referent nader ciekawymi przykładami, pomiędzy innymi wędrówką motywu znanej powiastki o „złotej gęsi". Interesującym również był referat prof. Kaliny: „O badaniu narzeczy języka polskiego i o piśmiennem oznaczaniu ich dźwięków"; zda-

niem referenta, badanie dźwięków narzeczowych oprzeć należy na podstawie fizyologicznej, następnie należy podać dokładną analizę każdego dźwięku zosobna, jako też w połączeniu z innymi dźwiękami, i wykazać przyczyny, wpływające na przemiany dźwięków. Ponadto koniecznem jest oznaczenie piśmienne dźwięków oprzeć na pisowni, powszechnie używanej w drukowanych książkach; pisownia ta powinna być ściśle fonetyczna. Ważne dwa tematy poruszyli w swych opracowanych doskonale referatach dr. Franciszek Krczek i Roman Zawiliński; pierwszy mówił „o potrzebie atlasu żywej mowy polskiej i sposobie jego urządzenia", drugi zaś „o potrzebie mapy etnograficznej polskiej". Sprawozdawczy charakter mają referaty Jana Świętka: „O dotychczasowych badaniach nad wierzeniami ludu polskiego i postulaty na przyszłość" i Stanisława Żdziarskiego: „Dotychczasowy stan badań nad etnografią polską i dalsze ich kierunki"; nakoniec z referatów, poświęconych kwestyom specyalnym, wymienić należy pracę Seweryna Udzieli p. t. „Ornamentyka ludowa i jej znaczenie dla sztuki i przemysłu krajowego".

Podobnie, jak w innych sekcyach, również i tu myślą ogólną było uznanie potrzeby skontrolowania wszystkiego, co dotychczas zrobiono, ażeby na tej podstawie prowadzić dalsze badania i uzupełniać braki; w etnografii bardziej to rzecz ważna, niż w innych naukach, w pracach jej bowiem nader żywy udział biorą dyletanci. W obradach poruszono cały szereg kwestyi, nie podniesionych w drukowanych referatach, a z tych najpiękniejszą była myśl założenia muzeum etnograficznego; pośpieszyć się należy z wprowadzeniem tej myśli w życie, z dniem bowiem każdym prądy cywilizacyjne zacierają rysy charakterystyczne, strój ludowy znika, i wszystko przybiera cechy kosmopolityczne.

Przegląd referatów ukończony; z pobieżnego ich zestawienia widać jasno, jakie zadania w przyszłości naukę naszą czekają, ile trudów i wysiłków poświęcić trzeba będzie, aby choć w części wykonać to, co zjazd uchwalił. Pracowników chętnych z pewnością dzisiaj nie zabraknie, sił młodych i zapału pełnych przybył zastęp liczny, a również starsi i zasłużeni nie ustają w pracy; usiłowaniom tym jednak musi przyjść z pomocą społeczeństwo całe. Kilka naukowych instytucyi, jakie w całej Polsce posiadamy, nie zaradzi wszystkim potrzebom, środki pieniężne Akademii Umiejętności nie są zbyt wielkie, towarzystwa zaś i czasopisma nasze naukowe nie cieszą się poparciem ogółu, i liczba członków lub prenumeratorów jest zwykle nader skromna; dla przykładu warto zaznaczyć, iż jedy-

ne polskie towarzystwo literackie im. A. Mickiewicza we Lwowie liczy zaledwie stu kilkudziesięciu członków, a niewiele większą cyfrą poszczycić się może Towarzystwo historyczne. Apel więc do ogółu chyba uzasadniony. Wśród smutnych tych rozmyślań przychodzą na myśl i dodają otuchy słowa znakomitego znawcy naszego społeczeństwa, ś. p. W. Kalinki, który przy zamknięciu zjazdu Długoszowego, reasumując wnioski i postulaty, rzekł, „iż myśli, na zjeździe rzucone, są, jak wiatr jesienny, wiatr, który je niesie do serc ludzi dobrej woli i przyjmą się tam i wydadzą kłos". Nie traćmy więc nadziei i *sursum corda*! do pracy się weźmy!

Bronisław Gubrynowicz.



Przegląd literatury zagranicznej.

I.

Poezya współczesna we Włoszech. — Historya literatury francuskiej E. Faguet'a.

Ze wszystkich rodzajów literatury Włoch współczesnych najmniej znaną jest u nas poezya. Wybitniejszych powieściopisarzy włoskich (A. Fogazzaro, G. d'Annunzio, Matyldę Serao) poznajemy powoli w przekładach własnych, bądź francuskich, dramaturgów lepszych — jak np. Marco Praga, R. Bracco, Gerolamo Rovetta — widujemy na scenie naszej, poezya tylko półwyspu najmniej ma wśród nas powodzenia i przypadkowych głównie znajduje zwolenników.

Dawniej, przed kilkunastu laty, z żyjących poetów włoskich cieszyli się u nas niejakim rozgłosem: G. Carducci i Barili, ostatnimi czasy Ada Negri zwróciła na siebie uwagę [1]). Po za tem, po za tymi kilkoma wyrwanymi z całości faktami, ruchem samym, chara-

---

[1]) Posiadamy zbiorek utworów poetki (Fatalità i Tempeste) w bardzo lichym przekładzie p. Gabora.

kterem twórczości poetyckiej Włoch współczesnych, jej zmianami i kierunkami mało kto się u nas interesował. Nie od nas to tylko zależało! W naturze twórczości tej nie było takich pierwiastków szczególnych, nie było ani mocy osobliwszej, ani świeżości i oryginalności motywów, — słowem czegoś, coby mogło żywiej wrażliwość poruszyć albo jej świetnością swoją zaimponować. Zresztą, przez długie lata poezya współczesna włoska zmuszona była sama się odradzać, sama wyrabiała się powoli, czerpiąc z obcych źródeł twórczości lub też odgrzebując dawniejsze, własne, — zasypane gruzem zaniedbania albo zapomniane w chwilach troski o dzień bieżący, w wysiłku o byt powszedni, o samoistność narodową i polityczną. W pierwszej połowie stulecia twórczość półwyspu nosi charakter wyłącznie prawie utylitarny, aktualny, — poezya jest narzędziem polityki, wyrazicielką specyalnej czynności organizmu narodowego, której podporządkowane są wszelkie inne; całokształtu życia nie obejmuje wówczas, różnolitości duszy ludzkiej nie wyraża, mniej nawet słucha jej głosu bezpośredniego, niż tych wszelkich, jakie nazewnątrz jej wypełniają swoim dźwiękiem jednostajnym całą atmosferę otaczającą. Jeżeli sławny krytyk włoski, Francesco de Sanctis, mógł nazwać wspaniały hymn Leopardi'ego „Do Italii" — „ćwiczeniem dziecinnem, w którem prócz wspomnień szkolnych nic więcej niema" — to cóż można byłoby powiedzieć o innych, podobnych „ćwiczeniach." Dużo w nich w istocie formuł konwencyonalnych, przygotowanych z góry i narzuconych twórczości, jeżeli nie zupełnie wbrew woli i naturalnym usposobieniom samego twórcy, to w każdym razie bez jego współudziału i głębszego wysiłku osobistego. Poezya wówczas jest na łasce wypadków i zdarzeń zewnętrznych, z nich czerpie swoje materyały, nie zaś z zasobów, ukrytych w głębi jednostek twórczych.

Walki szkolne, reakcye klasycyzmu i romantyzmu nie wiele pierwiastków odmładzających i świeżych wniosły w rdzeń twórczości poetyckiej. Za wiele tu było sztuczności, chłodu i wyłączności szkolnej. Z tego bojowania literatury półwyspu wyniosły parę niewątpliwych korzyści, zewnętrznej głównie natury, większość bowiem zdobyczy polegała na udoskonaleniu technicznem twórczości i na zasileniu języka literackiego przez zwrot do narodowych źródeł mowy wieku XIII i XIV-go.

Największe zjawiska literackie okresu tego (poezye Leopardi'ego i „Narzeczeni" Manzoni'ego) nie są właściwie wytworem wypełniających go sporów i prądów literackich.

W dobie przejściowej, w okresie najburzliwszym życia na-

rodowego, — od 1848—1859, a właściwie do zupełnego urzeczywistnienia jedności politycznej, t. j. do 1870 r. — twórczość literacka bardziej jeszcze staje się skrępowaną i zacieśnioną okolicznościami zewnętrznemi, nadto w owym czasie mniej, niż w jakim innym, ogół jest nią zajęty.

Dopiero ostateczne utrwalenie podstaw niezawisłości polityczno-narodowej i wszystkie towarzyszące temu następstwa: zmiany warunków społecznych i umysłowych, częściowe zawody i rozczarowania, napływ nowych prądów i ideałów ogólno-życiowych, wszystko to wywołuje przełom decydujący w twórczości literackiej półwyspu, stwarza dla niej szranki szersze, wyprowadza na drogę, wolną od tych przeszkód, tych ograniczeń i rutyny tradycyjnej, które krępowały jej polot i ujednostajniały wyraz. W tym to czasie powieść, dramat, poezya pod wpływem obcych wzorów i samorzutnych usposobień twórczych zaczynają wyzwalać się z formuł ustalonych i przestarzałych konwenansów, czerpią natchnienie z różnolitych źródeł życia narodowego i powszechnego [1]).

Ruch twórczości poetyckiej we Włoszech ostatniej doby — od chwili przełomu aż do dni naszych — doskonale został ujęty zarówno w całości, jak też w pojedyńczych jego przedstawicielach, w cennej książce p. Dornis'a „*La poésie italienne contemporaine*" (quatrième édition 1900 r.) Na odradzającym się pniu poezyi włoskiej prawie jednocześnie pojawiają się dwa pędy mocne i bujne, które dadzą początek dalszym jej rozgałęzieniom i krążenie soków przyśpieszą. Jednym jest Toskańczyk G. Carducci, drugim — Sycylijczyk Mario Rapisardi, — dwa odrębne temperamenty, dwie różne kultury i rasy, dwaj przedstawiciele odmiennych tradycyi literackich, dokoła których skupią się w pierwszych chwilach walki o nową sztukę wszelkie namiętności, sympatye i dążenia. Mniejsza o ich osobistą pomiędzy sobą rywalizacyę! Starły się tu głównie dwa wrogie temperamenty — północy i południa — dwa smaki i upodobania literackie, dwie różne wrażliwości nerwowe, poza tem hasła walki i dążenia reformatorskie zasadniczo nie różniły się od siebie. Chęć walki z oficyalnym porządkiem rzeczy, buntowniczo-wyzywające urąganie hierarchii państwowo-wyznaniowej, wreszcie pragnienie wyrwania jednostki twórczej z więzów rutyny i nieszczerości, — widnieją z obydwu stron, różniąc się tylko w wyrazie, w środkach. Rady-

[1]) Patrz studyum nasze w „Głosie" 1897 r., p. t. „Powieść włoska i G. d'Annunzio."

kalizm ideowy Carducci'ego jest bardziej skupiony, zawzięty, wydobywający się w ostrych dźwiękach i urywanych rytmach; Rapisardi'emu brak tej namiętności zwartej, jest bardziej łatwym w swoich wybuchach, bardziej rozproszonym, deklamującym lekko, gorączkowo i obficie.

Bluźnierstwa podobne sypią się z obydwu stron. W sławnym „Hymnie do szatana" (1867 r.) ciska je Carducci zuchwale i wzgardliwie, w formie nieprzejednanej, skończonej; Rapisardi w „Lucyferze" (1877 r.) wyraża podobne uczucia, podobnąż ideę wyzwalania się instynktów za sprawą nauki, obalającej bóstwa formalne, — w sposób bardziej wybujały, rozczochrany i błyskotliwy, romantycznie teatralny i aż do gadulstwa krasomówczy.

Carducci świadomie przystępuje do zreformowania sztuki rymotwórczej włoskiej, znieprawionej tradycyjnem poszukiwaniem powierzchownej melodyjności i potoczystości wiersza; kładzie tamy tej łatwości rymowania, do której sam język włoski, harmonijny i pieszczotliwie brzmiący, aż nadto zachęcał twórców. Carducci, jako teoretyk i jako poeta, zawraca sam do poetów włoskich XV i XVI w., do tych „barbarzyńców", jak siebie nazywali, którzy sposobów wierszowania szukali w metryce grecko-rzymskiej. Sam daje niezrównane wzory w tym rodzaju, w swoich „Odach barbarzyńskich", gdzie stara się surową piękność formy zlać i zbratać z pięknością istoty, ze szczerością myśli, uczuć i namiętności. Mario Rapisardi żywi podobneż pretensye, pragnie wskrzesić w sztuce włoskiej ducha silnego i formę czystą starożytności, ponieważ jednak kulturę ma bardziej powierzchowną, przytem mniej smaku i wyrobienia, a temperament rozlewny, unoszący się za daleko, w utworach jego klasycyzm ów odrodzony jest bardziej zewnętrznym, dekoracyjnym i mitologicznym. Ewolucye ideowe tych dwu antagonistów przechodzą podobne koleje. Wyrzuciwszy z siebie w pierwszych wybuchach młodości wszelkie swoje nieprzejednania wolnomyślno-republikańskie, wypowiedziawszy wszelkie oburzenia i zgrozy patryotyczne („*Giambi ed Epodi*" i t. p. 1873 r.), godzi się Carducci z panującym ustrojem państwowym — dodać należy, iż robi to w formie szlachetnej i niezawisłej — i odtąd służy głównie celom sztuki, odradza prozodyę włoską i liryzm swój oczyszcza z chwilowych zaprzątnięć aktualnością, czyniąc go głębszym i bardziej osobistym („Drugie i Trzecie Ody Barbarzyńskie" i t. p.). Rapisardi przechodzi okres zapędów i upodobań niszczycielskich, powściąga swoją gwałtowność satyryczno-polemiczną i na ruiny sypie kwiaty nadziei i wiary, wielbi siły wszechświata, któ-

rym bluźnił i urągał. Liryzm jego namiętny zlewa się nawet z pesymizmem posępnym (poemat „Job” 1884 r.). Obydwa — Carducci i Rapisardi — byli prawdziwymi twórcami współczesnego ruchu poetyckiego we Włoszech, chociaż niejednakowym był stopień ich zasług, nie jedne środki walki i wyniki wpływów. Carducci oddziałał przedewszystkiem na grupy zawodowców i miłośników, świadomych zadań sztuki, swoją erudycyą głęboką, wytwornym poczuciem piękna, powagą natchnienia i siłąześrodkowaną artyzmu. Rapisardi porywał różnolitością i zapałem swoich utworów, ich rozmachem szerokim i szumem hałaśliwym swych skrzydeł, patetycznością i ciepłem, wreszcie płodnością i większą, niż u Carducci'ego, swojskością swych natchnień. Poezye jego sięgały w szersze sfery społeczeństwa. O nim to mówił Garibaldi, że, gdyby jego utwory mogły być czytane przez połowę Włochów, Italia weszłaby w trzeci okres cywilizacyi ludzkości...

Dokoła tych dwu pionierów i mistrzów zarazem grupują się powoli młode pokolenia poetów; na północy pod wpływem działalności profesorskiej i poetyckiej Carducci'ego, na podstawie świadomie odczuwanej potrzeby reformy sztuki wierszowania, na południu obok Rapisardi'ego — na zasadzie bardziej przyrodzonego pokrewieństwa temperamentów twórczych i wspólności pochodzenia. Sporo niepoślednich talentów poetyckich znajdujemy w dwu przeciwnych sobie grupach: w szkołach „bolońskiej” (w Bolonii od wielu lat przebywa Carducci w charakterze profesora uniwersytetu) i „sycylijskiej” (w Sycylii mieszka Rapisardi). Sycylijczycy, tak samo, jak Rapisardi, wyróżniają się słonecznym blaskiem barw, niepohamowaniem i łatwością wybuchów, marzycielstwem powierzchownem i lotnością wyobraźni, która bez wysiłków boleśniejszych przechodzi od rzeczy i usposobień ponurych do radosnych i rozjaśnionych. Sentymentalizm społeczno-demokratyczny, wiara, że poezya dobroczynnie pośredniczyć może w zatargach pracy z kapitałem, cechuje nadto twórczość poetów sycylijskich. Giovanni Cesareo, L. Capuana, Ugo Fleres, L. Pirandello etc., wszyscy poruszają się w jednakowej sferze ideałów, wspólnym podlegają snom i złudzeniom, odznaczają się tym samym wdziękiem niewyszukanym, bezpośredniością natchnienia i potoczystym wierszem. Płomień wewnętrzny, którym żyją, rozlewa się nazewnątrz szerokiemi falami, nie trawiąc zbytnio ich ducha.

Bolończycy bardziej go utrzymują wewnątrz siebie, w stanieześrodkowanym, mniej nim z lada powodu szafują. Ich namiętności naturalne powściągane są bardziej złożoną kulturą umysłową, po-

miarkowaniem artystycznem, wysokim stopniem erudycyi literackiej. W grupie tej jest bardzo dużo wybitnych zdolności literackich, dużo ludzi rozmiłowanych gorąco w sztuce, związanych wspólną chęcią służenia jej, zarówno jak wspólnem uwielbieniem dla „mistrza”. Ten ostatni łącznik nadaje im wszystkim charakter szkoły, w istocie bowiem istnieją pomiędzy nimi wyraźne różnice: wieku, nastrojów i natchnień. Gorliwością i zapałem w przestrzeganiu surowych przepisów „mistrza” wyróżnia się wśród poetów szkoły „bolońskiej” autor poematu „Lukrecya Borgia”, Giovanni Marrodi, którego zasługa głównie polega na tem, że zareagował wespół z kilkoma młodszymi kolegami na niewłaściwe zrozumienie nauk Carducci'ego, występując przeciwko tym wszystkim, co pedantyczną kulturę filologiczną stawiać poczęli ponad szczerością i bezpośredniością natchnienia. Marrodi i jego koledzy (S. Ferrari, G. Biagi, L. Gentile...) dużo zrobili dla postępu nowszych, na owe czasy (1876—1877 r.), kierunków artystycznych, byli pionierami naturalizmu w sztuce i wsławili się w poezyi umiejętnem wskrzeszeniem zapomnianych rodzajów dawnej poezyi włoskiej (*Ballata*, *Ballatina* etc.).

Do wybitniejszych poetów grupy bolońskiej należą: Enrico Panzacchi, powszedniością tematów przypominający Fr. Coppée'go; Guido Mazzoni, odznaczający się surową pięknością formy i prostotą liryzmu; Baccelli, poeta nieco dydaktyczny, rozmiłowany we współczesnem życiu i paru innych. Do grupy należy również pani A. Vivanti, namiętna poetka własnych uczuć miłosnych, zaliczona do „szkoły” przez samego „mistrza” pomimo jego opinii, że „poezya jest owocem zakazanym dla kobiet i księży.” Mimo ten zakaz trzeba liczyć się z poezyą poetek włoskich, których jest niemało, i to utalentowanych, zarówno jak i z poezyą, czerpiącą natchnienie ze źródeł religii. Tę ostatnią reprezentuje znakomity powieściopisarz A. Fogazzaro, delikatny i podniosły piewca „Mirandy”, natura pełna miękkich uczuć i głębokiej troski o przyszłość człowieka współczesnego, rozdwojonego niewiarą, wątpieniem i poczuciem swojej nicości. Fogazzaro usiłuje w utworach swoich pojednać naukę z religią, aspiracye szczytne i wiarę w dobro z rozkładowym pierwiastkiem rozumu i sceptycznych skłonności wieku.

Tem samem przejęty jest inny poeta religijny włoski, Giulio Salvadori, wyróżniający się nietolerancyą neofity, autor oryginalnych w pomyśle poematów „Canzoniere civile”, w których stara się całą historyę świecką ściągnąć do mitów religijnych. Jest on przedstawicielem neo-chrystyanizmu we współczesnym ruchu literackim

półwyspu, umysłem, niepokojonym filozoficznemi zagadnieniami chwili bieżącej, żądnym wzruszeń mistycznych, wirującym w odmęcie: zmysłów, dumy i wiary...

Przesady i sztuczne, dekoracyjne uczucia romantyzmu łącznie z zawodami, wywołanymi niezgodnością aspiracyi, żywionych w epoce odradzania się narodowego, z przeciętnością uczuć i ideałów nowego ustroju państwowo-społecznego, wytworzyły w literaturze półwyspu prąd, znany pod nazwą „weryzmu", który uosabia z jednej strony dążenia sztuki do niezawisłej prawdy i szczerości, z drugiej — daje wyraz rozmaitym goryczom, rozczarowaniom i namiętnościom nowego życia. Powieść i dramat włoski zawdzięczają „weryzmowi" wiele zmian odmładzających i pierwiastków płodnych. Znajduje on swoje odbicie i w poezyi. Utalentowanym przedstawicielem, bojownikiem i teoretykiem „weryzmu" w poezyi, jest Lorenzo Stecchetti (właściwe nazwisko: Olindo Guerrini), wychowaniec i uczony bibliotekarz uniwersytetu bolońskiego. Bardziej nieprzejednanym jest Stecchetti w pracach swoich krytycznych, niż w poezyi, która nie jest u niego wolną od potępianych ckliwości i sentymentalizmów romantycznych (w zbiorze poezyi „Postuma"). Odgłosy cierpkiego „baudelaire'yzmu" łączą się w nim z namiętnością czysto włoską, pełną akcentów zuchwałych i ciepłego blasku. Popularny autor „pieśni nienawiści" (*Il canto dell' odio*), większe o wiele zasługi położył Stecchetti, jako teoretyk estetyki naturalistycznej. W dalszych rozgałęzieniach bezwzględności twórczej „weryzmu" spotykamy się z ponurym, głuchym pesymizmem, którego poprawnem wcieleniem jest zdolny krytyk i poeta Arturo Graf. Poeta wytworny — zbiorki: „Dopo il tramonto" (po zachodzie słońca), „Danaidy" — łączący surowy wdzięk Greków z wyrafinowaniem umysłowem współczesnych wytworów kultury, jest ulubieńcem wyborowej publiczności, swoim jednak pesymizmem beznadziejnym, martwym i intelektualnym nie mógł oddziałać na wyobraźnię szerszych kół, przyciąganą zazwyczaj we Włoszech blaskiem i żarem namiętności.

Poza powyższemi „szkołami" poetyckiemi, stoi liczna gromada poetów, którym nadać można miano „niezależnych" — każdy bowiem wyrażał siebie, podług własnej natury i jej usposobień, nie zapisując się pod żaden sztandar wyraźny, nie należąc do istniejących obozów. Znajdujemy tu ludzi, cieszących się szerokim rozgłosem, jak Ed. de Amicis, poeta pogodnego optymizmu i uczuć delikatnych, poruszający się w sferze komunałów nieśmiertelnych, obdarzony sercem wrażliwem, zajętem filantropią okolicznościową

i niedolą niższych warstw społeczeństwa. Dalej: trzy wybitne poetki: A. Brunamonti, popularną szerzycielkę uczuć wzniosłych wśród młodzieży; hrabinę Lara, naturę tragiczną, pełną zgiełkliwych uczuć w sercu, odtwarzającą jego życie z szczerością namiętności niepohamowanych, — i Vittorię Aganoor, największą poetkę włoską chwili obecnej, wysoce cenioną w sferach literackich za głębię uczuć, oryginalność niezaprzeczoną i nieposzlakowaną formę jej utworów.

Pominiemy pomniejszych, jak: hr. Nigra — dzisiejszy doktór „honoris causa" Uniwersytetu Jagiellońskiego — hr. Guoli, kierownik doskonałego pisma „Rivista d'Italia"; Giovanni Chiggiato, G. Cena i wielu innych, z których każdy miał jakiś szczęśliwszy moment twórczy, wyróżniający ich z masy piszących. Nie zatrzymujemy się również dłużej na licznym bardzo we Włoszech, — gdzie muzykalne poczucie rytmu i łatwość wierszowania tkwią w naturze ludu prostego, — szeregu poetów rozmaitych dyalektów włoskich. Są tu pierwszorzędne talenty, są artyści niezwykłej miary, jak: Ricardo Selvatico, którego poezye opiewają piękno Wenecyi i rozkoszne życie jej ludu; jak: Salvadore di Giacomo, piewca ruchliwej i niedbałej duszy ludu neapolitańskiego, jak wreszcie Rzymianin Cesare Pascarella, o którym powiada Carducci, że ręką mocną wzniósł poezyę dyalektu na szczyty epickie, jak nikt przed nim. W ruchu poetyckim ostatniej doby na naczelnem widnieją stanowisku trzy oryginalne postaci i niepospolite organizacye twórcze, których sława sięga poza granice półwyspu, są to: Giovanni Pascoli, Ada Negri i G. d'Annunzio. Prawie nieznanym jest u nas Pascoli, podczas gdy Negri i d'Annunzio oddawna zajmują naszą uwagę.

G. Pascoli, autor paru tomów poezyi (*Myricae* i *Poemeti*), jako myśliciel i artysta, cieszy się niezwykłem uznaniem swoich współziomków, którzy podziwiają w nim prostotę serca, szlachetność porywów, pogodę filozoficzną uczuć, jak również doskonałość artyzmu, polegającą na zrównoważeniu pierwiastków siły i wdzięku. Język S. Pascoli posiada rzadką prostotę i ścisłość, energicznym jest i zwięzłym, a przytem giętkim i podatnym do wyrażania najbardziej osobistych i subtelnych uczuć.

O A. Negri i G. d'Annunzio nie potrzebujemy wiele mówić: namiętna orędowniczka wydziedziczonych i wyzyskiwanych, podniosła i wrażliwa poetka niedoli i cierpień plebejuszowskich, zarówno jak i płomienny, wybuchający tytanicznem udręczeniem zmysłów piewca rozkoszy i piękna — weszli już oddawna do szeregu powszechnie czytanych autorów.

Wpływ G. d'Annunzio na najmłodsze pokolenie poetów włoskich jest znaczny; urok nieprzeparty jego sztuki niepokalanej, cudowna potęga słowa, przepych barw, klasyczna wyraźność stanów ducha przy całym nieokiełznanym ich rozpędzie, wszystko to oddziałało niezwykle na wyobraźnię młodszych twórców i porwało ich w zawrotny wir marzeń szalonych o pięknie i jego rozkoszach.

Dokoła G. d'Annunzio, który zarówno w poezyach, jak i w prozie, jest niezrównanym poetą, niespokojnym zdobywcą coraz to innych dziedzin piękna, można ugrupować cały zastęp najmłodszych poetów włoskich, idących szlakiem nowszych ideałów artystycznych. Są tu osobistości oryginalne, talenty świeże i płodne. Ugo Ojeti, rówieśnik d'Annunzia, utalentowany poeta, powieściopisarz i krytyk; Augusto Ferrero, Ettore Sanfelice, których utwory wiążą się genetycznie z poezyą Shelley'a, i paru innych. Wpływ d'Annunzia najbardziej się uwidocznił w twórczości: Angelo Orvieto, Diego Angeli i Antonio della Porta, z których ostatni zasłynął, jako gorący wielbiciel „mistrza" (Oda na cześć G. d'Annunzia — prawodawcy). Wielkie znaczenie dla tego najmłodszego ruchu literackiego posiada działalność poety A. Orvieto (utwory — „Sposa mistica", „Il velo di Maya"), który jest kierownikiem pisma literackiego „Marzocco" (wychodzi we Florencyi), poświęconego szerzeniu ideałów, drogich młodemu pokoleniu artystów.

Pobieżny przegląd ruchu poetyckiego Włoch współczesnych nie pozwolił nam objąć poszczególnych jego właściwości i znamion, zatrzymując głównie uwagę na cechach ogólnikowych, charakterystycznych. Fakty, przytoczone przez nas, mogą jednak o całości ruchu tego dać dostateczne wyobrażenie. Zestawiając je, można się przekonać, że, chociaż poezya włoska ostatniej doby nie wydała nic takiego — z nielicznymi wyjątkami — coby mogło jej oddziaływanie nazewnątrz uczynić trwalszem i potężniejszem, jednakże w obrębie ojczystego gruntu poruszała się z niemałem powodzeniem, wzmagając coraz wyraźniej siły swoje, rozszerzając zakres twórczości, zwiększając nieustannie jej różnolitość, rodzaje i kierunki. Poezya włoska ostatniego ćwierćwiecza w istocie potrafiła wyzyskać bogatą, różnostronną treść indywidualizmu narodowo-rasowego, objęła wszelkie jego różnice, odmiany i odrębności strefowe; nadto umiała wznieść się za pomocą świadomego wysiłku na znaczny stopień doskonałości zewnętrznej, wyrabiając technikę umiejętną, formę językową wytworną i surową zarazem, która utrwaliła niejedną, niespożytą piękność mowy ojczystej. Ewolucya dokonana zapowiada poezyi włoskiej piękną i niejałową przyszłość.

W niniejszym przeglądzie piśmiennictwa obcego chcę zwrócić jeszcze uwagę na jeden fakt, który nie tylko miłośników i znawców zawodowych literatury powszechnej może obchodzić, lecz i szersze koła, zdobywające elementarną wiedzę w tym kierunku. Mam tu na względzie świeżo wydaną historyę literatury francuskiej w opracowaniu głośnego krytyka Emila Faguet'a. (*Histoire de la Littérature française*, depuis les origines jusqu'à nos jours; tomów 2, str. 481 i 475. Paryż 1900 r.).

Ze wszystkich opracowań literatury francuskiej, które i u nas są używane do celów pedagogicznych, jak np.: F. Brunetière'a, R. Doumic'a, Lanson'a (najzupełniejsza) i t. p., pomijając dawniejsze, książka Faguet'a najmniej grzeszy zdawkowością podręczników, najmniej jest suchą i scholastycznie pedantyczną, najbardziej oryginalnie jest napisaną. Prawdziwy talent pisarski autora potrafił rzeczy dość bezbarwne ująć w obraz ruchliwy, pociągający blaskiem, żywością kolorytu i niezwykłą wyrazistością poruszających się na nim postaci. Faguet trzyma się zdala od utartych formułek, powszechnie używanych sądów i określeń starannie unika, woli nieraz zbyt ryzykowny i paradoksalny pogląd, niż bezbarwny komunał, płaskie, chociaż łatwe uogólnienie. W charakterystyce epok, prądów i kierunków literackich, zarówno jak i pojedyńczych osobistości, Faguet jest zwięzły, dosadny, błyskotliwy, trafny — trafnością ludzi dowcipnych, głęboki — głębokością umysłów bystrych i przenikliwych. Te i tym podobne właściwości jego umysłu, również jak i prawdziwie francuska jasność myśli i śmiałość logiki, unikająca dróg ubocznych i idei drugorzędnych, czynią nieraz Faguet'a zbyt jednostronnym i niezupełnym. Dlatego więc książka jego więcej posiada zalet literackich, niż pedagogicznych, jest bardziej odpowiednią dla czytelników, obytych z przedmiotem, niż dla tych, którzy poza podręcznikowe wiadomości nie przeszli.

Wszędzie, na każdym kroku znajdujemy u Faguet'a chęć samodzielnego ujęcia i scharakteryzowania rzeczy przedstawianych. Kilka przykładów zda najlepiej sprawę ze sposobów, jakich używa. Przepyszną jest charakterystyka umysłowości Montaigne'a: (tom 1-szy, str. 286—300) mówiąc o skłonności M. do sądów pomiarkowanych, wyłączających wszelką gwałtowność uczuć i namiętności, tak się o tem odzywa: „w gruncie rzeczy najdroższą dla niego jest *ataraxia* mędrców starożytnych, zdolność, czy też sztuka unikania wszelkich gwałtownych ruchów serca; pod względem intelektualnym najwięcej ceni on niewiedzę (ignorancyę). Wszakże ignorancya jest dwojakiego rodzaju, jedna „abecadłowa”, która nic nie

wie dlatego, że nic nie umie; druga — wyrafinowana, niezmiernie wzniosła, która po poznaniu wszystkiego nic nie wie, gdyż spostrzegła, że wiedza zupełna prowadzi do nieznajomości wszystkiego. Pierwsza jest najlepszą, lecz i druga nie jest złą, zwłaszcza, gdy się miało nieszczęście wyrzec pierwszej..." W końcu charakterystyki konkluduje w ten sposób: „widzimy, jak pociągającym umysłem był Montaigne. Miał on swoje wady, które potrafił uczynić prawie tak samo miłemi, jak swoje zalety. Nieco za wiele mówi o sobie, o swojem *ja* ścisłem, o zdrowiu, swoich kurczach i szlachectwie, o którem ma słabość mniemać, że jest bardzo dawnem, o czem radby wszystkich przekonać. Posiada sporo zuchwalstwa w swojem zaniedbaniu, poufałości i swobodzie. Zanadto czuje się, iż nie był on ofiarą jakichkolwiekbądź złudzeń, przytem chodzi mu bardzo o to, żeby widziano dobrze w każdej chwili, iż nią nie był.

Przywary jego zaledwie są dostrzegalne w czytaniu, tyle bowiem w nich wdzięku; gdybyśmy je nawet zauważyli, nie wiem, czybyśmy się ośmielili uznać je za takie, wyrokując o nich"... A oto pogląd ogólniejszej natury na rozległość wpływów Montaigne'a w literaturze ojczystej. „Cały XVII wiek — powiada Faguet — jest nim przeniknięty, nie wyłączając tych, którzy go zbijają. La Rochefoucauld, Molière, La Fontaine, la Bruyère nie tylko są nim przepełnieni, lecz go odtwarzają dosłownie. Pascal tak pilnie go czytał, że wciąż myśli za jego sprawą i jest najczęściej Montaigne'em o odmiennych tylko wnioskach".

Przerzućmy parę wieków i zatrzymajmy się na Voltaire'ze, którego kiedyś — w swoich doskonałych „Studyach nad XVIII w." we właściwem, mniej urzędowem świetle przedstawił autor. „Nigdy nie wiedział on dobrze — powiada F. o Voltaire'ze — o co mu chodziło, z czego nie można mu robić wielkiego zarzutu, gdyż ilość tych, którzy wiedzieli, o co im chodziło, jest bardzo szczupła w historyi powszechnej; natomiast wiedział on wcale dobrze, czego nie chciał. Więc nie chciał ani religii, ani metafizyki, ani wojen religijnych i kłótni filozoficznych, ani władzy duchownej, oddzielonej od doczesnej, ani prześladowania za zbrodnie wiary i myśli, ani urzędów niezależnych, usiłujących wytworzyć państwo w państwie"... A dalej: „żadna z jego idei nie była zbyt głęboka, to też, jako filozof i polityk, Voltaire nie posiada wielkiej wartości; ale wszelkim ideom swoim nadawał on taką wypukłość, taką siłę rzutu, tyle żywego i bawiącego blasku, że odparowywały wszelkie uderzenia i, jak niektóre pociski, większe robiły wyłomy od własnej wielkości. Wiemy, że to zależy od sposobu ich rzucania"...

Niemniej świetną i żywą jest charakterystyka Rénana, który, będąc bardziej różnolitym od dwu poprzednich twórców myśli francuskiej, posiada niektóre ich przymioty zewnętrzne. „Przekonany o naczelnej potrzebie umysłu ludzkiego — powiada o znakomitym pisarzu — patrzenia dalej, niż wzrok sięga, i przechodzenia ciasnych granic wiedzy ścisłej, zarówno jak i o niemożności czynienia tego po wyrzeczeniu się wiary, podawał on z całą swobodą, jako zwyczajne marzenia, metafizykę subtelną i pełną uroku, gdzie wszystko jest domniemanem, nie będąc pewnem, wyobrażanem, lecz niepojętem, upragnionem i stworzonem przez pragnienie samo, nie będąc ujętem przez rozumowanie, gdzie Bóg jest, nie jest, staje się, nie jest stworzonym jeszcze, był zawsze, a może kiedyś będzie, i gdzie wszystko jest potwierdzone, zaprzeczone, prawdopodobne i prawie fałszywe, znikome, nieuchwytne i zresztą przedziwne dzięki sposobowi, z jakim zostało wyłożone" (tom II, str. 400).

Wybrałem umyślnie pisarzów powszechnie spopularyzowanych, żeby lepiej wykazać całą niewymuszoność i przejrzystą, błyskotliwą stanowczość charakterystyk Faguet'a.

Wszystko w podobnem świetle u niego występuje — ludzie i dusze ich zarysowują się przed nami ostro, dobitnie, w atmosferze świeżej i jędrnej, bez mgieł i barw zatartych. Barwny, zwięzły i energiczny w swoich określeniach, samodzielny w poglądach, pełen werwy i humoru rozsypuje Faguet obficie dowcipne uwagi i przekąsy, zawsze w obawie, by nie ugrząść w jakim komunale. A wszystko to robi bez wysiłku, jakby od niechcenia.

„Niewiadomo dlaczego — powiada mimochodem o Boileau — Boileau jest zawsze trafniejszym w prozie swojej, niż w wierszach." Gdy Voltaire mówi o sobie: „zrobiłem trochę dobrego, jest to najlepsze dzieło moje", Faguet wnet dodaje: „zapomniał o złem; lecz o tem zawsze zapominamy, gdy oddajemy sobie sprawiedliwość"... O La Harpe'ie i Marmontel'u mówi w ten sposób: „zacząwszy od tragedyi, zwrócili się do krytyki, krytykowali, by ulżyć sobie po krytykach, jakim ulegali, dawali dobre nauki, żeby powetować sobie za to, że dawali złe przykłady". La Harpe został przyjęty do Akademii, która chciała go uczcić w ten sposób, zarówno jak i uwolnić się od słuchania jego pochwał... Takich i t. p. wyskoków i niespodziewanych zwrotów pełno w dziele Faguet'a. Niekiedy przechodzi to wszystko w jawne urąganie albo w sąd doraźny, stojący w sprzeczności z przyjętem mniemaniem. O Stendhal'u np. bez ogródek powiada: „on redaguje (utwory swoje), lecz wcale ich nie pisze"; albo, podnosząc jego zdolność obserwacyi: „do tego wszystkiego do-

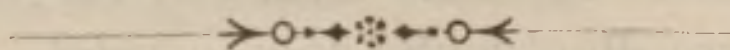
łącza on sporo „idei", gdyż mniemał o sobie, że jest myślicielem. Jako myśliciel, Stendhal był prawie głupcem"...

O braciach Goncourt'ach w przeciwstawieniu do lekkiego, dowcipnego stylu About'a powiada: *„les frères de Goncourt avaient moins d'esprit, et l'on pourrait peut-être hasarder qu'ils n'en avaient pas."* Porównań zabawnych nie brak tu także co chwila. Sławny krytyk Villemain jest dla autora „kokietką starego repertuaru"; Saint-Marc Girardin zaś nieco kokietką w stylu Marivaux. Niepodobna nam tu tej całej barokowej błyskotliwości Faguet'a uwzględnić. Jest w tem wszystkiem dużo jednostronności i zbyt kategorycznego rozprawiania się z ludźmi, jaknajmniej jednak szablonu. Częstokroć niezupełny w sądach swoich o pojedyńczych zjawiskach literackich potrafi Faguet z całą powagą i sumiennością oddać sprawiedliwość prawdziwie płodnym i wielkim prądom twórczym i nie zasłonić sobie ich wartości jakąś oficyalnie uznaną wielkością. Są historycy literatury, jak np. Brunetière, którzy wiek XVII np. uważają za wzór i szczyt, do jakiego literatura francuska się wzniosła; poza tem — wszystko dla nich jest mniejsze. Faguet takich doskonałości skończonych nie zna, zwłaszcza tam, gdzie wszystko się od siebie różni, niejednakowe ma zasługi i odmienne drogi rozwoju. Dla niego np. wiek XIX jest niemniej wielkim wiekiem literackim od największych. Powiada on o nim, że stworzył poezyę osobistą, tę, w której wylewają się ścisłe uczucia serca, gdzie drga bezpośrednio dusza sama ludzkości; pod tym względem, zarówno jak i pod względem postępów w krytyce etc., wiek XIX nie ma sobie równych. Horyzont jego literacki raczej rozszerzył się, niż zwęził...

Czasami zbyt jest Faguet pobieżnym, czasami nawet pomija pierwszorzędne zjawiska literackie. Tak np. pominął ze współczesnych Beaudelairée'a, Barbey d' Aurevilly'ego, Villiers de l'Isle Adam'a i paru innych, im podobnych. Nie sądzimy, żeby to robił w złej wierze albo pod wpływem uprzedzeń akademickich, pomija bowiem również powszechnie przez przeciętną publiczność cenionych i przez oficyalne instytucye uznanych, jak: Loti, Theuriet etc.

Mimo te wszelkie wady i jednostronności, wypływające głównie z ruchliwości i stanowczości temperamentu pisarskiego, nowe dzieło Faguet'a należy do najoryginalniejszych, najsamodzielniej i najświetniej napisanych, jakie w tym zakresie literatura francuska posiada.

Władysław Jabłonowski.



Z ORLANDA OSZALAŁEGO

(poemat Ludwika Ariosta).

Utarczka Chrześcijan z Saracenami.

PIEŚŃ XLI.

68. ....Tedy się Orland z Brandymartem zrywa
I z Oliwierem — trójka znamienita—
Saraceńskiego wyzwać w bój Gradywa,
(Taka się nazwa o Gradassie czyta).
A tuż i dwójka niemniej zapalczywa:
Król Sobrin oraz Agramant z kopyta
Biegli Gradassa wesprzeć — i w tej porze
Od ich tententu wstrząsł się ląd i morze.

69. A gdy runęli w siebie ci zuchwali,
I poszły w drzazgi włócznie, dźgając w zbroje,
To zgrzyt słyszano aż w odległej dali,
A tak straszliwy, że się wspomnieć boję —
Bo tu z Gradassem Orland się spotkali!
I, trzeba wyznać, ważył się na dwoje
Tej grzmotni skutek. Cóż, gdy na Bajarda
Z Gradassa dłoni padła dola twarda!

70. Ten rumak cenny ponad szczere złoto,
W pierś ugodzony z siłą dziwnie srogą,
Wstrząsł się i zachwiał, potem padł, i oto
Już mu i nogi w pomoc przyjść nie mogą!
Orland, do żywa tknięty tą sromotą,
Głosem go rzeźwi, targa, dźga ostrogą.
Lecz, gdy go tylko próżno okalecza,
Chwyciwszy tarczę, porwał się do miecza.
71. Oliwier z Maurów królem grać poczyna —
Lecz są ci gracze równi, jak dwaj wodze!
Wtem wyparł z siodła Brandymart Sobrina.
Cóż, gdy dowodu na to nie znachodzę,
Upadku jego poszła skąd przyczyna?
Czy tu koń skrewił nie dość pewny w nodze,
Czy z winy jeźdźca padła dola taka —
Dość, że się Sobrin znalazł bez rumaka.
72. Brandymart, widząc jego upadnięcie,
Rycerskie w królu uszanował godła.
Lecz na Gradassa przypadł w konia skręcie,
Bo ten Orlanda właśnie wyparł z siodła.
Zaś z Agramantem Oliwier zawzięcie
Walczy, jak chęć go od początku wiodła.
Potem, o siebie drzewca gdy strzaskali,
Chwyciwszy miecze, raźnie walczą dalej.
73. Tymczasem Orland, skoro Gradass szczerze
Z upadku jego zysków brać nie śpieszy,
Brandymartowi rzuca precz w ofierze
Dzielnego władcę saraceńskiej rzeszy.
Sam się zaś zwraca w bok, a gdy spostrzeże
Sobrina, który tak, jak on, był pieszy,
Tedy ku niemu skoczył pędem strzały,
A w oczach jego gromów błyski drżały.
74. Takiego mając przeciw sobie wroga,
Pilnie się Sobrin zebrał w sobie cały.
Jak żeglarz, gdy mu padła dola sroga
Napotkać w drodze groźnych wichrów szały,
Ster im nastawia, bo go zdejma trwoga,
By go odmęty w bok nie ugadzały:
Podobnież Sobrin, ufny w stal puklerza,
Jemu obronę swej całości zwierza.
75. Lecz Balizarda tak jest w hart bogata,

Że się nikt, by jej dotrwał, nie pochwali!
Zwykłego nawet zdolna wsławić chwata,
W Orlanda dłoni temci doskonalej
Najtęższą zbroję gnie i w kęsy płata!
Więc i tu Sobrin próżno ufa w stali —
Puklerz mu ona w dwa czerepy łamie,
Co uczyniwszy, ciężko padła w ramię.

76. Tak, w ramię! Chociaż w tej okropnej chwili
Pancerz na sobie miał i sieć drucianą.
Tedy, nie bacząc w gniewie wściekłym, czyli
Zdoła być groźnym z tą w ramieniu raną,
Zerwał się — rąbie — lecz się próżno sili —
Bo mu rycerza zmódz nie było dano,
Skoro, do świętszej sprawy powołany,
Mógł sobie Orland szydzić z wszelkiej rany.

77. Ten zaś powtórzył cięcie, pragnąc zgoła
Głowę mu z karku zdmuchnąć, godząc w szyję.
Tu, zmiarkowawszy, Sobrin, iż nie zdoła
Siłacza tego męstwo zgiąć niczyje,
Złożył się mieczem, uchylając czoła,
I gdy już mniemać mógł, że cios odbije,
Wtem Balizarda, niby grom ze stali,
W czaszkę go grzmoce i na ziemię wali.

78. Padł Sobrin, brocząc krwią i wskroś zdrętwiały.
Chce wstać, lecz ćma go gnębi nieprzeparta!
Zaś Orland, sądząc, iż mu nieba dały
Pohańca tego pchnąć w ramiona czarta,
Ku Gradassowi bieży pędem strzały,
Który się groźnym stał dla Brandymarta,
Gdyż go nie tylko bronią, nawet zbroją,
Lecz też przewyższa i sprawnością swoją.

79. Brandymartowi służył Rogierowy
Rumak, w bystrości ruchów równien strzale,
I ci dwaj jurni męże do połowy
Mogli być sobie równi w bitwy szale.
Cóż, gdy Saracen wziął był na te łowy
O wiele tęższą zbroję — mniej zaś dbale
Rycerz się wybrał. Tak więc, lżej broniony,
To tu, to owdzie miał swe słabe strony.

80. Frontyn się pod nim równo z panem zbiera,
Bo są w tym koniu zmysły niemal człecze!

Też Durindana rąbie, jak siekiera,
Bo to miecz również ponad inne miecze!
Agramant indziej w pierś znów Oliwiera
Godzi i całkiem w równi się z nim siecze,
Tak, że z pewnością w srogim tym zapale
Jeden drugiemu nie ustąpi wcale.

81. Orland Sobrina rzucił precz i zmierza,
Jako więc rzekłem, tam, gdzie z ręki brata
Brandymartowi zda się pomoc świeża.
Lecz, iż był pieszy, tęgim krokiem zmiata.
I już srogiego sięgnąć miał szermierza,
Gdy patrzy—pędzi, niby śmierć skrzydlata,
Ten koń, z którego Sobrin był zwalony —
Więc go pochwyca, jakby w orle szpony.

82. Koń stanął — ten zaś w siodło mu u łęka
Wskoczył, a stopy w strzemion wparł ogniwa.
Ujęła cugle lewa jego ręka,
A w prawej błyska, świszcząc, broń straszliwa.
To widząc, Gradass nic się go nie lęka,
Owszem ku sobie nęci i wyzywa,
Sądząc, iż jego, jak i innych wiele,
Pod nogi sobie, niby wał, uściele.

83. Rąbie w Orlanda — ale odskoczyła
Od karaceny dźwięczna stal brzeszczota.
Orlanda członków nie tknie żadna siła —
Jest też przedziwna zbroi tej robota!
Zaś w odpowiedzi Orland wraz wysyła
Swą Balizardę — a ta, kiedy grzmota,
Za nic: tarcz, pancerz, hełm i hart bułata —
Ona to wszystko błyskiem tnie i zmiata!

84. W twarz, w pierś i w lędźwie padła rana krwawa
Dzikiemu władcy najezdniczej burzy.
Szczęściem się umknął w bok i tam zostawa
I już napadu więcej nie powtórzy.
Bo snadź tu nie jest z Durindaną sprawa.
I gdyby cios był bliższy lub trwał dłużej,
To więc przerąbać mógł go raz takowy
Od łba przez kadłub cały w dwie połowy.

85. Więc już nie grozi ani się przechwala,
Owszem swój zapał i swój wygląd zmienia,
I tylko, niby grzmiąca w zwrocie fala,

Wysiłku pełne daje odepchnienia.
Brandymart zasię, skoro ujrzał zdala,
Że tam już mało miałby do czynienia,
W tę stronę pomknął, gdzie się drudzy grzmocą,
By, kędy trzeba, śpieszyć mógł z pomocą.

86. Zaś Sobrin podczas, gdy ten bój się toczy,
Z ziemi drżącemi dźwiga się ramiony,
Znów się przytomnym czując, i z uboczy,
Jak bądź śmiertelnie niemal skaleczony,
Po całem polu baczne puszcza oczy,
A widząc pana swego bez obrony,
Więc, iż mu pomoc zdałaby się chyża,
Chyłkiem się w stronę Oliwiera zbliża.

87. To pomknie lisim tropem, to przystanie.
Aż gdy tam podszedł, gdzie się walka wiodła,
Nóż mając w zębach, właśnie, jak poganie
Czynić są zwykli, owa istność podła,
Ścięgna koniowi w samem rżnie kolanie.
Ten padł, a rycerz, wstać nie mogąc z siodła,
Gdyż nogę lewą miał wplątaną w strzemię,
Wraz z swym rumakiem zwalił się na ziemię.

88. Był pewnym Sobrin: iż więc chytra zdrada
Agramantowi iść na korzyść będzie.
Ale od czegóż miecz on od pradziada?
Wszakci to Wulkan zdziałał to narzędzie!
Brandymart, widząc, iż Oliwier pada,
Wbiegł na Sobrina w bystrym konia pędzie
I z całej siły w łeb dał jego zdradzie —
Cóż, gdy na miejscu trupem go nie kładzie!

89. Owszem on zbrodniarz, co się w czarciej jamie
Wylągł i prędzej później wróci do niej,
Na Oliwiera padł i z nim się łamie,
I swym ciężarem gniotąc, wstać mu broni.
Ten zaś, iż prawe miał swobodne ramię,
Skoro już zdołał goły miecz mieć w dłoni,
Wysiłkiem tęgim gdy się w tył przegina,
Wraz długość jego całą wbił w Sobrina.

90. Poczem pomocy szuka rycerz blady.
Lecz, gdziebądź mdłemi zwróci się oczyma,
Wszędzie krew, druzgi i skopane ślady,
Jak w szrankach! Mmniema: iż go pięść olbrzyma

Wbiła w zbroczony piasek ten bez rady!
Ma głowy zawrót—już się ledwie trzyma —
Pręży się, szarpie, targa, ruchy zmienia,
Lecz się nie może dobyć z pod brzemienia!

91. Brandymart wonczas pragnie już jedynie
Agramantowi ciężkie sprawić łowy.
A ten mu zmyka, choć na swym Frontynie
On mknie, jak czółnko wpośród pasm osnowy!
Z nóg wielce żartkich rumak jego słynie,
Lecz nie gorszego ma i król wschodowy,
Bo to Bryliador, a on po Rogierze
Od Mandrykarda wziął to dzielne zwierzę.

92. Ma też na sobie wyśmienitą zbroję,
Od której lepszą wątpię czy znajdziecie!
Tymczasem tamten, gdy się wyrwał w boje,
Wziął pierwszą lepszą z brzega. Lecz znów przecie
Mógł sobie tuszyć: iż za trudy swoje
Weźmie tę, którą król ma na swym grzbiecie.
Gdy ów, skręciwszy w bok, jak zawierucha,
Spadł i rycerza rąbnął w kark od ucha.

93. Temu już cięcia Gradassowe dały
Cios w bok, od których broczy rana krwawa.
Więc, ku wrogowi skacząc oszalały,
Gdy mu dojadła ciężka z nim rozprawa,
Zwalił go w puklerz, ten zaś gdy w kawały
Pękł, on mu w ramię tęgi cios zadawa...
Lecz to są fraszki—bo my patrzmy dalej,
Jak się z Gradassem Orland rozprawiali.

94. Z Orlanda Gradass niemal już do czysta
Zbił zbroję. Ani już przyłbica, ani
Broni go dłużej pancerz, ni wzorzysta
Paiża. Walczą, jak dwaj opętani!
Jednakże Gradass mało tu korzysta,
Bowiem Orlanda nikt i nic nie zrani,
On zaś wrogowi swemu w całem ciele
Ran pozagłębiał znacznych bardzo wiele.

95. Ten, krew najdroższą tracąc, gdy w rozpaczy
Widzi, iż wszystko, czego bądź się chwyta,
Na nic—tu bowiem już nie broń, lecz raczej
Orlanda krzepi jakaś moc ukryta —
W zapamiętaniu, w którem ani baczy,

Jak ślepa wściekłość skręca mu jelita,
Oburącz chwycił miecz i z twarzą zbladłą
Z góry w Orlanda zwalił, jak w kowadło.

96. Na szczęście miecz on w tym zbyt krewkim czynie
Padł nie od strony ostrza, lecz od sztaby.
Nie łatwo jednak śmierci się wywinie
Od grzmotni takiej, kto jest w karku słaby!
Tymczasem Orland w razie tym jedynie
W swych oczach ujrzał wszystkich gwiazd powaby,
Też miecz mu, brzęcząc, z ręki się wymyka—
Szczęściem na pięści miał go u rzemyka.

97. Drgnął pod Orlandem koń i na kieł bierze.
Wzdął chrapy, krwawy rzucił wzrok dokoła
I pomknął, jakby u nóg czterech pierze,
A zaś u grzywy skrzydła miał sokoła!
Jeden za drugim pędzą dwaj harcerze —
Król Gradass wichrem, Orland tak, jak zdoła.
A chciał i nawet mógł go dognać przecie,
Gdyby to Bajard niósł go na swym grzbiecie.

98. Tak kiedy gnają potępieńcy owi,
Król widzi: iż tam, wśród walczących kręga,
Brandymart na kark wsiadł Agramantowi.
Temu rzemienna pękła w hełmie pręga,
A wróg—tej chwili grozę któż wysłowi —
Przypadł ku niemu i po sztylet sięga —
Ów zaś już chyba cudem się obroni,
Bo nawet oto miecz mu wypadł z dłoni.

99. Lecz biada takim, co są własną struci
Nieoględnością! Rycerz już się wspina
W puśliskach strzemion i, jak błysk, się rzuci
Utopić sztylet w gardle poganina,
Gdy w tem, znienacka, pełen krewkiej chuci
Gradass nań runął niby z gór lawina,
I z tym rozmachem, z jakim rąbią kloce,
Oburącz mieczem w wierzch go hełmu grzmoce,

100. Ojcze błękitnych w świetle gwiazd przestworzy!
Jakżeśmy twardo z rąk Twych doświadczani!
Z odmętu, który najmężniejszych trwoży,
Kiedyż do cichej wpłynąć nam przystani?
Oto i teraz — pytam się — cóż srożej

Aż w samą duszy rdzeń Orlanda zrani,
Jak cios ten, którym on, wśród swych współbraci,
Najwierniejszego towarzysza traci?

101. W rąbnięciu owem była moc szalona!
Pękł hełm i w czaszkę ostrzem gwoździ wgina
Swych drzazg żelazo. Rycerz z głębi łona
Jęknął, twarz mu się wykrzywiła sina,
I z rąk puszczając miecz, a z nóg strzemiona,
Na wznak z dzielnego zwalił się Frontyna,
I bielmem zaszłe przymykając oczy,
Swą krwią najdroższą miałki piasek broczy.

102. Orland zaledwie oczom swym dowierza
Blady i cięższej smutny, niż wypowiem!
Wtem drgnął, zacisnął zęby i rycerza
Krzepnące zwłoki żegna sercem wdowiem.
I, czy go gnębi gniew, czy strata świeża,
Od obu równa biada! Wrogom bowiem
Z boleścią jego będzie tem boleśniej!...
A tu już pora dać kres owej pieśni.

PIEŚŃ XLII.

7. ....Jak pasterz, gdy mu w pośród uroczyska
Dziecko ukąsił w stopę wąż niecnota,
Zrywa się wściekły i, podbiegłszy zblizka,
By w mig plugawca zbawić mógł żywota,
Pałkę w potężnej dłoni swej zaciska —
Również się Orland z mieczem w ręku miota!
A gdy tak bieży, rozhukany srodze,
Agramant pierwszy staje mu na drodze.

8. Szedł krwawy, mdłemi wisząc w dół ramiony,
Zgięty, jak gdyby dźwigał garb z ołowi;
Bez miecza, tarczy — słowem tak zsieczony,
Jak z Brandymarta wyszedł rąk, ptakowi
Podobien, w którym jastrząb wrył swe szpony,
Gdy go mniej zręcznym z góry pędem łowi.
Wtem wpadł nań Orland i wraz w sposób tęgi
Gruchnął go zgóry w kark pomiędzy kręgi.

9. Łeb zwisł na piersi, jak u trzciny młodej
Wierzch, gdy wiatr, wyjąc, niepokoi stawy.

Zadrgały ścięgna nóg, i nakształt kłody
Padł Libijskiego władcy kadłub krwawy,
A duch odleciał na Stygijskie brody,
Gdzie chmurny Charon czeka u przeprawy.
Nie bawił nad nim rycerz wichrowaty,
Lecz na Gradassa mknie bez czasu straty.

10. Ten, niemal ścierpły od onego dziwa:
Że król przed gromcą w piasek wrył swe skronie,
Czując, jak stamtąd grozi śmierć straszliwa,
Zbladł, zgrzytnął, skoczył i przekleństwa zionie.
Lecz w chwili, kiedy Orland nadlatywa,
On, zanim zdążył mieć się ku obronie,
Ani się spostrzedz zdołał, jak przeklęcie
Wskroś go przebodło błyskawiczne pchnięcie!

11. Wszedł miecz swym końcem, co, jak nóż, był cienki,
Od szyi w gardło, gdzie się mieści grdyka,
Przez pierś i serce aż w trzewiowe wnęki
I tam w całości po rękojeść znika.
Tak padł w objęcia śmierci prosto z ręki
Najcelniejszego z chrześcian bojownika,
Ten mąż, któremu, póki żył, dawano
Najcelniejszego wśród pohańców miano.

12. Jedną i drugą pomstą piorunową
Syty nasz rycerz co tchu konia chwyta,
I, jak ten, co go w nagłą pomoc zową,
Do Brandymarta lecieć jął z kopyta.
A temu blacha sterczy ponad głową,
Rzekłbyś, topora cięciem tak rozbita,
Jak wśród porębu lada szczapa drzewa
Oporu w sobie pewnie mniej nie miewa.

13. Kiełdy przyłbicę Orland zdjął mu z twarzy,
Nawskroś mu serce widok przeszył krwawy.
W śmiertelnie rannym jeszcze zmysł się waży
Wśród mglistych złudzeń i zachwytów jawy.
Już woń go rzeźwi rajskich wirydarzy,
I on swe ziemskie gdy chce żegnać sprawy,
Dwie łzy pobiegły w bladość jego lica,
Potem poczęła mierzchnąć mgłą źrenica.

14. Wyszeptał: — Módl się za mnie. A też jeszcze
W opiece Lilię miej, tę ukochaną,

Której wspomnieniem myśl ostatnią pieszczę.
Zaś dłużej mówić nie było mu dano.
Więc oczy przymknął, czując słodkie dreszcze.
I tak, by skroń swą przybrać w rajskie wiano,
Snadź jego dusza, syta cierpień ciała,
Już przy anielskich śpiewach wzlatywała.

15. Był Orland wielce wesół z tej zamiany
Nędzy w pociechę wiekuiście świętą.
A też: iż, idąc między współniebiany,
Brandymart zdeptał żądz doczesnych pęto.
Niemniej, gdy sobie wspomniał zadumany:
Iż najmilszego druha precz mu wzięto,
To, znając, jaka bywa w łzach otucha,
Zapłakał rzewnie mąż silnego ducha.

Felicyan.



KRONIKA EKONOMICZNA.

Ogólna sytuacya ekonomiczna. — Towarzystwa akcyjne w Rosyi. — Proces Mamontowa. — Kolej Wiedeńska. — Konwencya handlowa pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Niemcami.—Handel zewnętrzny Rosyi w roku 1899.— Koszta wyprawy chińskiej.

Jeżeli słusznem jest, że giełdę należy uważać za serce organizmu ekonomicznego, a jak tętno pulsu świadczy o stanie zdrowotnym organizmu zwierzęcego, tak tętno ruchu giełdowego świadczy o stanie organizmu ekonomicznego w danej chwili,— to należy dojść do wniosku, że organizm ten przechodzi obecnie paroksyzm jakiś chorobliwy. Nie było w tym roku „czasów ogórkowych", giełda „pracowała" z całem natężeniem w miesiącach letnich, mocarze giełdy odmawiali sobie przejażdżki do „badów", „mina" i „kontrmina" czyniły wysiłki niebywałe, i raz poraz nastawały dnie „krytyczne". Względnie jeszcze spokojnie zachowywała się giełda londyńska, lecz znikł tu najzupełniej „zapał dla interesów", ludzie stali się ostrożni, i najzawziętsi „jingowie" utracili, zdaje się, wiarę w genialność swego bożka Chamberlaina. Nic w tem dziwnego. „Przechadzka do Pretoryi" okazała się nader trudnem przedsięwzięciem i pomimo zwycięstw ostatecznych wojsk angielskich niema mowy dotąd o powrocie do regularnych stosunków w Transwaalu; kopalnie złota, jak stały, tak stoją pustkami, giełda tymczasem postawiła bar-

dzo wiele na kartę Chamberlaina i dotąd czeka nadaremnie. Następująca tabliczka daje pojęcie o tem, jak giełda reagowała na wiadomości, dochodzące z widowni wojny:

Stan kursu

Nazwa akcyi	przed wojną	w przewidywaniu wojny	najniższy w czasie wojny	najwyższy w czasie wojny	dnia 15 sierpnia
East-Rand	$7\frac{1}{32}$	$6\frac{1}{8}$	$5\frac{1}{16}$	8	$7\frac{9}{16}$
Randmines	$39\frac{3}{4}$	$36\frac{3}{4}$	$29\frac{1}{8}$	$42\frac{7}{8}$	$40\frac{3}{8}$
De Burs	28	$26\frac{7}{8}$	$22\frac{3}{8}$	$29\frac{5}{8}$	28
Chartered Company	$3\frac{3}{16}$	$2\frac{11}{16}$	$2\frac{1}{2}$	$4\frac{7}{32}$	$3\frac{3}{16}$

Tak więc dziś giełda doprowadziła poziom akcyi do kursu mniej więcej takiego, jaki był przed wojną. „Straty zostały wyrównane", powiadają sprawozdawcy giełdowi. Lecz w jakiż to sposób odbyła się ta niwelacya? Przed wojną akcye były przeważnie w rękach „publiczności", t. j. drobnych spekulantów. Kiedy Boerzy poczęli brać w obroty armię angielską i zadawali jej cios za ciosem, owa „publiczność" poczęła sprzedawać akcye i powracały one do komór stalowych potentatów giełdy, którym pełna kabza nadaje spokój niewzruszony; kiedy przewaga liczebna pozwoliła w końcu zgnieść bohaterskiego przeciwnika, publiczność poczęła znów kupować akcye, lecz trzeba było teraz dobrze nadpłacić, by wywabić je ze stalowych kryjówek; kupiwszy z powrotem akcye, spekulanci dowiadują się, że pomimo zwycięstw Robertsa niema mowy o rychłem wprawieniu w ruch kopalni złota i dyamentów, że „administracya wojenna" potrwać może jeszcze miesiące, jeżeli nie lata całe, a przy takim stanie rzeczy ani biali, ani czarni robotnicy nie powrócą do pracy w podziemiach, ani też ruch handlowy nie powróci w normalne tory, a wobec tego niema mowy o dywidendach. Znów więc poczyna się sprzedaż, i akcye powracają do niewruszenie spokojnych matadorów. To też ci panowie mają wszelkie powody wdzięczności dla pana Chamberlaina, gdyż na różnicach kursów mogli zarobić po 30 blizko od sta, lecz owa „publiczność" prawdopodobnie inaczej już teraz zapatruje się na awanturę afrykańską. Tymczasem wybuchła zawierucha w Chinach, gdzie znów kapitał angielski jest zaangażowany w pierwszym rzędzie, i giełda londyńska ma wszelkie powody nie dowierzać przyszłości.

Charakterystycznem atoli jest, że zmiany w konjunkturze na

polu przemysłowem mało obecnie oddziaływają na usposobienie giełdy londyńskiej. Tłómaczy się to przedewszystkiem tem, że spekulacya ta rzuciła się przedewszystkiem do wartości egzotycznych, i dlatego polityczne konstelacye zdają się pochłaniać całą uwagę, a prócz tego odgrywa tu wpływ przeważny stan rynku pieniężnego. Na rynku zaś pieniężnym Anglii w ostatnich miesiącach dzięki mistrzowskiej polityce banku angielskiego sytuacya przedstawia się względnie pomyślnie: pieniądze są łatwe. Nawet, kiedy w sierpniu należało wnieść znaczne ilości gotówki celem pokrycia kilku emisyi znaczniejszych (1,600,000 funtów sterlingów pożyczki szwedzkiej, 465,000 funtów pożyczki indyjskiej, 2,000,000 funtów pożyczki państwowej w bonach skarbowych, 480,000 pożyczki dla kolonii australijskich), pieniądze wpłynęły bez przeszkody. Pomimo to bank centralny nie popuszcza cugli, a przeciwnie stara się nie tylko ochronić swoje kasy od nadmiernych żądań, lecz na każde zniżenie dyskonta prywatnego reaguje w ten sposób, że zaciąga pożyczki, gromadząc w kasach swoich gotówkę. Kwestya tylko, czy ta sytuacya nie zmieni się nagle, kiedy wypadnie wysyłać gotówkę za zboże i bawełnę do Ameryki, gdzie tymczasem wobec ścieśnionego położenia na miejscowym rynku pieniężnym zapotrzebowania będą gwałtowniejsze może, niż kiedykolwiek.

W porównaniu z tym względnym spokojem giełdy londyńskiej giełdy kontynentalne, a zwłaszcza berlińska, przedstawiają obraz dzikiego nieładu. Tu „tętno pulsu” jest wprost polityczne. Raz po raz dnie panicznego strachu, gwałtownego spadania kursów, a potem znów prowadzona z całym wysiłkiem kontragitacya. Ten stan gorączkowy został wywołany zaniepokojeniem w sferach przemysłowych, zmianą w konjunkturze ogólnej.

W pierwszej linii rozlegają się skargi w dziedzinie przemysłu tkacko-przemysłowego, co jest nader znamiennym faktem. Świadczy on bowiem o tem, że siła kupcza masy ludowej pomimo podwyższenia płacy roboczej, na co powołują się tak chętnie fabrykanci, gdy chodzi o umotywowanie zwyżki cen, pozostała małą. Nic w tem zresztą dziwnego, gdyż można dowieść cyframi, że ceny produktów spożywczych, w pierwszej linii chleba i mięsa, oraz ceny mieszkań w miastach niemieckich wzrosły szybciej od zarobków w ostatnich latach rozkwitu. Budżety zatem rodzin robotniczych nie pozwalają na wydatki zwiększone, na ubranie, i stąd skargi na zły odbyt tkanin. Położenie w tej gałęzi zaostrza się wobec dysharmonii w cenach maszyn i węgla, wzrastających bezustannie, a cenach produktu ostatecznego. Przytem w tej gałęzi produkcyi

nowe zakłady powstają z wielką łatwością, gdyż kapitał zakładowy jest tu względnie mniejszym, niż np. w przemyśle żelaznym lub chemicznym. To też w ostatnich latach rozkwitu „grynderstwo” na tem polu było obfite w Niemczech, wypuszczono bowiem akcyi przedsiębiorstw akcyjnych w tej gałęzi w roku 1894 — na sumę 4,65 milionów marek, w roku 1895 — 7,25 m. m., w roku 1896 — 23,10 m. m., w roku 1897—27,67 m. m., w roku 1898 — 14,44 m. m., w roku 1899 — 18,48 m. m. W ten sposób nadprodukcya musiała wystąpić jawnie najpierw w tej gałęzi produkcyi, a to tem bardziej, że właśnie na tem polu zawiodły nadzieje uzyskania nowych rynków zbytu. Wywóz np. tkanin bawełnianych z Niemiec od roku 1895 do 1899 wzrósł z 16,6 mil. ton do 18,6 milionów tylko, wywóz zaś tkanin wełnianych w tymże czasie zmiejszył się z 23,9 milionów ton do 20,2 milionów. To samo zjawisko powtarza się w innych krajach. We Francyi np. fabrykanci jedwabiu widzą przed sobą zamykające się raczej rynki zbytu. Zjawisko jest zrozumiałem: toż ożywienie przemysłowe ostatnich lat, jak wykazywaliśmy niejednokrotnie, było spowodowane głównie przez szerzenie się szybkie wielko-kapitalistycznej produkcyi w krajach, nowo-otwartych dla kapitalizmu lub mało rozwiniętych pod względem przemysłowym. W Japonii, w Chinach, w Indyach, w Ameryce południowej powstał ogromny popyt na maszyny, i ten to popyt spowodował ożywienie. Lecz maszyny te poczęły wkrótce funkcyonować, a przedewszystkiem zostały puszczone w owych krajach w ruch wrzeciona i krosna. W dodatku pozostał Europie i w tej dziedzinie potężny współzawodnik — Stany Zjednoczone. Ostatni wykaz statystyczny za rok 1899/1900 podaje wartość wywiezionych tkanin bawełnianych na 23,98 milionów dolarów, podczas gdy cyfra ta w roku ubiegłym wyniosła 16,74 milionów, w roku 1897/98 — 4,86 milionów.

To wszystko było do przewidzenia, lecz żadna argumentacya nie powstrzyma kapitalistów-spekulantów od rzucania się w hazardowne przedsiębiorstwa z chwilą, kiedy ogólne ożywienie pobudza gorączkę gryndierską. Tak np. w Niemczech, gdzie już w roku ubiegłym można było spostrzedz symptomaty grożącej nadprodukcyi w przemyśle przędzalniczo-tkackim, jeszcze w pierwszej połowie roku bieżącego według statystyki „Der Oekonomist” powstało 12 nowych przedsiębiorstw tej kategoryi z kapitałem zakładowym 20,77 milionów marek.

„Krach”, jaki zapanował w naszym przemyśle przędzalniczo-tkackim, sprowadza się do tych samych przyczyn, lecz położenie zostało tu zaostrzonem utrudnieniem kredytu (trudność dyskontowa-

nia weksli w Berlinie, skąd zawsze czerpali dotąd nasi przemysłowcy) oraz nieurodzajem w Rosyi w roku 1898, który spowodował zmniejszenie odbytu do gubernii nadwołżańskich.

W innych gałęziach przemysłu na zachodzie Europy, jak dotąd, sytuacya przedstawia się wogóle pomyślniej znacznie. Ogólnie prawie zgadzają się na to, że „kulminacyjny punkt" pomyślnej konjunktury został przekroczony, lecz optymiści pocieszają się tem, że „krach" z wszystkimi towarzyszącymi mu objawami złowrogimi może jeszcze tym razem nie nastąpi. W rzeczy samej położenie jest zawikłanem nad wyraz, a brak dokładnej statystyki, pozwalającej w każdej chwili zoryentować się w położeniu (po większej części cyfry, dotyczące produkcyi w poszczególnych krajach stają się dostępnemi bardzo późno i pozwalają na sądy tylko o przeszłości), utrudnia przewidywania najbliższej przyszłości. Giełda zaś, jakkolwiek jest barometrem względnie dokładnym w czasach burzliwych, zawodzi częściej jeszcze, niż barometr rzeczywisty. Objawy na giełdach kontynentalnych świadczą niezawodnie o przesileniu spekulacyjnem, lecz takie przesilenie może mieć miejsce nawet przy pomyślnym jeszcze stanie interesów w przemyśle i handlu. Tak np. charakterystycznem było, że na giełdzie berlińskiej w lipcu spadały znacznie akcye przedsiębiorstw na skutek ogłoszenia dywidendy, pomimo, że ta dywidenda była również wysoką, jak i w roku ubiegłym. Publiczność bowiem nabywała te papiery po kursach nader wysokich, spodziewając się dalszego jeszcze wzrostu dywidendy, a gdy te nadzieje zawiodły, uznała słusznie lokatę za niekorzystną i wolała wycofać kapitały nawet ze stratą.

Za sprawdzian sytuacyi może poniekąd służyć stan handlu międzynarodowego, i warto przyjrzeć się cyfrom, o ile takie istnieją za ostatnie miesiące.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie rok fiskalny kończy się z dniem 30 czerwca, opublikowano obecnie dane za rok 1899/1900. Z danych tych wynika, że i w tym roku handel zewnętrzny tego państwa wzrastał bez przerwy. Wywóz przedstawiał wartość w milionach dolarów za rok fiskalny:

w roku 1898 — 1,231.3
„ 1899 — 1,227.2
„ 1900 — 1,400.0

Charakterystycznem zaś jest, że nastąpiło ponownie znaczne zwiększenie eksportu fabrykatów. Oto kilka cyfr, charakteryzujących ten rozwój.

Wartość wywozu w dolarach wynosiła.

	W roku 1898/99	1899/1900
maszyny do szycia	3,26	4,54
lokomotywy	4,73	5,59
szyny stalowe	6,30	9,22
maszyny elektryczne, pasy hydrauliczne, pompy i maszyny do obrabiania metalu	15,94	37,76
rury żelazne	5,87	7,02
towary skórzane	19,00	27,00
papier	4,87	6,97

Jak donosiliśmy w ostatniej kronice, w przemyśle żelaznym amerykańskim nastąpiło przesilenie, a to spowodowało *trusty*, które opanowały tę gałąź przemysłu, do forsowania wywozu celem utrzymania wysokich cen na rynku miejscowym, i ta konkurencya dotąd daje się we znaki na rynkach europejskich. Okazało się wszakże, że ta operacya nie jest w stanie zapobiedz katastrofie, i dlatego zwołano w końcu lipca konferencyę skoalizowanych przedsiębiorców przemysłu żelaznego, na której kierownik trustu *Federal-Stul-Company* zaproponował środek radykalny: zawieszenie produkcyi zakładów wyrobu surowca i stali na cały miesiąc. Propozycya taka wszelako nie zyskała aprobaty, i trusty poczęły operować każdy na własną rękę, czego rezultatem było zniżenie cen na rynku wewnętrznym, co znów powołało chwilowo zwiększony popyt ze strony fabrykantów. Jeden zaś z trustów, obejmujących walcownie zachodnie, posunął się do niecnego manewru: zaproponował robotnikom redukcyę płacy, a gdy *trade-union* (*Amalgamated Association*) nie zgodził się na to, fabrykanci zawiesili produkcyę, zmuszając robotników do świętowania. Inne znów trusty ograniczyły rzeczywiście czasowo produkcyę. Jest to zatem częściowe przesilenie ze wszystkimi towarzyszącymi przesileniom objawami, i organizacya przemysłowców nie umiała mu zapobiedz. Jakie będą dalsze skutki? Prawdopodobnem jest, że redukcya cen materyału surowego i półfabrykatów wywoła nowe ożywienie w fabrykacyi maszyn i t. p., i nadmiar produkcyi fabryk żelaza zostanie zepchniętym; ogólna sytuacya pomyślna pozwoli jeszcze raz wybrnąć z trudności amerykańskim fabrykantom i — za kilka miesięcy powtórzy się ta sama historya. Lecz takie właśnie konwulsywne ruchy doprowadzają w końcu do ostatecznego krachu.

Handel zewnętrzny państw europejskich również przedstawia się pomyślnie do ostatniej niemal chwili, czego dowodem są cyfry, opublikowane za pierwsze półrocze roku bieżącego. Tak

w Anglii przywóz i wywóz w pierwszych sześciu miesiącach każdego roku wynosił w milionach funtów sterlingów:

	przywóz	wywóz
w roku 1898	236,00	112,51
„ „ 1899	236,74	126,52
„ „ 1900	255,66	144,38

Najwięcej wzrósł przywóz środków spożywczych (o 3,20 mil. funtów), metali (1,93 mil. funtów), materyałów surowych dla przemysłu tkacko-przędzalniczego (4,65 mil. funtów) i materyałów surowych dla innych gałęzi przemysłu (5,24 mil. funtów). Co do wywozu wzrosły materyały surowe (o 6,79 milionów), metale i wyroby metalowe (5,94 mil.), przędza i tkaniny (4,06 mil.).

Cyfry za pierwsze półrocze roku 1900 w Austryi przedstawiają się tak w milionach koron:

	Przywóz		Wywóz	
	rok 1900	rok 1899	rok 1900	rok 1899
materyały surowe	511,3	482,0	367,3	365,5
pół-fabrykaty	116,0	114,8	144,7	136,0
fabrykaty	228,0	228,5	384,6	379,4
	855,3	825,3	896,6	880,9

Jest to więc wcale pokaźny przyrost ogólnego handlu.

W Belgii cyfry przedstawiają się tak (w milionach franków) w pierwszych sześciu miesiącach:

	rok 1900	rok 1899
przywóz	1,035,96	1,032,89
wywóz	825,79	836,47

Tu więc nastąpiło zmniejszenie wywozu i zwiększenie wywozu nieznaczne; półrocze utrzymało się na poziomie swego poprzednika.

Cyfry, dotyczący Francyi, nie zostały dotąd opublikowane. W Niemczech opublikowano dotąd cyfry tymczasowe (zwykle ulegające później znacznej korekcie), z których można skonstatować również ogólny wzrost wywozu. Bądź co bądź przytoczone cyfry pozwalają na sąd, że do ostatniej niemal chwili handel zewnętrzny państw europejskich nie uległ redukcyi.

Jeżeli zaś tak jest, w takim razie owe twierdzenie o „przekroczeniu punktu kulminacyjnego” należy przyjmować bardzo ostro-

żnie. Być bowiem bardzo może, że rozpęd, nadany machinie produkcyjnej, jeszcze utrzyma ją w biegu przez czas pewien. Zależy to w znacznej mierze od wypadków politycznych. Giełda oczywiście już teraz reaguje gwałtownie na każdą zmianę sytuacyi w Chinach. Tego rodzaju przejawy nie powinny wszakże niepokoić. Dopiero w razie, gdyby wyprawa chińska spowodowała znaczne wydatki nadzwyczajne, które zmusiłyby rządy do zaciągnięcia pokaźnych pożyczek, lub gdyby powstały zawikłania, zagrażające pokojowi Europy, wówczas, wskutek dalszego jeszcze naprężenia sytuacyi na rynku pieniężnym i zaniepokojenia sfer handlowych, mogłoby rzeczywiście dojść do nagłego zatrzymania machiny produkcyjnej. Lecz wówczas mielibyśmy „krach" w całej okazałości.

Dalszym symptomatem jest poziom cen towarów przemysłowych. Jak dotąd, ceny — z wyjątkiem cen tkanin i cen żelaza w Ameryce—trzymają się na bardzo wysokim poziomie. Przeciwnie zauważyć się daje tendencya utrzymania *coûte que coûte* wysokich cen po stronie syndykatów, wywierających wpływ przeważny na rynkach. Tak np. w ostatnich dopiero tygodniach powstał w Niemczech związek fabrykantów papieru, który podwyższył odrazu ceny o 30%, co spowodowało plan założenia papierni przez wydawców większych dzienników. Podnieśli też w ostatnich czasach ceny skoalizowani fabrykanci obuwia, mydlarze i farbiarze. Najbardziej zaś publiczności niemieckiej daje się we znaki trust cukrowniczy, który podniósł ceny na cukier o 15%. W Anglii zaś nastąpiło podwyższenie cen na cynk i miedź, które przemysł odczuje dotkliwie. W tym sztucznym utrzymywaniu wysokich cen leży bardzo poważny, zdaniem naszem, powód do obaw. Te ceny wysokie pobudzają do dalszej produkcyi, lecz ostatecznie żaden syndykat nie jest w stanie zatrzymać biegu naturalnego, czego przykład tak wymowny mamy obecnie w przemyśle żelaznym amerykańskim. Im zaś wyższym będzie poziom cen, im bardziej nieumiarkowaną nadprodukcya, przekraczająca granice, wytknięte przez zdolność konsumcyjną mas ludowych, tem gwałtowniejszym musi być przełom.

Przesilenia częściowe, jakie przechodzą pewne gałęzie przemysłu, niekoniecznie jeszcze zmieniają ogólną sytuacyę, przesilenie spekulacyjne, przyprawiając o straty ogromne osobniki, rzucające się w wir spekulacyi, nie podkopuje jeszcze ogólnego gruntu. Lecz im dłużej będzie trwała produkcya, nie licząca się z wytkniętymi przez sam ustrój społeczny szrankami, tem większą jest obawa ogólnego przesilenia, ogarniającego całą sferę wytwórczą bez względu na granice państwowe.

Jedną z cech charakterystycznych rozwoju ekonomicznego ostatnich czasów jest szybki wzrost liczby towarzystw akcyjnych oraz kapitałów, ulokowanych w tych towarzystwach akcyjnych. Pod tym względem Rosya nie stanowi wyjątku, i cyfry, ogłoszone o tej sprawie niedawno w „Wiestniku Finansów”, zasługują na baczną uwagę. Znajdujemy tam tablicę, przedstawiającą stan rzeczy w dniu 1 stycznia 1899 roku, zawierającą cyfry następujące:

Nazwa grupy	liczba przedsiębiorstw akcyjnych		suma kapitału zakładowego w mil. rubli	
	powstałych przed 1 stycznia 1889 roku	powstałych po tym terminie	towarzystw powstałych przed 1 stycznia 1889 r.	towarzystw powstałych po tym terminie
Instytucye kredytowe (banki). . . .	43	9	243,417	37,002
Towarzystwa ubezpieczeń	18	3	30,859	10,680
Przedsiębiorstwa transportowe . . .	31	13	39,165	21,800
Towarzystwa, mające na celu urządzenia miejskie (kąpiele, wodociągi gi i t. p.)	40	47	48,380	48,619
Przedsiębiorstwa handlowe	16	34	20,115	39,112
Tkacko-przędzalnicze	112	103	198,142	112,708
Farbiarnie i drukarnie.	16	30	12,340	19,225
Gospodarstwu leśne.	6	13	2,425	10,394
Górnictwo	63	117	163,884	325,114
Eksploatacya bogactw mineralnych poza górnictwem (warzelnie soli i t. p).	4	56	5,447	37,092
Rolnictwo	—	12	—	6,250
Przetwarzanie produktów zwierzęcych (garbarstwo, mydlarstwo i t. p.) .	10	8	10,730	6,125
Wyrób produktów spożywczych . .	113	105	80,716	60,150
Przemysł chemiczny	22	38	38,381	39,258
Inne	10	29	17,869	47,981
Ogółem	504	677	911,860	824,987
Suma	1181		1,763,856	

Wynika stąd, że w dziesięcioleciu od 1889 do 1899 roku liczba towarzystw akcyjnych wzrosła o 134%, a kapitał zakładowy tych towarzystw wzrósł o 90%. Lecz nie tylko powstawały nowe towarzystwa w tym okresie, lecz odznaczał on się również intensywnym powiększeniem inwestowanych kapitałów. Dawniej istniejące i powstałe po roku 1889 przedsiębiorstwa zaciągnęły bowiem długów obligacyjnych na sumę 56,615,563 rubli i wypuściły emisyi dalszych akcyi (poza pierwotnym kapitałem zakładowym) na sumę 62,016,500 rubli. Szczególnie intensywnym był ruch w kierunku zakładania nowych towarzystw w ostatnich trzech latach wskazanego okresu (1896—1898), w tych trzech latach zatwierdzono bowiem statuty 461 przedsiębiorstw z kapitałem zakładowym 595,25 milionów rubli, powstało zaś faktycznie 322 przedsiębiorstw z kapitałem 401,54 milionów rubli.

Nader żywy udział w tej działalności wzięły kapitały zagraniczne, co było, zdaniem autora wspomnianego artykułu, w pierwszej linii skutkiem reformy monetarnej: „Tylko dzięki utrwaleniu waluty kapitaliści zagraniczni, którzy dotąd ograniczali się udziałem w pożyczkach państwowych lub gwarantowanych przez państwo, dających dochody, ściśle określone i łatwe do zrealizowania w każdem miejscu, poczęli odtąd zwracać swą działalność w kierunku zakładania przedsiębiorstw więcej zyskownych, lecz niedostępnych dawniej z powodu niestałości kursu akcyjnych towarzystw przemysłowych. Z początku ta działalność trzymała się w skromnych rozmiarach, lecz kiedy zyskowność tego rodzaju przedsiębiorstw stała się widoczną, szczególnie w porównaniu z rezultatami, jakie mogła dać lokata w przedsiębiorstwach zachodnio-europejskich, napływały coraz liczniejsze kapitały". Oczywiście wpłynęło też na taki obrót rzeczy ogólne ożywienie spekulacyi na zachodzie i szybki rozwój przemysłu rosyjskiego.

Najskwapliwiej rzucono się do zakładania towarzystw w przemyśle górniczym, i przemysł ten stoi na czele co do kapitału zakładowego, i tu też zostały skierowane przedewszystkiem kapitały zagraniczne. Więcej, niż połowa — 52,8% sumy kapitałów zagranicznych, ulokowanych w przedsiębiorstwach akcyjnych w Rosyi, ulokowano w górnictwie.

Charakterystycznem jest, że suma kapitałów, ulokowanych w zakładach kredytowych, jest względnie małą w porównaniu do kapitałów, lokowanych w przemyśle, i wzrost ich w ostatnim okresie nie pozostaje w stosunku odpowiednim do wzrostu w innych grupach. Jest to tem dziwniejsze, że cały obieg towarowy w Rosyi

w większym stopniu, niż w innych krajach, jest oparty na kredycie, i dopiero rozwój działalności banków, oparty na racyonalnych podstawach, byłby w stanie wyemancypować przemysł i handel od kredytu zagranicznego.

Oczywiście przy takiem ożywieniu działalności w kierunku finansowania nowych przedsiębiorstw, nie obyło się też bez typowego „grynderstwa", polegającego na tworzeniu przedsiębiorstw, nie mających podstaw solidnych, na rozwadnianiu akcyi, t. j. wypuszczeniu akcyi w liczbie zbyt wielkiej, wskutek czego przedsiębiorstwo, przeciążone kapitałem, nie mogącym procentować, narażone jest na szwank. Operacye takie mają na celu jedynie wzbogacanie „grynderów", t. j. tak zwanych „członków założycieli", którzy nabywają te akcye częstokroć bez wniesienia odpowiedniej gotówki, liczą tylko na ażyotaż temi akcyami i bynajmniej nie są zainteresowani w dalszych losach przedsiębiorstwa, gdyż, zagarnąwszy zyski z ażyotażu, wycofują się z przedsiębiorstwa. Jakie rozmiary przyjęło to grynderstwo, orzec trudno, pokaże to dopiero przyszłość.

Z jaką wszakże lekkomyślnością są niekiedy prowadzone operacye w towarzystwach akcyjnych, tego przykład dał proces karny, wszczęty w Moskwie przeciw rodzinie Mamontowych. Proces ten rzucił światło jaskrawe na typowe nadużycie zaufania akcyonaryuszów i z tego powodu zasługuje na uwagę. Podajemy tu więc główne fakty, przytoczone przez akt oskarżenia, który we wszystkich punktach został uznany za zgodny z prawdą w czasie dochodzenia sądowego.

W roku 1868 założono towarzystwo akcyjne dla budowy drogi żelaznej od Moskwy do Jarosławia. Później, w roku 1870, towarzystwo to uzyskało koncesyę na przedłużenie drogi do Wołogdy, a w r. 1894 do Archangielska, przyczem towarzystwo zmieniło pierwotną nazwę „towarzystwa Moskiewsko-Jarosławskiej drogi żelaznej" na „towarzystwo Moskiewsko-Jarosławsko-Archangielskiej drogi żelaznej". Że towarzystwo to do ostatniej chwili cieszyło się zupełnem zaufaniem sfer rządowych miarodajnych, o tem świadczy fakt nadania mu w czerwcu roku 1899 koncesyi dalszej sieci kolejowej od Wiatki do Petersburga.

Głównym kierownikiem tego przedsiębiorstwa milionowego był Jan Mamontow, a po jego śmierci objął kierownictwo syn, Sawa Mamontow, który był prezesem zarządu towarzystwa od roku 1878 do końca lipca 1899, dopóki nie został zaaresztowany i oddany pod śledztwo karne na zasadzie wyników rewizyi, spowodowanej skargą

o nieregularne wypłaty towarzystwa. Wraz z Sawą Mamontowym zostali aresztowani i inni członkowie zarządu, a mianowicie: Mikołaj Mamontow, brat Sawy, oraz synowie Sawy, Wsiewołod i Sergiusz Mamontowy, a dalej Dymitry Arcybuszew i Michał Kriwoszein. Już skład zarządu, w którym zasiada cała rodzina Mamontowych i jedna z jej kreatur, Arcybuszew (Kriwoszein był z oddziału handlowego, lecz nie należał do zarządu), jest anomalią. Tembardziej, że — jak dowiodło dochodzenie sądowe — Mikołaj był absolutnym zerem i nie wiedział właściwie, co dzieje się w zarządzie, Wsiewołod i Sergiusz Mamontowy, z których ostatni był porucznikiem kawaleryi, byli tylko wykonawcami woli ojca, Sawy Mamontowa, Arcybuszew zaś był jego powiernikiem i doradcą, nie mającym możności stawiania jakiegokolwiek oporu. W ten sposób losy towarzystwa, interesy akcyonaryuszów spoczywały najzupełniej w rękach Sawy Mamontowa, który stanowił arbitralnie o wszystkich sprawach.

Pełniąc funkcyę zarządu wspomnianego towarzystwa, członkowie rodziny Mamontow prowadzili współcześnie kilka innych przedsiębiorstw: w roku 1891 Sawa i Mikołaj Mamontow przystąpili do spółki, eksploatującej zakład pod firmą „Towarzystwo Newskiego zakładu mechanicznego", a w roku 1896 założyli „Towarzystwo Wschodnio-Syberyjskich zakładów hutniczych" z kapitałem 3 milionów rubli.

Zaraz po przystąpieniu do spółki Newskiego zakładu Mamontowych zakład ten otrzymał od drogi Moskiewsko-Archangielskiej znaczne obstalunki na dostawę parowozów, statków parowych, wagonów i relsów. Takie postępowanie już samo przez się jest niezgodne z prawidłami, jakiemi powinny kierować się zarządy towarzystw akcyjnych. Gdzie bowiem rękojmia, że będą przestrzegane interesy towarzystwa drogi żelaznej, skoro w imię tego towarzystwa zawiera kontrakty Sawa Mamontow z dostawcą—Sawą Mamontowym? W danym zaś wypadku sprawa przybrała obrót monstrualny. Zakład Newski był oparty na podstawach bardzo niepewnych, nie rozporządzał dostatecznymi funduszami, wiecznie był w tarapatach pieniężnych; zarząd więc drogi, t. j. panowie Mamontow wbrew wszelkim zasadom kupieckim zawierali kontrakty z tym zakładem w ten sposób, że za obstalunki, które miały być wykonane w terminach kilkoletnich, płacili z góry. Nie dosyć wszakże na tem; wkrótce zaczęto czerpać fundusze na prowadzenie owego zakładu Newskiego z kasy towarzystwa, przyczem procedura była bardzo prostą: Sawa Mamontow pisał na bilecie wizytowym do buchaltera towarzystwa drogi żelaznej: „Proszę wydać panu N. na conto Newskiego zakła-

du 75,000 rubli"; syn Sawy Mamontowa podpisywał na tym bilecie słówko „wypłacić", i pieniądze zostawały wypłacane. Albo: Mamontow i Arcybuszew, będąc w Petersburgu, dawali asygnacyę jednemu z banków, w którym towarzystwo kolejowe miało depozyty, na wypłatę pieniędzy zakładowi Newskiemu, a już *post factum* zarząd, t. j. panowie Mamontow i Arcybuszew sankcyonowali ten krok. Prostszą procedurę trudno już wymyślić! Poprostu członkowie zarządu czerpali pełną garścią z kasy towarzystwa, które im powierzyło całe swoje mienie, na rzecz zakładu, który był ich prywatną własnością. Klasyczną wprost jest sprawa następująca: zarząd drogi żelaznej obstalował w roku 1896 w zakładzie Newskim trzy parowe statki, przeznaczone dla żeglugi na Wołdze, i zapłacił za nie z góry 375,000 rubli, cenę, jak orzekli rzeczoznawcy, „ani wysoką, ani niską". Odebrawszy te statki, zarząd sprzedał je natychmiast jakiemuś przedsiębiorcy za sumę znów 375,000 rubli, lecz wypłaconych nie gotówką, a płatnych w terminie pięcioletnim, przyczem za tę prolongatę nabywca płacił 3%. W tym samym czasie wszakże towarzystwo drogi żelaznej zaciągało pożyczki na fundusz obrotowy po 7% rocznie, ponosiło zatem 4% straty, co w pięć lat wynosiło pokaźną sumę 75,000 rubli. Tyle traciło towarzystwo dlatego tylko, że zarząd jego, t. j. panowie Mamontow wyświadczyli usługę zakładowi Newskiemu, t. j. panom Mamontow, dając obstalunek na statki, jak okazało się, zgoła niepotrzebne towarzystwu. Nie dosyć wszakże na tem. W roku 1898 zarząd towarzystwa otrzymał od zakładu Newskiego list, w którym donoszono, że cena owych statków została policzoną za nizko, że kosztują one znacznie więcej, a przeto uprasza się o dopłacenie do owych 375,000 rubli jeszcze 377,000 rubli. Oczywiście, w każdym innym wypadku tego rodzaju pretensya spotkałaby się z bardzo energiczną odprawą, tu wszakże zarząd, t. j. znów panowie Mamontow, odpowiedzieli petentom, t. j. panom Mamontow, że w zasadzie zgadza się na dopłatę i prosi o przysłanie szczegółowego rachunku. Tylko zaaresztowanie członków zarządu zapobiegło dokończeniu tej ciekawej operacyi.

W taki więc sposób okazało się, że pomimo opłacania z góry obstalunków, czynionych zakładowi Newskiemu, zakład ten był dłużny jeszcze towarzystwu drogi żelaznej w dniu 29 lipca 1899 roku sumę 8,517,471 rubli, którą to sumę pobrał jedynie na tej zasadzie, że w zarządzie zasiadali — właściciele Newskiego zakładu.

Zresztą członkowie zarządu czerpali z kasy towarzystwa nie tylko na conto owego zakładu. Sawa Mamontowa np. brał na „conto wydatków towarzystwa" znaczne sumy i zdawał z nich rachunek

bardzo późno lub nie zdawał rachunku wcale. W chwili rozpoczęcia śledztwa był on dłużnym w kasie towarzystwa 309,500 rubli, z których nie umiał zdać sprawy, przyczem ekspertyza wykazała, że w 1898 roku 710,000 rubli długu osobistego zostało przepisanych na conto długu zakładu Newskiego, ten zaś zakład od Mamontowa pieniędzy nie otrzymał, przeciwnie był również wierzycielem jego. W rachunkach warsztatów i magazynów drogi żelaznej figurowały prócz tego pozycye na materyały, dostarczone do budowli w majątku ziemskim Mamontowa, należności za te dostawy były pokryte tylko poczęści.

Część długu zakładu Newskiego została pokrytą w r. 1898, lecz pokrytą w sposób bardzo oryginalny. Zakład Newski uzyskał koncesyę na emisyę nowych udziałów; dotąd było udziałów 300 na sumę 1,500,000 rubli, pozwolono na emisyę dalszych 24,000 udziałów na sumę 6,000,000, z warunkiem, że kapitał zostanie wniesiony spełna przez nabywców tych udziałów. Udziały te przeszły w ręce panów Mamontow; Sawa wziął udziałów na sumę 3,500,000, Mikołaj na sumę 2,500,000. Pieniądze jednakże nie zostały wpłacone, a cała operacya odbyła się tak: ci panowie oświadczyli zarządowi, że przyjmują na siebie dług zakładu Newskiego i wystawią weksli na 6,000,000 rubli, które zdyskontuje towarzystwo drogi żelaznej, jako gwarancyę zaś złożą oni owe udziały na takąż sumę, a udziały te przejdą na własność towarzystwa w razie, gdyby weksle nie zostały wykupione. Zarząd oczywiście zgodził się na taką operacyę, ponieważ — Mamontow, jako prezes zarządu, nie mógł nie zgodzić się na to, co proponuje Mamontow, jako wierzyciel. Okazało się tedy, że operacya polegała na tem, iż zamiast Newskiego zakładu, wierzycielami stali się panowie Mamontow, weksle te akceptowało towarzystwo i z banków otrzymało na nie gotówkę. O tem zaś, że jedyną gwarancyą wypłaty tych weksli były udziały Newskiego zakładu, złożone w depozycie, o tem, jak okazało się, nie dowiedzieli się akcyonaryusze na zebraniach generalnych, a tem mniej wiedzieli oni, że ten depozyt nie przedstawia żadnej wartości. Kiedy wypadło wykupić weksle, panowie Mamontow nie byli w stanie uczynić tego, i zarząd najspokojniej prolongował te weksle, przyczem nie tylko odsetki zostały wypłacone z kasy towarzystwa, lecz nawet blankiety wekslowe. Tym sposobem dług wzrastał ciągle i w lipcu 1899 roku wynosił 7,149,472 rubli, co stwierdziła komisya rewizyjna, wyznaczona przez pana ministra finansów. Zażądano wówczas od panów Mamontow powiększenia depozytów, i ci złożyli jeszcze 1,055,000 rubli w udziałach tegoż Newskiego zakładu pierwszej emi-

syi. Kiedy został wybrany nowy zarząd towarzystwa, uznał on za właściwe doprowadzić do likwidacyi interesów z braćmi Mamontow i sprzedać papiery, złożone do dyspozycyi, okazało się wszakże, że na giełdzie te papiery nie znajdą nabywców nawet po 30 kop. za rubla nominalnej wartości, i w końcu towarzystwo nabyło te papiery, płacąc po 30 za sto. Ostatecznie więc towarzystwo kolei Moskiewsko-Archangielskiej otrzymało zamiast 7,149,472 rubli tylko 2,116,500 rubli, i straciło zatem z góry 5 milionów rubli.

Wszystkie te fakty zostały stwierdzone podczas rozpraw sądowych, oskarżeni zaś na stronę swoją umieli przytoczyć tylko, że udziały Newskiego zakładu zostały oszacowane zbyt nizko, że zakład ten miał wszelkie widoki powodzenia, gdyby nie nastąpiła katastrofa. Powoływano się też na to, że zakład ten obecnie rozwija się pomyślnie. Z drugiej wszakże strony twierdzono, że ocena, dokonana z polecenia Ministeryum Finansów, dała rezultat taki: stan czynny 12,770,967 rubli 42 kop., stan bierny 10,364,776 rubli 83 kop.; a zatem wartość zakładu faktycznie wynosiła 2,406,190 rubli 39 kop., druga zaś ocena, której dokonała komisya, wyznaczona przez zarząd gubernialny petersburski, dała rezultat mniej jeszcze pomyślny, gdyż uznała stan czynny mniejszym o 336,000 przeszło rubli.

Rezultatem rozpraw sądowych było uwolnienie wszystkich podsądnych od odpowiedzialności. Pytania i odpowiedzi sędziów przysięgłych miały formę taką (cytujemy wedle dziennika rosyjskiego „Kuryer” nr. 180 za rok bieżący):

„Czy dowiedzionem jest, że członkowie zarządu Moskiewsko-Jarosławskiej drogi od roku 1895 do 1899, świadomie przeniewierzając się zaufania akcyonaryuszów, użyli na rzecz zakładu Newskiego kilka milionów, przyczem 6 milionów było przeniesionych na Sawę i Mikołaja Mamontowych w formie domu...

— Tak, dowiedziono!

— Czy winnym jest Sawa Mamontow, że, będąc prezesem zarządu... świadomie... wydał Newskiemu zakładowi kilka milionów rubli i t. d.

— Nie, nie winien”.

Jakimi motywami kierowali się sędziowie przysięgli, tego oczywiście nikt powiedzieć nie może. Przypuszczać wszakże należy, że motyw główny polegał na przeświadczeniu o dobrej wierze Sawy Mamontowa: czerpał z kasy, powierzonej sobie, gdyż był przekonany, że zakład Newski ma przyszłość przed sobą, że pieniądze, tam złożone, są pewne, wszystkie zatem jego czyny były lekko-

myślnymi z punktu widzenia finansowego, lecz nie były przestępstwem.

Prokurator w mowie swojej przeprowadził analogię, porównywając Sawę Mamontowa z Straussbergiem, znanym „grynderem" z czasów katastrofy spekulacyjnej w r. 1876 w Niemczech. Obrońca Plewako przeczył temu gorąco, twierdząc, że Straussberg był aferzystą, oszustem, myślącym tylko o sobie, Sawa Mamontow wierzył, że „spełnia czyn społeczny", powołując do życia takie zakłady, jak Newski... Kto zna dokładnie sprawę gryndersiwa niemieckiego i rolę, jaką odegrał w niej Straussberg, wie, że pan Plewako myli się co do oceny tej osobistości: Straussberg, ten typowy „self made man", który, przybywszy, jako subjekt handlowy, do Berlina, stał się w kilka lat kierownikiem milionowych przedsiębiorstw, a skończył w nędzy, nie był bowiem oszustem w zwykłem słowa tego znaczeniu. On także wierzył w „swoje dzieło" i w „swoje posłannictwo". To właśnie charakteryzuje ludzi tego typu, że, uwikławszy się w pojęciach kapitalistycznych, rają oni wielkie plany, często uskuteczniają wielkie dzieło, a nie zdają sobie sprawy nawet z tego, że środki, jakimi się posługują, są nieetycznymi, ryzykując sobą i mieniem swojem, dochodzą do opacznego poglądu, że wolno im ryzykować cudze mienie. A nikt chyba nie wątpi, że Mamontow ryzykował właśnie mienie swoich mandatodawców. Artystycznie odtworzył nam takiego spekulanta Zola w bohaterze „L'argent", Saccardzie, tylko, że wziął typ człowieka o zupełnym zaniku instynktu etycznego. Lecz i ten Saccard ma chwilę, w których staje się poetą, „wierzy w swoje posłannictwo". Na takich Straussbergach, Saccardach, Mamontowych sprawdza się dowcipnie wypowiedziana maksyma, że na drodze, prowadzącej do szybkiego zbogacenia się każdy, ociera się o mury więzienia karnego. Różnica zachodzi tylko taka, że jedni, krocząc tą drogą, wiedzą o tem doskonale, drudzy nie zdają sobie sprawy. Przypuśćmy, że Mamontow należał do drugiej kategoryi; nie zmienia to w każdym razie zasadniczego rysu jego działalności — spekulacyi, nie liczącej się z tem, że następstwa w razie niepowodzenia spadną na ludzi, którzy zaufali spekulantowi, w danym razie na ludzi, którzy zaufali mu, nie wiedząc, że mają do czynienia ze spekulantem. Zapewne, Mamontow wierzył w przyszłość zakładu Newskiego, i, być może, zakład ten mógł wybrnąć z położenia, lecz mogło stać się tak, że katastrofa nagła, burząc podstawy tego zakładu, pociągnęłaby za sobą ruinę towarzystwa kolei żelaznej, które było solidnem i którego interesów powinien był strzedz Mamontow. Powoływanie się na to, że obecnie zakład ów rozwija się

świetnie, jest bezpodstawnem, gdyż ten rozwój jest skutkiem lokaty nowych kapitałów w przedsiębiorstwie, ku czemu miał możność oczywiście skarb państwa, lecz możności tej nie miał Mamontow, i to właśnie było przyczyną, że musiał chwytać się rozpaczliwych środków.

Z punktu ekonomicznego proces ten jest ciekawym o tyle, o ile rzuca światło na łatwość, z jaką przy sprzyjających warunkach zdolny aferzysta mógł przez lata całe ukryć fatalny stan interesu i wzbudzić wiarę w jego solidność. Pamiętać przytem należy, że towarzystwa akcyjne, eksploatujące drogi żelazne, zostają pod kontrolą rządową. Pomimo to udawało się ukryć nadużycia, popełnione w ciągu szeregu lat. W towarzystwach przemysłowych i bankowych, gdzie tej kontroli bezpośredniej niema, niebezpieczeństwo nadużyć jest znacznie większe, i nikt dziś przewidzieć nie może, czy niejedno z przedsiębiorstw, pozornie kwitnących, nie trzyma się tylko dzięki podobnym manewrom.

W Anglii mawiają: podstawy banku angielskiego są tak pewne, jak podstawy naszej wyspy. U nas jedno tylko przedsiębiorstwo cieszy się podobną wiarą powszechną w swoją solidność — towarzystwo drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Nic w tem dziwnego: droga ta jest główną tętnicą obiegu towarowego u nas, i tylko katastrofa, któraby zagroziła całemu bytowi ekonomicznemu kraju, mogłaby zachwiać to przedsiębiorstwo. Akcye tego towarzystwa nie stanowią już dziś przedmiotu spekulacyi, gdyż spoczywają w rękach ludzi, którzy w nich widzą lokatę tak pewną, jak w listach zastawnych państwowych. Kurs tych akcyi jest o kilkaset procent nad pari i nie ulega prawie zmianom nawet na giełdach zagranicznych, nawet w dnie krytyczne.

Obecnie towarzystwo wypuściło 125,000 akcyi nowych na sumę 12,500,000 tysięcy rubli celem uzyskania kapitału dla budowy linii — Warszawa — Sochaczew —Łowicz — Zgierz — Pabianice — Sieradz—Kalisz. Akcye te ofiarowano dawnym akcyonaryuszom po kursie 102 za 100 wartości nominalnej i zostały ulokowane znów w pewnych rękach. Boć o tem, że nowa linia, mająca ogromne znaczenie dla całego gospodarstwa krajowego, jest przedsiębiorstwem zupełnie pewnem, nie może być najmniejszej wątpliwości.

Wydając tę nową emisyę, zarząd podał do wiadomości publicznej obszerne sprawozdanie. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że w okresie ostatnich lat siedmiu rezultaty finansowe były następujące:

rok	zysk czysty	z czego doliczono na fundusz rezerwowy i renowacyjny	wypłacono na rzecz skarbu	wypłacono akcyonaryuszom
1893	2,061,646,88 rub.	332,207,51 rub.	556,968,37 rub.	1,182,471 rub.
1894	2,502,896,87 „	389,160,13 „	748,579,37 „	1,354,078 „
1895	2,306,544,17 „	376,556,77 „	652,921,00 „	1,275,586 „
1896	1,572,399,76 „	364,414,13 „	298,499,63 „	909,486 „
1897	2,528,842,22 „	398,061,22 „	762,500,00 „	1,368,281 „
1898	3,223,715,08 „	446,704,18 „	108,549,90 „	1,689,465 „
1899	3,511,919,50 „	476,387,50 „	1,218,750,00 „	1,816,782 „

Dywidenda wyniosła zatem na akcyę 100 rublową:

w roku 1895 — 11,30 rubli
„ 1896 — 8,40 „
„ 1897 — 12,10 „
„ 1898 — 14,70 „
„ 1899 — 15,75 „

Przeciętnie zatem w ostatniem pięcioleciu dywidenda wynosiła 12,45%. Rezultaty to świetne.

Wszakże katastrofa kolejowa nagle zwróciła uwagę na kwestyę inną, ściśle związaną z zyskami, na kwestyę bezpieczeństwa ruchu kolejowego. W samo sedno kwestyi trafił pan Julian Wieniawski, pisząc w „Kuryerze Warszawskim": „Dziwnem zdawać się może, że wydział służby ruchu, tej właśnie służby, która w rękach swych dzierży życie i mienie setek tysięcy ludzi, jest wogóle na kolejach, a więc i na kolei Wiedeńskiej, najgorzej materyalnie uposażony i najmniej starannie obsadzony. Aczkolwiek płace i w innych jej wydziałach nie grzeszą rozrzutnością, bo ta zmiejszyłaby dywidendy dla akcyonaryuszów, a w ślad zatem i tantyemy, wszelako te płace nazwać się jeszcze mogą sutemi w porównaniu z uposażeniem służby ruchu, której praca wyczerpująca, przy słabszych kwalifikacyach intelektualnych, podołać nieraz ciężkim a tak odpowiedzialnym obowiązkom nie jest w możności".

W rzeczy samej pamiętajmy o tem, że ów maszynista, zwrotniczy i zawiadowca stacyi muszą w każdej chwili być w stanie wydatkować maximum energii, że ludzie ci w czasie służby muszą w każdej chwili być na *qui vive*, jak żołnierz na posterunku, że muszą oni spełniać swoje obowiązki bez względu na skwar lub mróz, słotę i śnieżycę, że niewolno im „czuć się w niedyspozycyi do pracy", niewolno nawet na chwilę dać folgę nerwom i mięśniom zmęczonym. Do tego zaś, żeby sprostać takim obowiązkom, trzeba mieć

ciało i umysł dzielne, żaden organizm zaś, znękany troską codzienną, jaką sprawia bieda, źle odżywiany i wyczerpany zbyt długą pracą, takim obowiązkom nie sprosta. „Dalej — ciągnie rzecz swoją autor — jeżeli w wydziałach kontroli rachuby i kasowości wszelkie rachunki, dokonane przez jednego urzędnika, sprawdzone być muszą przez drugiego, aby uniknąć pomyłki i możliwej straty pieniężnej, to czyż nie jest konieczne, aby ustawianie zwrotnic, sygnalizowanie puszczać się mających w ruch pociągów, choćby zapomocą aparatu (mogącego zepsuć się w jednej chwili) podlegały obowiązkowo również starannemu sprawdzaniu? W pierwszym razie idzie o ruble i kopiejki, w drugim życie tysięcy ludzi wchodzi już w grę."

Otóż co do nas, mniej nacisku może kładziemy na tę kontrolę, niż na sprawność ludzi, spełniających funkcye ważne. Zapewne, kontrola jest rzeczą ważną, ale zdaje się nam, że organizacya służby ruchu na naszych kolejach nie grzeszy bezpośrednio brakiem takiej kontroli. Żadna kontrola nie może w danym razie być ciągłą, nieprzerwaną, a tu chodzi właśnie o nagłe wypadki, w których zajść może nieszczęście; żaden kontroler nie zapobiegnie temu, że nagle człowiekowi w chwili manierowania aparatem zamroczy się w oczach, może on uledz zawrotowi głowy lub wpływom, które go „choćby na chwilę równowagi umysłowej pozbawią", jak powiada pan Wieniawski. Zapobiedz może jedno tylko: wyborowy materyał ludzki. Jak to osiągnąć? Zwróćmy się do położenia w innych krajach. W Anglii ruch na kolejach jest bez porównania więcej intensywnym, niż u nas, a katastrofy zdarzają się bardzo rzadko. Czem się to dzieje? Otóż tem, że służba kolejowa pracuje tam bez porównania krócej, osiem godzin pracy stało się normą, a podrugie tem, że angielski urzędnik kolejowy nawet najniższego stopnia jest postawiony materyalnie dobrze, żywić się może odpowiednio do wydatku energii, jakiego po nim żądają. Taki zwrotniczy angielski ma nerwy, jak postronki, siłę i rzutkość, dlatego — że jada befsztyki. Skrócenie czasu roboczego, powiększenie płacy, oto czem zapobiega się katastrofom, redukuje się niebezpieczeństwo do minimum. Dosadnem bardzo jest powiedzenie, jakie zdarzyło się nam kiedyś wyczytać w jednej z gazet angielskich z powodu katastrofy kolejowej w Niemczech, lecz zawiera całą prawdę: „Więcej wołowiny na patelnię w kuchni robotniczej, a mniej mięsa ludzkiego okrwawi relsy kolejowe."

Należy zaprzestać powtarzania frazesów, jakoby to, co było możliwem do przeprowadzenia w Anglii, nie mogło być stosowanem do naszych stosunków z powodu jakiejś urojonej niższości robo-

tnika polskiego w porównaniu z angielskim. Nie, kto miał możność w praktyce przemysłowej porównywać robotnika polskiego z robotnikiem na zachodzie Europy, ten wie, jakim materyałem niezrównanym jest ten polski robotnik z wrodzoną żywością temperamentu i niepoślednią inteligencyą. Dajcie temu robotnikowi polskiemu możność odżywiania się tak, aby siły jego nie wyczerpywały się przedwcześnie, nie zmuszajcie go do pracy nadmiernie długiej, której żaden człowiek wytrzymać nie może, a będzie górowała praca polska nad inną, tak, jak mazur, w którym wypowiada się szalona energia życiowa naszego chłopa i robotnika, góruje nad tańcami innych narodów. Powiadają nam, że nasz robotnik jest mniej „sumienny w pełnieniu obowiązków" w porównaniu z niemieckim i angielskim. I to nie prawda. Sumienność w pracy jest zaletą równie rzadką w Anglii, jak u nas, lecz ludzi sumiennych trzeba wyszukać w tłumie i umieć postawić na stanowisku odpowiedniem. Służba kolejowa we wszystkich sferach ludności zarobkującej jest cenioną bardzo ze względu na stałość zarobku i zapewnienie przyszłości. Niech zarządy dróg żelaznych opłacają odpowiednio ludzi, a napewno jednostki najenergiczniejsze i najbardziej sumienne pośpieszą ofiarować im usługi. Służba kolejowa wymaga kwiatu ludzi na stanowiskach robotników, jak i kierowników odpowiedzialnych. Płaćcie odpowiednio, i ci ludzie staną do apelu.

Jest wszakże jeden jeszcze warunek — uszanowanie dla pracy, uszanowanie w każdym człowieku godności ludzkiej. W fabryce lub na kolei angielskiej pomimo żelaznej karności stosunek zwierzchnika do podwładnego jest oparty na wzajemnym szacunku, jest stosunkiem dwu ludzi równych, pełniących dwie funkcye zarówno ważne. Inaczej u nas. W fabrykach, a więcej jeszcze na kolejach, pan urzędnik do dziś dnia traktuje podwładnych niemal, jak dawny ekonom, stojący z batogiem nad chłopem poddańczukiem. Dopóki będzie trwał stan taki, ów robotnik przy zwrotnicy nie nabędzie sumienności, jaką daje przedewszystkiem poczucie własnej godności, poczucie dumy z pełnienia obowiązku. Niewolnik sumiennym nigdy nie będzie. Zatrzyjcie więc ostatnie ślady niewoli, jakie przebijają się w nas w stosunku zwierzchnika do podwładnego.

Miejmy nadzieję, że straszna nauka katastrofy i nacisk opinii publicznej, pobudzonej do żywego, skłoni zarząd drogi Wiedeńskiej do energicznego działania, że na przyszłość zmniejszą się nieco zyski i dywidendy, lecz zostaną zaprowadzone reformy niezbędne co do czasu roboczego i płacy, szczególnie, o ile chodzi o t. z. „niższe

kategorye" urzędników czy robotników, na których polega w pierwszej linii bezpieczeństwo ruchu kolejowego.

W sierpniu roku bieżącego została zawartą konwencya handlowa pomiędzy Niemcami a Stanami Zjednoczonymi. Jest to fakt, zasługujący na uwagę szczególnie z tego względu, że jeszcze przed kilku miesiącami zanosiło się na zatarg poważny pomiędzy temi państwami z powodu utrudnień, jakich domagali się agrarczycy niemieccy co do przywozu mięsa i preparatów mięsnych. Prawo o rewizyi sanitarnej mięsa zostało przyjęte, lecz projekt pierwotny agrarczyków uległ dosyć radykalnym zmianom, a szczególnie przepisy co do form rewizyi, pozostawione do uznania rządu, zawiodły oczekiwania zwolenników prohibicyjnych środków, gdyż przepisy są takie, że przywóz mięsa zostanie bardzo niewiele ścieśnionym. Dziś staje się widocznem, że żądaniom agrarczyków nie stało się zadość ze względu właśnie na stosunki handlowe ze Stanami Zjednoczonymi. Obawa rozbicia się tych układów spowodowała, że tym razem rząd niemiecki nie ugiął się pod naciskiem partyi, reprezentującej interesy agrarczyków.

Układ wspomniany polega na tem, że rząd Stanów Zjednoczonych, korzystając z klauzuli, zawartej w billu Mac Kinley'a, czyni ustępstwa pewne na rzecz Niemiec. Bill wspomniany zastrzega bowiem, że pozycye taryfy celnej mogą być obniżone w razie, gdy inne państwa uczynią ustępstwa handlowe Stanom. Zniżono zatem po stronie Stanów cło na okowitę, wino i dzieła sztuki, przywożone z Niemiec. Ze strony Niemiec zaś przyznano Stanom Zjednoczonym formalnie wszystkie prawa, przysługujące państwom „najwięcej uprzywilejowanym", czyli Niemcy zobowiązują się stosować w handlu ze Stanami taryfę, ustanowioną na zasadzie traktatów handlowych, zawartych w latach 1891—1899 pomiędzy Niemcami z jednej strony a Belgią, Austryą, Włochami, Rumunią i Rosyą z drugiej. Prócz tego zostało zniesione ograniczenie co do przywozu owoców suszonych ze Stanów Zjednoczonych do Niemiec. Ograniczenie takie zostało zaprowadzone w roku 1898 pod pretekstem, że na owocach amerykańskich pojawia się pasorzyt (czerwiec); i na tej zasadzie przywóz owoców suszonych był dozwolony tylko pod warunkiem rewizyi sanitarnej. Co zaś do przepisów, tyczących się przywozu mięsa, to, jakkolwiek niema o nich mowy w traktacie, nie ulega kwestyi, że, jak powiedzieliśmy, opozycya Stanów okazała się tu bardzo skuteczną.

Zajście to rzuca charakterystyczne światło na środki, jakimi

posługuje się polityka Niemiec. Boć w dziwnem świetle stają teraz twierdzenia, powtarzane półurzędownie i urzędownie, o klęsce, jaka grozi sadom owocowym od szkodnika, przywożonego w owocach amerykańskich, a konsumentom mięsa od zagranicznych kiełbas i konserw. Albo władze niemieckie przekonały się o niebezpieczeństwie, o jakiem mowa, wtedy ochrona zdrowia publicznego zabraniała ustępstw jakichkolwiek, albo też przekonały się, że niebezpieczeństwo jest urojonem, i wtedy z chwilą nabycia tego przeświadczenia należało stawić opór absolutny orzeczeniom agrarczyków. Skoro zaś pod pretekstem ochrony sanitarnej szykanuje się handel, aby później wytargować ustępstwa, jest to środek więcej, niż podejrzany, i kontrahenci będą odtąd wiedzieli, co sądzić o niemieckich obawach hygienicznych.

Zresztą świeżo zaszedł fakt, dowodzący, jak mało przy owych szykanach chodzi o rzeczywiste względy hygieniczne. Kiedy wypadło zaprowiantować pułki, wysłane do Chin, intendentura nie zawahała się ani na chwilę zakupić zagranicą zapasy kiełbas i konserw mięsnych, podczas gdy w prawie, świeżo wydanem, przywóz tych towarów został wzbronionym. Czyż więc rzeczywiście intendentura naraża żołnierzy niemieckich, idących na wojnę, zarażeniem „mięsem węgrowatem", „padliną", „łojem zjełczałym", jakie, zdaniem organów półurzędowych, do niedawna były zawarte w konserwach i kiełbasach zagranicznych?

Niedawno też organ fachowy rzeźników niemieckich donosił, że „fabryka wyrobów mięsnych", założona świeżo przez stowarzyszenie rolników w Oldenburgu, dostarczyła kilkakrotnie odbiorcom hurtownikom kiełbas zupełnie zepsutych.

Tego rodzaju fakty charakterystyczne dobrze zachować w pamięci wobec zbliżającego się terminu odnowienia traktatów handlowych z Niemcami, przy których „względy hygieniczne" mogą znów odegrać rolę.

Zostały obecnie ogłoszone cyfry urzędowe o handlu zewnętrznym Rosyi w roku 1899. Ogólna suma wywozu i przywozu uległa znacznej redukcyi skutkiem nieurodzaju ostatnich dwu lat. W roku 1898 suma ta wynosiła 1271 milionów rubli, w roku 1899 — 1196 milionów. Co do grup poszczególnych towarów, cyfry przedstawiają się tak w milionach rubli:

	Przywóz			Wywóz		
	1897	1898	1898	1897	1898	1899
materyały spożywcze	64,1	69,8	73,4	413,6	433,4	317,0
zwierzęta	1,6	1,5	1,8	17,1	16,8	17,3
materyały surowe i półfabrykaty	291,6	302,1	301,4	254,8	238,4	249,9
fabrykaty	151,2	188,6	217,9	19,0	20,3	17,4
Ogółem	508,5	562,0	594,5	704,5	708,9	601,6

Handel zatem przywozowy wzrósł znacznie w ostatnich dwu latach, a szczególnie przywóz fabrykatów. Jest to nowym dowodem, że rozwój ekonomiczny w pewnym kraju, powstawanie w nim licznych fabryk nie pociąga za sobą bynajmniej zmniejszenia dowozu wyrobów przemysłowych z zagranicy. Tak samo, jak Niemcy przemysłowe stały się daleko większym rynkiem zbytu na wyroby przemysłu angielskiego, niż były Niemcy rolnicze, dziś Rosya, rozwijająca swój przemysł z wielką szybkością, staje się odbiorcą coraz poważniejszym na wyroby przemysłowe państw zachodniej Europy.

Poważną bardzo pozycyę zajmują tu maszyny, których w roku 1897 przywieziono za 54,73 mil. rubli, w roku 1898 za 79,95 milionów, w roku 1899 za 99,44 milionów. Charakterystycznem też jest, że pomimo szybkiego rozwoju górnictwa wzrósł znakomicie przywóz węgli i koksu. Przywieziono bowiem w milionach pudów:

	w roku 1897	1898	1899
węgli kamiennych	129,57	154,49	237,90
koksu	24,41	27,95	35,09

Co do wywozu, to redukcyi uległ przedewszystkiem wywóz towarów pierwszej grupy naszej tablicy, główną zaś pozycyę w tej grupie stanowi zboże. I tak wywóz pszenicy w roku 1899 zmniejszył się w porównaniu z rokiem poprzedzającym z 177,48 milionów pudów do 106,89 mil. pudów.

Udział poszczególnych krajów w handlu zewnętrznym Rosyi wykazuje następująca tablica, obejmująca wszakże najważniejsze tylko kraje:

Przywóz do Rosyi w milionach rubli:

	w roku 1897	1898	1899
1) Niemcy	179,85	202,17	230,85
2) Anglia	102,02	114,08	129,35
3) Stany Zjednoczone	48,08	50,05	43,75
4) Belgia	25,04	23,61	30,81

		w roku 1897	1898	1899
5)	Austro-Węgry	19,30	23,92	30,81
6)	Francya	24,68	27,10	28,29
7)	Chiny	13,83	14,04	13,52
8)	Egipt	24,09	22,64	13,00
9)	Holandya	5,86	9,78	11,74
10)	Włochy	10,56	10,17	9,21

Wywóz z Rosyi w milionach rubli:

		w roku 1897	1898	1899
1)	Niemcy	175,26	179,44	163,64
2)	Anglia	150,91	139,91	129,17
3)	Francya	63,75	68,59	59,87
4)	Holandya	87,26	72,26	48,82
5)	Włochy	31,47	54,61	27,76
6)	Austro-Węgry	39,09	42,42	26,66
7)	Belgia	32,71	28,79	23,53
8)	Egipt	5,82	6,73	5,58
9)	Stany Zjednoczone	2,71	3,01	4,74
10)	Chiny	1,01	0,63	1,36

W tablicach tych porządek jest zachowany taki, że kolej w szeregu wymienionych państw stosuje się do wysokości cyfry wywozu lub przywozu. Co do przywozu i wywozu więc Niemcy zajmują pierwsze, Anglia drugie miejsce. Przytem przywóz z Niemiec wzrasta daleko szybciej, niż przywóz z Anglii, a bilans w ostatnich trzech latach w stosunku do Niemiec jest biernym dla Rosyi (przywóz przewyższa znacznie wywóz), podczas gdy w stosunku do Anglii bilans był w roku 1897 i 1898 dla Rosyi czynnym, w roku ostatnim był w równowadze. Stany Zjednoczone, figurujące na trzeciem miejscu co do przywozu, zajmują dziewiąte dopiero miejsce co do wywozu. Ciekawem też jest, że mała Belgia co do przywozu wyprzedza znacznie Francyę, co tłómaczy się szybkim rozwojem wielkiego przemysłu w pierwszem, zastojem względnym w drugiem państwie.

Celem pokrycia wydatków, jakie spowodowała wyprawa do Chin, nastąpiło czasowe podwyższenie pewnych pozycyi taryfy celnej w Rosyi. Podwyższenie to nie dotyczy wszakże tych pozycyi, które zostały objęte taryfą konwencyjną, ustanowioną w układach handlowych z roku 1894. W niektórych pozycyach pod-

wyższenie jest znacznem gdyż wynosi do 50% taryfy normalnei Dotyczy ono przeważnie towarów, nie będących przedmiotami codziennego użytku mas ludowych, koszta poniosą więc tu tylko w pierwszej linii zamożniejsi. Podwyższenie od 10 do 20% spotyka półfabrykaty i materyały pomocnicze (chemikalia i t. p.)

O ile to podwyższenie ceł wpłynie na handel zewnętrzny Rosyi. dziś przewidzieć nie można, jak również jakie dochody da skarbowi państwa ten środek nadzwyczajny. Dochody z ceł wynosiły

w roku 1895 — 168 milionów rubli	w roku 1897 — 195 milionów rubli
„ 1896 — 182 „ „	„ 1898 — 219 „ „

Za rok 1899 niema dotąd cyfr dokładnych; w budżecie na rok 1900 dochód z ceł jest przewidziany w wysokości 217,8 milionów rubli.

Jakkolwiek więc dochody, płynące z tych nowych ceł fiskalnych, mogą być pokaźne, to przecież nie starczyłyby one, gdyby dalsze komplikacye na dalekim Wschodzie spowodowały długotrwałe operacye wojenne. Narazie wszakże przyjęto w sferach finansowych zagranicznych ten krok ministeryum finansów za powód, że nastąpiła zasadnicza zmiana w dotychczasowej praktyce pokrywania wydatków nadzwyczajnych emisyą nowych pożyczek lub powiększeniem ilości pieniędzy papierowych, że pożyczka będzie zaciągniętą tylko w ostatecznym razie.

W Anglii na cele wyprawy chińskiej ministeryum zażądało kredytu w wysokości 18 milionów funtów. Lecz suma ta prawdopodobnie nie wystarczy. W Niemczech pomimo „entuzyazmu", jaki, zdaniem prasy półurzędowej, wzbudza w narodzie całym wyprawa chińska, rząd dotąd nie zdecydował się na zwołanie parlamentu dla uchwalenia środków pieniężnych na tę wyprawę. Tymczasem wydatki będą tu olbrzymie, skoro ekwipowano nanowo oddziały, idące do Chin, stworzono jakby nową armię kolonialną. Stan finansów wszakże nie jest świetnym, skoro budżet ostatniego roku mógł zostać zrównoważony jedynie zapomocą pożyczki 80 milionów marek. Bez wątpienia więc prędzej czy później zostanie zaciągnięta nowa pożyczka bardzo znaczna, a im później to nastąpi, tem gorzej, gdyż pieniądze zostaną zapotrzebowane w takim razie ku zimie lub na wiosnę, kiedy rynek pieniężny bez wątpienia będzie w stanie większego naprężenia jeszcze, niż jest dziś.

Również w innych państwach powstanie zapotrzebowanie pieniędzy; wyprawa chińska może stać się czynnikiem, bardzo zgubnie oddziaływającym na sytuacyę ekonomiczną.

1 września 1900 r. *J. B. M.*

„Zmartwychwstanie" Tołstoja.

Pierwsza już stronica najświeższej powieści Tołstoja, pierwsze wyrazy „Zmartwychwstania" ostrzegają i zwiastują, że mamy do czynienia raczej z prawodawcą i reformatorem w rodzaju Zoroastra, Likurga, Savonaroli lub Rousseau'a, niźli z przedziwnym malarzem wypadków 1812 r. w „Wojnie i pokoju" lub obyczajów współczesnych w „Annie Kareninie", romansie, wydanym niedawno po polsku — zaznaczmy to mimochodem — z rzadką u nas pieczołowitością nakładu w trzech grubych tomach sporej ósemki.

„Wiosna była wiosną"... — zaczyna Tołstoj. Nie zaraz jednak oczekujmy sielanki. Wiosna była wiosną — „nawet w mieście" — dodaje autor, uprzedzając przez to czytelnika z góry, że chodzi o uwydatnienie starego romantycznego przeciwieństwa pomiędzy naturą a dziełem rąk ludzkich... I przeciwieństwo na niekorzyść i ku pogardzie dzieł ludzkich występuje natychmiast. „Napróżno ludzie, zbici w jednem miejscu w gromadę stutysięczną, starali się *zeszpecić* tę ziemię, na której się cisnęli i gnietli. Napróżno brukowali ten szary proch granitem, *aby nic* na nim *nie rosło*. Napróżno *gnębili* każdą trawkę drobną, *dymili* węglem kamiennym i naftą, *wypłaszali* ptactwo i zwierzęta"... Wszystko napróżno, albowiem nawet w mieście wiosna była wiosną: grzało słońce skuteczniej od nafty, rosła trawa, mocniejsza od granitu, na brzozach, topolach,

czeremchach rozwijały się wonne i lipkie liście, gołębie, kawki i wróble wiły radośnie swe gniazda, weseliły się szumnie i tłumnie dzieci i muchy przy ścianach rozpromienionych i nagrzanych....

Przecudnie. Przypuśćmy jednak, że na dworze nie wiosny początek, lecz środek zimy lub koniec jesieni. Zamiast słońca deszcz leje, jak z cebra; zamiast zieleni, przedzierającej się w szparach płyt kamiennych, błoto na ulicach i drogach po kolana; zamiast rozigranych w powietrzu skowronkowych i słowiczych trelów wichura jęczy i skowyczy, dobierając się do szpiku kości człowieka. Czy i wtedy „dzieła ludzkie” — granit na chodnikach, węgiel w kominie, nafta pod blaszanką z rosołem — równie przygnębiająco oddziaływać będą na ducha i nawet na naturę, co i w maju lub czerwcu? — Albo też inaczej jeszcze postawmy zagadnienie. Skoro jest wiosna, zgódźmy się i na wiosnę. Znajdujemy się w saloniku pani Pozdnyszewej. Mąż wyjechał i wróci nie zaraz. Przez otwarte na ogród okna zachodzące słońce użycza swych skrzydeł wszystkim aromatom ziemi i melodyom nieba. A te bzy, topole, czeremchy, rozmowy strumyka z gajami takie serdeczne, takie wymowne... Czyliż dlatego, żeby p. Pozdnyszew, wracając nagle z wycieczki, mógł zamordować swą żonę, nieodzownem jest „dzieło ludzkie” — kreutzerowska sonata Beethovena? Czyliż przyroda, dzieło rąk Bożych, mniejszą ma władzę nad zmysłami naszymi od pociągnięć smyczka po oszlifowanych kiszkach baranich? — Nie, bezwątpienia, ale każdemu apostołowi nie chodzi w gruncie rzeczy ani o dzieła ludzkie, ani o dzieła przyrody; dba on przedewszystkiem o zasadę działalności, o ideę. W potrzebie znajdzie on w idei sposób nawet na wszechwładną przyrodę. Przypomnijmy jedną z parabol ewangelicznych. Zmęczony, spragniony Chrystus wyciąga dłoń ku drzewu figowemu, żądając od niego posiłku. Lecz drzewo jest bez owocu... Przeklęte bądź, drzewo, które płodnem nie jesteś na zawołanie! Przeklęta bądź, naturo, jeżeli żądzom naszym stajesz na zawadzie i do przywidzeń naszych nagiąć się nie chcesz!

Ale tymczasem czego innego potrzebujemy. Niezbędną jest wiosna. Jest zaś ona obecnie niezbędną nie dla podniecenia lub ukojenia gorących pragnień serca, nie dla ogrzania lub ochłodzenia krwi w żyłach, nie dla urodzenia lub zabicia jakiegoś grzechu śmiertelnego, lecz tylko jako tło promienne, błogie, świeże, na którem ostro i jaskrawo odbićby się mogły ciemne i ponure barwy całego szeregu dzieł ludzkich. „Wszystko tchnęło radością i weselem — rośliny i ptactwo, owady i dzieci. Tylko ludzie — dojrzali, mądrzy, *cywilizowani* ludzie nie przestawali ani na chwilę o s z u k i w a ć się i d r ę-

czyć wzajemnie. Zdawało się im, że świętym i ważnym jest nie ten poranek wiosennny, nie to piękno Bożego świata, rozlewające wszędzie szczęście, rodzące w sercach zgodę, spokój i miłość, lecz świętem i ważnem jest to, co oni sami wymyślili dla panowania jednych nad drugimi"... Wymyślili zaś w tym celu przedewszystkiem więzienie i sądy, instytucye niezaprzeczenie „ludzkie", ustawowe, cywilizacyjne, przeto, w rozumieniu Tołstoja, obrażające Boga, sumienie i sprawiedliwość odwieczną, wysnute z przepisów i zastrzeżeń błędnych, pełnych sprzeczności, formalizmu, kazuistyki, kruczków i zasadzek szermierskich, szerzących raczej, niż ścieśniających skandal i zarazę moralną, instytucye w najlepszym razie „złe i niepotrzebne"... „Nie sprzeciwiajcie się złemu", „nie sądźcie, abyście sądzeni nie byli": w tych formułach, wprost lub pośrednio wyciągniętych z Pisma, więzienie i trybunał od wielu wieków skazane zostały na zagładę niechybną, nieodwołalną. Dla wykonania wyroku potrzebna tylko sankcya ostatnia, najwyższa: twardy, niewzruszony grunt uznania powszechnego. Podejmie się dostarczyć tej samej sankcyi artyzm, -- artyzm w danym wypadku rzeczywiście niepowszedni, przerastający niekiedy warunki możliwości wyobrażalnej, artyzm tołstojowski, przytłaczający i miażdżący, jak młot hydrauliczny, któryby na wyniosłość, dumę i zuchwalstwo ludzkie spadał z wysokości niewymiernej prawie, a miękki, łagodny, pieszczotliwy, z niczem pod względem tkliwości nieporównany w rzeźbieniu tajemniczych głębin upokorzonej i cierpiącej duszy człowieczej...

Dusz takich, cierpiących i upokorzonych, jest tym razem, w „Zmartwychwstaniu", dwie: męska i niewieścia. Recenzent polski ma z czem doraźnie i niemal jednorazowo zestawić i porównać duszę męską. Niechludow — to rosyjski Płoszowski. Różnica z naszym tkwi w tem, że, kiedy w wielbicielu Anielki ogień życia i celowości idealnej wygorzał już do ostatniej iskierki w nadmiarze utlenienia społecznego, zatamowanego trafem nagłym, to w Niechludowie, uwodzicielu Kasi, ogień ten jeszcze się dopiero zapala, nie mogąc zaś dla braku pierwiastków utleniających rozbłysnąć, wybuchnąć płomieniem na dobre, skwierczy, parska, swędzi, tarza się po ziemi, powstaje, upada, wygryza oczy, wpija się w serce, zamiera, zmartwychwstaje... Trudniej poradzić z określeniem duszy kobiecej, — nie sposób znaleźć — pod ręką, u siebie — coś z nią do pary. Pisarze rosyjscy stanowczo górują nad polskimi przez to, że się raz w raz zdobywają na typy żeńskie, z którymi ludom, nieco podstarzałym, starzejącym, byłoby zapewne niebezpiecznie współzawodniczyć — nawet na niwie piśmienniczej. Od Tatjany Puszki-

na do Lizy Turgieniewa czuć w tej dziedzinie wyładowującą się siłę twórczą — niesłychaną, nadzwyczaj dobrze świadczącą o przyszłości narodu. Kasia jest właśnie rodem z tej wielkiej, przyszłej, obiecanej, dla wszystkich upragnionej ziemi. Postać to mniej, niż pospolita, i więcej, niż wyjątkowa. Dość na nią spojrzeć przelotnie, w dwu momentach jej życia, przedzielonych zaledwie odstępem kilku godzin: przed i po sądzie.

Kiedy Lubkę Masłową — tak w ciągu lat kilku zwano Kasię — wyprowadzają z więzienia, wygląda ona w czystem, świeżem, upajającem powietrzu wiosny i swobody, prawie ordynarnie, prawie odrażająco, pod pewnym względem potwornie. „Z celi wypadła kobieta młoda, średniego wzrostu, o wydatnej, pełnej piersi, i, wykręciwszy się żwawo we drzwiach, stanęła przy dozorcy. Odziana była w szarą kapotę, narzuconą na biały kaftan i białą spódnicę; na nogach miała płócienne pończochy i więzienne pantofle, na głowie białą chustę, z pod której, bodaj czy nie umyślnie, wysunęła kilka kruczych kędziorów. Twarz odznaczała się szczególną bladością, właściwą ludziom, długo pozostającym w zamknięciu, a przypominającą nikłe kiełki kartofli, wyrastające w ciemnicy; takaż bladość pokrywała małe, szerokie ręce i szyję obnażoną pod zbyt szerokim opadającym kołnierzem kapoty. Od tej matowej białości cery dziwnie odbijały czarne, błyszczące oczy, nieco obrzmiałe, lecz bardzo żywe, z których jedno patrzało trochę do środka, jakby zezem. Trzymała się bardzo prosto, uwydatniając wypukłość piersi... W kancelaryi siedzący tam pisarz podał jednemu z eskortujących żołnierzy papier, przesiąknięty zapachem dymu tytuniowego, i, wskazując na aresztantkę, powiedział: „prowadź". Żołnierz, chłop jarosławski, z czerwoną dziobatą twarzą, włożył papier za odwinięty brzeg rękawa i, wskazując oczyma na Masłowę, z uśmiechem mrugnął na towarzysza, czuwasza o wydatnych policzkach"... Dodajmy treściwie, uprzedzając rezultaty szczegółowszej analizy, że aresztantka od dłuższego już czasu była nierządnicą najprostszego, zszeregowanego kalibru, sponiewieranym, zszarganym, zużytym i nadużytym przedmiotem ostatniej, najpodlejszej potrzeby!... Uważała też sobie za powinność, za obowiązek szczerzyć po drodze białe swe zęby dokoła, tak sobie, prawie mechanicznie, z nawyknienia, bez namysłu, w przekonaniu utartem i wypróbowanem, że inaczej z mężczyznami nie wypada — i nie warto... To też nie za to prowadzono ją obecnie do sądu. Tołstoj od zapomnianej daty dowiódł bez apelacyi możliwej cytatami ze starego i nowego zakonu, że lupanar — tak samo jak sąd i więzienie — jest normalnem i niezbędnem ogniwem

tegoczesnego, „cywilizowanego" ustroju.... właściwie rozstroju społecznego, jest zakładem zdrowotnym, leczniczym, nie tylko tolerowanym, lecz wspieranym, podtrzymywanym, opatentowanym, jest tarczą ochronną, klapą bezpieczeństwa — czyli krótko, po tołstojowsku mówiąc — jest „rzeczą dobrą"... Masłowa szła tedy odpowiadać nie za swe rzemiosło, godziwe, jak i każde inne w warunkach do cna niegodziwych, lecz za coś wręcz przeciwnego, za złamanie i pokrzywdzenie swej dostojności publicznej, za kradzież i morderstwo, dokonane w okolicznościach, niemożliwych do zakwalifikowania na głos, niepodobnych do odsłonienia w obliczu bodaj bydląt, a przecież w warunkach takich, że prokuratorya tryumfalnie wywlecze je na stół w obecności przysięgłych, kobiet, młodzieży, sług kościoła, dzieci....

Oto jak wyglądała Lubka Masłowa, gdy rozpromieniona od słońca i spojrzeń ludzkich, serdecznie rozradowana widokiem kordonu, strzegącego ją od zaczepek ulicznych, wstępowała do świątyni sprawiedliwości „ludzkiej", „cywilizacyjnej". Zobaczmy teraz, jaką z niej wróci po przeprowadzonej rozprawie. Na pytanie o występności sędziowie, oglądając się ciągle na zegar, odrzekli twierdząco. W toku badań podsądna zaledwie się domyślała, piąte przez dziesiąte, skąd i po co tyle ceregieli. Nie zabijała, nie grabiła — to wie dobrze i to już raz przecie, dawno powiedziała. Chodziła z kluczykiem do kufra po pieniądze... to pewno, ale chodziła z rozkazu samego tego „grubasa", Smielnikowa, i jemu też, ile kazał, pieniądze oddawała... Czy wszystkie i czy raz do kufra chodziła lub więcej — któż to spamięta? Ucztowano gromadą, z Kartinkinem, z Boczkową, hałasowano w kompanii i w kompanii odpoczywano... taki dziwak był ten grubas... Że mu podała kubek z napojem — to prawda, ale podała po to, by trochę zasnął, by nareszcie dał spokój... Nie wiedziała, co było w kubku, i niedobrze pamięta reszty, bo i oni wszyscy pili, i ona sama piła, paliła papierosy, zaciągała się... To tylko pewna, że nic nie kradła i nie zabijała... Lecz prokurator nastawał. Niewyczerpanym był w napaściach, domysłach, pytaniach, docinkach, których ona ani znaczenia, ani sensu nie pojmowała. Jednakże na duszy nie czuła z początku najmniejszego ciężaru, owszem, była spokojną, śmiało sędziom patrzała w oczy, naturalnie tak, jak mężczyznom w oczy patrzeć należy, jak tego warci, jak chcą i lubią, żeby patrzano... Przeraźliwie na całą salę krzyknęła dopiero wtedy, gdy wyrok jej odczytano, na katorgę skazano. „Niewinnam!... anim myślała, anim chciała!... prawdę mówię!... prawdę!" Na twarz jej wystąpiły rumieńce ciemne. Opadłszy na ławę, załka-

ła głośno... Zamęt panował w izbie, — do drzwi tłoczyli się przysięgli, adwokaci, zadowoleni z ukończenia zajęć. Wynoszono się tłumnie... Ona wciąż płakała na swojem miejscu, aż żandarm musiał ją ująć za rękaw... Dusząc się od łez, głowę ujęła w dłonie— poszła. Wiosenne słońce tym razem nie zaglądało już do jej ciemnych oczu, nie igrało z kosmykami jej kruczych włosów. Nie słyszała, nie widziała nic... Dopędził ją ktoś szybko z tyłu—nie przeczuła, nie odgadła. Dobijały się, kołatały do jej uszu jakieś odgłosy ciche, jakieś szmery dalekie; rojnie zbiegały się do jej skroni, do ust, do czoła jakieś powiewy półchłodne, półgorące, jakieś półmary mgliste, błękitnawe, senne: nie rozumiała, czegoby teraz od niej chciały... Cień zabiegł, stanął na jej drodze... Przeszła tuż obok niego i nie obejrzała się. Przestała płakać; gwałtownie tylko raz po raz wyrywały się z niej westchnienia, jak od spazmatycznych wstrząśnień, ocierała końcem chustki twarz swą czerwoną, porysowaną w pręgi. Człowiek, na którego smętnem obliczu ukazał się nagle jakby blady, lekki promyk genialności plemiennej, narodowej — zrobił jeszcze krok jeden za kobietą... Zawahał się i utknął... Nikt z żyjących tego nie dostrzegł, ale potomność, do której oboje odtąd należeć mieli, nie byłaby się ani zawstydziła, ani zdumiała, gdyby Niechludow rzucił się był w tej chwili do stóp Kasi...

Bardzo powoli zmartwychwstawała ona w jego duszy, gdy przed godziną z ławy przysięgłych, przysłuchiwał się oskarżeniu, odpowiedziom świadków, wyznaniom, konfrontacyom. Od początku coś go tknęło... Ale się podsądna nazywała inaczej... Akta, śledztwa, zarzuty, repliki prokuratoryi opowiadały, że miała przed laty dziecko, że ją wypędzono ze dworu, że się tułała, że dziecko umarło, że próbowała pracować, że wreszcie... Tyle lat! tyle nędzy! tyle upodlenia!... Czyliż rzeczywiście do tegoby aż doszło?...

— „Nazwisko?" — zagadnął naraz przewodniczący młodą kobietą, a spostrzegłszy, że oskarżona siedzi — „wstać trzeba"... — dodał łagodnie, tonem łaskawym.

Szybkim ruchem podniosła się z ławy i, z wyrazem gotowości wystawiając na przód pierś swą wydatną, patrzała w milczeniu prosto w twarz przewodniczącego swemi uśmiechającemi się, nieco skośnemi czarnemi oczyma.

— „Jak imię?"

— „Zwano mnie Lubką" — odrzekła szybko.

Niechludow, wdziawszy binokle, przypatrywał się ławie oskarżonych. „To być nie może"... myślał, nie spuszczając oczu z twa-

rzy kobiety... Posłyszawszy zaś jej odpowiedź — „Lubka?... Jakżeby to?... Być nie może"... — zaprzeczył w duchu.

Przewodniczący chciał pytać dalej, lecz jeden z sędziów, w okularach, szepcąc coś gniewnie, powstrzymał go. Prezes na znak zgody skinął głową i zwrócił się do oskarżonej:

— „Jakto Lubka?... Tu zapisano inaczej"...

— „Imię, imię chrzestne?" — dorzucił gniewny sędzia.

— „Nazywano mię dawniej Katarzyną"...

„To być nie może"... — mówił do siebie Niechludow, lubo nie miał już najmniejszej wątpliwości, że to była ona, — ta sama młodziutka dzieweczka, wychowanka jego ciotek, którą on niegdyś tak kochał!... Tak kochał i porzucił... Niezawodnie to była ona. Odnajdywał w niej teraz wyraźnie szczególną, tajemniczą tę cechę odrębności, która człowieka każdego odróżnia od innych, czyni go czemś jedynem, niepowtarzającem się, wyjątkowem, cechę odrębności nieskończenie tym razem miłą, pociągającą i dotyla mocno zaakcentowaną, że pomimo nienaturalnej bladości i obrzękłości twarzy jeszcze jej ślady wybitnie się błąkały dokoła ust, w nieco skośnych oczach, zwłaszcza zaś w naiwnem, uśmiechniętem spojrzeniu i w niewysłowionym wyrazie uprzejmej, serdecznej, chętnej życzliwości i dobrej woli, rozlanej nie tylko na twarzy, lecz w całej postawie Kasi... Niechludow zdjął binokle, wsparł głowę na dłoni i wsłuchany w dźwięk słów kobiety, której spowiedzi już dalej nie był ciekawy, zadumał się głęboko. Tęsknota szeroko nad nim rozpostarła swe skrzydła. Czarowny, nigdy nie wygładzony urok młodości przesunął przed nim swe jasne i barwne, najdroższe dla duszy widoki... Przypomniał sobie pierwszy uścisk jej ręki... Upędzano się na świeżo skoszonym trawniku. Pragnąc prześcignąć kolegę, utknął niespodzianie w nieznanym sobie, zarosłym pokrzywą rowie, zaraz się jednak zerwał i ze śmiechem wybiegł na równe miejsce... Kasia pędziła na jego spotkanie z roziskrzoną twarzą, błyskając czarnemi, jak mokre leśne porzeczki, oczyma... I zawiązał się ów stosunek dziwny — niewiadomo, dziecinny czy boski, którego łza każda więcej w życiu człowieka waży, niż wszystkie skarby i słodycze późniejsze. Lecz student trzeciego kursu odjechać musiał... „Bywaj zdrowa, Kasiu, dziękuję za wszystko" — rzekł, wsiadając na bryczkę. „Do widzenia"... odpowiedziała swym miłym, pieszczotliwym głosem i wbiegła do sieni, gdzie mogła wypłakać się dowoli... Wrócił dopiero po trzech latach, gdy, zdążając, jako młody oficer, do swego pułku, wstąpił po drodze do ciotki. Kasia powitała go temi samemi zawsze wilgotnemi, błyszczącemi oczyma, ale się go już teraz

więcej strzegła... Zaczęli mówić sobie: „pan" i „pani"... W niej jednak nic się nie zmieniło — chyba to i owo na lepsze, i Niechludow od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, znów odnalazł w swem sercu dawne uczucia. Nie mógł i teraz bez wzruszenia widzieć jej białego fartuszka, nie mógł powstrzymać się od drgnięcia na odgłos jej kroków, nie mógł zatamować tłumniejszego przypływu krwi do serca, gdy rumieniła się przy spotkaniu... Ale spotkań samotnych unikała uparcie... Tymczasem nadeszła oto wielka sobota. Wieczorem Niechludow już iść miał na spoczynek, gdy się dowiedział, że stara Marta z Kasią jadą zaraz do cerkwi ze święconem... Kazał osiodłać wierzchowca... Uroczyste nabożeństwo, śpiewy chóralne, kadzidła, rzęsiste oświetlenie, a w oświetleniu tem, w tłumie, przy nim mieniła się od odświętnych blasków jej skromna, zgrabna biała sukienka. Ogarniał wzrokiem całą jej postać, a gdy w twarz patrzał, skupioną radośnie, odgadywał, wiedział, że w czystej duszy dziewczęcia rozbrzmiewała ta sama pieśń, którą jego dusza śpiewała... Wyszedł z cerkwi nieco wcześniej. Na dworze dobrze już dniało, lecz słońce nie wschodziło jeszcze... Wkrótce lud wysypywać się zaczął ze świątyni — kobiety, dziatwa, chłopi, stukający gwoździami nowego obuwia o płyty kamienne. Wszyscy się z sobą witali pocałunkiem trzykrotnym, powiadając: „Chrystus wstał z grobu"... i odpowiadano „zaiste, wstał Chrystus z grobu"... Stara Marta opadła Niechludowa z pozdrowieniem trochę znienacka... Szukał właśnie oczyma Kasi... Stała tuż... Zaczerwieniła się po same białka i w tejże chwili, rezolutnie postąpiwszy ku niemu, powiedziała prędko, dobitnie: „Chrystus Pan zmartwychwstał"...—„Zaprawdę"... — i pocałowali się podwakroć... Zatrzymali się naraz, jak gdyby nie wiedząc, czy trzeba jeszcze raz się pocałować. Po namyśle pocałowali się po raz trzeci i uśmiechnęli się oboje do siebie...

— Dobrze, niech i tak będzie, lecz przecież... — ciągnął przewodniczący podniesionym nieco głosem — lecz przecież dała oskarżona proszek w wódce... Jakże oskarżona dała proszek w wódce?

— Jak dałam?... Wsypałam do wódki i dałam.

— A na cóż dawała oskarżona?

Westchnęła cicho i głęboko, nie odpowiadając zrazu na pytanie.

— Nie chciał mię puścić... — odrzekła po krótkiem milczeniu. Zamęczał mnie. Wyszłam na kurytarz i mówię do Szymona: „żebyż choć puścił mnie, sił nie mam"... A Szymon powiada: „a! już i nam dojadł do żywego, chcemy mu dać proszków na sen. Zaśnie— to wtedy sobie pójdziesz". Myślałam, że to proszek nieszkodliwy.

Szymon dał mi papierek. Weszłam, on leżał za parawanem i kazał znów przynieść sobie koniaku. Wzięłam ze stołu butelkę, nalałam dwa kubki, sobie i jemu, do jego kubka wsypałam proszek i podałam... Czyżbym dawała, gdybym wiedziała?

— A skąd oskarżona wzięła pierścionek?

— Sam mi pierścionek podarował.

— Jak podarował i kiedy?

— Przyjechaliśmy do numeru, ja chciałam odejść, ale on mnie uderzył w głowę i złamał grzebień. Wtedy się rozgniewałam na dobre i chciałam odjechać, ale on zdjął z palca pierścionek i dał, abym tylko nie odjeżdżała...

Tuż zaraz podniósł się z siedzenia prokurator i, otrzymawszy pozwolenie, przekrzywił swoim zwyczajem głowę na haftowany kołnierz i spytał:

— Chciałbym się dowiedzieć, jak długo podsądna bawiła w numerze u kupca Smiełkowa?

Kobietę znowu strach ogarnął. Niespokojna, z ustami na pół otwartemi wodziła oczyma to na przewodniczącego, to na prokuratora...

Niechludow raz jeszcze zdjął binokle i zwiesił głowę. Odtąd nic już prawie nie słyszał. Wychodził później na konferencye przysięgłych, mówił coś, spierał się, lecz się ocknął naprawdę dopiero wtedy, gdy płacz posłyszał i okrzyk: „niewinnam! nie wiedziałam!"... Wybiegł zaraz na schody... Paltot się mu gdzieś zawieruszył.., Natknął się w progu na współprzysięgłego Piotra Harasimowicza, który mu zakomunikował, że wskutek niedbalstwa i głupiego pośpiechu „babę niejniewinniej struli"... Niechludow próbował natychmiast rozmówić się z przewodniczącym, chwytał za poły sędziów, brał w obroty obrońcę, prokuratora, chciał niezwłocznie zakładać apelacyę, ale się zastanowił, potarł ręką czoło i skoczył dopędzać na ulicy Kasię. Biegł z jakiemś widocznie bardzo mocnem postanowieniem... Zatrzymał się z niem przy skazanej, jak w ziemię wryty. Cofnął się... Kto wie, może bardzo roztropnie sobie postąpił. Byłby zapewne runął, rażony, jak od pioruna, kłamstwem i ohydą tego uśmiechu kobiety, płytkiego, nieujętego, szeroko wciąż, niby hańba teraźniejszości, rozpłyniętego na jej ustach i tak okropnie krzyżującego się z bezdenną, niezażegnaną, jako wyrzut za zmarnowane na wieki szczęście, rozżaloną niedolą i skargą jej ciemnych oczu...

Powieść, domniemanie tym sposobem urwana na rośdziale XXV-m, byłaby się skończyła najzupełniej, jak w Płoszowskim, —

z niewielką tylko odmianką mimowolnego (w przypuszczonym wypadku) samobójstwa, które Tołstoj w dalszej, faktycznej osnowie swego romansu świadomie i, jak się zdaje, rozmyślnie rozciągnie na stumilowe syberyjskie etapy moralnej naprawy, moralnego zadośćuczynienia. Skrócona, zwięzła historya o miłosnych przygodach Kasi i Niechludowa byłaby niezawodnie - jako dzieło sztuki— wygrała na tem skondensowanem ujęciu losów dwojga kochanków w obcisłe ramy sielankowego „przestępstwa” i wielkomiejskiej, policyjno-trybunalskiej, administracyjno-cywilizacyjnej „kary”. Dostojewski przypomniałby się tylko z pozoru, z tytułu; za to rzecz sama, ucięta na wierszu 31-m stronicy 127-ej tomu I-go tłómaczenia G. Dolińskiego, odrazu prawdopodobnie zajęłaby w dziejach literatury powszechnej wyżyny, na których podziw, olśniony jaskrawością doznanych wrażeń, umieściłby musiał nowe arcydzieło tuż obok chyba „Wethera” Goethego, tuż obok „Renégo” Chateaubrianda, tuż obok „Salambo” Flauberta... Ale i to z wielką tylko nieśmiałością. Kilka epizodycznych reminiscencyi z „Nędzników” W. Hugo nieco bliżej odpowiedziałyby może wymaganiom ścisłej analogii, — o tyle wszakże, o ile dziś, wśród górujących wpływów estetyki empirycznej mogłyby kogogolwiek jeszcze zadowolnić lotne, niebotyczne kojarzenia i zespolenia z sobą światów i żywiołów, tak krańcowo różnych i niemal wykluczających się nawzajem, jak te, które u Tołstoja współrzędnie zataczają się tylko dokoła siebie i przez to zaostrzają swe odrębności i przeciwieństwa psychologiczne: żywiołowy świat grubego, zmysłowo-oszołomiającego realizmu scen kryminalno-sądowych i świetlana żywiołowość przewijającego się przez tę rzeczywistość plugawą wiotkiego, orzeźwiającego idealizmu wspomnień, ułud, tęsknot i nadziei doby dawno minionej, — tej doby, kiedy na czystych porannych błękitach życia, zaledwie tylko jeszcze zarumienionych zorzą dojrzałości wschodzącej, serce stawia sobie pierwsze pytania o szczęściu, odbiera pierwszą na to odpowiedź i pierwsze wdzięczności kwiaty na swe ołtarze zanosi...

Czcza, bez podstawy hypoteza! Powieść nie kończy się na wierszu 36-m stronicy 81-ej tomu I-go tłómaczenia S. Stempowskiego. Samo posądzenie autora o przykraiwanie, o kult wymiarów wyłącznie artystycznych wzięte byłoby przez jego czcicieli, wyznawców za obrazę, za świętokradztwo. Sztuka jest tylko przedsionkiem w świątyni dobra i prawdy, jest jako owa harmonijna muzyka dzwonów, która wiernych wzywa na modlitwę, jest jako misternie ciosana chrzcielnica w babińcu kościelnym, z której czerpiemy wodę święconą, gdy stajemy przed obliczem Pana nad Pany. Robotą

dziadowską, nie zaś mistrzowstwem kapłańskiem byłoby ustawianie i niecenie kagańców przed zmartwychwstającym Chrystusem w tym celu, aby znicz tak święty, zapalając w sercach ludzkich żądze miłości ziemskiej, egoistycznej, tarzał się później czas jakiś w kale i prochu nędz światowych, a trysnąwszy w końcu płomykiem doraźnej ofiary, doraźnego odkupienia, zawisał nad widnokręgami naszego żywota, niby te gwiazdki drobne, nieustannie i jednako wszędzie dla wszystkich spuszczające nieśmiertelną wprawdzie, lecz chłodną i martwą zawsze pociechę, iż płonęły, płoną i płonąć będą... Jeśli ma być światło, niech będzie godne Chrystusa, żywe i żywotne: niech prostuje drogi ludzkich przeznaczeń, niech przed nami ciemności rozprasza; niech nas podnieca do wielkich czynów i szlachetnych przedsięwzięć, niech w nas wytrawia podłość, małoduszność, zniechęcenie, niewiarę, niech promiennymi wieńcami otacza skronie męczenników za sprawiedliwość, niech czerwonem żelazem wzgardy piętnuje policzki zdrady, podstępu, obłudy, fałszu, niech grzeje maluczkich, ubogich, zgnębionych, niech gromami uderza w ziejące zarazą grobowce przeszłości i błyskawicami odsłania kolebki lepszej, świętszej przyszłości... Lękacie się o cywilizacyę, o jej nabytki, pożytki, śpichlerze, o jej, być może, kretowiska, legowiska, cmentarze? Ależ cywilizacya jest tylko jedna: ta, przez którą i dla której oddychamy, która nam jest matką i piastunką, o której pomyślność i zdrowie modlą się pokolenia pracą i męką całego swojego istnienia. Reszta — to zeskorupiała parodya czczych dźwięków, zadżumionych wdzięków, zmurszałych ideałów, skradzionych kapitałów. „Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi". Oto dlaczego wielkanocne światła ostatniej powieści Tołstoja nie gasną na odgłos wyroku, obdarzającego katorgą Kasię i Niechludowa.

Dogmaty, według których młoda ta para szczegółowo rozwijać będzie na kresach dalekiego wschodu posłannictwo, sobie powierzone, a i sama nawet podstawa tego posłannictwa, o ile się dotychczas wyłoniła z pism Tołstoja, nie są, bezwątpienia, wolne od zarzutów z ogólniejszego punktu widzenia. Nie nowe to sprawy i miały czas wykazać swą wartość. Nie urodziło się to odrazu i nie zostało wypielęgnowane wyłącznie dla pobrzeża Oceanu Spokojnego. Homilie przypowieściowo-biblijne i komentarze etyczno-ewangeliczne ciągną się nieprzerwanym szeregiem najróżnorodniejszych doświadczeń stosowawczych od początków chrystyanizmu. Nie wytrzymały one ogniowych prób życia w „Sektach kacerskich" wieków średnich, doznały licznych

przeobrażeń i zasileń w okresie Reformacyi; udzieliły cząstkę swej krwi i ciała wielkiej Rewolucyi z końca wieku XVIII-go; wyroiły się w wieku XIX-m pod postacią nieprzebranych szkółek owenowskich, st-simońskich, schleiermacherowskich; przesączyły się kanałami dum tułaczych do mesyanizmu polskiego poetycko-filozoficznego. Dziś w doktrynerskich rozprawach Tołstoja (równie i w pracach niedawno zmarłego Włodz. Sołowjewa) trafiamy co stronica niemal na ustępy, rażąco przypominające motywy traktatów Piotra Leroux, Ludwika Królikowskiego, ojca Lacordaire'a lub Augusta Cieszkowskiego. Nie świadczy to wszakże bynajmniej na niekorzyść tematów odświeżonych. Dobroć plonu zależy nie tylko od gatunku siejby, ale też i od rodzaju gleby i staranności uprawy. Proroctwa, które zburzyły Jerozolimę, odbudowały Rzym nowy z ruin starożytnego; co, jako drzazga marna, spopielało w spiekotach nadsekwańskich, różdżką oliwną cudowności zbawiennej zazielenieć może wśród nizin nadgoplańskich; niejedna poczwarka, ginąca w dymnem powietrzu Albionu, srebrno-złotym motylem wyfruwa na kwiecistych błoniach Kaszmiru.

Z tem wszystkiem wyznać w końcu trzeba, że właśnie z powodu zaznaczonej różnolitości antecedensów ideowych, snujących się po przez tyle odrębnych sytuacyi zewnętrznych (topograficznych, etnograficznych, obyczajowych, dziejowych), — im rozleglejsza zatoka doktryny reformatorskiej, tem gęstsze i ostrzejsze w niej skały podwodne. Sporo tych szkopułów w t. zw. „nauce" Tołstoja. Do najcięższych należy wygórowane i wysubtelizowane pojęcie o doskonaleniu się zbiorowości przez doskonalenie się jednostki. Jest to prawie problemat o przelaniu morza na stepy — kropla po kropli. Takie przedzieranie się muszek indywidualizmu przez pajęczyny kolektywizmu, takie przebijanie „głową" urządzeń czy to chińskich, czy brazylijskich, wygląda nawet *a priori*, bez prób i poszukiwań specyficznych, zwodniczo, a niekiedy i zabawnie, zwłaszcza gdy głowa ma być uzbrojoną w szyszak wyłącznie „duchowy". *A posteriori* — przekonali się o tem najdowodniej Niemcy w okresie Fichtego i Napoleona, kiedy, wynosząc jaźń i moralną dostojność „człowieka" pod niebiosa, tem skuteczniejszy na ziemi torowali dostojnikom dostęp do fizycznego ciała narodu.. Oparzeni, oburącz za dni Bismarcka i Hartmanna chwycili się sposobu wręcz przeciwnego; dokąd to ich zaprowadzi — kto dożyje, zobaczy...

Tyle w praktyce. W teoryi tymczasem, w książkach,

w czasopismach każda dorastająca panienka poczuwa się dziś na siłach posunąć spór indywidualistów ze społecznikami jeszcze o jeden szczebel dalej i wykryć jakąś prawdę o wiele dalszą, widoczniejszą i świeższą od prawdy najbliższej, najwidoczniejszej i, jak świat, starej głoszącej: celem — jednostka, jej samodzielność, prawo, dobrobyt, szczęście i godność; środkiem — zespolenie jednorodnych dążności, zasobów i trudów; regulatorem stosunku do celów — wiedza doświadczalna, uporządkowana i porównawcza. Przykro wspominać o tem z powodu jednego z najwspanialszych dzieł „wielkiego pisarza ziemi rosyjskiej".

J. Rusticus.



Rozbiory i Sprawozdania.

„Der polnische nationaloekonom Graf Friedrich Skarbek“ von dr. St. Grabski (odbitka z „Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung“). Wiedeń, 1899.

Zapoznać niemieckich uczonych z treścią prac polskiego ekonomisty i określić jego stanowisko naukowe przez porównanie zasad jego teoryi z teoryami A. Smith'a i List'a i szkoły historycznej—taki cel postawił sobie dr. Grabski w tej pracy, cennej nietylko dla obcych, ale i dla nas. Skreśliwszy życie Skarbka, dr. Grabski streszcza zasady jego i zaznacza, że Skarbek miał na celu nietylko określić zasadnicze prawa ekonomii, ale także i wyjaśnić, jakim te zasadnicze prawa w zastosowaniu powinny ulegań zmianom. Część teoretyczna, zdaniem p. Grabskiego, jest dość powierzchowna; w części praktycznej autor ma wciąż na uwadze specyalne warunki ekonomiczne Królestwa Polskiego. Skarbek sam, jako na swych mistrzów, powołuje się na Smith'a, Say'a i Kraus'a—ale nie można pomimo to, jak dr Zofia Daszyńska, zaliczać go do „szkoły Say'a“, bo nie jest on zwolennikiem teoretycznego absolutyzmu i kosmopolityzmu w nauce. Mąż stanu, zdaniem Skarbka, praktyczny ekonomista i polityk powinien się kierować nietylko czysto teoretycznemi zasadami, ale raczej powinien opierać swe zarządzenia na potrzebach i stosunkach miejscowych, stwierdzonych przez obserwacyę, i zwracać uwagę na różnice w stopniach kultury różnych narodów. Naród „przeciętny“ „un état mitoyen“ (dziś należałoby powiedzieć „typowy“) nie istnieje w rzeczywistości. Zasady ekonomiki mają więc dla Skarbka, zdaniem p. Grabskiego, wartość czysto abstrakcyjną, tak, jak to w 20 lat potem wyjaśniła szkoła historyczna, od której

różni się Skarbek tem, że jednocześnie uznaje istnienie koniecznych przyczyn i warunków, które zawsze i wszędzie bez względu na specyalne okoliczności i fakty rządzą narodowym dochodem i narodowym majątkiem. W tem właśnie Skarbek spotyka się ze szkołą austryacką, t. z. „szkołą ścisłą“. Tak też jest: ona zajmuje się bardzo kwestyami metody. Do poznania przyczyn i warunków zjawisk dochodzi się, zdaniem Skarbka, drogą badania natury moralnej i psychicznej narodów. Ekonomia polityczna jest dla niego nauką o stosunku ludzi, zorganizowanych w społeczeństwo — do rzeczy, t. j. do społecznego bogactwa, a stosunek ten zmienia się z rozwojem cywilizacyi. Mimo to Skarbek twierdzi, że „narody, na jakimkolwiek stopniu kultury się znajdują, żyją zawsze według zasad ekonomii społecznej, a podstawy tych zasad istnieją w porządku moralnym, rządzącym wszechświatem.“ Rozwinięcie tych zasad dałoby możność określenia środków istnienia i bogactw narodów na wszystkich stopniach kultury, ale byłaby to historya całego rodzaju ludzkiego — dzieło trudne do wykonania. Ostatnim celem teoryi bogactwa narodów jest ścisłe określenie tych „zasad niezmiennych“. Punktem wyjścia dla Skarbka jest nie człowiek „w stanie natury“, nie indywiduum ludzkie — ale człowiek społeczny. Ekonomista ma go badać, tak, jak nauki przyrodzone badają swój przedmiot: drogą obserwacyi. Obserwacya uczy, że ludzkość dąży do udoskonalenia, ale to udoskonalenie tylko w społeczeństwie i przez społeczeństwo jest możliwe. Środkiem i skutkiem życia społecznego jest pomoc wzajemna, oparta na słuszności („équité“).

Dr. Grabski odnajduje w nauce Skarbka wszystkie pozytywne zasady, będące właściwością szkoły historycznej, które uważają się za epokową zasługę tej szkoły, z wyjątkiem teoretycznego agnostycyzmu. Skarbek sądzi mianowicie, że zjawiska ekonomiczne są zależne od miejsca i czasu, odmawia teoretycznego znaczenia uogólnieniom, opartym na obserwacyi pojedyńczych ludów i epok, widzi związek między zasadami ekonomicznemi a rozwojem cywilizacyjnym, ekonomię polityczną pojmuje, jako odłam nauk społecznych, nie sądzi, aby zjawiska ekonomiczne wynikały z natury rzeczy lub z własności przedmiotów, ale twierdzi, że są zjawiskami społecznemi, że punktem wyjścia ekonomiki jest życie społeczne, a życie to, jako zorganizowane spółdziałanie, musi być opartem na poczuciu słuszności; sprężyną zaś tego życia nie może być egoizm, ale dążenie do udoskonalenia. Skarbek poprawia zatem Smith'a: tylko w normalnem społeczeństwie cele egoizmu zbiegają się z dobrem ogólnem. W społeczeństwach istniejących ta zbieżność nie istnieje, i dlatego możliwemi są sprzeczne z dobrem ogólnem dążenia jednostek i klas społecznych. Tak długo, jak ludzie nie będą doskonałymi, muszą być prawne ograniczenia swobody jednostki, a zasady absolutnej wolności pracy i absolutnego wolnego handlu muszą uledz ograniczeniu, tem więcej, że są takie działy gospodarczej działalności narodów, które dotykają jego najświętszych interesów i z tego powodu nie mogą być pozostawione działalności jednostek. Prawdziwa sztuka rządzenia, według Skarbka, polega na koordynowaniu interesów jednostek z interesami ogółu i na umiejętnem zużyciu dążeń indywidualnych na korzyść dobra ogółu. Skarbek uważa teorye Smith'a za najwyższe kryteryum w kwestyach ekonomicznych, sądzi jednak, że Smith nie uwzględnia anormalnych stanów społecznych, nie zajmuje się ciosami, jakim narody ulegają zzewnątrz. Odstępstwa od ścisłej teoryi Smith'a u Skarbka przypisuje dr. Grabski znajomości stosunków ekonomicznych w kraju, w którym on żył. Skarbek dąży do stworzenia nauki stosowanej ekonomiki, którąby przyjmowała pod uwagę specyalne warunki narodu i kraju.

Naród o tyle może być bogatym, o ile rozwinie wszystkie siły produkcyjne, i dlatego rozwój rolnictwa powinien iść przed rozwojem przemysłu i handlu. Po rolnictwie należy rozwijać te gałęzie przemysłu, które przerabiają krajowe materyały surowe i mają na celu zaspokojenie potrzeb szerokich mas społecznych. Przemysł narodowy nie osiągnie nigdy samodzielności. Skarbek zatem — jak potem List — rozróżnia trzy stopnie rozwoju ekonomicznego: produkcyę surowych płodów, przeróbkę własnych płodów surowych i zaspokojenie potrzeb ludu, w końcu przemysł wywozowy. Francya i Anglia postępowały odwrotnie; przemysł tych krajów zaczął się od produkcyi przedmiotów zbytku, i dlatego kraje te są tylko pozornie bogate: największe bogactwa stoją tam obok bezgranicznej nędzy. Taki bieg ekonomicznego rozwoju Skarbek nazywa odwróconym i chwali Stany Zjednoczone Ameryki północnej, które przedewszystkiem rozwijają rolnictwo i dlatego też w daleko krótszym czasie doszły do potęgi i bogactwa. Wolny handel jest dla Skarbka celem idealnym, przed którym musi iść epoka uregulowanej wymiany. Nie sądzi on też, aby można było stworzyć potężny przemysł samemi tylko cłami, zakazami przywozu. Osobiście jest za cłem umiarkowanem i premiami, dawanemi przedewszystkiem za ilość, a nie za jakość produktu. Premiom wywozowym jest stanowczo przeciwny, równie jak i rządowym subwencyom, wyjątkowo w gałęziach przemysłu, związanych z bezpieczeństwem państwa. Cła protekcyjne są potrzebne przy przejściu z 1 do 2-ej epoki, a silna protekcya jest pożyteczną tylko wtedy, jeśli naród posiada dość własnego kapitału, aby swe siły przemysłowe rozwinąć. Bez protekcyi postęp nie jest wtedy możliwym.

Studyum swe kończy dr Grabski porównaniem naszego ekonomisty z Listem. Chociaż Skarbek jest zwolennikiem Smith'a, którego przeciwnikiem jest List, między obydwoma są liczne punkty zetknięcia. Obaj biorą za podstawę różny historycznie rozwój ekonomiczny krajów, obaj rozróżniają bogactwo od sił produkcyjnych, obaj są zwolennikami protekcyi celnej. Skarbek ma jednak pogląd o wiele obszerniejszy i bardziej objektywny, niż List: nie ogranicza się on wyłącznie do rozpatrywania kwestyi zwiększenia produkcyi i podniesienia sił produkcyjnych kraju zapomocą ceł protekcyjnych; nasz ekonomista ogranicza rolę ceł do znaczenia jednego tylko z wielu środków i domaga się ulepszenia dróg komunikacyi, podniesienia dobrobytu mas, podniesienia oświaty, rozszerzenia kredytu i t. d., i do działania w tym kierunku powołuje nietylko rząd, ale i inteligencyę kraju. Skarbek, zdaniem p. Grabskiego, jest głębszy i logiczniejszy od Lista.

Na powyższą opinię d-ra Grabskiego podpiszemy się chętnie, tem więcej, że zdaniem naszem „System Gospodarstwa Narodowego“ Lista należy do kategoryi ekonomicznych pamfletów, a nie badań ściśle naukowych. Powodzenie swe w czasach obecnych zawdzięcza on tylko czasowym okolicznościom.

Określenie stanowiska naukowego Skarbka jest niezawodnie sprawą, która każdego z nas musi żywo interesować. D-rowi Grabskiemu słusznie należy się wdzięczność za doskonałą jego pracę w tym kierunku. Do zupełnego wyjaśnienia kwestyi jednak należałoby przedewszystkiem porównać prace Skarbka z literaturą ekonomiczną angielską i niemiecką 1780—1820 roku. Z Roscher'a dowiadujemy się, że już w r. 1777 pierwszy niemiecki recenzent książki Smith'a, Lichtenberg, wyrażał wątpliwości co do dobroczynnych skutków absolutnie swobodnej konkurencyi, co do egoizmu, zawsze z interesami ogółu zgodnego, i co do absolutności zasad ekonomiki bez względu na stan przemysłu, bogactwa i oświaty w kraju. Musimy więc być bardzo ostrożni w ocenianiu tego, co jest osobistą własnością Skarbka, a co skutkiem jego znajomości literatury ekonomicznej bieżącej w la-

tach 1780—1820. Wszak Garve (1794) już wątpił, aby zasady ekonomiki, dobre dla Anglii i Francyi, miały być też dobremi i dla innych narodów, starał się wyznaczyć punkta graniczne między nauką ekonomii, psychologią i etyką i sądził, że chęć uogólniania zasłania A. Smith'owi wyjątki od jego zasad. Kraus oddziela teoryę ekonomiczną od „Ekonomiki Stosowanej", której osobną księgę poświęca i zaznacza dążność człowieka do udoskonalenia się, którą zapewne od niego wziął Skarbek, bo sam się powołuje na Krausa, jako na swego mistrza. W początkach XIX w. „nacyonalizm", jako reakcya przeciw „racyonalistycznemu kosmopolityzmowi" wisi w powietrzu w całej Europie, a w Niemczech po r. 1806 wybucha. Fichte woła o powrót do zasad narodowych i dowodzi, że ewolucya (choć tego wyrazu nie używa), zmienność form ustroju państw—jest zjawiskiem normalnem. Twierdzenie, że bogactwo narodu to nie suma bogactw prywatnych, znajdujemy już u lorda Lauderdale (r. 180), a Soden twierdzi wyraźnie, że ekonomiście nie tyle idzie o wzrost absolutnego bogactwa, ile o równomierny jego podział — o dobrobyt jak największej ilości obywateli. Soden też zwraca uwagę na naturalny bieg ekonomicznego rozwoju narodów, który powinien się zacząć od rolnictwa i postępować do przemysłu, przerabiającego płody rolne. Soden też stawia etyczny postulat użycia dóbr i, przyjmując teoretyczną słuszność zasady wolnego handlu, sądzi, że też praktycznie zastosować się nie da.

Najpilniejszem jednak byłoby porównanie pracy Skarbka z pracami Jakoba i tej szkoły, którą Roscher nazywa szkołą rosyjsko-niemiecką, a do której zalicza, Schlözera, Storcha i Canerina, wyłączając z niej Jakoba, choć do niej zaliczonym być powinien, jako ekonomista, na którego przekonania niezawodnie wpłynął pobyt jego w Rosyi w roku 1807 do 1813.

Uwagi, które Roscher robi nad przyczynami powstania tej szkoły, powinny być uwzględnione przy ocenie Skarbka. Roscher twierdzi, że pobyt w Rosyi, która naówczas swym ekonomicznym stanem tak silnie odbijała od Francyi i Anglii, musiał wyrobić w Schlözerze i Storchu przekonanie, że zasady A. Smith'a nie mogą być absolutne, bez względu na czas i miejsce. Dla Roschera obaj ci ekonomiści dzięki tej właśnie okoliczności są poprzednikami szkoły historycznej.

Schlözer, historyk z zawodu, nieustannie rozprawia o różnych stopniach „wieku narodów" i wyraźnie zaprzecza absolutnemu działaniu praw ekonomicznych; on też pierwszy wyprowadza paralele stosunków rosyjskich ze stosunkami północno-amerykańskimi, porównania, które nie są obce Skarbkowi.

Dzieło Storcha pełne jest ekskursów w sferę etyki, być może, ze względu na specyalny charakter jego ustnych wykładów. Jakob wyraźnie mówi, że od zasad ekonomiki muszą być „wyjątki dla narodów, które stoją na niższym i średnim stopniu kultury."

Nie jest prawdopodobnem, aby Skarbek nie znał prac Jakob'a, Schlözer'a, a przedewszystkiem Storch'a („Cours d'économie politique", wydany w Petersburgu w latach 1803—1811). Aby osądzić, co z nich zaczerpnął, do tego potrzebaby bardzo mozolnej pracy. Jeśli jednak chodzi o ogólną charakterystykę Storcha jako ekonomisty, to kto wie, czy dr. Zofia Daszyńska nie ma racyi. Wiara jego w stałość i niezmienność praw ekonomicznych, wynikających z natury moralnej, społecznej i fizycznej człowieka jest tak silna, że mimowoli nasuwają się na pamięć niektóre ustępy z przedmowowy Say'a: „de même les lois générales dont se composent les sciences politiques et morales existent en dépit des disputes... tout aussi sûrement que les lois du monde physique..." — z tem u Montesquieu'go zaczerpniętem objaśnieniem ich źródła: „elles dérivent de la nature de choses". *St. P.*

„Sądy Administracyjne“ przez Aleksandra Mogilnickiego (przedruk z „Gazety Sądowej“). Warszawa, 1900. Str. 193.

Kwestya sądów administracyjnych ma u nas charakter przeważnie teoretyczny; w praktyce sądy te, jako organy oddzielne, nie istnieją; czy są one dla nas kwestyą dalszej lub bliższej przyszłości, to tylko historya pokaże, tem więcej, że są one tylko jednym z przemijających objawów teoryi podziału władzy—teoryi, którą nauka różnie ocenia. Że kwestya sądów administracyjnych w nauce ostatecznie rozwiązaną nie jest, poucza nas o tem praca p. Mogilnickiego.

Po krótkim wstępie, w którym zastanawia się nad teoryą podziału władzy, urzeczywistnieniem postulatów tej teoryi i wyrosłemi na tym gruncie: pojęciem sporu administracyjnego i organizacyą administracyjnego sądu—autor przytacza treść poglądów na spory i sądownictwo administracyjne najznakomitszych pracowników europejskich i następnie kreśli organizacyę i procedurę sądów administracyjnych w ważniejszych państwach europejskich. Kończy swą rzecz kilkoma uwagami krytycznemi, w których wyraża swój pogląd na ogół kwestyi.

Gdyby p. M. należał do tych młodych pracowników, których występ literacki jest zwykle finałem ich badań naukowych w uniwersytecie, możnaby wzmiankę o jego pracy zakończyć wyrazem szczerego uznania. Nam się jednak zdaje, że dotąd ogłoszone prace autora są dopiero pierwszym aktem jego naukowej działalności, i dlatego uważamy sobie za obowiązek wskazać na niektóre strony jego pracy, wymagające sprostowania.

Mówiąc o sporach administracyjnych w Cesarstwie Ros. i o władzach, te spory rozstrzygających, p. M. pomija prawo o podatku przemysłowym z d. 8 (20) czerwca 1898 r., wskutek czego (str. 156 i 157) nie wspomina o ustanowionych tem prawem gubernialnych i prowincyonalnych urzędach do spraw podatku przemysłowego — i mówi, że „żadne formy procedury“ nie są zachowywane przy decydowaniu spraw admistracyjnych, co znów nie zgadza się z przepisami §§ 172—174 rzeczonego prawa. Z redakcyi, jakiej autor użył, mówiąc o prawie z r. 1889, ustanawiającem naczelników ziemskich w Cesarstwie, należałoby przypuszczać, że wtedy — r. 1889 — temże prawem „utworzone zostały komisye gubernialne“ do spraw włościańskich; tymczasem komisye te powstały przy uwłaszczeniu włościan w r. 1861, a uległy reformom w 1874 i w 1889 roku.

Na stronie 114 „Bundesamt für Heimathswesen“, zdaniem autora, sądzi sprawy między „towarzystwami drobroczynności“; naszem zdaniem między „gminami“, i to o tyle, o ile te gminy nie leżą w granicach tego samego państwa, wchodzącego w skład cesarstwa niemieckiego. Kwestya ta wiąże się ze sprawą obowiązku gmin niemieckich zapewnienia utrzymania starcom i chorym, z kwestyą, przy której stwierdzenie zamieszkania stałego — heimath — pociąga za sobą ciężkie dla gminy obowiązki.

Niezgodzimy się też na to, aby cesarze niemieccy (str. 140) „z całym zapałem i nieubłaganą konsekwencyą dążyli do jednego z góry obranego celu: skoncentrowania w swem(!) ręku jaknajwiększej władzy i zaimponowania światu potęgą sił wojskowych“. Jest to słusznem co do królów francuskich i co do panujących w „oddzielnych państwach cesarstwa niemieckiego“, a przedewszystkiem co do elektorów brandeburskich, resp. królów pruskich, ale nie co do „cesarzów niemieckich“, których władza od XIII w. stale upadała, aż znikła w r. 1806 i wznowiona w r. 1815 do 1870 była władzą bez władzy. Autor nasz bierze tu część za całość—Prusy za Niemcy—tak samo, jak na str. 93, gdzie, mówiąc o Niemczech, jako całości,

mówi o „epoce wielkich kurfürstów“. Epoka „wielkiego kurfürsta“ istnieje też tylko w historyi Prus od r. 1640 do 1688.

Najpoważniejszą jednak wadą pracy p. Mogilnickiego jest wada, wypływająca z przyczyn, od autora niezależnych, z tego ogólnego powodu, że nasze wydziały prawne są szkołami technicznemi, przygotowującemi adwokatów, sędziów i urzędników państwowych, a nie fakultetami uniwersyteckimi, kierującymi pracą naukową młodzieży, dążącej do zbadania wiedzy o społeczeństwie: prawie, państwie, ekonomii społecznej i zjawiskach społecznych wogóle. Dlatego to w pracy p. Mogilnickiego organizacya i procedura sądów administracyjnych występują na plan pierwszy, a „spór administracyjny“, jego powstanie i związek z ewolucyą organizacyi społecznej zajmują ledwie kilka kartek.

Stąd też pochodzi i to, że, jakkolwiek zgodzić się możemy na pogląd naszego autora na całość kwestyi (str. 192—3), że sądy administracyjne są organizacyą przemijającą, która z biegiem czasu zniknie, a spory admistracyjne sądzone będą przez sądy zwykłe—nie możemy zgodzić się na jego pogląd na powstanie i ewolucyę sądów administracyjnych, jak również nie możemy akceptować niektórych jego poglądów i orzeczeń, dotyczących życia i organizacyi społeczno-państwowej.

Administracya nie jest fizyologią państwa (str. 3), bo administracya to organizacya władz wykonawczych rządów albo działanie tych władz; fizyologia zaś jest nauką; nawet i nauka administracyi nie jest fizyologią państwa, bo życie państwowe nie ogranicza się działalnością władz administracyjnych. Mówiąc o podziale władzy, autor nasz uważa władze: prawodawczą, sądową i administracyjną za spółrzędne, kiedy one spółrzędnemi nie są, i władze: sądowa i administracyjna są normalnie tylko wykonawcami prawa, które władza prawodawcza stanowi. Jak różnym jest w różnych organizacyach państwowych stosunek tych władz do siebie, przekonywa stanowisko władzy sądowej w Ameryce.

Na str. 147 p. Mogilnicki powiada: „Stany Zjednoczone Ameryki Północnej również zupełnie nie znają sądownictwa administracyjnego“—i na tem koniec.

Gdyby nie sądownictwo, ale „spór“ między jednostką a władzą, jako zjawisko społeczne, było przedmiotem badania, to tu właśnie spotkałby się autor ze sporem między jednostką a władzą prawodawczą, sporem, który władze sądowe amerykańskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn. rozstrzygają i mają moc zawieszenia działania nowego prawa, ustanowionego czy to przez kongres, czy to przez izbę danego stanu, jeśli uznają, że prawo to jest niezgodne z zasadniczemi prawami, wyrażonemi w konstytucyi z r. 1787. Pan M. nazywa sądownictwo „wcieleniem sprawiedliwości“ — można to pojmować, jako formę retoryczną, w naukowem badaniu trąci to metafizyką. Koła władz administracyjnej i sądowej starają się — tak sądzi autor — wzajemnie pochłonąć, stąd „walka idei, która ginie w pomroce wieków“ (str. 6). To już nie da się pogodzić ani z poglądem, że spór administracyjny zjawia się dopiero z teoryą o podziale władzy, ani też z zupełnie słuszną uwagą samego autora na tejże 6 stronicy, że sądownictwo i administracya wyłaniają się, jako zróżniczkowanie władzy wogóle. Sporu tego, „walki idei“ niema kto pogodzić; zgubiliśmy po drodze władzę prawodawczą, która zawsze obie te władze: sądową i administracyjną na wodzy trzyma i stosunki między niemi reguluje o tyle, o ile sama, jak w Stanach Zjednoczonych, nie jest postawiona pod rygor „praw zasadniczych“.

„Ojcem tej instytucyi (sądów administracyjnych)—mówi autor — był despotyzm monarchów francuskich XVII i XVIII wieku i samowola władzy wykonaw-

czej, matką — słabość władzy sądowej, która nie śmiała się oprzeć potężnej i niebezpiecznej rywalce“ (str. 177—8).

Naszem zdaniem, ustęp ten to historya „à rebours“, w której znów władza sądowa i administracyjna stoją naprzeciw siebie, jako „wcielenie idei“, a władza prawodawcza nie istnieje. Sądy administracyjne są, naszem zdaniem, środkiem ograniczenia wszechwładztwa administracyi i powstają nie za Ludwika XIV, ale za Konstytuanty, są kompromisem, zawartym w łonie ciała prawodawczego między zwolennikami silnej władzy administracyjnej a stronnikami ograniczenia tej władzy, nie zaś wynikiem walki stojących samopas władz admistracyjnej i sądowej. Są one pierwszem ustępstwem od samowoli administracyi „Polizeistaat“ XVIII w., ustępstwem, którem zwykle społeczeństwo się nie zadawalnia i dąży do oddania sporu administracyjnego pod władzę sądów zwykłych. Ojcem więc ich i matką są prądy liberalne XVIII w., przeniesione z Anglii na ląd Europy przez Voltaire’a i Montesquiu’go.

Dla pana M. (str. 183) władza prawodawcza wydaje prawa, wykonawcza— czuwa nad wykonaniem praw, sądowa powinna rozstrzygać wszystkie spory, a wyłączenie jakichkolwiek spraw spornych z pod kompetencyi sądów ogólnych jest wkroczeniem w dziedzinę praw władzy sądowej, a zatem sprzeciwia się zasadzie troistego podziału władzy. Władza sądownicza jest to zatem coś niezależnego, stojącego narówni z władzą prawodawczą niczem niehamowanege „wcielenia idei sprawiedliwości“.

Jest to ścisłe odbicie pojęć naszych fakultetów o prawie i państwie, pojęć skamieniałych na podstawach metafizyczno-autonomicznych nauk prawa i państwa, nie uznających, że ponad niemi zjawia się nauka o społeczeństwie—„socyologia“, która ich metafizyczną autonomię razem z Monteskiusza „duchem“ i Hegla „wcieleniem“ do akt składa.

Tylko jednolity socyologiczny pogląd na społeczeństwo, państwo, prawo i ekonomię polityczną usunie z prac naszych prawników reminiscencye tak racyonalizmu XVIII w., jak i metafizyki niemieckiej pierwszej połowy XIX w., i wprowadzi je na stopień, odpowiadający wymaganiom ścisłego naukowego badania.

St. P.

Zygmunt Gloger: „Geografia historyczna dawnej Polski“, z dodaniem mapy Rzeczypospolitej J. Babireckiego; w tekście 64 autentycznych rycin. Kraków, Spółka Wydawnicza, 1900, str. 387.

Zaniedbana uprawa umiejętności technicznych w starej Polsce sprawiła, że wszystkie nasze z dawnych czasów wiadomości geograficzne, zwłaszcza dawne mapy, jako niedokładne, nie mogą służyć za źródło do poznania zmieniających się w ciągu dziesięciu wieków granic Rzeczypospolitej, tak zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Chcąc posiąść dokładniejsze wyobrażenie o rozległości i zaludnieniu ziem i powiatów Polski, p. Gloger przedsięwziął przed 20-tu laty pracę wykreślenia ich granic i podziałów na mapach tegoczesnych, kierując się spisami wsi w wieku XVI i XVII, układanych powiatami i nawet parafiami, w widokach przeważnie podatkowych. Użycie i porównanie takich źródeł urzędowych, w połączeniu ze ścisłością topograficzną map dzisiejszych, dostarczyło autorowi kanwy, na której w dalszym ciągu poszukiwań osiadały wyniki badań geograficzno-historycznych, zawartych w dziełach „Volumina legum“, „Starożytna Polska“ Balińskiego i Lipińskiego, „Zródła dziejowe“ Pawińskiego i Jabłonowskiego, oraz w monografiach prowincyi i miast, rozrzuconych po czasopismach. Taką jest, według

wskazówek samego autora, geneza jego dzieła. Rezultat osiągnięty przedstawia się pod postacią kilkudziesięciu opisów pojedyńczych, klasyfikacyjnie podzielonych na trzy uogólnione części. Część I obejmuje pogląd wstępny na Słowiańszczyznę „przedchrześcijańską“ z wyodrębniającą się na tem tle „Lechią“ i najbliższymi jej sąsiadami wschodnimi, Litwinami i Rusinami, których ziemie weszły później w skład Rzeczypospolitej. Wyliczając z kolei plemiona czyli rody „lechickie“ (Polanie, Szlązanie, Pomorzanie z Kaszubami, Kujawianie, Łęczycanie z Sieradzanami, Mazowszanie), autor osobny ustęp poświęca „Lachom“ na tej podstawie, że w pojęciu Nestora nazwa Lachów była ogólna dla całej grupy rodów lechickich, nazwy zaś inne, przed chwilą zaznaczone,—poszczególnemi; wyjaśnia nadto, zgodnie z wywodami Małeckiego, że „cała grupa narodu Lachów, t. j. Lechitów, rozpadała się na dwie kategorye: 1-o Lachów z poszczególnemi nazwami Polanów, Łęczycanów, Mazowszanów i Pomorzanów, oraz 2-o Lachów, poprzestających na tem jednem nazwisku.“ Zamyka pierwszą część rożdział o granicach państwa polskiego, w miarę jak się ono skupiało w sobie lub rozszerzało nazewnątrz, „od wystąpienia Polski na widownię świata europejskiego za Mieszka I w drugiej połowie wieku X“ aż do swojego upadku w wieku XVIII; ostatni rożdział pobieżnie zaznacza porozbiorowe modyfikacye graniczne Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, Rzeczypospolitej Krakowskiej (1846). W części II-ej mamy szereg zarysów statystyczno-etnograficznych i historycznych, określających każdy oddzielnie te jednostki i ustroje terytoryalne, bardziej organiczne i tradycyjne, niźli administracyjno-państwowe, których zbiór tworzył geograficzny obszar Polski związkowej, federacyjnej—obszar, rozważany głównie z punktu widzenia ostatniej, przedrozbiorowej doby istnienia Rzeczypospolitej (granice 1772 roku). Jednostkami takiemi w prowincyi Wielkopolskiej były: województwo poznańskie z ziemią wschowską, województwa kaliskie i gnieźnieńskie (wydzielone z kaliskiego w r. 1768), sieradzkie z ziemię wieluńską, łęczyckie, brzesko-kujawskie i inowrocławskie z ziemią dobrzyńską; w prowincyi małopolskiej—województwa: krakowskie, sandomierskie, lubelskie z ziemią łukowską, podlaskie, ruskie, bełskie, wołyńskie, podolskie, kijowskie, bracławskie, czernihowskie; w prowincyi Wielkiego Księstwa Litewskiego województwa: wileńskie, trockie, smoleńskie, połockie, nowogrodzkie, witebskie, brzesko-litewskie, mścisławskie i mińskie. Jak obok prowincyi małopolskiej istniało pod osobnem mianem niezawisłe do wieku XV Księstwo Mazowieckie, złożone z województw rawskiego, płockiego i mazowieckiego, tak obok prowincyi litewskiej było tytularne odrębne Księstwo Żmudzkie ze stolicą w Miednikach, inaczej Worniach. Nadto województwo pomorskie, Prusy polskie czyli królewskie (złożone z województw chełmińskiego i malborskiego i Warmii), Inflanty i Kurlandya z Semigalią posiadały osobne samorządy, wspólnokoronne lub lenne. Układ przedmiotów w opisie każdego pojedyńczego ustroju wojewódzkiego lub ziemskiego trzyma się jednego stałego szematu, odpowiadającego mniej więcej kwestyonaryuszowi: kiedy i z jakiej narodowej lub prawno-politycznej całości województwo się wyłoniło, z jakiemi dzielnicami graniczyło, jaka była jego rozległość w milach kwadratowych, jakie zaludnienie liczebne i etniczne, z ilu powiatów się składało, ilu wybierało senatorów i deputatów, ile płaciło „kwarty“, gdzie odbywało sejmiki, gdzie popisy rycerskie, jakie w niem były starostwa grodowe, jakie znaczniejsze ekonomie (czyli starostwa niegrodowe, królewszczyzny), jakie wybitniejsze miasta, szkoły, puszcze, bogactwa kopalne, zabytki starożytne i t. p. Gloger unika erudycyjnego balastu cytat, tak zbytkownie obciążającego klasyczne dzieło Balińskiego i Lipińskiego; rozszerza natomiast

charakterystyki ogólno-lokalne, tu i owdzie przeplatane barwnymi szczegółami wyjątkowej wagi. Wreszcie część III-cia „Geografii historycznej" traktuje o dyecezyach, biskupstwach i główniejszych zakonach w okresie Piastów i Jagiellonów, później królów elekcyjnych. Za Mieszka I jeden tylko biskup (poznański) stał na czele nowozałożonego kościoła w Polsce; władza jego rozciągała się zrazu prawdopodobnie tylko na Wielkopolskę, docierając do Kujaw i może do Szląska; ziemie krakowska i sandomierska zostawały snadź jeszcze pod wływem upadającego kościoła słowiańskiego Św. Cyryla i Metodego — jak się tego domyślać wolno z późniejszej walki między metropolią poznańsko-gnieźnieńską a starą katedrą krakowską, której praw do pierwszeństwa i supremacyi bronić mógł św. Stanisław (przypomnijmy sobie świetną hypotezę na ten temat p. Wacława Sobieskiego w „Ateneum", 1899, t. II, str. 49 i nast.). Na zjeździe Bolesława Chrobrego z cesarzem Ottonem r. 1000 podzielono Polskę na 5 biskupstw: poznańskie, gnieźnieńskie, krakowskie, wrocławskie i kołobrzeskie czyli pomorskie. Przewaga Gniezna, jako metropolii, datuje właśnie od Bolesława Śmiałego. Okrom powyższych szereg biskupstw łacińskich, podległych Rzymowi, za doby i pod panowaniem Piastów, t. j. w epoce od Mieszka I do Władysława Jagiełły, przedstawia się w porządku alfabetycznym, jak następuje: chełmińskie w Prusiech polskich; chełmskie od XIV lub XV w. dla wytrzebionych krain pojadźwińskich czyli podlaskich; kamienieckie na Podolu od r. 1375; kujawsko-wrocławskie, fundowane za Krzywoustego; lubuskie nad Odrą, faktycznie już od wieku XIII chylące się do upadku i tylko tytularnie — *in partibus* — trwające do w. XV-go; miśnieńskie, podupadłe w wieku XII; płockie, założone w w wieku XI i pierwotnie obejmujące całe Mazowwsze; przemyskie i włodzimierskie (późniejsze łuckie) — obie katedry, założone w r. 1375. Biskupów ruskich obrządku wschodniego książka p. Glogiera wymienia na okres piastowski czterech: chełmskiego, przemysko-samborskiego, włodzimiersko-halickiego i turowskiego... Ten ostatni wszedł do spisu dlatego, że czas jakiś „na Księstwie Turowskiem panował zięć Bolesława Wielkiego..." Ależ zięć ten zasiadał następnie na tronie kijowskim, dlaczegóżby więc z tegoż tytułu nie zaliczyć i biskupstwa kijowskiego do okresu Piastów? Drugi, jagielloński okres zaprowadził liczne modyfikacye w układzie dyecezyalnym. Do wymienionych piastowskich biskupstw obrządku łacińskiego przybyły od unii horodelskiej i później lubelskiej następujące: od r. 1660 inflanckie czyli wendeńskie; kijowskie, erygowane przez Władysława Jagiełłę, podupadłe podczas wojen Chmielnickiego i przeniesione w połowie wieku XVIII do Żytomierza; lubelskie, utworzone w r. 1790; lwowskie archikatedralne, ustalone za Władysława W-go, a początkami swymi sięgające czasów Kazimierza W-go; smoleńskie od r. 1667 i w kilkadziesiąt lat później już tylko tytularne; warmińskie, przyłączone do Polski za czasów Kazimierza Jagiellończyka; wileńskie od r. 1387 z sufraganiami trocką, kurlandzką i brzeską; żmujdzkie, założone po bitwie grunwaldzkiej. W wyliczaniu dyecezyi ruskich p. Gloger trzyma się wskazówek Bartoszewicza, zaznaczając za nim np., że w latach od 1569 do 1596, to jest od unii lubelskiej do unii brzeskiej, kolej biskupów dyzunickich była taka: metropolitalny kijowski, włodzimiersko-brzeski, łucko-ostrogski, połocki archikatedralny, lwowski, smoleński, przemysko-samborski, chełmsko-bełski i pińsko-turowski. Po dokonanem w r. 1596 zjednoczeniu kościołów wschodniego z łacińskim powstał w hierarchii cerkiewno-ruskiej długotrwały zamęt, który niekorzystnie odbił się i na pracy p. Glogera. W spisie formalnym, porządkowo-alfabetycznym pominięte zostało, niewiadomo dlaczego, archikatedralne biskupstwo połockie, pomimo, że ubocznie wspomina o niem autor

po kilkakroć, np. na str. 352: „biskupstwo białoruskie, dyzunickie, ustanowione przez króla Władysława IV-go w r. 1633, gdy katedrę połocką zajęli unici.“

Gloger powiada w przedmowie: „Jeżeli praca nasza przedstawia niemało usterek, to niech nas to wytłómaczy, że w tym kierunku i zakresie, jako prawie pierwsza, nie miała żadnych dobrych wzorów do naśladowania...“ Zastrzeżenie jest ważne; nie wszędzie jednak i nie zawsze zasłania ono autora od możliwego zarzutu, że wschodnią połowę monarchii Jagiellonów opracował znacznie pobieżniej, niż zachodnią. Niektóre wzmianki i twierdzenia w dziale województw: podlaskiego, brzesko-litewskiego i ziem przemyskiej, halickiej i chełmskiej uprawniają przypuszczenie, że poza Nestorem p. Gloger po dziś dzień żywi do innych, późniejszych kronikarzy ruskich to samo uprzedzenie, jakiem się niegdyś powodował Stryjkowski; zachodzi nawet wątpliwość, czy, mówiąc np. o kolonizacyi Podlasia, autor zajrzeć raczył do t. zw. „kroniki wołyńskiej“ — pierwszorzędnego źródła do dziejów Litwy i Rusi w wiekach XIII i XIV-ym. Są przytem błędy tak grube, rażące, że je chyba jakiemuś kataklizmowi drukarni i korekty przypisać wypadnie. Na str. 368 z powodu „biskupstwa wileńskiego ł a c i ń s k i e g o czytamy: „Pierwszym biskupem wileńskim za Jagiellonów został Polak, Andrzej Wasilko. Katedrę wystawiono w pobliżu góry zamkowej wileńskiej pod wezwaniem *Najśw. Trójcy* (?), *Boga-Rodzicy Maryi* (?) i patrona Polski, św. Stanisława...“ Jako żywo nigdy podobnej trój-imiennej nazwy katedra katolicka w Wilnie nie nosiła, jako stale, od początku zostająca pod wezwaniem Ś-go Stanisława. Jedna z kaplic katedry, dziś Ś-go Kazimierza, mianowaną była pierwotnie kaplicą Ś-tej Trójcy, ale nic więcej. Były w Wilnie katedry Przenajświętszej Trójcy i Boga-Rodzicy — ale obiedwie obrządku wschodniego, jedna arcybiskupia (po r. 1596), druga metropolitalna, za Witołda, kiedy po upadku metropolii kijowskiej, przeniesionej do Moskwy, patryarchat carogrodzki zgodził się na mianowanie dla Rusi litewskiej osobnego zwierzchnika w osobie Grzegorza Cemblaka (r. 1416). Cerkiew archikatedralna Przejnajśw. Trójcy, niedaleko od Ostrej Bramy i w pobliżu dawnego kościoła Ś-go Kazimierza, oraz cerkiew metropolitalna Boga-Rodzicy Maryi, na prawym brzegu Wilejki, tuż przy moście niegdyś połockim, wiodącym na przedmieście Popławy — nigdy nic wspólnego w swych nazwach nie miały z katolicką katedrą Ś-go Stanisława, wzniesioną „w pobliżu góry zamkowej wileńskiej“, na miejscu pogańsko-litewskiej świątyni Swintoroga.

Do „Geografii historycznej“ p. Glogera dołączona została piękna mapa Polski z r. 1771, tekst zaś dzieła zdobią liczne ryciny — niezawodnie „autentyczne“, ale czy wszystkie niezbędne w książce, mającej charakter podręczny, informacyjno-pedagogiczny? Widok teraźniejszego Gniezna, kozak z Zaporoża, rycerz krzyżacki, Litwin z czasów Giedymina, Kamieniec Podolski w wieku XIX, portrety Czackiego, Pułaskiego i t. p., przydałyy się może (z większem jeszcze, niż w Geografii à propos) w wychodzącej obecnie zeszytami pod redakcyą tegoż p. Zygmunta Glogera „Encyklopedyi staropolskiej illustrowanej“. ***

„W naszych sprawach“ (szkice w kwestyach ekonomiczno-społecznych). Wydawnictwo Henryka Radziszewskiego. Tom II-gi. Warszawa, 1900.

Zdając sprawę przed rokiem z pierwszego tomu wydawnictwa pod wymienionym nagłówkiem [1]), wytknąłem był redaktorowi i nakładcy, p. Henrykowi Ra-

[1]) Ob. „Głos“, Nr, 24 z r. 1899.

dziszewskiemu, że zgoła niewłaściwie, a może nawet i mniej trafnie podaje „rozrywkę towarzyską“ *sui generis*, jako siłę twórczą i miejsce urodzenia zgromadzonych i wydanych przez się monografii. Dzisiaj, po przeczytaniu drugiego tomu szkiców „W naszych sprawach“, stwierdzam z przyjemnością, że uwaga owa była słuszna. Zadowolenie moje wynika nietylko z pobudek miłości własnej, chętnie przy swojem obstającej, lecz i ze względów całkiem nieosobistych, ze względów na pożytek społeczny, do którego w stopniu bardzo znacznym przykłada się wydawnictwo p. Radziszewskiego — i przykłada się dlatego właśnie, że zawiera nie jakieś lekkie i płytkie konwersacye towarzyskie „o naszych sprawach“, lecz poważne, gruntowne, poniekąd zaś i źródłowe badania różnych stron naszego życia społeczno-ekonomicznego. „Wyraźniej, niż w roku ubiegłym — są słowa przedmowy — odbiło się w tej książce pragnienie zaradzenia brakowi przedewszystkiem danych, przedewszystkiem faktów, i mimowoli większa jej, przynajmniej ilościowo, część poświęconą została gromadzeniu tego właśnie samego materyału spostrzeżeń na podstawie źródeł lub ankiet z pierwszej ręki.“

Poza tem oznajmieniem i jednocześnie poza ogólnym sądem, któremu wyżej dałem wyraz, stoją jednak dwa artykuły: p. J. Waliszewskiego „Kilka słów o parcelacyi“ i p. Z. Korsaka „Z naszych stosunków prawno-handlowych“. Na to, żeby zawiadomić ogół, iż parcelacya spekulacyjna przynosi szkodę zarówno wielkiej własności ziemskiej, jak i włościanom, wystarczyłoby istotnie „słów kilka“, osobliwie, gdy się wyznaje, że w kwestyi tej „niewiele pozostaje do wskazania w dziedzinie praktycznej“ (str. 270). Właściwie p. Waliszewski zdaje się mniemać, iż kredyt melioracyjny i wzajemne ubezpieczenie od ognia mogą nader skutecznie wpłynąć na ustosunkowanie się własności ziemskiej (str. 296), są to przecież takie same półśrodki, jak i zalecane dalej rozszerzanie części rozporządzalnej majątku. Wszak sam p. Waliszewski przyznaje natomiast (str. 271), że „w prawodawstwie obowiązującem istnieje część rozporządzalna... ale społeczeństwo nasze rzadko się nią posługuje, to jest rodzice rzadko z tego prawa rozporządzania częścią majątku korzystają.“ Dla skutecznego zatamowania sprawy drobienia się ziemi należałoby zaprowadzić majoraty, ale na szczęście nikt jeszcze nie ośmiela się u nas żądać tego. Natomiast rzeczywiste intencye autora i stanowisko, z którego ocenia stosunki ekonomiczno-społeczne, występują w jaskrawem świetle, gdy o parę stronic dalej nadaje prawu, nie pozwalającemu dzielić osad włościańskich na mniejsze, niż sześciomorgowe działki, miano „tamy, krępującej wolne rozporządzanie swoją własnością za życia“ i „przepisu, nie odpowiadającego zapatrywaniom naszym“ (str. 273). Pan Waliszewski pragnie usunięcia tej tamy, a nawet żąda pewnych ułatwień co do spisywania testamentów włościańskich — wszystko niby w imię zasady „wolnego rozporządzania swą własnością“. Otóż, gdy chodzi o własność większą, zasada „wolnego rozporządzania“ ma zgodnie z chęcią autora usunąć praktykę równości działów i przyczynić się do podtrzymania majątków wielkich, gdy zaś rzecz idzie o ziemie włościańskie, zakaz działów i utrzymanie całostek gospodarczych raptem okazuje się czemś krępującem i szkodliwem. Istotnie dla interesów ziemiańskich najpożądańszym byłby stan wprost odwrotny, niż istniejący: wolność testamentowa, może i przymusowa równość działów dla włościan, czyli obfitość robotnika bezrolnego, i majoraty fakultatywne dla posiadaczy obszarów dworskich. Artykuł p. Waliszewskiego byłby bałamutnym, gdyby nie był w istocie konsekwentnym, lecz poza tą charakterystyczną konsekwencyą niema w nim ani dowodów rzeczowych, ani nawet spostrzeżeń głębszych, boć znanych utyskiwań na „kryzys rolny“, patryarchalnych reminiscencyi „chat, tulących

się pod skrzydła dworów" i żalów na temat „gaśnięcia świateł" niepodobna—bez zastrzeżeń wyraźnych — brać na seryo.

Nie wiem też, czy ma słuszność p. Korsak, gdy twierdzi, że dziś właśnie najstosowniejsza jest chwila do zawiązania sekcyi prawno-handlowej przy Muzeum Popierania Przemysłu i Handlu — nie wiem dlatego naprzód, iż takiego „muzeum" dotąd wcale Warszawa nie posiada, a powtóre dla innych powodów.

Jeśli o dwu pracach, powyżej omówionych, niewiele da się powiedzieć zachęcającego, to jednak wartość książki okupują z lichwą monografie pozostałe, będące zarazem owocami dobrej woli obywatelskiej i wynikami sumiennej, poważnej, badawczej pracy myślowej. Artykuł p. Bukowieckiego („Kredyt robotniczy i areszty na zarobkach") jest naprawdę — jak czytamy w przedmowie — „niemal uzasadnionym projektem reformy prawodawczej w całkiem dojrzałej sprawie kredytu robotniczego", rozprawa p. Antoniego Potockiego („O uposażeniu warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej"), oparta na własnej ankiecie, stawia przed nami w pełnem świetle kwestyę nader żywotną i pilną, praca zaś p. Władysława Grabskiego jest umiejętnem studyum o warunkach ekonomicznych przedsiębiorstw rolniczych, a zarazem i pożądaną przeciwwagą dla artykułu p. Waliszewskiego. Pan Grabski nie boi się parcelacyi; nie waha się też oddawać pierwszeństwa gospodarstwom włościańskim przed niedbale prowadzonymi przez nieudolnych dziedziców folwarkami, a wskazując, że materyalne warunki produkcyi sprzyjają rozwojowi posiadłości drobnej, słusznie dopatruje się w warunkach społecznych siły, sprzyjającej właścicielom obszarów większych. Kogokolwiek interesuje kwestya parcelacyi i kwestya stosunków agrarnych, ten znajdzie w rozprawie p. Grabskiego wiele uwag cennych i do myślenia dających.

„Przyczynek do kwestyi robotniczej w oświetleniu cyfr rachunkowości rolnej" pióra p. Jerzego Ryxa zawiera ciekawy materyał cyfrowy, a mianowicie bardzo szczegółowe obliczenia kosztów produkcyi płodów rolnych i zysków z ich sprzedaży według rejestrów pewnego majątku, położonego w gub. warszawskiej. Jako materyał, cyfry te i obliczenia posiadają wartość niezwykłą, gdyż dotąd prawie nie ogłaszano u nas drukiem danych podobnych, mimo, że są one jedyną podstawą do rozstrzygnięcia pytania, czy właściciele dóbr większych mogą bez wyraźnej dla siebie szkody podnieść płacę robotników rolnych. Myślę przecież, iż p. Ryx, dając odpowiedź przeczącą na pytanie powyższe, posuwa się za daleko. Chodzi tu nietylko o to, że „majątek demonstracyjny" p. Ryxa może nie być przeciętnym, lubo autor nas co do tego upewnia — i nie jest przeciętnym, bo leży o 5 mil od Warszawy, lecz i o to także, że, o ile mi się zdaje, p. Ryx nie wgląda w rdzeń kwestyi. Przed rokiem z górą wypadło mi właśnie polemizować w tym przedmiocie z p. Ryxem na szpaltach jednego z tygodników, i wówczas już zwracałem był uwagę mego przeciwnika, że do pewnego stopnia walczy on z urojeniem. Wobec bowiem stałego i wciąż dotkliwszego braku sił roboczych w rolnictwie płace zarobne muszą się podnieść bez względu na wszelkie argumentacye, narzekania i zarzekania — trudno zaś przypuścić, iżby to pociągnąć miało za sobą ruinę całkowitą całej własności większej. A więc przewidywać należy konieczność pewnego przystosowania się gospodarki rolnej na obszarach dworskich do zmienionych warunkow produkcyi, mianowicie do zwiększonej płacy zarobnej, konieczność takiego przeobrażenia się gospodarstw dworskich, żeby płaca zarobna stanowiła procentowo mniejszą cząstkę ogółu kosztów produkcyi. Wszak dopiąć można tego niekoniecznie przez zmniejszenie płacy, lecz także przez podniesienie jej wydajności, przez podniesienie intensywności gospodarki. Niewątpliwie pewien

odsetek majątków dzisiejszych zginąć musi podczas takiego przystosowania się i przeobrażania, lecz nie zmieni to ogólnego biegu rzeczy i nie zatrzyma nieuniknionego procesu ewolucyi. I jeżeli — jak zapewnia p. Ryx — dzisiejsze majątki ziemskie stoją u szczytu kulturalności, jeżeli dzisiejsze majątki więcej płacić nie mogą, jeżeli dzisiejsze majątki się nie ostoją, tedy wypadałoby raczej postarać się o określenie: jaki być powinien, jaki będzie typ majątków jutrzejszych.

Więcej, niż połowę książki, bo 307 stronic z ogólnej liczby 581, wypełnia praca p. Radziszewskiego p. n. „Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem". Autor daje krótki rzut oka na stan przemysłu w Polsce za czasów Rzeczypospolitej, uwzględniając szerzej nieco usiłowania za czasów Stanisława Augusta, potem zaś wskazuje stopniowe dźwiganie się życia ekonomicznego w epoce Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego i Królestwa po r. 1863, prowadząc wykład swój w sposób o tyle umiejętny, że ów znakomity rozwój przemysłowy ostatniego ćwierćstulecia, rozwój, który często najniesłuszniej poczytywany bywa za niezrozumiałą niespodzianką dziejową, okazuje się dowodnie bujnym plonem posiewu, rzuconego ręką pokoleń pomarłych. Za wielką też zasługę poczytywać trzeba p. Radziszewskiemu owo pragmatyczne utkanie jego monografii, jak niemniej i uduchowienie statystyki ekonomicznej uczuciami obywatelskiemi, które dostarczyły mu natchnienia do sylwetek Lubeckiego i Steinkellera. Odkładając szczegółowszy rozbiór tej pożytecznej pracy do chwili ukazania się książki p. St. Koszutskiego, która o tym samym przedmiocie mówić będzie, muszę raz jeszcze zaznaczyć, że wydawnictwo p. Henryka Radziszewskiego jest pożądanym i rozumnym przyczynkiem do poznania potrzeb i zadań naszych. *Jan Stecki.*

Dr. Zygmunt Zapała. „Franciszek Wężyk". Monografia biograficzno-krytyczna. Kraków, 1898.

Wężyk, poeta i prozaik, liryk, epik, dramaturg i teoretyk sztuki dramatycznej, powieściopisarz i pamiętnikarz, jest jednym z najwszechstronniejszych i najzasłużeńszych pisarzy naszych pierwszej połowy ubiegającego wieku. Zapomniany i mało czytany jest prawie nieznany dzisiejszemu pokoleniu czytelników. Klasyk umiarkowany, jak Niemcewicz, Fredro, Morawski, nie należący do t. zw. „obozu klasyków" z przed r. 1830, spokojny, lękliwy, nie miał temperamentu reformatorskiego i, chociaż dokonał pewnych reform w dziedzinie sztuki dramatycznej w teoryi, w praktyce roli wybitnej nie odegrał. Pomimo to w historyi poezyi naszej XIX w. należy mu się miejsce zaszczytne. Pisali o nim Siemieński (r. 1866), Tarnowski (1875), Tomkowicz (1878), wyczerpującej jednak monografii o jego życiu i dziełach dość długo nie mieliśmy. Podjął się jej napisania p. Zapała, za co mu się bezsprzecznie dank należy. Zadanie swoje p. Z. wykonał pracowicie i dość sumiennie. Książka jego nie jest to rozprawa zawodowego historyka literatury ani krytyka wytrawnego; jest to praca studencka, seminaryjna, na zadany temat—„pierwsza praca" początkującego na polu historyczno-literackiem. Sam autor, zdaje się, nie przywiązuje wielkiej wagi do swojej „Monografii biograficzno-krytycznej", w przedmowie bowiem nazywa ją skromnie „rozprawką". Ale skromność to fałszywa, nieszczera, jak się o tem niebawem przekonamy. Zasługą p. Zapały jest, że, pisząc życiorys i rozbierając utwory Wężyka, uwzględnił również jego rękopiśmienne, dotychczas nieogłoszone dzieła oraz jego korespondencyę. Pan Z. stara się być bezstronnym, krytycznym i samodzielnym w swej pracy, niezawsze mu się to jednak udaje, jest bowiem najczęściej echem swego profesora — hr. Tarnowskiego. Wobec okoliczności powstania jego pracy inaczej

być nie mogło. Że jest dla swego kierownika z należnym respektem, to mu się chwali, ale szkoda, że p. Z. jest zbyt jednostronnym pod tym względem i nie zachowuje winnego szacunku i dla innych ludzi zasłużonych. Zabawnym jest p. Zapała, gdy, jakby miał jakieś dane i prawo po temu, porywa się na taką powagę naukową, jak prof. Chmielowski, i uczy go, jak ma pisać. Obszerne dzieło Chmielowskiego, pełne samodzielnych i wytrawnych sądów, jedyne w swoim rodzaju („Nasza literatura dramatyczna"), p. Z. nazywa lekceważąco „dziełkiem", utrzymuje, że Chmielowski powtarza w niem „sądy drugich na ślepo" i, że gdyby był streścił pewną tragedyę Wężyka, „dodałoby to kompilacyi (!) autora, bez żadnego głębszego historycznego poglądu skreślonej, trochę wartości" (!!). Arogancya i zarozumiałość studencka dalej nie idzie.

Naiwnych, niedowarzonych, niedołężnie wyrażonych lub niedojrzałych zdań pełno w książce p. Z. Przytoczę kilka: „Człowiek sławny, dostatni i bardzo ofiarny (t. j. Wężyk) stał się *kamieniem węgielnym* (!), z którego urosły podwaliny pod słynną na cały dziś świat Akademię" (!) (panegiryk dla Akademii Umiejętności) (117—118). „Są to (t. j. „Bezkrólewie I" i „Bezkrólewie II") dramata idei, na kształt „Irydyona", „Nieboskiej", z *tą różnicą* (!), iż czysto narodowe. Aryostyczne utwory Słowackiego, owiane mistycyzmem i niczem nie dającą się tłómaczyć fantazyą, nikną wobec nich (!)... pod względem ich moralności, jak zniknąć muszą wszystkie fantastyczne mrzonki, choćby nawet potężnego geniuszu" (132—133). „Dużo wody upłynie, nim to zwięzłe dziełko (t. j. rozprawę „O poezyi dramatycznej") spotka los tylu innych w tej materyi rozpraw, by służyć *na podpałkę w piecu*" (To mi pochwała!). (69). „W *pismach* w zakresie umiejętności *ścisłych* (w jakich?) głęboki (t. j. Wężyk), stanowczy, przekonywający. Jednego tam słowa nie dodać, jednego nie ująć. Może za staranny, lecz właśnie w tej *nauce* (!) trzeba tak koniecznie" (156). Pociesznie to wygląda, gdy student, określając pewnego bohatera dramatu, wykrzykuje: „Studentem mu być, nie królem!" (84). Dr. Zapała jakby się wstydzi, że jest, czy był wczoraj studentem, a więc młodzieńcom z miną doświadczonego starca prawi morały i mityguje „bezsilne porywy" (93). Czy nie zawcześnie? Pan Zapała pozwala sobie nauczać prof. Chmielowskiego, sam jednak nie wie np., że to Kochanowski nazwał żonę „męża koroną", pisze bowiem: „Pani Jordanowa... jest, jak *gdzieś* trafnie powiedziano o żonie, „koroną męża" (135). Nie wie również p. Z. nic o wybornym przekładzie dramatów Sofoklesa przez Kaszewskiego, wspominając bowiem o przekładzie Edypa, dokonanym przez Wężyka, uważa (za Tarnowskim), że „dwa inne, *jakie posiadamy* (!), przekłady, Walickiego i Węclewskiego — nie mogą iść w porównanie z przekładem Wężyka" (15).

G. K.

Czesław Domaniewski i Maryan Wawrzeniecki. „Rozróżnianie stylów w architekturze". Warszawa, 1900.

Za dowód, a poniekąd i przyczynę obojętności ogółu naszego dla spraw architektury może służyć brak podręcznika popularnego, ułatwiającego zapoznanie się z tą dziedziną sztuki. „Sztuka" Łepkowskiego, wydana w Krakowie w roku 1872, w swoim czasie rozeszła się w szerokich kołach i u nas. Pomimo jednak, że ten „elementarz znamion i dziejów sztuki" jest doskonale opracowany (tem więcej, że autor baczył usilnie na sztukę swojską i, o ile mógł, jej wzorami teoryę ilustrował) — dzisiaj podręcznik ten nie może być branym w rachubę, jako i przestarzały, i wyczerpany. Nowych wydawnictw w tym rodzaju nie było już później. Brak ten starali się zapełnić pp. Domaniewski i Wawrzeniecki. Podręcznik ich cechuje kierunek czysto praktyczny. Mamy tu 10 tablic z 200 rysunkami

całych gmachów i części architektonicznych, wzorów rzeźby, malarstwa, mebli) sprzętów i wogóle zdobnictwa różnych stylów, do których dołączono treściwe objaśnienie, uwydatniające cechy każdego z omawianych porządków. „Kunst-Stilunterscheidung“ Hansa Sebastyana Schmida służyło autorom za wzór w tej pracy. Skromnem, jak widzimy, było zadanie autorów. Czy jednak wywiązali się z niego w zupełnoéci dobrze? Nie sądzę. Przedewszystkiem rysunki wykonane są twardo, ostro i grubo, co zwłaszcza razi przy rysunkach drobnych, na skalę mniejszą robionych (tablica 7, 8, 9 i 10), w ornamentach i wszelkich wzorach zdobnictwa. Tak np. starochrześcijański ornament z kościoła w Danii (Fig. 44, sam przez się jest nieudolny i niesmaczny. W rysunkach jednak naszych autorów starano się jakby go jeszcze bardziej oszpecić, wygląda też prawdziwie, jak jakaś gruba laubzegowa robota. Co do tekstu, powiedziałbym, że jest zanadto zwięzły i że go mamy zamało, co zwłaszcza uderza przy stylu gotyckim, o którym nawet bez zwiększania liczby rysunków można było i należało trochę więcej powiedzieć. Np. o tak charakterystycznym w gotyku łuku przerzutnym niema żadnej wzmianki. Renesans traktowano jeszcze pobieżniej, wzory zaś barocco, rococco, empire i kierunku biedermajerowskiego pozostawiono zupełnie bez objaśnień. Dlaczego? Z drugiej strony, dlaczego, omawiając styl rzymski, autorowie nie wspomnieli nic o kopule, jakby ona nie stanowiła najcharakterystyczniejszej części architektury Rzymian, choćby nie ich nawet była wynalazkiem? Przynajmniej w paru słowach należało wspomnieć o Panteonie rzymskim. Bez tego zdanie, że renesans „odradza rzymską klasyczność“ dla niewtajemniczonego nie mówi nic i jest zgoła niezrozumiałym.

Dalej Fig. 90, przedstawiającą nagłówek pączkowy, pozostawiono bez objaśnienia, przytem pomieszczono ją w tekście, traktującym o gotyku, skąd łatwo ten kapitel romański też do gotyckich zaliczyć. Pytamy wreszcie, co przeciętny czytelnik wyrozumie ze zdania: „gotyk włoski lubuje się w otwartych lożach (gdzie?), jest to wpływ klimatu“? Wogóle broszura traktowana jest nieco za pobieżnie. Wobec załączonych 10 tablic chyba niewiele już znaczyło postarać się o dokładniejszy tekst do nich. Przybyłoby jeszcze 2—4 kartek druku, ale za to wydawnictwo o ileby więcej odpowiadałoby swemu celowi! Należałoby też pod rysunkami wskazywać zarazem, skąd dany wzór jest wzięty.

Nie chcę bynajmniej do książki tej czytelnika zrażać. Przeciwnie, nawet taka, jaką jest, może być bardzo użyteczną i życzyć jej należy jak najszerszego rozejścia się między naszą ciemną w sprawach architektury publicznością. Idzie mi tylko o to, że rzecz, w zasadzie dobrze pomyślana, nie doprowadzoną została do należytej doskonałości. Zwłaszcza u nas, gdzie podobne wydawnictwa ukazują się bardzo rzadko, tem więcej tego żałować wypada. Nie znam broszury Schmida, nie mogę też powiedzieć, o ile praca pp. Domaniewskiego i Wawrzenieckiego jest samodzielną. Jeżeli jednak usterki, wytknięte przez nas, są powtórzeniem złego układu oryginału, w takim razie należało poszukać innego wzoru, jakich w literaturze, zwłaszcza niemieckiej, jest niemało, że tylko wspomnę opracowanie Karola Kimmicha p. t. „Stil und Stilvergleichung“, rzecz w swoim rodzaju doskonała, którą ze wszechmiar zaleciłby można do przyswojenia naszej ubogiej literaturze architektonicznej.

W każdym razie zapoczątkowanie pp. Domaniewskiego i Wawrzenieckiego przyjmujemy z uznaniem i wdzięcznością. Jeżeli zaś pozwoliliśmy sobie na sąd surowszy, to ze względu na dalsze wydawnictwa w tym kierunku, jakich w słowie wstępnem autorowie pozwalają nam się spodziewać. *Wacław Kloss*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Dr. Henryk Nusbaum: *Głos antysyonisty.* **Dr. Maks Nordau:** *Współczesne położenie Żydów.* 1900. — Teza i antyteza. Obydwie książki traktują o syonizmie, a dochodzą do wręcz odmiennych wniosków. Dr. Nusbaum jest stanowczym przeciwnikiem międzynarodowego ruchu żydowskiego, któremu walkę czynną wypowiada, jako dążeniu ze wszech miar szkodliwemu. Dr. Nordau jest gorącym zwolennikiem syonizmu, upatrując w nim srodek zaradczy przeciw nędzy i wszelkim nieszczęściom Żydów. Co jeden nazywa szkodą, drugi mianuje pożytkiem; co jeden usiłuje zwalczyć, drugi chce szerzyć. Gdzież przyczyna tej sprzeczności krańcowej? Wchodzi tu w grę uczucie szczere, serdeczne, które pierwszy. przeciwnik, żywi dla „szczupłego" grona społecznego, a drugi, zwolennik, — dla nader szerokiego odłamu. Uczucie to różni się wszakże mocno u obu autorów Dr. Nusbaum umiłował „szczupłe" wprawdzie grono, lecz w jego całokształcie, dbając i myśląc o wszystkich. Dr. Nordau zaś opiekuje się odłamem szerokim, lecz samych Żydów wyłącznie. Zestawienie powyższe wynika z treści dwu rzeczonych książek. Dr. Nusbaum zaleca Żydom, aby „znosili z rezygnacyą niechęć i nieufność", twierdzi, że należy „dać pracę swą braciom, choć jej narazie nie uznają," oraz, aby „nieśli chętnie ofiary na ołtarzu wspólnej ojczyzny, nie myśląc litylko o sobie"; radzi też być wytrwałym i mieć nadzieję, iż „dzieci nasze lub dzieci naszych dzieci cieszyć się będą owocami naszych poświęceń." Uczucie swoje wyraża jasno i dobitnie: „Kocham z głębi serca rodzinny kraj swój i gotów jestem dla dobra jego wszystkie swoje poświęcić siły; kocham wszystkie kraju tego dzieci; kocham swój piękny język ojczysty i uwielbiam naszych wieszczów; dumny jestem ze wszystkiego, co w nim piękne i szlachetne, i pragnę z całych sił swoich przyczynić się do naprawy tego, co jest ujemne i szkodliwe." Oto dlaczego potępia syonizm, bo to „dążność do wzmocnienia lub rozbudzenia wśród Żydów samopoczucia swej narodowej odrębności, a więc zasady, że w każdem państwie, w każdym narodzie, stanowią oni istotnie naród w narodzie. Obłęd ten chwilowy zawdzięcza istnienie swe głównie garści agitatorów, pozbawionych głębszego rozumienia najświętszych obowiązków Żydów wobec krajów, które zamieszkują. Rozbudzanie ducha separatyzmu jest olbrzymią krzywdą, wyrządzoną i Żydom, i społeczeństwu, śród którego zamieszkują." Teza autora jest jasno przeprowadzona. Idzie mu o „krzywdę, wyrządzoną społeczeństwu", do którego należą „i Żydzi". Dr. Nordau z innego wychodzi założenia. Jemu idzie tylko o Żydów. Źle się dzieje Żydom w Rumunii, gdzie ich jest „ćwierć miliona" i gdzie „połowa z ogólnej liczby pozbawiona zupełnie środków utrzymania". W Galicyi jest Żydów 772,000, a położenie ich „przejmuje dreszczem zgrozy" (?). W Wiedniu mieszka 25,000 rodzin żydowskich, a „trzy czwarte nie są w stanie pełnić swych powinności podatkowych." Z Bulgaryi dochodzą też same „skargi i żale." Na Węgrzech „większa część" Żydów nie doszłą nawet do początku dobrobytu jakiegokolwiek". Żydzi marokańscy i perscy „znoszą w niemem poddaniu swą niedolę", Słowem wszędzie źle, istne nieszczęście, Tu „trzy czwarte", tam „połowa", ówdzie „większa część" Żydów cierpi niedostatek. A gdyby tak zebrać „łzy, skargi i żale" jakiegobądź innego społeczeństwa nieżydowskiego, którego także „trzy czwarte", „połowa" lub „większa część" cierpi niedostatek, a takich znajdzie się niemało, to i oni winni stać się... syonistami, albowiem dr. Nordau w syonizmie upatruje lekarstwo uniwersalne. Nie przepisuje go zaś innym społeczeństwom dlatego

chyba, że o nie nie dba zgoła, że miłuje Żydów jedynie i pragnie, aby przedewszystkiem im się dobrze działo, zarówno w Marokko, jak w Persyi, na Węgrzech, w Galicyi, Bulgaryi i Wiedniu. Opinia ogółu ma więc teraz wolny wybór między dwiema tezami, z których jedna ma na względzie dobro danego społeczeństwa w jego całokształcie, a druga—dobro wszystkich Żydów we wszystkich społeczeństwach. Dodajmy, że książka d-ra Nusbauma jest pisana językiem pięknym, czysto polskim, tłómaczenie zaś d-ra Nordau'a to polszczyzna licha, sztuczna i nieprawidłowa.

On.

Biegeleisen Henryk dr.: Geneza *Odprawy posłów greckich.* („Muzeum", Lwów, 1897). — Rozprawa p. Biegeleisena ma całą swoją historyę: jeszcze bowiem przed ukończeniem jej druku w „Muzeum" ukazał się w krakowskim „Głosie Narodu" r. 1897 w № 104 artykulik p. J. R., w którym wykazano, iż przeważna część rozprawy jest plagiatem z rozprawy Kallenbacha o „Odprawie posłów greckich". (Kraków, 1894). Zaskoczony w ten sposób p. B., przyparty nadto do muru przez redakcyę „Dziennika polskiego", zmienia nagle taktykę: chcąc się jeszcze bronić, dorabia niby oryginalny koniec swej rozprawki w zeszycie czerwcowym „Muzeum", podaje, co jest samodzielnego w jego badaniach, a co zaczerpnął skąd inąd. Zabrała też w sprawie całej głos i redakcya „Muzeum", która pozostawiła w sprawie całej bezstronny sąd o niej fachowej i snmiennej krytyce („Muzeum", 1897, str. 493). Powodując się przedewszystkiem sumiennością, muszę niestety potwierdzić sąd p. J. R., wypowiedziany w „Głosie Narodu", jako też Franciszka Krčeka (tamże, 1897, № 126). Praca p. B. jest plagiatem, do jakich nas zresztą p. B. od kilku lat przyzwyczaił: jest bowiem przepisaniem dosłownem najrozmaitszych ustępów z dzieł Kallenbacha, Nehringa, Tarnowskiego, Plenkiewicza. Zestawień kilka, zaczerpniętych z rozprawy Kallenbacha i rozprawy Biegeleisena podał już p. J. R.; nie powtarzając tu tych samych rzeczy, dodaję tylko, że p. B. odpisał z Kallenbacha, oprócz zaznaczonych miejsc, jeszcze następujące ustępy: strony 113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 191, 192, 246, 247 i 248 w rozprawie p. Biegeleisena odpowiadają stronom 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 10, 13, 25, 26, 17, 13, 16/7, 40, 30/1, 35, 34, 32 33, 35, 37, 38, 39. Według obliczenia Krčeka przepisał p. B. z Kallenbacha 190 wierszy, z Plenkiewicza 373 wierszy, z Tarnowskiego 100, z Nehringa 113 wierszy

Oto przykład:

Nehring: „Studya literackie", str. 66.

Jest to sfera tragiczności, w której ukazują się głównie tragedye Aischylosa i w których wielkość lub upadek państw lub wielkich rodów zależy od cnót lub od winy pojedyńczych ludzi, i w których szczególniej naruszenie obowiązków familijnych, uświęconych przez bóstwo, sprowadza straszną katastrofę. Taka tragiczność, której materyę i tło stanowi więcej idea moralna, niż akcya, w której więcej wytężony jest głos boski, niż wola ludzka, w której więcej powagi, niż siły, odpowiadała też najwięcej usposobieniom Kochanowskiego.

Biegeleisen: str. 364.

Jest to sfera tragiczności, w której obracają się głównie tragedye Aischylosa, gdzie upadek narodów zawisł od winy poszczególnych ludzi i gdzie szczególniej naruszenie świętych obowiązków rodzinnych ściąga na głowę winnych upadek. Taka tragiczność, w której tłem jest raczej idea moralna, niż działanie, w której wytężony raczej głos boski, niż wola ludzka, w której więcej odwagi, niż siły, odpowiadała najbardziej spokojnemu usposobieniu Kochanowskiego.

Tarnowski, Kochanowski, str. 365.	Biegeleisen, str. 360.
Groźba stanowi zawiązanie dramatu, a więc wszystko razem jest inaczej zawiązaniem tylko, prologiem do wojny trojańskiej.	Groźba ta stanowi zawiązanie dramatu, a wszystko, co ją poprzedza, prawie cała tragedya, jest zawiązaniem tylko, czyli prologiem do wojny trojańskiej.
Tamże, str. 370.	Biegeleisen, str. 361.
Chór drugi od tamtego bardziej patetyczny, napozór trzyma się także w ogólnikach moralnych, ale jest już bliższy sprawy dramatu i t. d., i t. d.	Chór drugi od poprzedniego bardziej patetyczny, lubo się trzyma także ogólników moralnych, jest już sprawy dramatu bliższy i t. d., i t. d.

Tych przykładów wystarczy, aby czytelnik mógł sobie o pracy p. B. wyrobić należyty sąd.

Umieszczona na końcu rozprawki p B. ocena prac o „Odprawie posłów greckich“ świadczy też o bezmyślnem przepisywaniu p. B.; na poprzednich bowiem stronach przytacza p. B. dosłownie zdania rozmaitych autorów, zgadzając się z niemi i wypowiadając je, jako własne, na str. 441 i 442 wypowiada jednak zdania, wprost sprzeczne z poprzednio wypowiedzianemi (por. np. na str. 251, odmienne zapatrywanie na zakończenie prologu). Ostatnia część rozprawy, oryginalna, zawierająca charakterystykę osób, wytłómaczenie miary wierszowej, ocenę wreszcie prac o „Odprawie“ nic przynosi nic nowego. Powodu wydrukowania pracy całej nie było istotnego: p. B. wspomina wprawdzie, iż chciał ułatwić nauczycielom gimnazyalnym pracę, podając im materyał, zebrany w dziełach i czasopismach. Wygląda to pozornie nadzwyczaj pięknie: w istocie jednak wypisał p. B. kilkadziesiąt stron z czterech dzieł, przystępnych każdemu, znajdujących się w każdej bibliotece gimnazyalnej. Rozprawa p. B. nie przedstawia żadnej wartości zarówno dla historyi literatury, jakoteż dla nauki szkolnej.

Dr. Wiktor Hahn.

Kazimierz Sterling: *Dramaty.* Warszawa. Nakład Władysława Okręta. 1900. — Najdrastyczniejszy pomysł może mieć racyę bytu w literaturze, ale potrzeba, aby był ubrany w szatę wytworną. Przypominamy wiele nowel Maupassant'a... Tymczasem w wielce drastycznym dramacie p. Sterlinga p. t. „'Dzisiejszy“ czytelnik nie znajdzie ani bystrej obserwacyi, ani subtelnej analizy psychologicznej, ani cieniowania, ani wykończenia, ani dosadnego języka. Środki, jakimi autor się posługuje celem wlania siły w swoje „Dramaty“, wcale nie należą do szczęśliwych. Wrzaski, wybuchy wściekłości, szlochy na zawołanie, przyskakiwanie z pięściami i grubiańskie wymysły (ty utrzymanku, małpo...) nie zastąpią mocy wewnętrznej i, zamiast spotęgować grozę dramatyczną, wywołują niesmak. To też, czytając „Dzisiejszego“, doznajemy uczucia, które nie ma nic wspólnego z zadowoleniem estetycznem, Wycieczka w dziedzinę naturalizmu nie udała się p. Sterlingowi. Niemniej zawiodło go wzbicie się w sfery filozofii Bo posłuchajmy tylko treści dramatu „Nemezys“. Służący donosi Adamowi, że żona tego ostatniego, Anna, pod nieobecność małżonka zamyka się z przyjacielem domu, Arturem, na klucz i „bawi się z nim godzinę albo dwie“. Boleśnie tem dotknięty Adam powiada do Anny: „Okrutnie mię skrzywdziłaś. Ale jesteś naturą dobrą i uczciwą. Zresztą *wszyscy* ludzie grzeszą.“ A do Artura: „Skrzywdziłeś mnie okrutnie. Ale i ty jesteś w gruncie dobry i uczciwy. Zresztą *wszyscy* grzeszą.“

„Przystaję na rozwód. Kochacie się—więc się pobierzcie.“—„Ani myślę—oświadcza Artur. — Onaby — tu wskazuje na Annę — będąc moją żoną, tak samo mnie oszukiwała z innym, jak teraz oszukiwała ciebie ze mną.“ — „Nikczemny!“ — woła Adam i zaczyna szamotać się z uwodzicielem żony. — „Ja nikczemny? A ty co? ty może nie uwodziłkś cudzych żon? — cynicznie zapytuje napadnięty. Wszyscyśmy jednacy — wszyscyśmy winni, bośmy nie aniołowie. *Wszyscyśmy* ludzie upadli.“ — „Prawda!“ — przyznaje przekonany Adam i wybucha płaczem, zapewne nad ułomnością natury ludzkiej, zachęcając i nas, abyśmy nie skąpili też współczucia dla „uczciwych w gruncie“ wykonawców tego budującego trójśpiewu. Ale wątpię, czy znajdzie się taki czuły czytelnik. Choćby bowiem chciał uczynić tę grzeczność dla twórcy, powściągnie jego zapęd wykonanie sztuki nad wyraz nieudolne. Autor zasłyszał coś o pewnym słynnym dramacie polskim i, zapożyczywszy wspaniały pomysł, skrzywił go i skarykaturował. Tak więc, gdy p. St. odsłania tajemnice mętów społecznych lub filozofuje, zawodzi go natchnienie. Natomiast, kiedy przedstawia sceny, wzięte wprost ze znanego mu życia, zwłaszcza obrazy niedoli ludzkiej, udaje mu się nas zaciekawić. Tak np. historya nieszczęśliwej matki z „Wieczoru sobotniego“, która ukochane i jedyne dziecię musi oddać na własność obcym, aby je uchronić od śmierci głodowej, nie jest-że prawdziwą i zdolną wzruszyć czytelnika? Żałować należy, że twórca, mając pole do rozwinięcia obrazu bardzo dramatycznego, poprzestał zaledwie na naszkicowaniu go i w dodatku nie uniknął melodramatyczności (scena z nożem). Bądź co bądź, utwór to, z uczuciem skreślony i zajmujący. To samo można powiedzieć i o obrazku p. t. „Binom“, który dzięki temu, że autor nie mógł ze względu na rodzaj treści wprowadzić do akcyi swych ulubionych dodatków, gwałtownych a sztucznych (jak pięści, krzyki, borykanie się), jest pod względem artystycznym najlepszy z całego zbiorku. Znajdujemy tu i prawdę, i uczucie, i prostotę, i zwięzłość. Może siły w nim zamało, ale miły to obrazek i bohater jego, Karolek, sympatyczny — a byłby jeszcze sympatyczniejszy, gdyby poprawniej się wyrażał. Bo poco on tak starannie unika słowa „dwumian“, zastępując go „binomem“? Czy dlatego, że może jego korepetytor, p. Stanisław, tak go nauczył mówić? A tego p. Stanisława mentorem musiał być chyba sam autor, który również swój utwór niewiadomo poco ochrzcił mianem „Binomu“. Z innych wyrazów i zwrotów, szpecących książkę p. Sterlinga, uderzyły nas niemile następujące: I *postawili* mi dwójkę. Już ja to *wzadzę* (zamiast załatwię). I *cię* nie puszczę. A *ci* nie żal tego maleństwa? Pytam *ci* się, i kilka innych. *Wiktor Luboradzki.*

Kazimierz Sterling. *Abbadonah.* Poemat w 4-ch pieśniach. Zasada „pierwsze koty za płoty“ nie ma zwolenników w szeregach naszych młodych pisarzów. U nas, co się napisze, to natychmiast, coprędzej idzie do druku. Nikogo bynajmnicj nie zachęca do naśladowania przykład choćby autora „Horli“, który, idąc za radą Flaubert'a, przez 10 lat palił swe pierwsze utwory i dlatego nie potrzebował wstydzić się „starych grzechów“ w epoce tworzenia klejnocików literackich. A może p. K. Sterling, puszczając w świat swój poemat, miał zamiar zaznaczyć, że w osobie jego literatura pozyska pracownika, pragnącego nadać twórczości podkład głębszy, aniżeli to się u nas, z nielicznymi wyjątkami, praktykuje? W takim razie autor za zapowiedź swoją zasługuje na uznanie. Obecnie jednak „Abbadonah“ może być uważany jedynie, jako próba szerszego rozmachu skrzydeł—próba, nie uwieńczona wszakże powodzeniem. Jaki jest cel życia ludzkiego? Niezmiernie ciekawe to zagadnienie podejmowało wielu filozofów, nie rozwiązawszy go ostatecznie. Nie mamy też za złe p. Sterlingowi, że zadaniu nad siły nie podołał

i poemat po całym szeregu przygotowań, dociekań etc., zakończył znakiem zapytania. Natomiast czynimy mu zarzut z tego, iż swój pomysł ubrał w szatę tak fantastyczną (rzec można, „sztucznie“ fantastyczną) i upstrzoną symbolami, że w jej fałdach myśl przewodnia nieraz znika. A powinien był autor wiedzieć, że jeżeli gdzie, to w poemacie filozoficznym, już z samej swej natury nasuwającym trudności w ogarnięciu idei, jasność, przejrzystość i prostota są chyba warunkami niezbędnymi. Nie pozbawiony rozrzuconych tu i owdzie ładnych ustępów, „Abbadonah“ w całości nie zadowoli czytelnika. Autor, zabierając się do pisania go, nie pomyślał snać o tem, dla kogo pracę przedsiębierze... Wszak ogół filozofią się nie zajmuje: poemata filozoficzne są przystępne tylko dla pewnego grona czytelników, bardzo wybrednych, bardzo wiele wymagających. A tacy nie darują twórcy wprowadzenia podobnie komicznego pomysłu, jak owo nadstawianie przez Pielgrzyma to prawego ucha, to znowu lewego, jak gdyby „głosy cudne, pełne poezyi i wdzięku“ można było słyszeć tylko pierwszem, a „wolne, miarowe i potężne“ tylko drugiem; pomysł ten znacznie osłabił wrażenie najlepszej z całego poematu III-ciej części; nie wybaczą również wprawdzie bardzo modernistycznej, ale niemożliwej plastyki, której wiązankę przykładów tu podajemy: „podpierał się filarem nawyknień“ (str. 21); „rzeka ciekawości lała się z ócz tłumu“ (str. 20); — albo błędów językowych. Nie darują też posuniętej do ostatecznych granic przesady w personifikacyi na str. 32 i 33 w ustępie, zaczynającym się od słów: „więc ująwszy silnie dłoń“... i t. d.; nadewszystko zaś mieć będą żal do autora, że ten, posiadając wspaniałe wzory języka w utworach literatury ojczystej („Irydyon“ Krasińskiego, a zwłaszcza „Duchy“ Świętochowskiego), zwrócił się niepotrzebnie do piśmiennictwa obcego i stamtąd przeszczepił na grunt polski figury, porównania i t. p., tak dalece obce duchowi naszej mowy, że częstokroć aż potworne. Nie jest naszym zamiarem zniechęcać młodego autora. P. Sterling, bądź co bądź, posiada dużo zapału i fantazyę, zdolną z łatwością snuć całe szeregi obrazów, — przytem widoczną jest rzeczą, że poeta, tworząc, przejmuje się prawdziwie, wkłada nerwy i uczucie w to, co pisze. Idzie tylko o to, aby tę fantazyę okiełznał wędzidłem większej rozwagi, tworzył z większym spokojem, a styl i język kształcił na wzorach literatury ojczystej — albo, czerpiąc — skoro ma do tego pociąg — ze skarbca poezyi obcej, wybierał z niego to, co tam jest dodatniego, nie zaś to, co graniczy z karykaturą.

Wiktor Luboradzki.

Dr. J. Polak. *Nauka o szczęśliwości.* (Warszawa, 1900. Część I. str. 272, część II, str. 172). Przykre niekiedy bywają obowiązki sprawozdawcy: mając przed sobą książkę, z której treści wyziera chęć popisu, i przekonawszy się, że jest elukubracyą, sprawozdawca odkłada książkę często bez wzmianki; obowiązek i odpowiedzialność występują niewątpliwie silniej tam, gdzie widocznemi są praca i dobre chęci autora. Ten drugi wypadek zachodzi właśnie w pracy d-ra Polaka p. t. „Nauka o szczęśliwości“. Bez uprzedzeń, wyrażając, po obznajmieniu się z treścią książki, zdanie, że jest to praca chybiona, nie występujemy z krytyką, jakiej autor miałby prawo wymagać wtedy, gdyby jego książka miała charakter ściśle naukowy. Poprzestajemy więc na wzmiance. Dziwnem może się wydawać zdanie powyższe wobec obfitości i materyału, jaki w sobie książka zawiera. Lecz właśnie w tej obfitości szukać wypadnie głównej przyczyny obniżenia wartości książki: przez zbyteczne powtarzanie zdań i przytaczanie całych nawet wypisów z dzieł, któremi posiłkował się autor, nastąpił fakt — zgoła, zdaje się, nie przewidziany przez autora — tem mianowicie, że nagromadzony materyał zasypał oryginalne myśli i poglądy autora, które powinny były zna-

leźć się na pierwszym planie. To sprawia, że czytelnik znajdzie w „Nauce o szczęśliwości“ wielką rozmaitość dzieł od Seneki do uczonych i pisarzów wieku XIX-go; będzie miał sposobność odczytania różnej wartości wyciągów z ich dzieł, ale po przeczytaniu wszystkich rozdziałów wyniesie wrażenie, jak gdyby osobiście do żadnych konkretnych nie doszedł rezultatów. Szkoda, że autor nie zauważył tych wad przed ogłoszeniem swej pracy. *er.*

Dr. Marcin Ernst. *O przyrodzie planet.* Lwów. Nakład H. Altenberga. Warszawa. E. Wende i S-ka. 1899. (*Wiedza i życie*, rok 1; tom 9). Cena kop. 60. (str. 174). Pożyteczne wydawnictwo, rozpoczęte w r. z. pod ogólnym nagłówkiem „Wiedza i życie“ (zagadnienia i prądy współczesne w dziedzinie wiedzy, sztuki i życia społecznego), rozwija się szybko. Zawdzięcza ono swe powstanie szczęśliwej myśli wydawców, którzy pod ogólnym tym tytułem poczęli wypuszczać w świat niewielkie książeczki, obejmujące około 10 arkuszy druku, dotyczące najnowszych zagadnień z dziedziny różnych, niezwiązanych z sobą gałęzi wiedzy i sztuki, oznaczając za nie cenę niewysoką, a dla wszystkich dziełek wydawnictwa jednakową. Tym sposobem powstało bez wielkich zapowiedzi nowe poważne wydawnictwo peryodyczne, zaspakajające oddawna przez inteligentny ogół odczuwaną potrzebę. W wydawnictwie tem wyszły dotychczas: Rob. de la Sizeranne „Ruskin i kult piękna“ (2 tomy), dr. Nusbaum „Z zagadnień biologii i filozofii przyrody“, Ang. Mosso „Fizyczne wychowanie młodzieży“, Pr. Külpe „O zadaniach i kierunkach filozofii“ (2 tomy); Edw. Przewóski „Krytyka literacka we Francyi. — Ostatni (IX) tom stanowi wymienione w nagłówku dziełko. Treścią tej książki jest kolejny opis fizycznych własności planet i ich księżyców oraz planetoid, o ile te własności dotychczas poznane zostały drogą obserwacyi teleskopowych, zdjęć fotograficznych, metod fotometrycznych lub przy pomocy rozbioru widmowego, a także opis położenia tych ciał niebieskich, ich rozmiarów, dróg, po których krążą, wreszcie ich ruchów! Przy opisie własności uwzględniano pomiędzy innemi zawsze dane, mogące świadczyć o istnieniu lub braku atmosfery na planetach i o naturze powierzchni planet i księżyców. Elementy głównych planet i ich satelitów zestawione zostały w starannie i przejrzyście opracowanych tabelkach, dołączonych w końcu książki. Wartość dziełka, ozdobionego dołączonemi w końcu 2 tablicami rysunków (szkoda, iż autor nie powołuje się na nie w tekście), poręcza nazwisko autora, znanego już w naukowem piśmiennictwie naszem z poprzednio wydanych prac („Astronomia gwiazd stałych“. W r. 1898; „O końcu świata i kometach“. Lwów, 1899). Autor nie należy bynajmniej do licznej u nas rzeszy popularyzatorów, czerpiących swe wiadomości przygodnie z rozmaitych dziedzin wiedzy z drugiej ręki, najczęściej z popularnych wydawnictw francuskich lub niemieckich, lecz pracuje samodzielnie w obranej specyalności. To też z uznaniem przyjmujemy nowe dziełko, zapełniające lukę w niezbyt obszernej naszej literaturze astronomicznej, traktujące rzecz poważnie, choć w formie ogólnie dostępnej i uwzględniające ostatnie w danym zakresie zdobycze nauki.

M. Hn.

N. Liklert. *Ekspertyza lekarsko-sądowa.* Warszawa, 1899, str. 42. — Prawo wogóle, a prawo karne w szczególności często wymaga wkroczenia w dziedzinę wiedzy lekarskiej. Niestety, prawnicy nasi zbyt lekceważą wiadomości z medycyny, rzadko kiedy studyują tę gałąź wiedzy, jeszcze rzadziej poruszają ten temat w literaturze. To też z radością witamy broszurkę, omawiającą kwestyę ekspertyzy lekarsko-sądowej z punktu widzenia prawnego. Broszurka, choć nazwana przez samego autora tylko „szkicem praktyczno-prawnym“ i „ulotnym“, niemniej przeto zawiera cenne sformułowanie poglądu na stanowisko lekarza-biegłego

w sądzie. „Jeżeli z pomiędzy wszelkich możliwych biegłych — mówi autor — najważniejsze zdanie mają lekarze, to dlatego, że od nich... władza sądowa i poczucie sprawiedliwości wymagają więcej, aniżeli od innych rzeczoznawców. Kiedy bowiem od biegłego stolarza np. wymaga się tylko doświadczenia w fachu, gdy od astronoma np. sąd wymaga tylko naukowej oceny danego zjawiska; to od lekarza wymaganemi są bezwarunkowo i doświadczenie w fachu, i uczoność“. Taki pogląd na wyjątkowe stanowisko lekarzy wydaje mi się zbyt jednostronnym. Czyż sąd nie wymaga i naukowych danych, i doświadczenia np. od chemika przy określaniu działania danego reaktywu, od inżyniera przy określaniu, o ile budowa mostu jest wadliwą i t. p.? Obowiązki lekarza biegłego w sprawach karnych autor dzieli na dwie kategorye, stosownie do dwu faz procesu karnego: śledztwa i rozprawy głównej. Przy śledztwie pierwiastkowem najważniejszą jest, podług autora, t. zw. obdukcya lekarska, czynność czysto opisowa, mająca na celu przedewszystkiem ustalenie stanu ofiary po śmierci lub śladów uszkodzeń na żywem ciele. „Dokładność i uwaga przy konstatowaniu stanu osoby oglądanej, zarówno jak i przy autopsyi zwłok — oto główne zadanie lekarza w tej fazie procesu“. Dlatego też autor radzi powierzać te czynności lekarzom sądowym, którzy, spełniając je ciągle, staliby się poniekąd specyalistami w robieniu obdukcyi. Zgadzając się z autorem co do niezmiernej ważności dokładnego visum repertum, nie mogę jednak uznać za słuszne żądania, aby powierzano takie oględziny pierwotne lekarzom urzędowym. Zawsze się więcej obawiałem i obawiam rutyny i szablonu urzędnika, niż niedokładności osoby, wezwanej epizodycznie do sądu. Mamy pod tym względem smutne doświadczenie w sprawach o kontrabandę, w których urzędowi eksperci celni zawsze prawie uznają podejrzane towary za wyrób zagraniczny, myląc się w tem, niestety, aż nadto często. W dalszym ciągu autor odstępuje od zakreślonego planu i wysuwa, jako osobny dział, „czynności.... wywołane kwestyą wątpliwości co do poczytalności podsądnych“, przyczem wątpliwość taka może się nasunąć w każdej fazie procesu. W tem miejscu autor słusznie krytykuje przestarzałe postanowienia obowiązującego kodeksu i wadliwe przepisy proceduralne; żąda powierzania ekspertyzy psychiatrycznej tylko specyalistom, a w końcu zaleca ekspertom psychiatrom nie tylko „ostrożność“, lecz i „śmiałość w dużej dozie“. Podczas rozprawy głównej lekarz powinien „z przedstawionych mu faktów wyprowadzić naukowy wniosek, oparty na wewnętrznem przekonaniu o faktycznej i medycznej prawdzie tego wniosku“. „Przesłanki, któremi uzasadniają lekarze-biegli swoją konkluzyę, są dla... sądu ważniejszą nieraz rzeczą, niż sama konkluzya“, w razie wezwania kilku lekarzy „nie należy wcale dobijać się jednomyślności“, „zdanie każdego winno być wysłuchane oddzielnie“. W końcu autor dodaje kilka słów o ekspertyzie lekarskiej w sprawach cywilnych.

Przyjęty w broszurce podział obowiązków lekarza podług faz procesu grzeszy formalistyką. Według mego zdania, tak podczas śledztwa, jak i w czasie rozprawy głównej, rola lekarza jest potrójną: 1) czynności anatomiczno-opisowe— „obdukcya“; nie należy ich ograniczać jedynie do śledztwa pierwiastkowego: wszak może się zdarzyć potrzeba oględzin w celu zbadania faktycznego stanu rzeczy i podczas rozprawy głównej, np. dla określenia, czy uszkodzony organ już wrócił do normalnego stanu, czy kość się zrosła i t. p.; 2) część dyagnostyczno-prognostyczna — określenie obecnego stanu zdrowia danej jednostki, uszkodzeń, spowodowanych przez przestępstwo, obecnych i przyszłych skutków tych uszkodzeń; 3) określenie stanu umysłowego danego osobnika. Wszystkie te trzy zadania mogą występować tak przy śledztwie, jak i podczas rozprawy głównej, i dlate-

go nie należy dzielić obowiązków lekarza podług faz procesu. W końcu muszę zwrócić uwagę na małą niekonsekwencyę. Autor twierdzi, iż do chwili rozpoczęcia rozprawy głównej lekarz nie powinien nic wiedzieć o sprawie, a w innem miejscu żąda, żeby orzeczenie lekarza „było poparte kazuistyką, zanotowaną przez poważnych autorów“. Czy autor wymaga, żeby lekarz znał na pamięć całą kazuistykę innych lekarzy, czy też, żeby sprowadzał z sobą bibliotekę i wertował księgi w sądzie? Zdaje mi się, że lepiej zawczasu obznajmić lekarza z treścią sprawy i dać mu czas na przygotowanie się do ekspertyzy. Pomimo tych drobnych usterek ogólne wrażenie broszury jest bardzo dodatnie i można wyrazić życzenie, ażeby ją przeczytali tak lekarze, wzywani do sądu, jak i sędziowie, wyrokujący na zasadzie lekarskich orzeczeń. Uniknęłoby się przez to choć w części tego smutnego stanu rzeczy, kiedy „biegli z jednej strony, a magistratura sądowa z drugiej nie rozumieją się wzajemnie“, albo kiedy „wzywają terapeutę dla wygłoszenia zdania o wypadku okulistycznym, a chirurga dla ocenienia kwestyi spędzenia płodu“. *A. Mogilnicki.*

Dr. Wł. Ołtuszewski. *Zadanie rodziców oraz społeczeństwa względem dzieci umysłowo upośledzonych* (idyota, głuptak, zacofany. Warszawa, 1900, 8⁰, str. 20. Broszurka niniejsza jest przedrukiem referatu, komunikowanego przez autora w końcu r. z. na posiedzeniu wydziału wychowawczego Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego. W pierwszej części autor określa, co należy rozumieć przez nazwę niedorozwoju psychicznego, i dzieli objawy jego na trzy stopnie: idyota, głuptak, zacofany, wyliczając w dalszym ciągu piętna anatomiczne, fizyologiczne i psychologiczne (m. inn. zboczenia mowy), każdego z tych rodzajów. Z tych trzech stopni niedorozwoju tylko pierwszy w większości wypadków jest nieuleczalnym, inne, zdaniem autora, leczyć można i należy. W drugiej więc części swego dziełka dr. Ołtuszewski wylicza szereg środków zapobiegawczych, mających na celu zmniejszenie w społeczeństwie ilości dzieci upośledzonych. Co zaś do nierozwoju, już istniejącego, autor zaleca prowadzenie kuracyi nie w domu, lecz w odpowiednio urządzonych i pozostających pod bezustanną opieką lekarską zakładach prywatnych i publicznych. Nasze społeczeństwo tego rodzaju instytucyi publicznej nie posiada; jest więc rzeczą pierwszej wagi utworzenie u nas takiego zakładu, chociażby ze względu na to, iż z pośród dzieci upośledzonych i nieleczonych rekrutują się przyszli przestępcy, podpalacze, mordercy i t. d. *h.*

W. W. Borowski. *Notatki z praktyki agenta Towarzystwa Ubezpieczeń na życie.* Warszawa, skład główny w księgarni E. Wende i S-ka, 8⁰, str. 83. — Autor przeznacza rzecz swoją przedewszystkiem dla kolegów swoich po fachu, agentów akwizytorów, wymienia, jakie są ich obowiązki, ich zadanie społeczne, jak powinni brać się do swojej pracy, jak pozyskiwać towarzystwom asekuracyjnym klientów, jak ich przekonywać i usuwać wszelkie wątpliwości i t. d. Książeczka niniejsza może zaciekawić poza tem i szerszą publiczność; zwłaszcza tyczy się to tych rozdziałów, w których autor wykłada ogólne zasady umiejętności ubezpieczeń życiowych i w sposób, niewątpliwie trafiający do przekonania, stara się pokonać rozliczne uprzedzenia ku asekuracyi, jakie dają się spotykać w naszem społeczeństwie. Całości dopełniają dwie tablice: jedna, wykazująca wyższość asekuracyi nad składaniem kapitałów w kasach oszczędności, druga zaś — procentów składanych. Dochód ze sprzedaży przeznaczony na rzecz kolonii letnich. *h.*

Adam K... *Syn rzemieślnika.* (Szkic powieściowy). Warszawa, 1899. Księgarnia Sennewalda. Str. 391. — „Powieść nazwał ktoś szczytnem kłamstwem i — nie bez pewnej racyi. Inaczej bowiem pisze ją literat, czerpiąc tematy niby

z pamiętników życia, kombinując zawiłe intrygi, inaczej znów fatum życiowe składa się na to, że na obszarach świata zasnuwa i rozsnuwa się milion intryg... Żałuję, że przedmowy wyszły już z mody, bo inaczej postawiłbym wniosek, ażeby każdy miłośnik literatury notował główniejsze wypadki, jakie mu losy życia wyznaczą. Możeby tym sposobem stworzyło się i pogłębiło źródło żywej prawdy na użytek powieściowy“ (?). Tak rozpoczyna autor swój szkic p. t. „Syn rzemieślnika“ i na czterystu stronicach — „zasnuwa i rozsnuwa milion intryg.“ Zapomina jednak, że, chociaż „są rzeczy, które często giną, nie podpatrzone i nie notowane“, ani ogół, ani jednostki nic na tem nie tracą, gdyż nie każdego życie może służyć za cenny materyał do powieści, W szkicu powyższym nie znajdziemy tego „cennego materyału“, a uboga treść w formie ubogiej zamknięta. *L. R.*

W księgarni M. Machwitza, dawniej M. Orgelbranda, (Nowy-Swiat, 36) są do nabycia wszystkie 34 tomy Oskara Kolberga, obejmujące obfity plon pracy całego życia. Z tych tom jeden zajmują „Pieśni ludu“, trzydzieści trzy zaś duże tomy objął cykl pod napisem ogólnym „Lud“. Cykl ten jest podzielony na całości odrębne z opisem oddzielnych okolic kraju; noszą one tytuły: Sandomierskie—tom 1, Kujawy — t. 2, Krakowskie — t. 4, Poznańskie — t. 7, Lubelskie — t. 2, Kieleckie — t. 2, Radomskie — t. 2, Łęczyckie — t. 1, Kaliskie — t. 1, Mazowsze — t. 5, Pokucie — t. 4 i Chełmskie — t. 2. Znajdujemy tu zupełny zbiór legend, pieśni, obyczajów, wierzeń i obrzędów ludowych, malujących dokładnie charakter, upodobania i poglądy ludu naszego w różnych okolicach kraju. Rzecz pisana barwnie i przystępnie. Nieprzystępna tylko była cena księgarska dzieła, które w każdym księgozbiorze polskim winno mieć miejsce. Tom jeden kosztował rs. 2—3.50. Dziś jednak spadkobierczynie ś. p. Kolberga, chcąc rozpowszechnić owoc mozolnej jego pracy, poleciły księgarni zmniejszyć cenę każdego tomu do połowy, nawet do trzeciej części, nadto sprzedawać całość w drodze preuumeraty taniej, uprzystępniając w ten sposób każdemu nabycie jedynego w swym rodzaju dzieła. Można również nabywać tomy oddzielne, stanowiące całkowite monografie danych okolic. Mieszkańcy różnych części kraju mogą teraz korzystać z nadarzającej się sposobności do poznania w sposób łatwy otaczającego ich ludu. Do tego też zmierza wzmianka niniejsza, którą pragnę również podnieść usiłowania właścicielek dzieł, po ś. p. Kolbergu pozostałych, mające głównie na celu uczczenie jego imienia w sposób najodpowiedniejszy, jakim jest bez wątpienia rozpowszechnienie pięknych prac zmarłego uczonego. *H. St. P.*

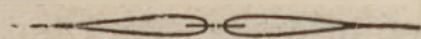
SPROSTOWANIE.

W artykule „Kwestya Chińska w oświetleniu ekonomiczno-społecznem“ w zeszycie za wrzesień r. b. zakradło się kilka błędów, z których prostujemy najważniejsze:

Str. 412 wiersz 5 od góry zamiast *Kian-czan* być powinno *Kiao-Czau;* str. 422 wiersz 3 od góry zamiast *Norczyńska — Nerczyńska;* str. 431 wiersz 13 od góry zamiast *Była... władza — Był... władca;* str. 447 wiersz 16 od dołu zamiast *potem — portem.* Na str. 454 wiersz 17 zamiast *Li-Malfort* powinno być *Lee-Metford,* słowa zaś: *Non olet* powinny być na końcu wiersza. Str. 457 wiersz 21 od góry zamiast *Niema* być powinno *Nie na.*

Z ŻYCIA,

notatnik rzeczy bieżących.



5-go października.

Może to fikcya, a może też i rzeczywistość, — w każdym razie niech czytelnik sobie wyobrazi, że ktoś, kogo powołano do skromnej, ale zaszczytnej roli kronikarza w poważnem czasopiśmie polskiem, wraca do kraju po kilkunastu latach niebytności z tem postanowieniem niezłomnem, ugruntowanem na długiej praktyce dziennikarskiej, że pisać będzie o sprawach publicznych jedynie to, co na własne oczy ogląda, co własnem doświadczeniem stwierdził lub stwierdzić może.

Dzień 28-y września, godzina 7-a zrana. Jesteśmy na stacyi kolei warszawsko-wiedeńskiej Ząbkowice. Dzień zapowiada się pogodny i ciepły, w wagonach rojno. Niewywczasowani należycie podróżni ociężale, błędnie słaniają się po kurytarzykach i przejściach. Pociąg rusza. Zmierzamy dalej w kierunku północnym ku Warszawie. Około 9-ej — sprawdzić to można w „Przewodniku" Rakowskiego — już się znajdujemy w Częstochowie; około południa — w Koluszkach.

Jakie może być pierwsze, ogólne wrażenie przybysza?

Narazie, wśród bardzo mocnego zatargu serca, gorąco i niemal gwałtownie bijącego do swoich — ze słuchem i wzrokiem, przyzwyczajonymi do dźwięków i obrazów cudzoziemskich, niepodobna zdać sobie sprawy dokładnie. W porównaniu do czasów minionych rozmowy, zwierzenia, troski, uciechy towarzyszów podróży zdają się mieć pozór i koloryt szary i błahy — nieskończenie oschlejszy, bardziej realny i przedmiotowy, całkowicie w powszednich drobiazgach zagrzebany. Kwoty pieniężne zarobione, stracone, kupna i sprzedaże, wypadki niezwykłego zbogacenia się, drożyzna, brak sług — nie schodzą z niczyich ust. W zagłębiu dąbrowskiem i sosnowickiem mówi się wyłącznie o zachwianym stanie interesów fabrycznych, o powodach ścieśnionego obiegu gotówki, o odroczonych projektach stworzenia nowych kopalni węgla, o zaniechanych kolejach, o taryfach, o Walderseem, o wojnie chińskiej... Idziemy ku oknu. Perspektywa okolic, ruch ludności, strój i wygląd klasy wyrobniczej bardzo wyraźnie świadczą o spotęgowaniu się dobrobytu kosztem malowniczości i patryarchalności obyczajów z przed lat... — dawniejszych. Gdzie były lasy, sterczą szeregi wysokich kominów i grubych, jak forteczne baszty, pieców. Powietrza wszakże i zagonów wciąż jeszcze znacznie więcej, niźli na Zachodzie i w bezpośredniem sąsiedztwie szląskiem. Na to wrażenie wpływa nieco zapewne gromadzki i aż do Częstochowy niezmącenie stary charakter wsi, — dalej zaś, ku Koluszkom, częściej już wdziera się kolonizacyjno-parcelacyjny system siedzib rozproszonych, murowanek luźnych. A może to jaka pozostałość historyczna? — A może to resztka ciągnących się kędyś tam, wzdłuż Pilicy osobliwości etnograficzno-pogranicznych: małopolskich z jednej stronicy, wielkopolskich i mazowieckich z drugiej? Przytem uwzględnić także należy i tę okoliczność, że o powolnych przeobrażeniach wsi staropolskiej w sensie odśrodkowego miałczenia i indywidualizowania się wspólnoty pierwotnej sądzićby należało z okazów, położonych nie w pobliżu sieci kolejowych, lecz w niejakiem od nich oddaleniu, na uboczach, w odległości pięciu, sześciu kilometrów. Bo jak na przelotne i zwodnicze obserwatoryum z wagonu i platformy, zaznaczyć tylko wolno ku ujmie naszych chłopów wybitny postęp zewnętrznej kultury niemieckiej: oglądasz ją na wygolonych do czysta twarzach starców, na pokrytych chustkami głowach dziewcząt, na kusych, bawełną łatanych kurtkach parobczaków, na tandecie z waszecia noszących się podczeladników i podmajstrzych.

Dla nikogo też chyba nie będzie odkryciem niespodzianem, że z głównych linii komunikacyjnych lewego pobrzeża Wisły szczezł

prawie bez śladu górujący niegdyś na partykularzu żywioł inteligencyi szlacheckiej. Typowych postaci z tego świata umyślnie wyszukiwać trzeba po odosobnionych przedziałkach wagonów klasy drugiej, gdzie zwykle przesiadują po kątach, milczący, nieprzystępni, zasłonięci pod światło dzienne dużym arkuszem gazety. Nie widać również — nad wszelkie oczekiwanie — Żydów w pokaźniejszej iczbie, może dlatego, że to piątek. W zgiełku i natłoku ciżby trzecio-klasowej, wśród specyalnie „swojskiego" zaduchu zaledwie tu i owdzie wydobywa się z kilku czarnych kupek ostry i krzykliwy ich żargon, niemiłosiernie chłoszcząc uszy turystów, co jeszcze w dniu wczorajszym rozkoszowali się po kawiarniach naddunajskich miękką, wykwintną, mozartowską nutą szczebiotu Niemek wiedeńskich. Wstrętny staroniemiecki ten liszaj na ciele polszczyzny izraelskiej ciężką skazą spada na sumienia starszyzny tego ludu, rzutkiego, przedsiębierczego i, jak gdzieindziej, pod dobroczynnem ciepłem cywilizacyi, nader pochopnego do wyższych — chełpliwych być może nieco, lecz często wielce wspaniałych lotów.

Rogów.... Płyćwa.... Skierniewice.... Na widnokrąg wysuwają się nieco szerzej podszycia leśne. Gęste, ciemniejsze wieńce dąbrów pną się na pagórki, otaczają piękne kościelne wieżyczki księstwa Łowickiego, bielejące na podwójnem tle żółknącej zieleni i rozpromienionych, jak w czerwcu, błękitów nieba; niklejsze zarośla, zagajniki i pasma mniej rosłych gatunków drzewnych pokrywają doły i niziny, w zwyczajnych warunkach prawdopodobnie podmokłe i bagniste, obecnie — zupełnie sprażone i suche. Za Radziwiłłowem — którego zresztą nie widać wcale — za Rudą Guzowską znowuż się roztacza płaszczyzna naga, wytrzebiona, trudna do rozpoznania na podstawie przeżytych i zatartych w duszy odwzorów młodocianego wieku... Obok t. zw. siół „ukazowych" (z r. 1864), sędziwszego autoramentu, snują się rozpierzchłe w nieładzie świeższej kreacyi wysiołki „wolne", pośród których częstokroć widnieje pękata lepianka, wzniesiona z odpadków cegły i lada jakiej gliny. W pustych, nieocienionych polach zjawiają się wille, pałacyki, kamienice; tyralierskimi łańcuchami osaczają one stare, drewniane dworki, nakrapiane gdzie niegdzie urywanemi, domierającemi alejami i przeświecające kępkami rzadkich, coraz rzadszych lip, topoli, dębów, jesionów, wrzosów. Na przystankach i stacyach bliskość wielkiego miasta demonstracyjnie występuje pod postacią stopniowo się rozmnażających cylindrów i tużurków męskich — kapelusików i staników damskich. Lnianą i konopnianą woń przędzalni Żyrardowa, zaraz potem cegielnianą i octową sadzę dokoła Grodziska, dalej wrzaskliwą, krwistą,

okropną czerwień warsztatów pod Pruszkowem bierzesz zdumiony i zaniepokojony za nadskakujące nagle przedmieścia warszawskie,— mniemając, żeś Włochy, Wolę, Czyste — gdzieś za sobą nieprzytomnie zostawił... Ale oto wreszcie rozstępują się — w pozornym pędzie — na jedną i drugą stronę — niemo stojące, stłoczone pułki pociągów... Mignął zapuszczoną swą luką czarny szlak okopu... To Warszawa.

Pociąg, przesuwając się poprzez szereg zwrotnic ze zwinnością i pewnością siebie za wielką i nieracyonalną, bo z prawego toru na lewy, staje przed pomostem krytym, świeżym, jakby wczoraj dopiero scementowanym i wybielonym, z wyjściem przez oficynkę nadzwyczaj niepoczesną, prawie ubogą... Nie dajmy się złudzić pozorami: dla umyślnego kontrastu to ubóstwo... Dworzec prawdziwy, dworzec dawny stoi, jak stał, na swojem miejscu — dostatni, rozległy, za rozległy nawet przed laty, a zawsze słusznie dumny ze swoich poważnych, prostych bastyonów i z mnogiego pocztu swych podwoi parterowych, wiarogodnych świadków epoki, — kiedy w całej Europie nie żałowano jeszcze sobie gruntu, zabudowując się raczej wzdłuż, niźli w górę. Rozumnie sobie postąpiono, że nowej, przyjezdnej połowie gmachów kolejowych nie nadano znamion i rozmiarów rywalizacyjnych, współubiegających się o dostojeństwo z połową odjezdną, której z wieku i urzędu pierwszeństwo się należy.

Nie dość tego. Upośledzając tyły przyjazdu, od ulicy Marszałkowskiej i Chmielnej, na rzecz frontowego odjazdu, przy placu i Alei Jerozolimskiej, złożono właśnie niezbity dowód rzetelnej znajomości ogólnego architektonicznego grupowania mas: im lichsze, pospolitsze zarysy początkowe, wstępne, tem wspanialej wygląda i tem pyszniej imponuje całość dalsza. Tam, przed chwilą, u wyjścia przez salkę, pozbawioną elementarnego nawet kunsztu ozdobnictwa, miasto witało cię niemal, jak w izbie wiejskiej, jak w chacie polskiej, nieco tylko naturalnie zamożniejszej, fundamentalniej osadzonej. Tu teraz, gdy, minąwszy placyk, przypominający cokolwiek podwórza dawnych zajazdów prowincyonalnych, wyjrzałeś na chodnik ulicy Marszałkowskiej, przekonywasz się, że stać Warszawę na przyjęcie choćby londyńskie, choćby nowoyorkskie. Co za ruch, co za gwar, co za tłumy, jakie powozy, jakie pałace, jaka perspektywa — w jedną i drugą stronę, tu i tam — bez końca!... A wszakże, skąd i dlaczego wzrok od pierwszego rzutu, a tak uparcie przedziera się przez te blaski, przez te huki i wielkości ku najniższym, najmniej od norm i od przeciętnego poziomu naszego życia odska-

kującym dachom i poddaszom? — Szacowne, nieocenione staroświecczyzny zabytki! Jest ich jeszcze kilka, tuż zaraz w pobliżu, niemal naprzeciw wyjazdowej bramy. Tynki, być może, pruskie, z początków XIX stulecia, ale mur, piaskowiec, cegła, kto wie, czy nie noszą na sobie blizn od szwedzkich jeszcze ostróg i obcasów Karola XII. Każda tu piwnica, każdy ciemniejszy węgieł i zakręt dziedzińca ma tyle do powiedzenia, że przez rokby tego „Kuryerki" nie spisały... Spójrz na to okno np., zduszone, ciasne, z framugą, żywcem, rzekłbyś, przeniesioną z pod strychów zamkowych, — czyliż zaręczysz, że, stojąc w niem, Napoleon nie układał planu swych wypraw na Madryt lub do Kalkuty? A ta podwalina, zszarpana, podreparowana, znów podarta, znów dosztukowana i przyodziana — alboż myślicie, że na niej ani razu nie spoczęła stroskana... naprawczo nagle ożywiająca się inicyatywa Konarskich i Stasziców?...

Ale śpieszmy. Znajdzie się później dość wolnego czasu na rozmyślania i reminiscencye. Teraz — do roboty. Terminy co do sekundy umówione, ułożone z góry. Na zegarze kolejowym — pięć minut po wpół do czwartej. To akurat godzina przyjęć. Bagaż odesłany — idziemy. Lokal redakcyi, ulica Chmielna, 21, pierwsze piętro. Naciskamy guzik... Kronika zaczęta.

W pokoju głównym, na prawo — osób kilka. Z uprzejmością zażyłą — krótka to, ale dobra zażyłość zagraniczna — redaktor wita raz, drugi, przedstawia naprędce sekretarzowi i obu przeprowadza zaraz do przyległego saloniku. Zwięzła z sekretarzem rozmowa na temat warunków, wyświetlonych w zawczasu przeprowadzonej korespondencyi, wyczerpuje się po kilku słowach.

— Gości miewacie, panowie, zapewne dużo? — pytam. Ten tam, wysoki, wyprostowany, jak gołąb, siwy a czerstwy starowina, co w tej chwili, jeżeli się nie mylę, coś wykłada redaktorowi, to wasz stały współpracownik? — Głos jakby znany...

— Nie, — nie współpracownik. To Wilhelm Bogusławski, autor czterotomowej „Historyi Słowian północno-zachodnich", nagrodzonej na konkursie poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk. Bawi tu chwilowo, mieszka obecnie w Żytomierzu...

— Wiem. Daje co do „Ateneum"?

— Wątpię. Książki drukuje nakładem własnym. Przytem redaktor stanowczo jest zdecydowany usunąć niebawem rozprawy specyalne, fachowe, rozłożone na długie ciągi, wielozeszytowe, kwalifikujące się do roczników akademickich, do wydań osobnych, foliałowych. Już i dziś teki przepełnione... Nie zostałoby nam wkrótce jednej nawet stronicy wolnej na rozprawy z dziedziny zagadnień

życiowych, na sprawozdania, na ekonomikę, na działy najbardziej pilne, nieodbite...

— To pocóż tyle arkuszy poświęcacie powieściom?... Który czytelnik z miesiąca na miesiąc odkładać zechce dzieje miłosnych przygód Jasia z Kasią, który z waszych abonentów związać potrafi sytuacyę romansową październikową z dyalogami grudniowymi?

— Powieść.. hm... zapewne... Tuszę jednak, że nie mówisz pan dobrodziej o powieściach przyszłych, mających się właśnie drukować u nas od nowego roku... Zresztą „Ateneum" reorganizuje się dopiero od paru miesięcy, istnieją *zobowiązania poprzednie*, zachodzą rozmaite z literatami...

Rumor krzeseł w sąsiedniej komnacie. Pauza.

— A ten gość drugi, jeśli wiedzieć wolno? — Pewno to także autor jakiej uwieńczonej siedmiotomowej historyi Słowian południowo-wschodnich?

— Który? ten, co stał przy Bogusławskim? czarny, rozczochrany, zasuszony, w szarym pal....

We drzwiach staje woźny z zawiadomieniem, że redaktor nie zajęty.

Konferencya. Materyał sprawozdawczy — zapewnia redaktor — sekretarz przygotował, pozaznaczany na marginesach ze względu na krótkość pozostającego czasu; kronika gotową być musi najdalej na 5-go października; uporać się nie sposób przed 15-m z drukiem, korektą, rewizyą, cenzurą...

— Kto jest cenzorem panów?

— Rzeczywisty radca stanu... (nazwisko).

— To rodzina z Podola, — dobrze to wiem. A jest i druga, profesorska, z Petersburga. Szeroko się o obudwu rozpisuje Tadeusz Bobrowski w świeżo wydanych „Pamiętnikach"... Ciekawe! Zna to pan? Przywiozłem z sobą...

— Przeglądałem. Marginesowe jednak w dziennikach — które pan otrzymasz — zaznaczenia nie są nieodzownie obowiązujące. Należy tylko uwzględniać zjawiska ważniejsze, stanowiące jakiś istotny nabytek społeczny. Polemika z pismami lub instytucyami — niepożądana. Oto np. sprawozdanie... Gdzie jest, panie Henryku, sprawozdanie spożywczego stowarzyszenia „Merkury"?... Widzi pan, zaraz oto na okładce umieszczono nota bene: „zwraca się uwagę na objaśnienie str. 18—47"... Jest tu, na owych stronicach, zażalenie zarządu i większości na wichrzenie mniejszości... Alboż to sprawy nie odwieczne? W żadnym związku, w żadnej zbiorowości uniknąć tego niepodobna. A tymczasem, jakoś niezręcznie wtrącać się do

sporu, który wypadłoby albo gołosłownie potępić, albo bezdowodnie pochwalić, albo bezcelowo zaaktykować. Więc trzeba to puścić tak sobie, ogólnikowo, niby, jako rzecz... postronną, zwyczajną. Zupełnie inaczej przedstawia się kwestya zarzutów, poczynionych przez „Merkurego" prasie. Stowarzyszenie, bądź co bądź, poważne, lat zgórą trzydzieści istniejące, może trochę za ostrożne i nieśmiało puszczające się na przedsięwzięcia rozleglejsze wśród niepewności ogólno-finansowych, bądź co bądź jednak nie zasługuje, o ile się zdaje, na poniewierkę i lekceważenie... Otóż, pozwalam sobie zwrócić uwagę pańską, że w sprawozdaniu są zarzuty... jakby to panu powiedzieć?... Masz pan, str. 19: „kampanię przeciw zarządowi *Merkurego* rozpoczęła pewna pani... utrzymując, że towary w sklepach stowarzyszenia są złe i drogie... Poważne grono członków odpowiedziało protestem... Protesty i sprostowanie oddano ówczesnemu redaktorowi .. (pewnego kuryera) z dołączeniem kwoty na cele dobroczynne... Redaktor przyjął to, lecz artykułów w Kuryerze nie zamieścił"... To są -- uważa pan — afery wprost niecne, oburzające... Ale cóż? — ów redaktor już nie żyje i niewiadomo teraz, jak z tem sobie radzić. Trzebaby więc i z tem się załatwić w kilku słowach, dając uczuć niesmak z powodu takich... rozumiesz pan?... niewłaściwości... Co, nieprawdaż?

— Owszem, to się da zrobić.

— Rozmazywać tego, oczywiście, nie będziemy. Bieda, wszędzie bieda, drogi panie. Dobroczynność nie jest w stanie wszystkiemu nastarczyć, ani publiczna, ani prywatna Tem skrupulatniej, zdaniem mojem, należałoby podnosić objawy filantropii i miłosierdzia, bodaj drobne, najdrobniejsze, wdowie. Na poświęcenia większe, chwilowo — stagnacya. Ot np. możebyś pan mógł uwzględnić wymagające poparcia przedsięwzięcie kuchni ruchomych, zapoczątkowane w połowie tego miesiąca przez Towarzystwo przeciwżebracze. Sprowadzono z Hildesheimu kotły, zakupiono w Bydgoszczy wozy, przeznaczone dostarczać i rozwozić po całem mieście, wszędzie, gdzie pracuje lub mieszka ludność uboższa, około 7,000 porcyi dziennie zupy gorącej po cenie za litr z dwoma łutami pokrajanego mięsa kopiejek pięć... Urządzenie zakładu podobno wyśmienite, wzorowane według istniejących już takich kuchni w Berlinie...

— Przepraszam najuprzejmiej, ale się podjąłem sprawozdań z faktów i zdarzeń dostępnych ściślejszemu zbadaniu, sprawdzeniu. Od kogóż mianowicie otrzymałbym... zasięgnąłbym informacyi bliższych, szczegółowszych?

— Na miejscu, tam, gdzie założono paleniska — w zarządzie

przytułku noclegowego na Pradze, przy ulicy Petersburskiej; jednocześnie obok przytułku możnaby obejrzeć i dom zarobkowy, przy nim zaś kąpiele ludowe. W Warszawie najlepiejby może, faktycznie poinformował ks. Zygmunt Chełmicki, w redakcyi „Słowa" — niedaleko, na Wareckiej... Po parę wierszy o każdym przedmiocie, nie więcej, gdyż chodzi istotnie jedynie o bardzo wątły rachunek prawdopodobieństwa: ten mianowicie, że i w „Ateneum" wzmianka o dobrym czynie ściągnie może uwagę litościwszej jakiejś duszy...

— *Ça y est. C'est entendu.* Słucham, co dalej?

— Cóż dalej? — Sam pan wiesz. Męczy nas od lat dwu kwestya węglowa. Zbliża się oto zima, nędza miejska drży już na samą myśl o mrozie. Mamy wprawdzie w „Ateneum" osobnego referenta dla spraw ekonomicznych. Nie wątpimy, że rozważy on i węgiel z głębszego, na statystyce opartego stanowiska... Co do mnie, osobiście, gotów jestem i ja wierzyć, że małe nasze troski kojarzą się nieprzeparcie z wielkiemi klęskami wszechświata: z konsumcyą parostatków niemieckich, przewożących wojsko do Chin, ze strejkami w Anglii, z rozwiązaniem parlamentu w Wiedniu itp. Jednakże w kwestyi naszego węgla przypuszczam niekiedy, że siedzi w nim obok międzynarodowego także i lokalny jakiś dyabeł, któregoby warto było chwycić nareszcie wręcz za rogi.

— Mogę go panu w worku dostarczyć.

— Kogo? co?

— Tego dyabła. Przejeżdżając przez Sosnowiec, poszedłem pod wieczór z pomocnikiem zawiadowcy, dobrym starym koleżką, na lampkę ponczu, tuż zaraz naprzeciw stacyi, do gospody pod Wiktoryą. Do kompanii przyłączył się ten i ów, wyłącznie niemal z magnateryi miejscowej. Gadu gadu, po Transvaalu i Krügerze wpadło się i na węgiel. — „A co, tęgośmy was w tym roku oporządzili?" — ozwie się jeden z Krezusów kopalnianych, szczerząc wyszczerbione na cukrownictwie zęby... I dalejże nieproszony opowiadać, jak to w roku zeszłym, już po zawarciu kontraktów z cieńszymi pośrednikami handlu, ci ostatni, zmówiwszy się z sobą, jęli bez ceremonii łupić z konsumentów skórę za towar, należący ze swej natury do t. zw. artykułów pierwszej, nieodbitej potrzeby. Spostrzegły się już i wtedy kopalnie — ale było po niewczasie: umowy były podpisane. Przyszła koza do woza dopiero w roku bieżącym. Rachunek był prosty. Sformułował go młody, rzutki dyrektor kopalni... „Polak, dobrze go znacie panowie"... Po co — powiedział — mają przez cały sezon dorabiać się fortun kolosalnych pośrednicy, skoro wyśrubowaną przez nich różnicę cen, — na miejscu i po

dostawie, — zgarnąć mogą sami właściciele studni kopalnych, w ograniczaniu swem przyrodzonem niemal zmonopolizowanych... Przyrodzeniu przyjść zaraz w pomoc nie omieszkała sztuka... ekonomia polityczna... edukacya techniczna. Jest — ozwie się ta edukacya — dziesięciu, przypuśćmy, konsumentów niechybnych, każdy po dziesięć korcy rublowych — i jest produkcya normalna na sto dwadzieścia korcy. Zwężmy tę produkcyę do korcy sześćdziesięciu: zarobimy na robotniku odprawionym, zarobimy na *frais generaux*, zarobimy na materyale brutto — gdy tymczasem cena — jeżeli towar oględnie, umiarkowanie, wstrzemięźliwie puszczać będziemy w obieg, dojść może do 200-tu, 300-tu — a kto tam odgadnie, czy i nie do 400-tu rubli za 60 korcy...

— Ależ to bezprawie, zbrodnia... Istne korsarstwo — niepodobieństwo!

— Czy pozwoli pan redaktor przytoczyć w kronice imiona i nazwiska?...

— Dlaczegóżby nie?— o ile, ma się rozumieć, fakt prawdziwy...

Wtrącił się sekretarz, prawiąc sentencyonalnie:

— Prawdy najświętsze, ale nie mogące być dowiedzionemi, sprawiedliwość ludzka ściga i karze, jako oszczerstwa. Ogół instynktownie strzeże nietykalności mienia i zamiennej swobody swych członków. Złodziej, dopóki nie siedzi za kradzież w więzieniu, pociąga do odpowiedzialności okradzionego, który go właściwem, trafnem, lecz przedwczesnem mianem napiętnował...

— A cóż to mnie, albo szanownego i łaskawego pana, albo też redaktora obchodzić może? Jest w „Ateneum" wydawca odpowiedzialny, człek, o ile wiem, nie słomiany i nie malowany, są nadto akcyonaryusze — to niech oni ciągają się tam sobie po sądach... Także dbałość o nie swoje żebra!

— Eh, nie... Wie pan, możeby rzeczywiście lepiej na początek nazwiska inicyałami oznaczać... Z osobistości wywiązałyby się kwerendy, wlazłyby na kark pozwy, repliki, i, zanimbyśmy zdołali porozumieć się z Petersburgiem, poradzić sobie z adwokatami, prokurentami, prokuratorami, — grudzień co do nogi wymroziłby nam dziatwę, słabowitsze kobiety, starców...

— To urządźmy konkurencyę: kupmy na własność jaką kopalnię!

— Dobry projekt, jestem za nim — poparł sekretarz.

— I wyświadczymy jeszcze zarazem usługę narodowi. Na co podawać broń do rąk rozmaitym burzycielom spokojności i porządku publicznego, szubrawcom, socyalistom, szczującym proletaryat i wy-

wodzącym w niebogłosy, iż rabusiostwo jest widoczne, skoro w ciągu roku cena węgla podniosła się w dwójnasób prawie, gdy tymczasem żaden podziemny kataklizm pokładów kopalnianych nie zniszczył, robotnik, jak był, tak i jest płatnym po psiemu, machin, umniejszających produkcyę dotąd nie wynaleziono, i z tej więc strony przedsiębiorcy również nakładów żadnych nie ponieśli, — jeśli zaś ma być kiedyś od opału akcyza, to wszak jej zawczasu, bez poborców i kontrolerów koronnych, bez rozkazu i publikacyi w *Gońcu Urzędowym* nikt z kieszeni spożywców wyciągać potajemnie nie powinien... A zresztą, daj go katu, co mi tam! My, publicyści, najpóźniej chyba przed zgonem zgasimy swój ogień pod rożnem. Stowarzyszenie nasze, jak słyszę, otrzymało od węglarzy za pośrednictwem Komitetu warszawskiej kasy literackiej pierwszą grzeczną zaliczkę 30 wagonów taniego węgla — po rubel trzydzieści kop. od korca. Różnica znaczna: dziesięć do piętnastu kop. na korcu, czyli 300 rubli gratki na ogół, przeto blizko po rublu na każdą stowarzyszoną głowę... To piechotą nie chodzi. Nadto reporter z łatwością ogrzeje się w teatrze, na koncercie, w bibliotece, na raucie dla wdów po artystach, — w ostatecznym zaś razie — rozrusza ręce z okoliczności pierwszego lepszego rozbicia kolejowego lub przy gaszeniu pożaru. Jest wystawa rybacka, jest odrestaurowana przez p. Lachnickiego galerya obrazów, są w Muzeum przemysłu odczyty, są posiedzenia rady municypalnej, kamery hypotecznej, izby kryminalnej... Boć ani na chwilę nie wątpię, że debaty sądowe, cyrk, scena, estrada, muzyka, klub, serenady lutnistów, loterye, kwesty, ognie świętojańskie, kuligi, parcelacye, oświetlenie miasta, dostawy, licytacye, domy stręczeń, pensyonaty, kanalizacye, ogłoszenia drobne, maskarady, łazienki, wsparcia, kolędy, filtry wiślane, owacye z pochodniami, podróże poślubne, winiarnie, magazyny strojów, herbaciarnie, mody, pracownie, kosmetyki, kalendarze, specyfiki apteczne, jubileusze, polowania, szulernie, uczty pożegnalne, kolacye z aktorkami — niezaprzeczenie do kroniki powszechnej należą. Czy nie tak?

— W zasadzie nicbym przeciwko temu nie miał. Tylko że, drogi panie, parę zastrzeżeń niezbędnych. Po pierwsze: gdzie my to wszystko pomieścimy? Zważ pan z łaski swojej, że do nowego roku zniewoleni — literalnie, faktycznie, w pełni słowa zniewoleni jesteśmy dawać po pięć do sześciu arkuszy powieści na zeszyt... co zresztą jest moją własną winą: trzeba było podzielić powieść na dwanaście równych części! Ale cóż, kiedy na początku roku nie

miałem całości rękopisu! Ile tam, panie Henryku, wypada na październik?

— Pięć arkuszy.

— Niechże pan to raczy uwzględnić. Powtóre, są sprawy o wiele pilniejsze, — że nie powiem, interesowniejsze od owych jubileuszów z pochodniami, czy jak tam pan to nazywasz... Posiadłość ziemska, średnia i mała, miażdży się i upada. W Galicyi jest podobno gorzej jeszcze: otwarcie stwierdził to w Jaśle cesarz austryacki, doradzając szukać ratunku w kółkach włościańskich. U nas kółek takich po dziś dzień niema, ale doszłoby się może do stworzenia, na podstawie normalnej ustawy o spółkach wkładowych, czegoś nie mniej skutecznego. Oto masz pan np. okólnik z d. 24-go b. m. „Warszawskiej kasy pożyczkowo - oszczędnościowej ogrodników i pszczelarzy przy Towarzystwie pszczelniczo-ogrodniczem w Warszawie", w którym się oznajmia, że na mocy decyzyi p. ministra rolnictwa i dóbr państwa z dnia 15-go września za nr. 3,408 paragraf siódmy statutu kasy, określający wysokość wkładów, rozciągniętym został na najniższe nawet warstwy oficyalistów rolnych i brzmi obecnie, jak następuje: „członkowie rzeczywiści przy wstąpieniu do grona"...

— Przepiszę, dosłownie wszystko to przepiszę...

— Dosłownie, — to może zbytek za wielki... Zresztą, zgoda. Po trzecie, mówisz pan o kolędach poślubnych, o kosmetykach świętojańskich, o śpiewaczkach z kolacyami — i tymże pędem o sztukach pięknych. Czyby nie można było przeprowadzić tu jakiejkolwiek, mniej więcej, linii demarkacyjnej?

— Jak kiedy i jak gdzie. Nie miałem jeszcze sposobności przyjrzenia się zblizka obyczajom warszawskiej krytyki artystyczno-naukowej. Na stoliku między gazetami spostrzegam u p. sekretarza kilka prospektów pism nowych lub zmodyfikowanych... (Bardzo panu dziękuję!)... Tygodnik „Ziarno" zapowiada, że dawać będzie obrazy życia współczesnego, skreślone słowem i rysunkiem, tudzież, że „po przebyciu rozmaitych kolei" przechodzi na własność i pod kierownictwo nowe; wydawcą będzie odtąd p. Edward Nicz, redaktorem p. Dyonizy Zaborowski, kierownikiem literackim p. H. Michałowski... Czy to ten sam Michałowski, o którym jest wzmianka w sprawozdaniu „Merkurego"?... Modernista?...

— Nie mam wyobrażenia.

— Powstaje dalej dwutygodnik „Świat artystyczny" — poświęcony wyłącznie sztukom plastycznym pod przewodem.. o, znane imię! — szanownego malarza i profesora, Wojciecha Gersona. Obok

„Chimery” Miriama... wyszła już zapewne? — wskazywałoby to na przemagającą obecnie decentralizacyę, na wyodrębnianie się naszych kierunków i gustów estetycznych. Owóż, trzeba panom wiedzieć, że najmniejszej w tym sensie poszlaki nie zanotowałem w tegoczesnem piśmiennictwie ludów zachodnich. Zwiedziłem świeżo Lipsk, Medyolan, Tyrol. Nigdzie cienia czegoś podobnego! Przeciwnie, asymilacya, aglomeracya, kondensacya gatunków i rodzajów panuje wszechwładnie na całym kontynencie europejskim. Przesącza się to powoli i do Warszawy, o ile o tem sądzić mogę z zeszłorocznych numerów „Tygodnika illustrowanego”, w których pokilkakroć usiłowano — i nie zupełnie bez skutku — odzwierciedlić np. dźwięk z pomocą gorejącej rzymskiej żagwi, lub zakląć i uzmysłowić modlitwę nieboszczyka w warkoczu tańczącej rusałki. Tak chce Böcklin. Od tej daty musieliście zrobić trochę postępu... i na tej także drodze. Mam niejakie na to dowody. Na parę tygodni przed śmiercią ś. p. Abakanowicza byłem w jego domu, w pobliżu Paryża—a bawił tam i Sienkiewicz—świadkiem opowiadania młodej panienki, wykształconej i taktownej, która zmuszoną była uciekać z Warszawy jedynie dlatego, że ma brata — dość rozgłośnego artystę — w teatrze. Brat grywa pierwszorzędne role romantyczne — cokolwiek za klasycznie. Krytyka rys ten zasadniczy pochwyciła w mgnieniu oka... I już jest postronek na pannę. W południe — nadchodzi życzliwa, uprzejma, nacechowana wszystkiemi wymaganiami przyzwoitości towarzyskiej inwitacya na wystawę szkiców, oświetloną elektrycznością. Nie poszła?... To nazajutrz zrana pokazało się, iż brat onegdaj odchrząknął w akcie trzecim nieklasycznie, wyjął chustkę nie z tej, co wypada, kieszeni podczas porannej sceny z Juliettą, miał w ciągu całego przedstawienia tłumione ataki kataralne, albo też, wywoływany siarczystymi oklaskami kłaniał się publiczności, „jak czeladnik szewski za otrzymany suty napiwek”... Jakąż, panie redaktorze, demarkacyę w takich wypadkach zaprowadzić każesz?

— To pańska rzecz, co ja tu mogę wiedzieć?... co poradzić?... Możeby wcale tych mętów nie poruszać?... Jak pan sądzi? — Toż to są figle, kwalifikujące się przed kratki policyi poprawczej...

— Zapewne, ale mam honor oświadczyć czcigodnemu panu, że policya poprawcza nie do mnie, jako kronikarza, należy.

— Niestety!... Czy woźnego już pan odesłałeś, panie Henryku, czy odszedł z dokumentami dla pana d' Assez?

— Przed chwilą.

— Szkoda, zostało parę kawałków w szufladzie.

— Alboż tak ciężkie, że sam tego zabrać nie mogę?

— Owszem, proszę. To jest najpierw proklamacya nowozawiązanej Ligi antysemickiej w Galicyi, wzywająca...

— Czytałem to po drodze, w „Głosie narodu.”

— Dalej broszurka D-ra Fryderyka Zolla, seniora w sprawie fundacyi edukacyjnej ś. p. Wiktora Osławskiego...

— Poznałem szlachetnego tego marzyciela w Lugdunie osobiście. Skupował po bajecznych cenach wazony metalowe japońskie, inkrustowane srebrem i złotem, z emaliami ściskających się dziewic, które w jego oczach symbolizować miały stany zjednoczone przyszłej federacyi ludów europejskich...

— A oto zawiadomienie Komitetu, zarządzającego kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia dra Józefa Mianowskiego, o przyznaniu w d. 19-go września z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez władzę rządową, nagrody imienia Adolfa Pawińskiego w kwocie rubli sześciuset za dzieło, wydane w r. 1897 p. nap. „Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym”, Aleksandrowi Jabłonowskiemu...

— Dobrze, lecz niech już na tem będzie koniec tej litanii papierowej.

— Niech będzie. Prosiłbym tylko, o ile naturalnie jest to możliwe, o przystąpienie odrazu w kronice — do kroniki. Bez dłuższych przemówień, bez początków, bez wstępów.

— Przepraszam, aleć w każdym razie rubryka stała, z pięknym nowym tytułem byłaby, jak bez głowy, bez wstępu, albo też, wyrażając się po mickiewiczowsku, jako pies bez ogona i szlachcic bez urzędu. A i to także wiadomo, że całe nasze życie jest pewnego rodzaju wstępem, — ciągłym, bezprzerwnym, bezoddechowym... filozoficznym, naukowym, społecznym, narodowym..

— Trudna z panem rada. Zgoda i na wstęp, byle naprawdę coś zacząć...

— A wskazania programowe, polityczno-społeczne będą jakie?

— Żadnych. Skorośmy panu zaufali, pisz pan, jak myślisz, a przedewszystkiem, jak *wierzysz*; zresztą zastrzegam sobie prawo... wykreślania.

— A zaliczka? Bez tego, rozumie pan — ani mru mru...

— Zaliczka.. — Jest tam co, panie Henryku?

— Niewiele, ale jest.

Lisy szczwane! „Zaufanie”!... „Pisz, jak myślisz!”... Zaufania

takie stokroć nieraz są cięższe od francuskich kajdan narzuconego na noc przepisywania referatu nr. 8,403... Będziecież go widzieli.

— Wystarczy?...

—, A no!... Żegnam panów.

— Dowidzenia, panie d' Assez. Pamiętaj pan: 5-go października — co najpóźniej!

— Będzie, jak Bóg w niebie!

Laska, kapelusz, paltot. Hajże teraz!

— Niech tam! Cóż począć?... Wygląda trochę na blagiera.. Nie? — Ale, ale... A bodaj cię, na śmierć zapomniałem... Panie d' Assez! panie d' Assez!

— Jest, jest... Jestem... Zaraz... Co pan rozkaże?

— Mój drogi, kochany panie, uprzejmie pana przepraszam, wiem, żeś z drogi, zmęczony, niewyspany, lecz trudno, jest rzecz, widzi pan, taka. Dziś zrana otrzymaliśmy wiadomość, że prezes Komitetu Kasy imienia dra Mianowskiego, profesor dr. Henryk Struve... niech pan zapisze adres: Leszno, 33... pomimo usilnych nalegań członków komitetu nie cofnął swej rezygnacyi z prezesostwa. Dlaczego? — sprawę tę koniecznie i niedwuznacznie wyjaśnić należy, — to jest źródłowo, u samego Struvego. Jutro prof. Struve wyjeżdża na wieś, a wróci dopiero późnym wieczorem we czwartek, 4-go października, — na kronikę byłoby to za późno.

— Rozumiem.

— Gdybyś pan Struvego w domu nie zastał... Któraż teraz godzina? — O, Chryste Panie! trzy kwadranse na szóstą!... W takim razie znajdziesz go najniezawodniej na posiedzeniu koła „Ateneum" u profesora... (zapisz pan adres) u prof. Ignacego Baranowskiego... Mój złoty, kochany panie!... Weź dorożkę... Koszta, ma się rozumieć....

— Oczywiście. Do nóżek się ścielę.

Wieczór ciepły i świeży. Jesień piękności niebywałej. W powietrzu słodycz kwietniowych sabaudzkich nocy. Przykro pomyśleć o tych, którzy są nieobecni, żal, że tylu tam po zajazdach karlsbadzkich, ostendzkich i wisbadeńskich pozostało melancholików, wątrobników, piwoszów, karciarzy, tytuniarzy, wydreptujących wygracowane chodniki i kwietniki kąpieli lub wód do picia — bardzo zaiste słonych i gorzkich, bo cudzych. Nieszczęsni! — włóczą się z miną kwaśną, zbiedzoną, — bez pociechy i widoku tego oto słońca, zawieszającego na srebrnych mgłach i oparach Wisły ku swawoli dziatwy i zakochanych pajęczo-złote zasadzki babiego lata, — bez upajającego świegotu ptactwa, roztropnie wczas chowającego się

pod omszone dachy, — bez zasiłku dum młodocianych, nadlatujących z pierwszem na Anioł pański uderzeniem dzwonka, — bez upewniającego siostrzanego „dobranoc" z ust zacnej, szlachetnej kobiety polskiej.. Ach, jakiż żal! Ani słowa: wszystko się przykrzy i poniewierce ulega na tym świecie. Więc nie dziw, że niejednemu już i te szczebioty błogie, i te hejnały święte kością w gardle stają, bokiem wyłażą, łysiną — nie grzejąc — świecą. Atoli i w takim jeszcze razie, zamiast grosz pożyczony i obwisłe lub roztrwonione cielsko obwozić Niemcom na pokaz, czyliż nie lepiej, czyliż nie odpowiedniej, nie godziwiej — skupiwszy w sobie resztki rozumu, woli, ojcowizny, apetytu et cetera — rzucić się, zanurzyć, utonąć, zginąć w rodzinnym tym oto wirze, w rodzinnym tym kurzu, wrzasku, pisku, ścisku...

A ścisk, zaiste, jak w Paryżu na jedynem dorocznem święcie narodowem. Z Chmielnej na Szpitalną z powodu jakichś odnowin bruku czy dachówek przed cukiernią Starorypińskiego — tobyś i karetą poczwórną nie przeparł tłumów...

— Panie dorożkarzu, zawracaj!

— Wio!

— Do Stępka! Wiesz? — Tylko nie stępa, rozumiesz? — lecz Stępka.

— Bogaćby nie rozumieć.

— Przez Piękną, Chopina, Nowy-Świat, Miodową, Senatorską.

— Wolne żarty.. To chyba na godzinę. Nie tędy droga...

— Jedź, nie pytaj, „Ateneum" płaci.

— Tprru!... E, do czarta, taka — proszę pana — niepewna zapłata... Licha to nie warte...

— Niepewna? niewarta?... Zaczekajże... Co, czy pewna?

— A, to czo innego! — Może pan każe na Mariensztat i Nowowiejską?

— Nie. Dość na dziś Pięknej i Senatorskiej.

Karol d' Assez.



Bibliografia.

I. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (sierpień-wrzesień): Szymon Askenazy: „Elekcya Augusta III“, St. Tarnowski „Szujski, jako poeta“, Tadeusz Pini „Garczyński i Krasiński, szkic literacki“, prof. dr. J. Nusbaum „Nowe poszukiwania nad inteligencyą pszczół i mrówek“, dr. Bronisław Łoziński „Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846 — 1859), sprawy ekonomiczne“, A. Drogoszewski „Eliza Orzeszkowa“, Michał Radziwiłł „Tegoroczny międzynarodowy kongres katolicki w Paryżu“.

= **Kwartalnika Historycznego**, rocznik XIV zeszyt II zawiera: Aleksandra Brücknera „Język narodowy w uniwersytecie krakowskim (w pięciowiekową rocznicę)“, Władysława Semkowicza „Drużyna i Śreniawa, studyum heraldyczne“, Tadeusza Korzona „Henryk Bukowski“.

= **Przegląd Polski** (wrzesień): Dr. Tadeusz Grabowski „Michał Grabowski, jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne“ (z portretem), dr. Aleksander Brückner „Tragedya moskiewska, szkice historyczne“.

= **Przegląd Powszechny** (sierpień): dr. Feliks Koneczny „Jan Waza i misya Possewina“, prof. Antoni Mazanowski „Młoda Polska w powieści i poezyi, 4: Liryka modernistów“.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (sierpień—wrzesień): dr. Bronisław Łoziński „Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859)“, Fr. Rawita-Gawroński „Uposażenie duchowieństwa rzymsko-katolickiego na kresach ukrainnych w końcu XVIII w.“, „Michał Eustachy Brensztein „Szkoła O. O. Bernardynów w Telszach“ (1797—1868), szkic historyczny.

Wisła, tom XIV, zeszyt 3—4 (maj — sierpień): W. Makowski „Dożywocie“, S. Udziela „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego“, B. Bruchnalska „Pieśni ludowe z pod Krzeszowic“, G. Smólski „Z wycieczki na Mazowsze Pruskie“, M. Kucz „Łupicha—Kupicha i „Jej łza“, W. Nałkowski „Kronika geograficzna“, H. Łopaciński „Rycerze przy grobie Chrystusa“, K. Radosławski „Piosnki ludowe z Orońska“, A. Janowski „Rysunki z piasku przed chatą“, R. Lilientalowa „Przesądy żydowskie“, Wuk Stefanowicz Karadżicz „Pieśni serbskie“, Z. Kowalewska „Obchód we-

selny w pow. Wilejskim", E. Tetzner „Pobrzeże Liwca", E. M. „Drzeworyty z Płazowa".

B. Filozofia. **Kozłowski W. M.** Szkice filozoficzne. Warszawa, 1900.

= **Lutosławski Wincenty.** Z dziedziny myśli, studya filozoficzne, Kraków, 1900.

= **Mercier D.** Biblioteka neo-scholastyczna, historya psychologii nowożytnej, zeszyt 3—4-ty, Warszawa, 1900.

= **Münsterberg H.** Nauka w stosunku do życia i sztuki, z ang. przełożył J. Wł. D., Warszawa, 1900.

= **Poradnik dla samouków** część III. I. Nauki społeczne. II. Nauki filozoficzne, opracowane przez Henryka Forsztetera, Ludwika Krzywickiego, Ignacego Matuszewskiego, S. Posnera i Aleksandra Świętochowskiego. Warszawa, 1900.

= **Struve H.** Historya filozofii w Polsce na tle ogólnego rozwoju życia umysłowego, zeszyt I: wiadomości przygotowawcze, Warszawa, 1900.

= **Struve H.** Materya, duch i energia, jako czynniki bytu przedmiotowego, rozbiór krytyczny tych pojęć, Warszawa, 1900.

= **Sully Jakób.** Dusza dziecka, z drugiego wydania oryginału angielskiego „Studies of childhood" przełożyła Izabella Moszczeńska, Warszawa, 1901.

C. Nauki społeczne. **Daszyńska Golińska Zofia dr.** Przełom w socyalizmie, Lwów, 1900.

= **Ferrero G.** Czynniki postępu moralnego, przekład z franc., Warszawa, 1900.

= **Jelinek Jerzy dr.** Prawo mniejszości, przełożył S. Posner, z przedmową Al. Świętochowskiego, Warszawa, 1900.

= **Koszutski Stanisław.** Rozwój przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem, Warszawa, 1900.

= **Koziarz Stefan ks.** Cech garncarski w Sokołowie (koło Rzeszowa), Lwów, 1900.

= **Majewski Erazm.** Rodzina Kruków (Corvinae) w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego, opracował—przy współudziale Szczęsnego Jakubowskiego i d-ra Józefa Saneckiego (odbitka z XIV tomu „Wisły"), Warszawa, 1900.

= **Niedziałkowski Karol ks.**, biskup Samoski. Nie tędy droga, szanowne panie, studyum o emancypacyi kobiet, wyd. II, dopełnione, Warszawa, 1900.

= **Podlewski Franciszek.** O spadkach i testamentach, Warszawa, 1900.

= **Posner S.** Prawo a życie. I. Główne zagadnienia literatury prawa handlowego w ostatniem dziesięcioleciu, Warszawa, 1900.

= **Potocki J. K.** Współzawodnictwo i współdziałanie, Lwów, 1900.

= **Rakowiecki Kazimierz.** Mieszkania ludności wiejskiej, Warszawa, 1900.

= **Szachowski Stanisław dr.** Prawo spadkowe Hebrajczyków i Indów, studyum, Lwów, 1900.

D. Historya. **Album** biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX, zeszyt XI—XII, Warszawa, 1900.

= **Bard E.** Chińczycy u siebie, tłómaczenie z francuskiego (dodatek do „Gaz. Polsk."), Warszawa, 1900.

= **Bieliński Józef.** Uniwersytet wileński, 1579—1831, tom III. (Fontes et commentationes historiam scholarum superiorum in Polonia illustrantes, IV), Kraków, 1899—1900.

= **Cunow Heinrich.** Chiny, rozwój społeczny i ekonomiczny, z niem. przełożył A. W. (dodatek do „Głosu"), Warszawa, 1900

= **Dunin Karwicki Józef.** Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości, wołyńskie opowiadania historyczne, Warszawa, 1900.

= **Dzieje** powszechne illustrowane, zeszyt 361—368, Wiedeń, s. a.

= **Fijałek Johannes.** Polonia apud Italos scholastica saeculum XV, fasciculus I, Cracoviae, 1900.

= **Gawroński Rawita Fr.** Studya i szkice historyczne, serya II: Losy wielkiej fortuny na kresach ukrainnych; Filip Orlik, nieuznany hetman kozacki; Kartka z życia społeczeństwa kresowego; Prawo bartne XVI w.; Pogląd na historyę rolnictwa w Polsce; Siabrostwo, jako forma władania ziemią; Ludowe sądy kupne czyli kopne na Polesiu; Przygoda Imć pana Józefa Sienkiewicza, namiestnika chorągwi tatarskiej; Kilka słów o rodzinie i miejscu rodzinnem Tarasa Szewczenki; Ludwika Śniadecka, Lwów, 1900.

= **Godlewski M. X.** Archeologia biblijna, oparta na ostatnich archeologicznych badaniach na Wschodzie, zeszyt 8, Warszawa, 1900.

= **Grabowski Ambroży.** Kraków i jego okolice, wydanie szóste, Kraków, 1900.

= **Kochanowski J. K.** Witold, wielki książę litewski, studyum historyczne, Lwów, 1900.

= **Kraushar Aleksander.** Książę Repnin i Polska w pierwszem czteroleciu panowania Stanisława-Augusta (1764 — 1768), wydanie nowe, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Księga pamiątkowa** uniwersytetu lwowskiego ku uczczeniu pięćsetnej rocznicy fundacyi Jagiellońskiej Uniwersytetu krakowskiego, Lwów, 1900.

= **Maksimow S.** Syberya i ciężkie roboty, część III. Przestępcy polityczni i państwowi, Warszawa, 1900.

= **Mintz S. dr.** Hygiena biblijna w świetle krytyki współczesnej, Warszawa, 1901.

= **Plauchut Edmund.** Chiny i Chińczycy, przełożył H. Michałowski (Bibl. dzieł wybor. № 143), Warszawa, 1900.

= **Przyborowski Walery.** Historya sześciu miesięcy, ustęp z dziejów 1862 roku, Warszawa, 1900.

= **Sinolog.** Chiny i Bokserzy, historya, kultura i obyczaje Chińczyków, Warszawa, 1901.

= **Tacyt Korneliusz Publiusz.** Dzieje, tłómaczył Władysław Okęcki, Kraków, 1900,

= **Tokarzewicz Józef (Hodi).** W dniach wojny i głodu, wspomnienia, z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego (Bibl. dzieł wyb. № 148), Warszawa, 1900.

= **Tomkowicz Stanisław.** Gmach biblioteki Jahiellońskiej, historya i opis, Kraków, 1900.

= **Zaleski Stefan.** Opowiadania z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, 1900.

= E. Literatura. **Barnabita Semeria Jan O.** Apologia Chrystyanizmu i sztuka w powieści Henryka Sienkiewicza „Quo vadis“, przetłóm. z włoskiego ks. Zygmunt Skarzyński, Warszawa, 1900.

= **Chmielowski Piotr.** Historya literatury polskiej, z przedmową Bronisława Chlebowskiego, tom V (dla prenumeratorów „Bibl. dz. wyb.), Warszawa, 1900.

= **Fijałek Jan ks.** Mistrz Jakób z Paradyża i uniwersytet krakowski w okresie soboru bazylejskiego, Kraków, 1900.

= **Goethe J. W.** Ifigenia na Taurydzie, dramat w pięciu aktach, wierszem miarowym przełożył Parylak Piotr, wydanie 2, przejrzane i poprawione, Cieszyn, 1900.

= **Jezienicki M. dr.** Celniejsze utwory łacińskie Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego ze wstępem i objaśnieniami, część III: celniejsze ody Kochanowskiego i Sarbiewskiego, Lwów, 1901.

= **Kolessa Aleksander.** Ukraińska rytmika w poezyach Bohdana Zaleskiego, Lwów, 1900.

= **Konopnicka Marya.** Z roku Mickiewiczowskiego, Warszawa, 1900.

= **Mickiewicz Adam.** Dzieła, wydanie Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza, t. II (wiersze drobniejsze 1824—1855), Lwów, 1900.

= **Passendorfer Artur prof.** Tablica poglądowa do nauki historyi literatury polskiej, Lwów, 1900.

= **Piotrowski Gustaw.** Zola i naturalizm (Wiedza i życie, rok II, t. 2), Warszawa, 1900.

= **Porębowicz Edward.** Tryady Zygmunta Krasińskiego, Lwów, 1900.

= **Roysius Petrus Maureus Alcagnicensis.** Carmina, pars I, carmina maiora continens, Kraków, 1900.

= **Wisłocki Vladislaus dr.** Incunabula typographica Bibliothecae Universitatis Jagellonicae Cracoviensis inde ab inventa arte imprimendi usque ad a. 1500 secundum Haimi „Repertorium bibliographicum“ una cum conspectu virorum, qui libros olim habuerant, benefactorum bibliothecae, ligatorum Cracoviensium per ordinem alphabeti digessit... eiusdem o. r. Bibliothecae custos, Cracoviae, 1900.

= **Zdziechowski M.** Szkice literackie, I, Warszawa, 1900.

F. Beletrystyka. **Amarilis.** Nowelki i obrazki z życia, Warszawa, 1900.

= **Andersen.** Czerodziejskie powieści, spolszczyła Marya Glotz, Tom I, Warszawa, 1900.

= **El (Kazimierz Laskowski).** Z chłopskiej piersi, śpiewki, Warszawa, 1901.

= **Emef Mieczysław.** Szał, Warszawa, 1901.

= **Feldman Wilhelm.** Czyste ręce, dramat w 4 aktach, Warszawa-Lwów, 1901.

= **Górska Janina.** Poezye, Kraków, 1900.

= **Gruszecki Artur.** Nowy obywatel, z ilustracyami Konstantego Górskiego, (Biblioteczka illustrowana), Warszawa, 1900.

= **Gruszecki Artur.** Wykolejony, nowele i szkice (dod. do „Gaz. Pol.") Warszawa, 1900

= **Jeż T. T.** Jaskołki, powieść (Bibl dz. wyb. № 152), Warszawa, 1900.

= **Jósik Mikołaj.** Ostatni Batory, powieść historyczna, z węgierskiego przełożył Antoni Lange, z przedmową J. A. Święcickiego (Bibl. dzieł wyb. № 144—145), Warszawa, 1900.

= **Kosiakiewicz Wincenty.** Rick i Rock, powieść (dod. do „Gaz. Polsk."), Warszawa, 1900.

= **Kraków,** poezye, nowele, fragmenty dramatów, Warszawa, MCM.

= **Krasiński Zygmunt.** Pisma, tom III (wydanie „Kur. Codz.), Warszawa, 1900.

= **Lewandowski Kazimierz.** Lais, Kraków—Warszawa, 1900.

= **Lie Jonasz.** Ideolog, powieść norweska, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa (Bibl. dzieł wyb. № 151), Warszawa, 1900.

= **Marrené Walerya (Morzkowska).** January, powieść współczesna (dod. do Gaz. Polsk)., Warszawa, 1900.

= **Orkan Władysław.** Komornicy, powieść, Lwów, 1900.

= **Pisanka** pod redakcyą Józefa Jankowskiego, Warszawa, MCM.

= **Przybyszewski Stanisław.** Dla szczęścia, Lwów, MCM.

= **Rodziewiczówna Marya.** Dewajtis, powieść współczesna (Bibl. dzieł wyb. № 146—147), Warszawa, 1900.

= **Sienkiewicz Henryk.** Pisma, tom XX—XXI: Rodzina Połanieckich, część VI—VII (dod. do Tyg. Il.), Warszawa, 1900.

= **Stellina.** Garść poezyi, treść: Memento mori, Pustelnia, Na pożegnanie, Powrót, Gdy ja umrę, Czumak (powieść), Miłujcie się, Na Nowy rok, W dzień komunii św., Warszawa, 1900.

= **Szczedrin Saltykow.** Nowele: Karaś idealista, Wierny Trezor, Kraków, 1900.

= **Tołstoj Lew.** Sonata Kreutzerowska, tłómaczył Z. Pomian, Lwów, 1899.

= **Ursyn (Jan Zamarajew).** Wybór nowel (dod. do „Gaz. Polsk."), Warszawa, 1900.

= **Zalewski Stanisław.** Dziad (baśń liryczna), Warszawa, 1901.

= **Zmorski Roman.** Pisma oryginalne i tłómaczone, Warszawa, 1900.

G. Przyrodoznawstwo. **Dunin Teodor dr.** Sanatoryum dla niezamożnych suchotników jako jedna z najpilniejszych potrzeb społecznych (cały dochód przeznacza się na korzyść projektowanego sanatoryum), Warszawa, 1900.

= **Grabowski Antoni.** Polskie słownictwo chemiczne, rzecz, przedstawiona w imieniu chemików warszawskich pod obrady IX zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie przez Bronisława Znatowicza, przewodniczącego Sekcyi chemicznej, Warszawa, 1900.

= **Grosglik A. dr.** Najnowsze poglądy na mechanizm budowy i czynności układu nerwowego, szkic popularny o teoryi neuronów, Warszawa, 1900.

= **Pogadanki rolnicze,** zbiór wykładów popularnych, wygłoszonych w Sekcyi Rolnej W. O. T. P. R. P. i H., tom II: Uprawa łąk (dodatek do „Gazety Rolniczej"), Warszawa, 1900.

= **Przyrodnik.** Pogląd na ustrój przyrody, napisał —, Warszawa, 1900.

H. Sztuki piękne. **Cerchowie-Kopera.** Pomniki Krakowa, Maksymiliana i Stanisława Cerchów, z tekstem d-ra Feliksa Kopery, zeszyt V — VII, Kraków—Warszawa, 1900.

= **Nietzsche Fryderyk.** Ryszard Wagner w Bayreuth, Warszawa, 1901.

= **Piątkowski Henryk.** Album sztuki polskiej, serya I, zeszyt IX — X, Warszawa, 1900.

= **Wilczyński Bolesław.** Stanisław Moniuszko, dziedzictwo, życiorys i muzyka, zarys biograficzny (Życiorysys ływanych Polaków № 16), Petersburg, 1900.

1. Różne. **Dobrogowski B.** Kleiner Katechismus der katholischen Religion für Elementarschulen, Warszawa, 1900.

= **Katalog** dzieł treści przysłowiowej, składających bibliotekę Ignacego Bernsteina, Warszawa, 1900, 2 tomy.

= **Kwietniewski Jan.** Plan sytuacyjny cmentarza na Powązkach, Warszawa, 1900.

= **Najnowszy przewodnik po Warszawie,** z planem miasta i okolic oraz rozkładami jazdy, półrocze letnie, Warszawa, 1900.

= **Nowicki Władysław.** Początki języka polskiego, książka do czytania, ułożona podług stopniowego rozwoju pojęć, mowy i gramatyki, Warszawa, 1901.

= **Skarżyński Z. ks.** Historya modlitwy do Matki Boskiej „O pani moja" w przykładach, Warszawa, 1900.

= **Szlagowski Antoni ks.** Konferencye, wypowiedziane na rekolekcyach dla mężczyzn, Warszawa, 1900.

2. A. Filozofia. **Benigni E.** Elementi di psicologia sperimentale positiva, Torino, 1900.

= **Brandes Georg.** Aesthetische Studien, Charlottenburg, 1900.

= **Fischer Kuno.** Geschichte der neuern Philosophie, Jubiläumsausgabe. 6 Bd.: Fichtes Leben. Werke u. Lehre, 3 Aufl., Heidelberg, 1900.

= **Haeckel Ernst.** Der Monismus, als Bund zwischen Religion u. Wissenschaft, Glaubensbekentniss eines Naturforschers, 9 Aufl., 1900.

= **Harnack Adolf.** Das Wesen des Christentums, Leipzig, 1900.

= **Herzog J. A.** Was ist ästhetisch? Ein Beitrag zur Lösung der Frage, Leipzig, 1900.

= **Tylor H. O.** Ancient ideals. A study of intellectual and spiritual growth. from early times to the establishment of Christianity. 2 vols. London, 1900.

B. Nauki społeczne. **Argamakowa S.** Słabaja bor'ba z silnymi zabłuždjenjami w sowrjemiennom wospitanji. Petersburg, 1900.

= **Berthold P.** Zur Judenfrage in Galizien, Frankfurt a/M., 1900.

= **Bry G.** Histoire industrielle et économique de l'Angleterre, Larose, 1900.

= **Conrad Johann.** Grundriss zum Studium der politischen Oekonomie, 2 Th. Volkswirtschaftspolitik, 2 Auf., 2 Abdr., Jena, 1900.

= **Dementjew E. M.** Organizacija rjemiesljennoj promyszlennosti w zapadno jewropjejskom zakonodatjelstwie (Ministjerstwo Finansow. Depart. Torg. i Manufaktur), Petersburg, 1900.

= **Driault E.** Les problèmes politiques et sociaux à la fin du XIX siècle, Paris, 1900.

= **Erdmann Karl.** Wie kann der Protestantismus über den Katholicismus siegen?, Berlin, 1900.

= **Morjew D. D.** Oczerk kommierczeskoj gieografji i chozjajstwiennoj statistiki Rossii srawnitielno z drugimi gosudarstwami, wyp. 2, izd. 6, Petersburg, 1900.

C. Historya. **Bornhak Conrad.** Russland u. Finnland. Ein Beitrag zu der Lehre von den Staatenverbindungen, Leipzig, 1900.

= **Hammerstein L. v.** Begründung des Glaubens. 2 Thl. Das Christenthum u. seine Gegner: Judentum, Buddismus, dr. Paulus, David Strauss, Renan, Harnack, v. Egidy u. A., 3 Aufl., Trier, 1900.

= **Weiss Johann Bapt. v.** Weltgeschichte, 16 Bd. Der Umsturz des französischen Thrones, Die September morde. Der Convent. Der Königsmord u. seine Folgen. Der Krieg mit Europa. Napoleons Jugend. 4 u 5 Aufl., Graz, 1900.

D. Literatura. **Borozdin A. K.** Sto ljet litjeraturnago razwitja, charaktjeristika russkoj litjeratury XIX stoljetja, Petersburg, 1900.

= **Breymann Hermann.** Die neusprachl. Reform—Litteratur von 1894—1899, eine bibliographischt krit. Uebersicht, Leipzig, 1900.

= **Rénard G.** La méthode scientifique de l'histoire littéraire, Paris, 1900.

= **Woerner Roman.** Henrik Ibsen (in 2 Bdn.). 1 Bnd. 1828 — 1873, München, 1900.

E. Przyrodoznawstwo. **Klaatsch Hermann**. Grundzüge der Lehre Darwin's, Mannheim, 1900.

= **Zehnder Ludwik.** Die Entstehung des Leben. Aus mechan. Grundlagen entwickelt. 2 Thl., Zellenstaaten. Pflanzen. Tiere, Tübingen, 1900.

F. Sztuki piękne. **Goeler v. Ravensburg**. Grundriss der Kunstgeschichte. Ein Hilfsbuch für Studierende, Berlin, 1900.

= **La Mazelière de**. La peinture allemande au XIX siècle, Paris, 1900.

h.

---

3. Przekłady z polskiego. Zeszyt czerwcowy paryskiego „Bulletin Polonais" przyniósł przekład **K. Brodzińskiego** p. n „Discours sur la Nationalité Polonaise".

Nowelę **M. Konopnickiej** p. t. „Głupi Franek" zamieścił w tłom. „Minskij listok".

„Historya narodu polskiego z przedmową **Władysława Smoleńskiego**", wychodzi w przekładzie rosyjskim jako osobny dodatek do „Wiestnika wsiemirnoj istorji".

Wacław Gasztowtt zamieścił w sierpniowym „Bulletin Polonais" tłómaczenie prozą poematu **Bohdana Zaleskiego** p. n. „Rusałki",

4. Udział Polaków w innych literaturach. **Spasowicz W. D.** Sieben Plaidoyers, Siem sudiebnych rieczej po ugołownym djelam W. D. Spasowicza, Berlin—Weimar, 1900.

Zeszyt 1—2 „Archiv für slavische Philologie" zamieścił „Polonica" **prof. A. Bruecknera** i tegoż autora recenzye prac o pierwotnych siedzibach Słowian d-ra Kętrzyńskiego i Bogusławskiego, jakoteż ocenę F. Hiplera „Bogarodzicy" pióra **d-ra Stanisława Dobrzyckiego.**

5. O rzeczach polskich. W Bergamo wyszła praca Milio Begey'a p. n „L'incontro di due Grandi Adamo Mickiewicz, Andrea Towiański".

M. Downar-Zapolskij wydał w Moskwie tom 1-szy „Aktów litewsko-ruskiego państwa".

Zeszyt 1-szy tomu XIV **Cztiennij w istor. obszczestwie Nestora-lietopisca** przynosi pracę O. I. Lewickiego „O polskiem powstaniu w południowo-zachodnim kraju w r. 1831". W. B. Antonowicza „Nowe dzieło o hajdamaczyźnie i W. N. Pieriełca „Do dziejów kijowsko-mohilańskiego kolegium".

Slovanskij Přehled zamieścił w zeszycie 8-mym życiorys Aleksandra Świętochowskiego pióra Aurelego Wiszara, artykuł A. Černego o jubileuszu H. Sienkiewicza i ocenę „Horoskopu" Wandy Żeleńskiej, a w n-rze 9-ym rzecz Fr. Hoesicka o polskiej literaturze historycznej i filozoficznej w roku ubiegłym.

S. Z.



Z żałobnej karty.

† Józef Kleczyński,

zasłużony badacz na polu historyi, statystyki i nauk społecznych, profesor statystyki i prawa administracyjnego w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, dyrektor krakowskiego biura statystycznego, zmarł w Zakopanem, dnia 22 zeszłego miesiąca. Spuścizna naukowa zmarłego obejmuje szereg prac i cennych przyczynków, z których „Statystyka miasta Krakowa” w szeregu uczonych zdobyła mu miejsce jedno z pierwszorzędnych; inne dzieła jego, jak „Spisy ludności w Rzeczypospolitej”, „Pogłówne jeneralne”, „Spisy w dyecezyach” i inne, ogłaszane w sprawozdaniach Akademii Umiejętności, posiadają również niepoślednią wartość naukową. Prócz tego ś. p. Kleczyński dawał prace swoje do „Wiadomości statystycznych”, „Ekonomisty”, „Przewodnika Naukowego”, „Niwy”, „Przeglądu Polskiego” i „Ateneum” („Stosunki rolne w Galicyi”, 1879, tom III i inne).

Pokój jego cieniom! *h.*



Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Октября 1900.

Wydawca: ***Wł. Spasowicz.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***